



NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

SUSAN WIGGS

*Zanim nadejdzie
ciemność*

Wiggs Susan

Zanim nadejdzie ciemność

Znana fotografka, Jessie Ryder, patrzyła na świat przez obiektyw, zawsze z dystansem. Nigdzie nie potrafiła zagrać miejsca. Żyła z dnia na dzień, w nieustannej podróży, często zmieniała kochanków, nie pragnęła stabilizacji. Nie potrafiła jednak uciec od bolesnych wspomnień o wydarzeniach sprzed szesnastu lat. Wtedy oddała nowo narodzoną córkę Lile do adopcji...

Jej pozornie idealny świat runął, gdy dowiedziała się, że niedługo straci wzrok. Postanowiła naprawić błędy z przeszłości i chociaż raz zobaczyć córkę, nie licząc się z uczuciami adopcyjnej matki Lili... swojej siostry, Luz.

Spotkanie po latach jest traumatycznym przeżyciem. Wychodzą na jaw skrywane długo tajemnice, a prawda okazuje się bolesna. Jednak dla wszystkich jest to oczyszczające doświadczenie. Jessie dzięki najbliższym poznaje, czym są miłość, lojalność i bliskość. Niestety ciemność zbliża się nieubłaganie

CZĘŚĆ 1

Przedtem

Dzisiejsza młodzież kocha zbytek, nie grzeszy oglądą, w pogardzie ma autorytety, starszym szacunku nie okazuje, woli czczą gadaninę od pracy nad sobą. Dzieci to dziś tyrani, a nie pomoc w domu. Nie wstają, gdy ktoś starszy do izby wchodzi. Sprzeciwiają się rodzicom, mówią niepytane, obżerają się i udręką są dla nauczycieli.

Sokrates (399 p.n.e.)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nic nie budzi w kobiecie większej paniki niż myśl: jestem w ciąży. Jessie Ryder czuła w sobie resztki tamtego przerażenia, mimo że minęło już szesnaście lat. Przemierzywszy pół świata, jechała przez pogrążony w upale Teksas, żeby spotkać się z córką, której nigdy nie widziała.

Wciąż pamiętała swój strach i zdziwienie, gdy dowiedziała się, że niewidoczny zlepek komórek już na zawsze zmieni jej życie. Od tamtego dnia dzieliło ją szesnaście lat i tysiące kilometrów, ale fizyczna odległość zmniejszała się błyskawicznie.

Simon próbował ją powstrzymać. „To szaleństwo, Jess, nie możesz tak po prostu polecieć do Teksasu”. Ale mylił się. Robiła w swoim życiu rzeczy dużo bardziej szalone.

Po raz chyba setny od czasu, gdy w hotelowym pokoju w Auckland wrzuciła do torby swoje rzeczy, próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, co innego mogłaby zrobić. Ale nikt jej nie podsunął żadnego przepisu, żadnej instrukcji składania roztrzaskanego na kawałki życia.

Kierował nią jedynie instynkt, niczym zew, który każe rannemu zwierzęciu szukać bezpiecznego schronienia. Oraz dojmujące pragnienie, schowane głęboko, ale wciąż żywe, żeby zobaczyć dziecko, które tuż po porodzie oddała swojej siostrze Luz. Jedynej osobie na świecie, której mogła zaufać.

Przednia opona zadudniła na żółtych krążkach linii oznaczającej środek drogi. Jessie źle się czuła w ruchu prawostronnym, ale typowa dla niej bezkompromisowa niezależność i determinacja dodawały pewności siebie. Zwolniła, spojrzała we wsteczne lustro – wciąż nie mogła się przyzwyczaić do tutejszych obyczajów drogowych – i zatrzymała się na poboczu. Znów się zgubiła.

Słońce widoczne ponad poszarpaną linią wzgórz oślepiło ją na chwilę. Opuściła osłonę. Wyjęła mapę i zaczęła śledzić trasę zaznaczoną przez pracownika wypożyczalni samochodów w Alamo. Droga międzystanowa na południowy zachód, zjazd 135-A i droga stanowa numer 290, potem 1486, a wreszcie wąska, czerwona nitka prowadząca do miejsca, o którym słyszało niewiele osób, a jeszcze mniej miało potrzebę je odwiedzić.

Jessie wydawało się, że jedzie zgodnie ze wskazówkami, ale już za długo kręciła się po tych nieuczęszczanych drogach. Zaczęła sunąć palcem wzdłuż narysowanej linii, gdy kątem oka dostrzegła przy drodze jakiś ruch. Pancernik.

Zwykle widywała je rozjechane na szosie z łapami do góry. Ale ten toczył się przed nią, jakby właśnie wyszedł z którejś powieści Steinbacka. Omen? Zwiastun złego losu? Czy może teksaski garb spowalniający prędkość? Patrzyła, jak zwierzę powoli przechodzi na drugą stronę i znika w gęstych zaroślach.

Na wzgórzu naprzeciwko pojawił się samochód. Zmrużyła oczy i popatrzyła w tamtą stronę. Oczywiście półciągarówka. Tutaj nic innego nie jeździło. Gdy auto zwolniło i zatrzymało się blisko Jessie, poczuła lekki strach. Była zupełnie sama na pustkowiu, z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

Opuściła szybę. Osłoniła dłonią oczy przed słońcem, ale i tak widziała jedynie zarys kierowcy – szerokie barki, bejsbolowa czapka – i niepasujący do nich dziecięcy fotelik na siedzeniu obok. Na bagażniku leżała wędka.

– Nic się pani nie stało? – spytał mężczyzna. Pod słońce nie widziała jego twarzy, ale teksaski zaśpiew uspokoił ją, wywołując wspomnienie leniwych dni i uśmiechniętych sąsiadów.

– Jadę do Edenville – wyjaśniła. – Ale chyba się zgubiłam.

– To już niedaleko. – Wskazał kciukiem za siebie. – Nie pobłądziła pani, tylko za wcześnie się pani zatrzymała.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Powodzenia. – Furgonetka ruszyła, strzelając z gaźnika.

Powodzenia. Rzucone od niechcienia pożegnanie dźwięczało jej w uszach. Zaczęła przeszukiwać stacje radiowe, usiłując znaleźć coś innego niż wiadomości albo rzewne piosenki country. Wreszcie trafiła na rozgłośnię rockową z Austin i jakiś kawałek ZZ Top. Włączyła na pełny regulator. Miała nadzieję, że muzyka zagłuszy myśli, a może nawet strach.

Było późne popołudnie. Czujnie patrzyła na plamy cienia rozsiane pośród wzgórz z prążkowanego piaskowca. Człapiący pancernik przypominał jej, że w każdej chwili na drodze może się pojawić zając albo jeleni.

Nie chciałyby przejechać zwierzęcia. Nawet martwego – złapała się na tej myśli, gdy ominęła kupkę padliny, która nie zdążyła się jeszcze zamienić w płaski latawiec wyschłej skóry.

Podróż trwała dłużej, niż się spodziewała. Wiele lat temu nie mogła się doczekać, żeby stamtąd wyjechać, teraz – żeby tam dotrzeć. Wreszcie zobaczyła zniszczoną tablicę z napisem „Witajcie w Edenville” i wyblakłym rysunkiem brzoskwiniowego sadu. Pod nią wyrosło kilka mniejszych szyldów: „Kościół Baptistów”, „Klub szachowy”, „Spotkania Lions Club w trzecią sobotę miesiąca”.

Widok miasteczka był znajomy w dziwny sposób, jak ledwo pamiętany sen. Na środku rynku, ciasno otoczonego przez wystawy

sklepowe, stał stuletni ratusz. Jak dawniej obok restauracji ze stekami mieściła się kwaciarnia, a naprzeciwko sklep z karmą dla zwierząt i skład towarów przecenionych. Mimo obecności nowej Celestial Cyber Cafe rynek zachował swoją senną atmosferę, jakby miasteczko było zadowolone z tego, że nie nadąza za czasem pędzącym tak szybko jak ruch na niedalekiej obwodnicy.

Tuż po ukończeniu szkoły Jessie wyjechała na studia. Uwielbiała wielkomijski gwar Austin, szeroko rozciągające się przedmieścia i barwną mieszankę mieszkańców – polityków, intelektualistów, heavymetalowców, Meksykanów, przestępców, biednych wieśniaków. A teraz znów znalazła się w małym miasteczku, wróciła do tego, o czym chciała zapomnieć.

Pomimo upływu czasu wiedziała, którądy jechać. Najpierw dziesięć kilometrów wąską drogą, obok nienaturalnie zielonego pola golfowego Woodcreek, a potem skręt w prawo w kierunku jeziora.

Otworzyła wszystkie okna i wciągnęła głęboko powietrze. Nie widziała jeszcze jeziora, ale już czuła jego zapach – wiatr niósł znad wody woń cedrów i jadłoszynów.

Okragłe głązy, wśród których rosły kwitnące głogi, dochodziły do samego brzegu. Tafla wody wyglądała niczym lustro otoczone najbardziej niesamowitymi drzewami w całym stanie. Nazywali je zagubionymi klonami, bowiem tego gatunku nie spotykało się w Teksasie. Klony potrzebowały długiego zimowego snu, typowego dla północnych lasów, a nie nieprzewidywalnych uderzeń srogiego chłodu i wyczerpującego upału. A mimo to trwały tu jak kolonia cudzoziemców przybyłych z daleka nad obcy brzeg.

Krażyło o nich wiele opowieści. Jedna z indiańskich legend mówiła, że były to dusze dawno zmarłych przodków z północy. Według innej historii drzewa posadził jakiś osadnik dla jankeskiej żony – miały jej przypominać o jesieniach w Nowej Anglii, za którymi bardzo

tęskniła. Ale wszystkie podania były zgodne w jednym: klony przywędrowały tu z dalekich stron i na przekór wszystkiemu zapuściły korzenie, a po upalnym lecie, które wypalało kolory ze wszystkiego, wybuchały szaleństwem barw.

Każdej jesieni klony świeciły jaśniej niż płomienie ognia. Ich blask był tak intensywny, że oczy bolały: czerwień, złoto, głęboki pomarańcz, ochra, umbra palona. Co roku przez dwa tygodnie droga była zakorkowana przez tłumy turystów, którzy przyjeżdżali tu specjalnie po to, żeby zrobić zdjęcia swoim dzieciakom puszczającym kaczki po pokrytej liśćmi wodzie albo wspinającym się na pomalowane przez Boga konary.

Jessie próbowała sobie przypomnieć, kiedy liście wyglądały najpiękniej. Tak, na początku listopada. W porze powrotów do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gładka nawierzchnia skończyła się, w jej miejsce pojawiły się skalne wyboje pokryte żwirem. Jessie zacisnęła palce na kierownicy. W Alamo udało jej się wypożyczyć samochód jedynie na podstawie międzynarodowego prawa jazdy. Tłumaczyła sobie, że jeśli tylko wyjedzie z ruchliwych dzielnic Austin, to na wiejskich drogach będzie zagrożeniem jedynie dla samej siebie i może jakiegoś nieszczęsnego pancernika. Na szczęście do celu zostało już bardzo niewiele. Poczowała nerwowy skurcz w brzuchu. Wyruszyła w tę podróż, żeby ukoić dojmującą tęsknotę, ale bała się, że przy okazji otworzy również dawne rany.

Policzyła wzgórza do starego domu nad jeziorem: raz, dwa, trzy łagodne wzniesienia, jak dla powolnej kolejki górskiej. Przy zjeździe mocniej chwyciła kierownicę i wzięła głęboki wdech – powietrze było pełne pyłu. Skręciła i powoli ruszyła do przodu. Wjechała na teren posiadłości przez bramę stojącą obok rozłupanego bloku z piaskowca. Nadal wisiał na niej znak z kutego żelaza: Broken Rock. Jej pradziadek zbudował dom, zanim jeszcze powstała prowadząca do niego droga, i zawsze mówił, że należy skręcać przy pękniętej skale.

Dom wraz z ziemią odziedziczył ojciec Jessie, układny, chłodny dżentelmen, który jakieś trzydzieści lat temu w ramach rozwodu przekazał go jej matce. Glenny Ryder zatrzymała sobie niewiele rzeczy z tamtego małżeństwa. Nazwisko – wyryte na wielu golfowych trofeach – posiadłość nad jeziorem oraz dwie córki.

Dzieciństwo Jessie było jak kolorowy sen wypełniony słonecznym blaskiem, zielenią pól golfowych i smugami krajobrazów widzianych przez prostokątną szybę samochodu podczas długich podróży. Ścieżka dźwiękowa do takiego dzieciństwa składała się z piosenek Beatlesów, Beach Boys, Cata Stevensa i Jamesa Taylora dobiegających z radia pomiędzy reklamami płynu na trądzik i filtrów do wody pitnej.

Gdy tata je zostawił, Jessie dostała tylko dla siebie tylne siedzenie wielkiego ramblera z 1964 roku, więc nie mogła już mówić, że ta sytuacja ma same złe strony. Luz płakała bez przerwy, ale Jessie nie pamiętała swoich łez. Pamiętała jedynie niekończącą się drogę.

Ich życie wyznaczały terminy turniejów mamy. W motelach zawsze miały w pokoju łożo małżeńskie i dostawkę. Glenny kładła się na dostawce, a duże łóżko oddawała dziewczynkom. Jeszcze dziś jednym z najwyraźniejszych wspomnień Jessie z dzieciństwa była śpiąca tuż obok Luz.

Po rozwodzie Glenny traktowała dom nad jeziorem i otaczające go zabudowania jak dworzec, jeżdżąc na turnieje i uganiając się za nagrodami, które i tak nie dawały jej spełnienia. W ciągu wielu następnych lat i trzech kolejnych małżeństw zdobyła zaledwie kilka poważnych tytułów. Ale szło jej na tyle dobrze, że ciągle startowała, miała wystarczającą ilość pieniędzy i nie musiała się nudzić.

Z daleka wszystko wyglądało tak jak dawniej. Jessie patrzyła z mieszanymi uczuciami na jednopiętrowy dom, garaż, pomost i piaszczystą dróżkę prowadzącą przez las do trzech chat, które latem wynajmowali turystom. Jessie i Luz zarabiałały na kieszonkowe, zmieniając pościel i ręczniki przyjeżdżającym na weekendy wędkarzom.

Jednak z bliższej odległości zauważyła zmiany. Pod wiatą stały inne samochody, zakurzony minivan i honda civic. Przed wejściem leżały zabawki z kolorowego plastiku. Zauważyła psią budę z dziwnym imieniem Bóbr wypisanym nad otworem wejściowym. Na podwórku stała płaska skrzynka z niezasadzonymi fioletowymi

astrami, a na ganku wyplatane trzcina krzesło. Ktoś zostawił na ziemi niedojedzone jabłko, oblepione teraz masą mrówek. Wokół panowała atmosfera niedokończonych spraw, jakby z jakiegoś powodu wszyscy nagle porzucili swoje zajęcia.

Gdy wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami, rozległo się gardłowe szczekanie. W jej stronę pędził długonogi pies – miał nastroszony kark, ale jednocześnie machał przyjaźnie ogonem, co stanowiło dość sprzeczny przekaz. Jessie nie znała się na psach. Nie miała takiej możliwości. Cygańskie życie na tylnym siedzeniu różowego ramblera matki dopuszczało jedynie okazjonalne ekstrawagancje w postaci złotej rybki w przezroczystej torebce. Któregoś roku biała myszka przeżyła całe lato w pudełku po butach, ale wybrała wolność w motelu Pinehurst w Północnej Karolinie.

– Spokój! – zawołał ktoś z wnętrza domu.

Jessie poczuła, że ma mokre od potu dłonie. Miała ochotę się modlić, ale do głowy przyszły jej jedynie słowa: Boże, pomóż mi.

Siatkowe drzwi na ganku otworzyły się ze skrzypnięciem, a potem głośno zatrzasnęły. Luz zamarła przy poręczy niczym słup soli. Nawet w džinsach z obciętymi nogawkami i wyblakłym od chloru T-shircie wyglądała wspaniale.

– Jess... – szepnęła. Nie zdążyła dokończyć, zeskoczyła ze schodów i rzuciła się biegiem przez podwórko. – Mój Boże, Jess.

Zbliżały się do siebie z wyciągniętymi ramionami, pokonując czas, odległość i straszne słowa, które kiedyś padły. Kiedy się objęły, ogrom emocji odebrał Jessie oddech. Powstrzymując łzy, zrobiła krok w tył. Luz. Jej siostra Luz. Przez te wszystkie lata jej uroda nieco zbladła. Na twarzy pojawiły się delikatne ślady trosk i zmęczenia, rude włosy nie miały już tak intensywnego koloru jak dawniej. Urodziła troje dzieci, co też zostawiło swój ślad. Była nieco cięższa niż ta młoda Luz, której obraz Jessie nosiła w umyśle.

– Niespodzianka! – zawołała z udawaną lekkością. – Powinnam była zadzwonić – dodała szybko, widząc w oczach siostry błysk

niepokoju.

– Daj spokój! – zaprotestowała Luz. – To zresztą w twoim stylu.

Naprawdę? – pomyślała Jessie. Co my dziś wiemy o sobie? Utrzymywały sporadyczny kontakt telefoniczny i e-mailowy, ale to za mało, żeby być naprawdę blisko. Przyglądała się twarzy siostry, widząc w niej dziwnie zniekształcone odbicie siebie samej. Miały ten sam kolor włosów, kilka bladych piegów na nosie, a oczy, jak mawiała mama, barwy szkockiej murawy.

Kątem oka zauważyła, że ktoś wyszedł na ganek – wysoka, szczupła dziewczyna w szortach i czarnej koszulce na ramiączka, z burzą rudych włosów, przyglądała się jej ciekawie.

Jessie nie mogła oderwać od niej wzroku. Czy ta nieśmiała kobieta, niemal dorównująca jej wzrostem, była jej córką, jej maleństwem?

Zerknęła na Luz, która też była spięta, ale delikatnie popchnęła Jessie do przodu.

– Niespodzianka – mruknęła Luz, naśladowując beztroski ton siostry.

– Ale panna! – zawołała Jessie. A potem dodała z ironią, którą tylko ona rozumiała: – Jesteś taka piękna, że aż nie mogę na ciebie patrzeć! – Rozłożyła szeroko ramiona.

Dziewczyna patrzyła na nią, stojąc bez ruchu. Jessie zamarła i powoli opuściła ręce. Wyczuła, bo nie mogła widzieć, że Luz daje Lili sygnał, jakiś znak w języku zrozumiałym jedynie dla matek i córek.

– Mhm, cześć. – Lila odezwała się głosem znanym z rzadkich rozmów przez telefon. Uśmiechnęła się nieśmiało, była nieufna jak biegacz, który spotyka na swojej drodze dużego, nieznanego psa.

Sama do tego doprowadziłaś, pomyślała Jessie, czując ukłucie bólu. To twoje dzieło. Nadal stała nieruchomo. Sytuacja robiła się coraz bardziej niezręczna, ale na ułamek sekundy wcześniej, nim stała się nie do zniesienia, Lila podeszła do Jessie i objęła ją sztywno. Jessie nie mogła się już powstrzymać, przygarnęła dziewczynę do siebie z całych sił.

– Przytul mnie, Lila – powiedziała przez łzy, których bała się pokazać. – Przytul mnie mocno.

Poczuła, jak szczupłe ramiona zaciskają się na niej. Poczuła cytrynowy zapach włosów Lili, młodzieńczą świeżość skóry, ciepły oddech. Po raz pierwszy w życiu obejmowała swoją córkę. Uświadomiła sobie, że ma zamknięte oczy. Dziwne. Kiedy jest się tak blisko drugiej osoby, nie można jej zobaczyć, ale inne zmysły wystarczają aż nadto.

Otworzyła powieki i zobaczyła, że Luz je obserwuje. Odsunęła się w tył. Cudownie piegowate policzki Lili pokrywał ciemniejszy rumieniec. Jessie patrzyła na nią z zachwytem, niczym w czarodziejskie lustro wymazujące wszystkie trudne chwile i nieprzespane noce, wszystkie błędy i potknięcia przeszłości.

– Mamusiu, kim jest ta pani? – Dziecięcy głos rozbił magię chwili.

Jessie odwróciła się w kierunku chłopca z potarganymi włosami. Niechętnie oderwała się od Lili, ale nie chciała urządzać żadnej sceny.

– Kim jest ta pani? – Chwyciła chłopca na ręce i podniosła wysoko. – Jestem twoją ciocią. – Zakręciła nim w kółko, aż chłopiec zaczął krzyczeć z radości. – A za to ja wiem, kim ty jesteś. Jesteś krasnoludkiem.

– A wcale że nie!

– Jesteś Scottie, masz cztery lata i psa, który nazywa się Bóbr.

Chłopczyk pokiwał energicznie głową. Jessie postawiła go na ziemi i zwróciła się do dwóch chłopców przyglądających się jej uważnie z ganku.

– Twój brat Wyatt ma jedenaście lat, a Owen pięć. Owen lubi jeść wszystko z keczupem.

Wyatt szturchnął łokciem Owena, który patrzył na nią w bezbrzeżnym zdumieniu, nie zdając sobie sprawy, że zdradziła go czerwono-pomarańczowa plama na koszulce.

– A co Lila lubi jeść? – zapytał Scottie, spodziewając się kolejnych czarów.

Jessie uśmiechnęła się w jej kierunku.

– Na co tylko przyjdzie jej cholerna ochota.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy, a po chwili parsknęli śmiechem. Scottie odezwał się pierwszy.

– Mamo, ona powiedziała...

– Powiedziałam, że muszę się czegoś napić, bo umieram z pragnienia – przerwała mu Jessie.

Czwórka dzieci wbiegła z hałasem do domu. Luz podeszła do siostry i przytuliła ją raz jeszcze.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedziała ze łzami w oczach. – Dzieci myślą, że jesteś jakąś Mary Poppins. Chodź do środka. Muszę poszukać przepisu na tłuste cielę [1].

Jessie zrozumiała subtelną aluzję.

– Jestem wegetarianką.

– I na granicy Teksasu nie uznali cię za zboczoną?

Weszły do domu. Panował tu zupełnie nieznaną Jessie chaos rodzinnego życia. Z różnych pomieszczeń dochodziły odgłosy telewizora, radia i odtwarzacza płyt. Na podłodze w salonie leżała siatka do kometki, rolki, szkolne podręczniki i mnóstwo nierozpoznawalnych małych zabawek z plastiku. W powietrzu unosił się zapach sosu do spaghetti.

– Wyburzyliśmy ścianę i zrobiliśmy jeden wielki pokój – wyjaśniła Luz, podając siostrze duży kubek mrożonej herbaty. – Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś.

– I od razu trafiłam na kolację.

– Robię makaron. Jesteś głodna?

– I to jak!

– W takim razie zabieram się do roboty. Możesz mi towarzyszyć.

Luz zaprowadziła ją do kuchni i podsunęła wysoki stół. Wprawnym ruchem zawiązała sobie w pasie fartuch niczym kowboj przypinający pas z rewolwerem. Jezu, moja siostra nosi fartuch! – pomyślała Jessie.

– A co tam u Simona? – Luz jak zwykle waliła prosto z mostu.

Jessie zawahała się. Co u Simona? Znała go od szesnastu lat, ale tak naprawdę nigdy nie mieli wspólnego życia. Był jej nauczycielem, mentorem, kochankiem, jednak oboje zajmowali się głównie swoimi

sprawami. Przez te lata bardziej bywali ze sobą niż byli razem. A w zeszłym roku, gdy dowiedziała się o tym, co jej jest, postanowiła sprawdzić siłę ich związku. Ten egzamin oblali oboje.

Ale to było zbyt skomplikowane.

– Rzucił mnie – powiedziała krótko.

– Jaki Simon? – spytała Lila.

– Taki jeden sk... – Jessie zająknęła się, widząc minę siostry. – Znaczy palant. Pracowaliśmy razem. Do zeszłego tygodnia był moim koch... znaczy chłopakiem. – Jak się nie ma ślubu, to nie można się rozwieść. A faceci nie umieją zrywać. Simon coś jąkał i mamrotał o nowym projekcie w Himalajach, aż wreszcie musiała mu powiedzieć: „Daj spokój, oboje wiemy, że potrafisz być skurwielem”.

– Przykro mi. – Luz poklepała ją po ramieniu. – Co za głupiec.

Tak naprawdę nie przejęła się rozstaniem z Simonem. Musiała jedynie znaleźć sobie jakieś spokojne miejsce, w którym mogłaby odzyskać zdrowie. Ale ten dom nie był spokojnym miejscem, a ona już nigdy nie wyzdrowieje.

– Lila, mogłabyś nakryć do stołu? – To wcale nie zabrzmiało jak pytanie. – I przynieś z werandy składane krzesło.

Lila wstała z wojowniczą miną, której nawet nie próbowała ukryć. Z głośnym trzaskiem otworzyła drzwi na werandę, przyniosła krzesło i postawiła je przy długim stole.

Lila. Jessie wyśpiewywała sobie to imię podczas niezliczonych bezsennych nocy, myśląc, zastanawiając się, marząc... Lila. Dwa westchnienia, dwa dźwięki kojące niczym wiosenny wiatr. Kilka tygodni potem, gdy Jessie wyszła ze szpitala, Luz przysłała jej zdjęcie

noworodka z czerwoną buzią, podobnego do setek innych dzieci. Na odwrocie napisała: „Daliśmy jej na imię Lila Jane na cześć dwóch pielęgniarek z oddziału dla wcześniaków, które bardzo nam pomogły”.

To prawda. Lila zawdzięczała życie im, a nie jej. Jessie po prostu wyjechała, nie oglądając się za siebie. Jedynie ból przepiętych piersi, a potem świadomość, że to mleko nie było nikomu potrzebne, boleśnie przypominały, z czego zrezygnowała. Wpatrywała się w to zdjęcie całymi godzinami, w udęcie tęsknoty, żałując, że nie może wziąć córki na ręce, nie widzi jej pierwszego uśmiechu, pierwszego zębka, pierwszego kroku. Ale to by tylko pogłębiło ból. Wiele razy w ciągu tych pierwszych dni jedynie fizyczna odległość i brak pieniędzy powstrzymały ją przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

Luz rozdzieliła pomiędzy chłopców zadania. Wyatt kroił chleb, Scottie składał serwetki, a Owen poszedł zawołać ojca na kolację.

Lila musiała czuć na sobie pełne zachwyty i bólu spojrzenie Jessie. Patrząc na sosnowy stół zastawiony wyszczerbionymi talerzami i niepasującymi do siebie sztucami, powiedziała:

– To nie jest moje życie.

Jessie roześmiała się. Tak, to jest twoje życie, pomyślała. Takie właśnie ci dałam. I chciałabym od ciebie usłyszeć, że się nie pomyliłam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Chwilę później na ganku rozległo się tupanie.

– Uwaga, obcy! Uwaga, obcy! – Owen mówił to monotonnym głosem niczym robot. Siedział na ramionach ojca i musiał pochylić się, kiedy wchodzili przez drzwi.

– Ian! – Jessie ruszyła w jego kierunku. Gdy postawił syna na podłodze, objęła go z pewnym zakłopotaniem.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Należał do mężczyzn, którzy zachowują chłopięcy wygląd także po czterdziestce. W wieku sześćdziesięciu lat też pewnie będzie nosił T-shirty z nadrukiem i levisy, tak jak na studiach. Miał te same niebieskie oczy, te same duże, delikatne dłonie.

Jessie poczuła dreszcz niepokoju. Oczywiście decydując się na tę podróż, zdawała sobie sprawę, że będzie musiała spotkać Iana, ale okazało się, że nie jest przygotowana na widok jego szczupłej sylwetki, gęstych włosów opadających na oczy, szerokich ramion i promiennego uśmiechu.

– Cześć, ślicznotko! – zawołał. – Kopę lat!

– Świetnie wyglądasz. – Nie umiałyby nazwać swoich emocji. Ze względu na Luz zrezygnowali z dawnej wrogości i odnosili się do siebie z uprzejmą poufałością.

– Pewnie cały śmierdzą po dwóch godzinach pracy w ogrodzie. – Podszedł do stojącej przy kuchni Luz i pocałował ją w kark. – Surowa z pani kierowniczką, pani Benning. – Chwycił Scottiego pod pachę i poszedł się umyć.

Kolacja przypominała trochę posiłek w pensjonacie: makaron, sos pomidorowy z pulpetami, przygotowany naprędce sos bezmięśny ze słoika, sałatka, chleb. Luz wyglądała na zdenerwowaną, ale sprawnie przedstawiała i podawała szklanki z mlekiem i talerze ze spaghetti. Jessie czuła się jak główne danie, bo dzieci zarzucały ją pytaniami.

– Naprawdę mama to twoja siostra?

– Tak, o trzy lata starsza.

– Mama mówiła, że jesteś sławną fotografką. Jesteś sławna?

– Mama przesadza. Drukują moje zdjęcia w różnych pismach, ale mnie nikt nie zna. Zdjęcia nie są po to, żeby dać sławę fotografowi.

– A dlaczego tak dziwnie mówisz? – Owen przesunął widelcem listki sałaty.

– Od piętnastu lat mieszkam w Nowej Zelandii – odpowiedziała Jessie. – Pewnie złapałam tamten akcent.

– A dlaczego w Nowej Zelandii? – dopytywała się Lila. – Jak się tam znalazłaś?

– To długa historia – wtrąciła Luz. – Może lepiej...

– Tak naprawdę... – Jessie poczuła nieprzyjemne drgnienie dawnego napięcia. – Tak naprawdę wyjechałam dzięki swojej siostrze. – Popatrzyła na Luz. – Zawsze była wielkoduszna. Miałyśmy skończyć studia w tym samym czasie, ale pieniędzy starczyło na ostatni rok tylko dla jednej. Luz uparła się, że to ona rzuci studia i pójdzie do pracy.

– Miałaś lepsze stopnie i lepsze perspektywy, dostałaś propozycję pracy za granicą – przypomniała jej Luz.

– Mam nadzieję, że jesteś taką dobrą siostrą jak Luz – powiedziała Jessie do Lili.

– Nie mam lepszej siostry – potwierdził Scottie stanowczo.

Lila zmierzwiła mu włosy.

– Nie masz innej siostry.

Chwila napięcia minęła. Jessie odsunęła się od stołu.

– Przywiozłam prezenty – obwieściła z psotnym uśmiechem.

– Prezenty! – Chłopcy wyrzucili ręce w górę, a widząc przyzwalające skinienie Luz, pobiegli za Jessie na podwórko.

Mimo przedwyjazdowego pośpiechu Jessie znalazła czas na zakupy dla rodziny. Model maoryskiej łódki dla Scottiego, groźna maska dla Owena i wojenna łódź Maorysów dla Wyatta. Dla Iana kupiła korek do wina z owocem kiwi, a dla Lili komplet spinek do włosów z muszli paua. Na koniec wręczyła Luz rzeźbiony wisiołek z jadeitu.

– To koru – wyjaśniła. – Paproć, która rośnie w Nowej Zelandii. Jest symbolem narodzin, śmierci i odrodzenia. Wyraża wieczne życie i reinkarnację.

– Czyli właściwie wszystko.

– Właśnie.

Luz przechyliła się ze śmiechem i objęła siostrę.

– Byłaś w tylu fantastycznych miejscach.

– Twój dom też jest fantastyczny. Podoba mi się, co w nim

zrobiłaś.

Zadzwonił telefon, ale nikt się nie ruszył.

– Nie odbieramy podczas kolacji – wyjaśniła Luz, widząc pytające spojrzenie Jessie.

– Ale jest już po kolacji! – zaprotestowała Lila.

– Będzie, jak sprzątniemy ze stołu. – Luz zignorowała jadowite spojrzenie córki.

Włączyła się automatyczna sekretarka, a zaraz potem rozległ się młody, męski głos. Lila znów się zaczerwieniła.

– Ona się zakochała. Kocha Heatha Walkera – obwieścił Wyatt, a potem razem z braćmi zaczął skandować: – Zakochana para, zakochana para.

Lila rzuciła serwetkę na stół i pobiegła na górę. Wyatt i Owen szturchnęli się łokciami i parsknęli śmiechem, ale zamilkli pod wpływem surowego wzroku Iana. Scottie niezrażony ciągnął dalej:

– Najpierw wielka miłość, potem huczny ślub, a na koniec bachory aż po zimny grób.

Luz spojrzała ponad stołem na siostrę.

– Witaj w domu.

Jessie odpowiedziała jej smutnym uśmiechem.

W ramach kary za dokuczanie siostrze chłopcy mieli nie dostać deseru.

– To znaczy, że mama w ogóle nie zrobiła deseru – mruknął Wyatt, czym zarobił sobie na dodatkowy przydział prac domowych.

Chłopcy zostali odesłani do łazienki na wieczorną kąpiel, a Ian poszedł przygotować dla Jessie jedną z chatek.

– Nie ma to jak miła rodzinna kolacja. – Luz zdjęła szlafrok i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Wzięła butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki, po czym ruszyła na werandę. – Czas na merlota! – obwieściła, naśladując starą reklamę.

Usiadły na drewnianych krzesłach. Luz rozlała wino i uniosła kieliszek.

– Cieszę się, że wróciłaś.

Powoli piły cierpki trunek. Na horyzoncie po drugiej stronie jeziora zachodzące słońce zostawiło po sobie jedynie cienką linię ognia. Taflę wody w kolorze zgaszonego złota pokrywały kołyszące się atramentowe kreski.

– Dzwoniłaś już do mamy? – spytała Luz.

– Jeszcze nie. – Ich matka mieszkała w Scottsdale z mężem numer cztery. Jak on ma na imię? Stan? Nie, Stu. Stuart Burns. Jessie nigdy go nie poznała. Celowo nie zaprzyjaźniała się ze swoimi ojczymami, bo każdy z nich dość szybko zniknął. Jednak Stu złamał tę regułę.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Tyle miały sobie do powiedzenia, że nie mówiły nic, wsłuchując się w odgłosy wieczoru: plusk wody uderzającej o brzeg, nawoływania jakiegoś ptaka, szum wiatru wśród klonów rosnących po południowej stronie jeziora.

Luz podciągnęła kolana pod brodę. Miała bosa, opalone stopy, na jednej paznokcie były pomalowane na różowy kolor. Miało się

wrażenie, że ciągle czegoś nie kończyła – swoich projektów, malowania paznokci, sadzenia kwiatów w ogrodzie. Jakby na tym polegało jej życie. Nie skończyła studiów, żeby wyjść za mąż i zaadoptować Lilę. Jessie zastanawiała się, czy rzeczywiście Luz żyła na pół gwizdka, czy może nie kończyła różnych rzeczy, bo pojawiała się coś ważniejszego.

Pod dom stojący na szerokim wzgórzu jakieś pół kilometra od nich podjechał samochód. Jessie pomyślała, że takim samym autem jechał mężczyzna, który wskazał jej drogę.

– Znasz swojego sąsiada? – spytała nie tyle zainteresowana osobą, co chcąc przerwać milczenie.

– Nie za bardzo. Zdaje się, że ma półtoraroczną córkę. Podobno był pilotem na Alasce, ale przeniósł się tu, gdy żona zmarła albo go opuściła, tego nie wiem. Ma mały samolot, Ian korzystał kiedyś z jego usług. Nazywa się Rusty albo Dusty. – Twarz Luz rozmarzyła się. – Kawał niezłego męskiego ciała.

– Luz!

– Wiem, wiem. Ale nawet mamuśki mają swoje marzenia.

– Czy to awionetka stoi przy jego pomoście?

– Tak. Ludzie mówią, że udziela lekcji i prowadzi loty dla turystów. Może go namówisz, żeby pokazał ci klony z lotu ptaka. O ile oczywiście zostaniesz tu na jakiś czas.

– Może zostanę. – Niestety, nawet wino nie pomogło jej pozbyć się skurczu w żołądku.

Luz nie odzywała się, ale Jessie i tak słyszała jej niewypowiedziane pytanie: Po co przyjechałaś?

Wiatr liznął powierzchnię wody i zaszumiał wśród klonowych liści.

Jessie wciągnęła mocno powietrze.

– Chciałam... – Powiedz to wreszcie. – Chciałam ją zobaczyć.

Wiedziała, jakie będzie następne pytanie: Dlaczego właśnie teraz?

– Powinnam była przyjechać wcześniej – powiedziała Jessie pospiesznie. – Nie zauważyłam nawet, jak szybko płynie czas. A potem zdałam sobie sprawę... – Upiła duży łyk wina. Wciąż jeszcze na tę myśl ogarniało ją przerażenie. Znalazła się na życiowych rozstajach. I nie chodziło jedynie o rozstanie z Simonem, chociaż to też miało swoje znaczenie. Próbując ukryć lęk, powiedziała: – Rozstałam się z Simonem i...

– I co?

Nie, jeszcze nie teraz.

– Wszystko się popieprzyło. Chciałam zobaczyć Lilę i chłopców. Poza tym... stęskniłam się za tobą. – Czuła w sobie echo prawdy tych słów. – Przepraszam cię, tylko tyle mogę powiedzieć.

– Nie musisz mnie przeproszać. Ja też nie jestem święta.

– Jesteś. – Jessie myślała tak od czasu, gdy w czwartej klasie Luz zagrała w szkolnym przedstawieniu Matkę Boską. Do dziś pamiętała widok siostry w błękitnej szacie pochylającej się nad wiklinowym koszykiem z lalką w środku.

Mamy jak zwykle na przedstawieniu nie było. Co roku Glenny brała udział w grudniowym turnieju w San Diego. Jessie nie mogła sobie przypomnieć, która sąsiadka wówczas się nimi opiekowała.

– To niedobrze, że przyjechałam?

– Chodzi o to... – Luz położyła drżącą rękę na dłoni siostry. – Nie spodziewałam się, że tu jeszcze wrócisz. Masz tam taką świetną pracę... Wymarzoną.

– Była wspaniała przez wiele lat, ale... – Zawahała się. – Teraz wszystko się skończyło. – Zacisnęła palce na oparciu krzesła. – Myślałaś kiedyś, żeby powiedzieć o wszystkim Lili?

Po twarzy Luz przemknął cień bólu.

– Oczywiście, że się nad tym zastanawialiśmy.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– To był przecież twój pomysł – przypomniała Luz. – I zgodziliśmy się to uszanować. Przenieśliśmy się tutaj, gdy Lila miała trzy lata, bo tu nikt nie mógł zadawać głupich pytań. Za to ludzie często mówią, że jest do mnie podobna.

– Bo jest.

Luz skinęła głową.

– A kilka razy słyszałam nawet, że jest podobna do Iana. Dasz wiarę?

Jessie upiła łyk wina. Tak, w to akurat mogła uwierzyć.

– Próbowałam jej o tym powiedzieć, kiedy miała cztery lata, a ja byłam w ciąży z Wyattem. Zapytała mnie, czy też byłam taka gruba, kiedy ją nosiłam w brzuchu. Nie umiałam skłamać. Powiedziałam, że jako dzidzius rośla w brzuchu u innej pani, ale gdy tylko się urodziła,

zostałam jej mamą. Roześmiała się i powiedziała, że jestem niemądra, więc nie rozwijałam tego tematu, a ona nigdy do niego nie wracała. Jestem pewna, że o wszystkim zapomniała. Zawsze była trudnym dzieckiem, lubiła ryzyko.

– Co to znaczy? Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś? Przecież utrzymywałyśmy kontakt.

Luz przeczesła palcami włosy.

– Bo nie stało się nic strasznego. Ale trochę siwizny mam przez nią. Pierwsze, co zrobiła po przyjeździe tutaj, to był skok z pomostu. A nie umiała nawet pływać. Jeszcze tego samego roku weszła na pastwisko u sąsiadów, żeby pogłaskać byka. Potem złamała rękę, bo przypięła sobie papierowe skrzydła i skoczyła z dachu stodoły Walkersów, myśląc, że będzie latać. Do czasu, aż poszła do przedszkola, nie mogłam jej ani na chwilę spuścić z oczu. Uwielbia wszelkie ekstremalne sporty, biały rafting, narty wodne, byle tylko poczuć niebezpieczeństwo. Jest drobna i szczupła, ale ma w sobie jakąś dzikość. Może dlatego, że po urodzeniu wszyscy na nią chuchali i dmuchali. A może...

– Ma to po mnie – dokończyła Jess.

– Nie kupuję takiej wymówki. Mam taką córkę, jaką sobie wychowałam. Ani ja, ani Ian nie jesteśmy ideałami. Mówię ci, Jess... Gdy chłopcy byli mali, nie wiedziałam, w co mam ręce włożyć. Nie miałam nawet czasu, żeby pójść do łazienki, a co dopiero zastanawiać się nad psychiką swojej córki.

Jessie aż się skuliła, słysząc ostatnie słowa. Jakaś część w niej doskonale rozumiała, dlaczego Luz wołała mieć siostrę na drugim końcu świata. Tak było znacznie prościej.

– W szkole się na nią skarżą. Sama zresztą widziałaś, jak się do

mnie odnosi. Mój śliczny aniołek zamienił się w diabła. Wagaruje, wymyka się w nocy z domu, zjeżdża na linie z wiaduktu kolejowego, kąpie się nago w jeziorze. Powtarzam sobie, że to normalny bunt nastolatki i że niedługo z tego wyrośnie, ale jest coraz gorzej. Ma fatalne stopnie, nie znam jej przyjaciół. Robi to, o czym piszą w tych wszystkich książkach o wieku dojrzewania. Moja Ofelia zaczęła wierzyć.

– I co z tym robisz?

– Rozmawiałam ze szkolnym pedagogiem, ale to niewiele pomaga.

– A czy pedagog wie, że...

– Skądże! Jeśli nie powiedzieliśmy jej, to nie powiemy też nikomu obcemu. Wie tylko mama, ale ona nigdy o tym nie wspomniała.

– Może Lila przechodzi jakiś kryzys tożsamości.

– Ona ma prawie szesnaście lat. W tym wieku wszystko jest kryzysem.

Na Luz padało wieczorne światło. Była inna niż kiedyś, a jednocześnie taka sama. Przez te wszystkie lata Jessie dostała od niej mnóstwo pięknych zdjęć – portretów i wakacyjnych fotek. Większość przedstawiała dzieci, ale na nielicznych pojawiał się też Ian. Puszczal z dziećmi latawce, biegł obok trójkołowego roweru któregoś z chłopców, machał wiosłami na łódce. Luz zawsze była po drugiej stronie aparatu. Tak jak Jessie wybrała na studiach fotografię, robiła wspaniałe zdjęcia, ale zrezygnowała ze swojej pasji, żeby założyć rodzinę.

Jessie wstała i wysoko uniosła ramiona, wyginając się lekko w tył.

– Idę spać. Nawet nie wiem, jaki mamy dzisiaj dzień.

Luz też wstała i objęła siostrę.

– Musisz być wykończona. Nie będę cię dłużej trzymać. Ian zabrał twoje bagaże.

W oknach domu rozbłysły już światła, delikatny szum klimatyzacji zagłuszało dudnienie rockowej muzyki dochodzące z pokoju na piętrze.

Ruszyły ścieżką w kierunku chatki.

– Jak długo zamierzasz zostać? – spytała Luz.

– Nie wiem. Ale jeśli to jest jakiś problem, to...

– Daj spokój! To przecież także twój dom.

Jessie skinęła głową bez słowa. Nigdy nie czuła się tu jak w domu. Ani w żadnym innym miejscu na świecie.

– Nie mam jeszcze żadnych planów. – To była największa szczerłość, na jaką zdobyła się tego wieczoru. – Kiedy wylądowałam w Austin, zadzwoniłam do Blair LaBorde. – Blair była jej przyjaciółką ze studiów. Po zrobieniu doktoratu przez kilka lat wykładała na uczelni, a potem została gwiazdą dziennikarstwa w kolorowym tygodniku „Texas Life”.

Jessie zdawała sobie sprawę, że z jej dorobkiem szukanie pracy w takim piśmie wygląda dość dziwnie, ale potrzebowała jakiegokolwiek zajęcia, i to natychmiast. Praca zawsze pozwalała uciec od problemów, którym nie umiała stawić czoła. Gdy robiła zdjęcia, przenikała przez obiektyw i przenosiła się do miejsc o ostro zarysowanych konturach, w których rzeczywisty świat zamieniał się w iluzję.

– Zadzwoniłaś do Blair a do mnie nie?

– Musiałam jej powiedzieć, że szukam pracy.

Luz rozluźniła się. Jessie wiedziała, że siostra aż za dobrze rozumie wagę takich problemów.

– Przy swoich koneksjach na pewno znajdzie ci mnóstwo zleceń.

– Właśnie. Kiedy wspomniałam o Edenville, od razu mi powiedziała, że spróbuje odgrzebać dawną historię, której kiedyś nie udało jej się skończyć.

– Czyli masz już pracę jak w banku. Ciekawe, o co jej chodzi. – Zatrzymały się przy wyboistej dróżce prowadzącej do trzech małych domków. – Niestety, nie jest to pięciogwiazdkowy hotel, do jakich pewnie przywykłaś.

Jessie roześmiała się.

– Masz dość przesadne wyobrażenie o moim poziomie życia!

– Przynajmniej żyjesz na jakimś poziomie.

– A ty przynajmniej masz swoje życie. – Jessie znów roześmiała się, ale poczuła, że między nimi pojawia się znane napięcie. Jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jessie szła ścieżką przez las, niosąc w jednej ręce wypełnioną do połowy butelkę z winem, a w drugiej kieliszek. Marzyła o tym, żeby się wreszcie położyć i pozbyć mdlącego zmęczenia wywołanego zmianą czasu.

Gdy była mała, w ciemnym lesie widziała zawsze tysiące strachów – wstrzymywała wtedy oddech, żeby wraz z powietrzem nie wciągnąć czających się w mroku złych duchów. Zauważyła, że nawet teraz oddycha płytko i niespokojnie, ale dziś, w odróżnieniu od tamtej dziewczynki z potarganymi warkoczami, wiedziała już, czego się boi. To coś było bardziej rzeczywiste niż potwory kryjące się wśród pojękujących klonów, dębów i jałoszynów.

Ian przeniósł już jej torby, włączył światło i klimatyzację, która wdmuchiwała do środka sztuczne powietrze o słabym zapachu pleśni. W domku był aneks kuchenny, salonik z tarasem wychodzącym na jezioro, mała sypialnia i łazienka. Samowystarczalny świat, w którym nie było ani zagrożenia, ani... nadziei.

– Cześć! – zawołała na progu.

– Jestem w sypialni – odpowiedział Ian.

– Właśnie na to liczyłam. – Wszystko już się zmieniło, ale Jessie chciała zażartować jak tamta beztroska dziewczyna, którą Ian znał wiele lat temu.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– To dobrze. Ale lepiej mi z tym pomóż. – Usiłował naciągnąć na materac elastyczne prześcieradło, które musiało być odrobinę za małe.

Spojrzała na bezładną kupkę pościeli.

– Ależ świetnie ci idzie. – Chwyciła za róg prześcieradła i wcisnęła pod materac. Z drugiej strony Ian próbował zrobić to samo, ale bezskutecznie. Po kilku nieudanych próbach i mniej lub bardziej skoordynowanych szarpnięciach, Ian położył się na materacu, rozciągając pod sobą prześcieradło, i dopiero wtedy Jessie udało się oblec wszystkie rogi.

– Nieźle się muszę namęczyć, żeby zaciągnąć faceta do łóżka. – Zmarszczywszy lekko nos, dodała: – Miałeś rację, rzeczywiście trochę śmierdzisz po tej pracy w ogrodzie. – Ścielili łóżko w milczeniu jak para dobrych przyjaciół. Jessie ucieszyła się, że czuje się tak swobodnie w obecności szwagra. Dawno temu ich stosunki nie były najlepsze, a jeszcze dawniej aż za dobre. Teraz byli wobec siebie uprzejmi, żeby nieopatrzonym słowem czy gestem nie zrobić przykrości Luz.

Wszystko, co się wiązało z Ianem Benningiem, było niezwykle – jego wygląd, jego głos, jego śmiech, jego... namiętność. Właśnie ta namiętność przyciągnęła do niego Jessie na krótko przedtem, nim Ian poznał Luz. Nigdy nie byli w sobie zakochani, do krótkiego, gorącego romansu wystarczyły młodość i pożądanie.

Nie rozmawiali potem o tamtych czasach, nie powiedzieli o tym nikomu, nawet Luz. Zresztą to było tak dawno temu, że Jessie rzadko o tym w ogóle myślała. A teraz nosiła w sobie znacznie gorszą tajemnicę. Nawet Ian tego nie zauważył.

Wtedy był na trzecim roku prawa, Jessie studiowała fotografię prasową, wyglądała na starszą, niż była, i ostro imprezowała. W ich przypadku zadziałała po prostu biologia. Zresztą Jessie znana była z tego, że opierała związki na wyjątkowo chwiejnych podstawach. Poznali się na imprezie w akademiku i jeszcze tej samej nocy poszli razem do łóżka. Przez trzy tygodnie wydawało jej się, że Ian jest spełnieniem marzeń – w sensie fizycznym. Ale poza tym niewiele ich

łączyło. Oficjalnie nigdy ze sobą nie zerwali, ale w środku trzeciego tygodnia po prostu przestali się spotykać. Jessie bez reszty pochłoneły nowe zajęcia prowadzone przez Simona Carringtona. Zafascynował ją zarówno przedmiot, jak i osoba wykładowcy z Nowej Zelandii.

Niedługo potem Luz się zakochała. „On jest wspaniały, Jessie, nie mogę się doczekać, aż go poznasz. Studiuje prawo i...”.

Przy pierwszym spotkaniu Ianowi i Jessie udało się ukryć zaskoczenie, a Luz, nawet jeśli zauważyła ich zaczerwienione policzki i ostrożne spojrzenia, to nie dała po sobie nic poznać. Gdy Ian podał jej rękę, Jessie przypomniała sobie pieszczoty jego dłoni. Gdy uśmiechnął się do niej przelotnie, przypomniała sobie smak jego ust. Czuła się z tym wyjątkowo niezręcznie. Może nie było to kazirodztwo, ale tajemnica, której nie umiała nazwać.

Nie powiedzieli Luz o niczym. Nawet wtedy chcieli ją chronić. Nie potrafili sobie wyobrazić, że mogliby ją skrzywdzić. Oboje ją kochali, oboje chcieli ją ochronić od skutków własnych błędów.

– Hej, Jess, wracaj. – Głos Iana przywrócił ją do teraźniejszości. – Chyba odleciałaś gdzieś daleko.

– Rzeczywiście. – Poprawiła poduszki na łóżku i wyprostowała się. – Luz powiedziała mi, że Lila daje wam nieźle popalić.

Ian zbladł i zacisnął usta. Wreszcie wziął długi, urywany wdech.

– Kompletnie nie wiem, co mamy z nią zrobić. Jej okres dorastania ostro nam dowalił. Według niej jestem przekleństwem jej życia. Bardzo ją kocham, ale wychowywanie nastolatki jest bardzo trudne.

Przyglądała się jego twarzy, usiłując odgadnąć, czy zna najgłębszą tajemnicę. Ale Ian patrzył na nią z pełną szczerością i otwartością. A więc nie wie. Dziwne.

Gdy Jessie zorientowała się, że jest w ciąży, Ian przycisnął ją do muru i zadał oczywiste pytanie: „Czy to moje dziecko?”. Simon zapytał ją o to samo. Udzieliła im jednakowej odpowiedzi. Jednemu skłamała.

Patrząc prosto w oczy przystojnego mężczyzny, który kochał jej siostrę, powiedziała „Nie”. Nie miała innego wyjścia. Gdyby powiedziała prawdę, kazałaby mu wybierać pomiędzy poczuciem obowiązku wobec matki swojego dziecka a koniecznością zachowania tajemnicy wobec swojej żony. To byłby koszmar dla wszystkich. Dlatego Jessie zdecydowała się na jedyne wyjście, które nie groziło wybuchem.

Po pierwszej wizycie u lekarza wyliczyła, że zapłodnienie zbiegło się w czasie z mocno podlewaną imprezą w studenckim barze. Wylądowali po niej na werandzie starego domu, w którym Ian mieszkał z kilkoma innymi studentami prawa. Ale nie puściła pary z ust. Nie chciała zranić Luz, która kochała tego mężczyznę.

Ciąża upłynęła na omawianiu ustaleń adopcyjnych, załatwianiu paszportu, planowaniu życia za granicą. Ona i Simon postanowili fotografować cuda natury na całym świecie. Dla Jessie ucieczką miała się stać przygoda życia. A Ian miał się ożenić z Luz, otworzyć praktykę adwokacką i założyć rodzinę. Wszystko wyglądało tak prosto.

Ale miała dwadzieścia jeden lat, była przestraszona i samotna i nie wiedziała jeszcze, że uczucia nigdy nie są prostą sprawą. Uznała, że zostawienie dziecka pod opieką naturalnego ojca i Luz złagodzi jej cierpienie. Miała nadzieję, że pieniądze wysyłane na pokrycie szpitalnych rachunków pozwolą jej choć trochę się oczyścić. Ale ból tak naprawdę nigdy nie ucichł.

Rozległo się brzęczenie pagera Iana.

– Jakies problemy? – spytała, widząc, jak szwagier wpatruje się

w mały ekran.

– Właściwie spodziewałem się tego. Muszę jeszcze dziś jechać do Huntsville.

Zapewne chodziło kolejne odwołanie w kolejnej beznadziejnej sprawie. Zauważyła, że Ian jest już myślami gdzieś indziej. W Teksasie praca obrońcy skazanych na śmierć musiała przynosić wiele frustracji.

– Pewnie musisz się pospieszyć.

– Pożegnaj się jeszcze z rodziną. Polecę z tym gościem, który ma awionetkę. – Uścisnął ją pospiesznie. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to daj znać Luz.

– Dobrze. Dzięki za wszystko. I powodzenia. – Patrzyła za nim, jak idzie w kierunku domu zdecydowanym krokiem. Dobry człowiek, który chce ocalić życie przestępcy.

Nalała do kieliszka resztę wina i wyszła na pomost, żeby się nacieszyć ostatnimi chwilami dnia. Woda była gładka i ciemna, w powietrzu wyczuwało się chłodniejszy powiew nocy. Powieki opadły jej ze zmęczenia.

Ale zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Musi patrzeć. Szesnaście lat temu uciekła stąd otumaniona przerażeniem, zanim jeszcze było wiadomo, czy przedwcześnie urodzona córka przeżyje. Dziecko nie miało nawet imienia. A teraz wróciła, gotowa stanąć twarzą w twarz w konfrontacji z tym, co zrobiła. Chciała wypełnić białe plamy straconych lat, odprawić pokutę, a może nawet znaleźć odkupienie. I musiała zacząć od Lili.

Musiała zobaczyć swoją córkę. Na własne oczy. Musiała zobaczyć jej włosy rozjaśnione porannym światłem, jej roześmiane albo zapłakane oczy, dłonie ułożone na kołdrze, usta oblizujące kawałek soczystego

melona.

A najbardziej pragnęła czegoś, co nie było już jej dane: więcej czasu. Odwiedziła wielu lekarzy na całym świecie. Rokowania były wszędzie te same. Nie znano ani przyczyn choroby, ani skutecznego leczenia. Gdy zyskała pewność co do diagnozy, postanowiła zrobić tę jedyną rzecz, która wydawała się jej ważna. Postanowiła zobaczyć swoje dziecko, zanim ogarnie ją mrok.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ta kobieta z „Texas Life” działała mu już na nerwy. Dusty Matlock ze złością przerwał połączenie. Jezu, co trzeba jej powiedzieć, by wreszcie zrozumiała, że nie znaczy nie?

Blair LaBorde przypominała mu jego psa rasy Jack Russell terrier. Była uparta, natrętna, nie wiedziała, kiedy ustąpić. Sprzedawała egzaltowane artykuły o prywatnym życiu różnych ludzi. Musiała je zdobywać, żeby zarobić na życie, tak samo jak on musiał latać. Historia spektakularnej śmierci i porodu jego żony stanowiła smakowity kąsek dla różnych dziennikarskich sępów. Już jakiś czas temu odprawił z kwitkiem „People” i „Redbook”. Amber miała prawie dwa lata, a jemu udało się wrócić do pewnej równowagi. Krwawiąca rana zagoiła się, ale blizna pozostała. Blair LaBorde jedynie ją rozdrapywała.

Telefon zadzwonił znowu. Ze złością podniósł słuchawkę do ucha.

– Pani LaBorde, ile razy mam powtarzać...

– Mówi Ian Benning, sąsiad z drugiej strony jeziora.

– Przepraszam, myślałem, że to ktoś inny. – Nie rozwijał wątku pani LaBorde, choć może powinien. Benning jako prawnik na pewno by wiedział, jak się pozbyć wścibskiej dziennikarki. – Słucham, co się dzieje?

– Jeszcze dziś muszę się dostać do Huntsville. Podrzucisz mnie?

Dusty nie zastanawiał się długo. Przywykł już do takich niespodziewanych zleceń.

– Przyjedź na lotnisko za półtorej godziny.

– Dobra, dzięki.

Dusty ucieszył się z tego zamówienia. Benning już kilka razy korzystał z jego usług, dzięki czemu wieści o Motlock Aviation zaczęły się szerzej rozchodzić.

– *Ay, mujer.* – Siedzący w sąsiednim pokoju Arnufu wydał z siebie przeciągły gwizd. – Chodź, zobacz, co znalazłem.

Dusty wszedł do salonu z szerokim widokiem na jezioro. Arnufu stał przy teleskopie z okiem przytkniętym do obiektywu. Instrument był wycelowany w pomost przy chatce po drugiej stronie jeziora.

– Zostaw panią Benning w spokoju, stary zboreźniku.

– To nie pani Benning, już bardziej jej siostra.

Nawet bez teleskopu Dusty mógł dostrzec siedzącą na pomoście kobietę. Zachodzące słońce padało na rude włosy. Na pierwszy rzut oka można ją było wziąć za żonę Iana, ale gdy przyjrzeć się dokładniej...

– Zdaje się, że minąłem ją dzisiaj na drodze. – Przypomniał sobie ładną, lekko zdezorientowaną kobietę w samochodzie z wypożyczalni.

– Trzeba było się jej przedstawić.

Dusty zasłonił obiektyw teleskopu przykrywką.

– To służy do oglądania gwiazd, a nie do podglądania sąsiadów.

Arnufu spojrzał na niego wilkiem i wyprostował się.

– Powinniśmy upiec ciasto i udać się tam z sąsiedzką wizytą.

– Jasne.

Odwrócili się w kierunku dziecięcego kojca, skąd rozległ się cichy pisk. Amber stanęła chwiejnie na nóżkach, trzymając się szczebelków. Na widok idących w jej kierunku mężczyzn uśmiechnęła się szeroko, pokazując pięć ząbków.

– Cześć, mała. – Dusty zmierzwił jej jasne włoski. Amber wyciągnęła przed siebie rączki proszącym gestem. Był on jednak skierowany do Arnufa, co miało swoje uzasadnienie, sądząc po zapachu. Dusty usunął się na bok. – Oddaję ją w twoje ręce, Arnufu. Zdaje się, że przygotowała ci niespodziankę w pieluszce.

– Jesteś człowiekiem bez serca.

– Jestem człowiekiem, który musi sprawdzić prognozę pogody i przygotować plan lotu. Lecę dziś z Ianem Benningiem do Huntsville.

– Zrobię ci tortille na kolację. – Arnufu Garza był dobrym kucharzem. Nauczył się tego w kawalerskich latach, gdy pracował jako robotnik rolny w San Angelo. Wziął dziewczynkę na ręce. – Chodź, mała. Mnie żadna pielucha nie przestraszy.

Stanowili niezwykłą rodzinę. Arnufu i jego żona Teresa pracowali u rodziny Matlocków, gdy Dusty był jeszcze dzieckiem. Tak naprawdę Teresa go wychowywała, bowiem mama była przede wszystkim zajęta jego wymagającymi siostrami.

Gdy dwa lata temu Dusty i Arnufu niemal jednocześnie zostali wdowcami, rozwiązanie wydawało się oczywiste: zamieszkali razem, stary Meksykanin zajmował się Amber, a Dusty starał się rozwinąć firmę.

Jeszcze raz pogłaskał córkę po główce, czując, jak miękkie włoski przesypują mu się między palcami. Ruszył do małego baraku na tyłach ogrodu, który służył jako warsztat i biuro jednocześnie. Ku rozpaczy

swoich ambitnych rodziców Dusty pokochał latanie, a nie przemysł naftowy. Licencję pilota zdobył wcześniej niż prawo jazdy. W wieku dwudziestu jeden lat kupił mały samolot pasażerski Pilatus PC-6 Turbo Porter i przez piętnaście lat pracował na Alasce jako pilot. Woził górników, robotników pracujących na szybach naftowych i obsługę rurociągu do miejsc tak odległych, że wydawały się położone na innej planecie.

Dzikość Alaski zawsze przemawiała do jego żądnej przygód natury, ale po urodzeniu się Amber musiał wprowadzić do swojego życia pewne zmiany. Co oznaczało opuszczenie mroźnych północnych okolic i przeniesienie się do rodzinnego Teksasu. Na szczęście tu też były potrzebne usługi transportowe. Zgłaszali się do niego multimilionerzy z Austin, którzy zrobili fortuny na firmach internetowych, i starzy nafciarze. Pracy miał dużo. Ale nic nie mogło wypełnić bolesnej pustki w jego życiu. Rodzina namawiała go, żeby przeniósł się do Austin, nie rozumiejąc, czemu wybrał akurat Edenville.

Skąd mogli wiedzieć. Karen zmarła jesienią, kiedy drzewa na Alasce rozpałały się ogniem kolorów. Zawsze kochała tę porę roku, gdy pojawienie się pierwszego lodu na wodzie oznaczało, że niedługo trzeba wymienić w samolocie pływaki na płozy. Cieszyła się na myśl, że jej córka wychowa się w okolicy, w której drzewa zmieniały kolor jakby za sprawą czarów. Podobny widok w samym środku Teksasu był niezwykle, zaskakujący. Tak samo jak widok lecącego trzmiela – wbrew zasadom aerodynamiki i w pewnym sensie wbrew naturze.

Przez okno biura przyglądał się kobiecie siedzącej na pomoście. Z tej odległości nie widział szczegółów, ale musiał przyznać Arnufowi rację. Z pewnością była krewną pani Benning. Skąd się tutaj wzięła i dlaczego wcześniej jej nie zauważył?

Powinieneś był się jej przedstawić.

Arnufu z łatwością udzielał podobnych rad, ale dla niego życie

było proste. Tak samo jak śmierć. Póki życie trwa, trzeba uczciwie pracować, troszczyć się o rodzinę i dotrzymywać słowa. A gdy śmierć coś ci odbiera – na przykład żonę po pięćdziesięciu dwóch latach małżeństwa – no cóż, wtedy musisz zacząć wszystko od nowa.

Arnufu często mu powtarzał, że powinien brać od życia to, czego pragnie, zamiast biernie czekać na prezent od losu. Jest tylko jeden powód, dla którego różne rzeczy rozdaje się za darmo: nikt ich nie chce.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Dusty próbował umawiać się z różnymi kobietami, ale całe to przedsięwzięcie wydało mu się przygnębiające. Jego serce było jak odrętwiałe. Najlepiej czuł się w pracy oraz w domu, z Amber. Przynajmniej tak sobie mówił.

– Przedstawić się – mruknął pod nosem, włączając komputer. – Cześć, nazywam się Dusty Matlock i od dwóch lat nie spałem z kobietą.

– Niektórym babkom to by się bardzo spodobało – odezwał się Arnufu, wchodząc do baraku. Trzymał na rękach Amber, która pachniała już dużo ładniej i szarpiąc go lekko za krawat, gaworzyła z wielkim przejęciem.

– Tak? Ciekawe komu?

– Chociażby Bunny Sumner z lotniska. Dała ci cały talerz czekoladowych ciastek, a ty nawet nie zadzwoniłeś, żeby jej podziękować. Albo Serenie Moore ze sklepu spożywczego. Wiesz, tej co ma takie duże... – Wolną ręką zrobił obszerny gest.

– Wiem, co mi chcesz powiedzieć. Powinienem się jej przedstawić.

Arnufu wysoko podniósł Amber, podśpiewując przy tym jakąś hiszpańską piosenkę. Dziewczynka roześmiała się radośnie. Dusty po raz kolejny pomyślał, że ten stary mężczyzna świetnie sobie radzi z jego

córką.

Wrócił do pracy przy komputerze, ale to spostrzeżenie nie dawało mu spokoju. Sam nie bardzo wiedział, jak postępować z dziećmi. Kochał Amber, a więź między nimi była jeszcze silniejsza po tym, co się stało z Karen. Nie znaczyło to jednak, że instynktownie umiał się nią zajmować. Tak naprawdę niezręcznie brał ją na ręce i niezręcznie okazywał czułość. Umiał odczytać wszystkie wskaźniki na desce rozdzielczej, radził sobie z każdą instrukcją obsługi, potrafił odgadnąć, co znaczą nienormalne zmiany pogody. Nie potrzebował ołówka ani kalkulatora, żeby obliczyć czas wznoszenia, schodzenia z wysokości i zużycia paliwa. Ale nie potrafił czytać z twarzy własnej córki.

Arnufu przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Począł, aż drukarka z cichym sykiem wypluje wykres kursu z prognozą pogody.

– Dobra, teraz weź ode mnie książniczkę. – Podał Amber Dusty’emu. – Spakuję twoją torbę.

– Zadzwoń do wieży, żeby mi dali pozwolenie na przelot nad bazą Air Force i będę mógł jechać. – Wyszedł za Arnufem na dwór. Zachodzące słońce pokryło jezioro taflą złota. Widząc, że Arnufu idzie do domu, Amber wydała okrzyk niezadowolenia, ale nie rozpląkała się, co czasem się zdarzało. Jej uwagę przyciągnął biegnący w ich kierunku pies Dusty’ego, Pico de Gallo. Był kompletnie zwariowany, ale Amber go uwielbiała. Rozbawiona wierciła się w objęciach ojca, szturchając go łokciami i kolanami. Pachniała kwiatami, słońcem i ciepłym mlekiem.

Pomachała otwartą dłonią w kierunku jeziora, wydając z siebie gardłowe dźwięki. W znikającym świetle sylwetka kobiety po drugiej stronie przybrała czarny kolor. Kiedy odchyliła lekko głowę, żeby się napić wina, wyglądała jak postać ze starego francuskiego plakatu.

– Dziadek Arnufu uważa, że powinienem się jej przedstawić – zwierzył się Dusty córce.

– Da – odpowiedziała Amber.

– A cóż to znaczy?

– Ba.

– Święta racja.

Fioletowy kolor nieba, na którym pojawiły się pierwsze gwiazdy, powoli przechodził w granat. Bezchmurna noc, idealna do lotu. Nieznajoma z pomostu wstała i poszła do chatki.

No cóż, może po drodze do Huntsville zapyta Iana Benninga, kim jest ta kobieta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Boże! Lila przycisnęła dłonie do umęczonych uszu. Rodzina kretynów! Włączyła stereo tak głośno, jak mogła, ale i tak słyszała przez ścianę wrzaski i śmiechy braci wygłupiających się jak co wieczór. Sądząc z dochodzących dźwięków, dziś urządzili sobie konkurs, kto będzie lepiej naśladował puszczenie bąków. Rzuciwszy się na łóżko, przykryła głowę stosem poduszek i pluszowych zabawek.

Jak można było przewidzieć, z dołu rozległ się okrzyk:

– Bądźcie ciszej!

Żeby wzmocnić siłę przekazu, po każdej sylabie ojciec uderzał pięścią w ścianę. Chłopcy umilkli, ale już po chwili rozległy się szepty, które stopniowo stawały się coraz głośniejsze, coraz częściej przerywał je chichot i trzeszczenie piętrowego łóżka. W końcu, co też było do przewidzenia, bracia zaczęli się śmiać jak szaleni.

– Uspokójcie się, bo zaraz do was przyjdę!

Po tym okrzyku ojca nastąpiła jeszcze krótsza cisza, a po niej jeszcze głośniejszy śmiech. Od początku było wiadomo, że chodzi właśnie o to, żeby oderwać tatę od papierów.

Na schodach rozległy się powolne, złowieszcze kroki.

– Gdzie są te dzieci, które mam zjeść na kolację? – Ian powtarzał zdanie z bajki, którą Lila też pamiętała z dzieciństwa.

Słyszała, jak ojciec z rykiem wpada do pokoju braci, niemal jednocześnie rozległy się piski, krzyki i trzeszczenie łóżka z trudem utrzymującego ciężar skaczących i wierzgających maluchów. Cały ten rytuał kończył się zawsze tak samo – po kilku rundach zapasów chłopcy

wysłuchiwali kolejnego fragmentu ulubionej książeczki Scottiego, tata mówił: „Dobranoc, urwisy” i w końcu zapadała błogosławiona cisza.

Lila wydostała się spod stosu poduszek i czekała. Ojciec zapukał lekko do drzwi.

– Proszę! – zawołała.

Ian wszedł z wahaniem do środka. Od jakiegoś czasu widziała w nim tę niepewność. Chwila milczenia i niepokoju, jakby między nimi unosiło się pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Wobec chłopców nigdy nie był taki nieśmiały, ale do jej pokoju nie wchodził bez pukania. Słabe światło monitora oświetlało wysoką postać. Przyjaciółki często mówiły Lili, że ma przystojnego ojca, ale ona widziała w nim zwykłego tatę, który przez cały tydzień ciężko pracuje, w weekendy łowi ryby w jeziorze i patrzy na nią tak, jakby była przybyszem z kosmosu.

– Cześć, dziecinko.

– Cześć. Gdzie mama?

Zrobił ręką nieokreślony ruch.

– Pomaga mi się spakować. Muszę jechać do Huntsville. – Przeształ z nogi na nogę. W pokoju Lili, obwieszonym zdjęciami zespołów rockowych, pełnym porzrzucanych podręczników, kosmetyków i ubrań czirliderki, nie wiedział ani co ze sobą zrobić, ani w które miejsce patrzeć. Peszył go widok leżącego na wierzchu stanika albo – nie daj Boże! – majtek wiszących na klamce. – Jak ci się podoba ciocia Jessie?

Lila wzruszyła ramionami z wystudiowaną nonszalancją.

– Skąd mogę wiedzieć? Dopiero ją poznałam. – Tak naprawdę była nią zafascynowana. Ciotka, którą znała jedynie z pocztówek

przychodzących z Japonii czy Indonezji, z e-maili wysyłanych na przykład z kafejki internetowej w Katmandu czy telefonów ze świątecznymi życzeniami – Jessie zawsze dzwoniła dzień wcześniej ze względu na różnicę czasu – wydawała jej się nie do końca rzeczywista. Była odległym wyobrażeniem, jak bohaterka książki albo dawno zmarła krewna. Jako żywa osoba okazała się bardzo interesująca i trochę niesamowita. Przypominała młodszą, szczuplejszą, bardziej światową wersję mamy, bez jej min i westchnień wyrażających zmęczenie, zniechęcenie... i ukrytą dezaprobatę czającą się w każdym spojrzeniu.

– Będziecie miały okazję się poznać.

Lila znów wzruszyła ramionami, zdejmując z szortów niewidzialną nitkę.

– Może. – Najwyższy czas, pomyślała. Najwyższy czas, żeby w tej rodzinie wydarzyło się wreszcie coś ciekawego.

– Dobranoc, dziecinko. Zobaczymy się pojutrze. – Ojciec pocałował ją w czubek głowy i wyszedł.

Położyła się, myśląc, że to straszne spotykać się z rodziną człowieka, na którym państwo wykonuje wyrok śmierci. Co ojciec im wtedy mówi? Co sam czuje?

Na ogół dzieci prawników mogły uważać się za szczęściarzy. Ich ojcowie jeździli bmw, zarabiali kupę kasy, latali do Aspen i King Ranch wynajętymi samolotami. Ale nie Ian. Lila była już na tyle duża, żeby rozumieć, jak ważna jest jego praca, ale chciała, by miał z niej coś więcej niż satysfakcję, pochlebne artykuły w gazetach i wywiady w telewizji.

Po kilku minutach pojawiła się mama z naręczem upranych i poskładanych ubrań.

– Cześć, kotku.

– Cześć. – Obie wiedziały, że do kotka było jej daleko. I to od dawna.

– Postaraj się je pochować...

– Zanim wyjdą z mody – dokończyła Lila, biorąc ubrania i kładąc je na skraju łóżka. Leżała już tam kupka z wczorajszego dnia. – Dobrze.

Luz spojrzała wymownie na ubrania, ale nic nie powiedziała. Nie musiała. Lila i tak zauważyła wyrzut.

Uznała, że najlepiej będzie udawać obojętność.

– Jak się umówiłaś z Jessie?

Zauważyła też, że mama wygląda na roztargnioną, a nawet zdenerwowaną, chociaż nigdy nie widziała, żeby zachowywała się nerwowo. Zawsze była stanowcza i pewna siebie.

– Nie wiem jeszcze, jakie ma plany. Zdaje się, że będzie robić zdjęcia dla jakiegoś pisma. – Luz odgarnęła za ucho kosmyk włosów. Wyglądała na zmęczoną i udęconą. Jak zawsze. Co bardzo Lilę irytowało. Zresztą ostatnio irytowało ją w niej wszystko. To, że zawsze nosiła wytarte szorty i koszulki z reklamowymi nadrukami, że nigdy nie używała szminki, że wiązała włosy w niedbały koński ogon, że na śniadanie dojadła kanapki z masłem orzechowym po Scottiem i nigdy nie zrobiła czegoś specjalnie dla siebie, że siedząc z Lilą przed telewizorem i udając, że ogląda z nią MTV, czytała te swoje przewodniki po Prowansji czy Tybecie, a malujące się na jej twarzy rozmarzenie zniknęło tylko wtedy, gdy w kolejnym odcinku „Prawdziwego świata” pojawiała się jakaś erotyczna scena. Wówczas robiła oburzoną minę. Mama nie była fajna i doskonale o tym wiedziała. A najgorsze, że w ogóle jej to nie przeszkadzało.

– Co o niej myślisz? – spytała Luz.

– Przed chwilą tata pytał mnie o to samo.

– I?

– Chyba jest w porządku. Jezu, przecież tylko zjedliśmy razem kolację. Mam ją od razu kochać tylko dlatego, że jesteśmy rodziną?

Luz spojrzała na córkę zaskoczona. Przez chwilę nawet ładnie wyglądała.

– Nie wiem, co masz czuć. Po prostu byłam ciekawa.

– Nieważne.

Luz zawahała się przez moment, a potem pochyliła się i pocałowała Lilę. Pachniała jak wszystkie matki – kuchnią, szamponem i tanim dezodorantem z supermarketu.

– Pamiętaj o lekcjach.

– Jasne. – Lila wiedziała, że dziś nie zajrzy nawet do hiszpańskiego czy matematyki.

Na dzisiejszy wieczór miała zupełnie inne plany. Na szczęście nie musiała już długo czekać. Za godzinę tata jedzie do Huntsville, a gdy taty nie było w domu na noc, mama wcześniej chodziła do łóżka i szybko zasypiała przy lekturze pism o podróżach czy urządzaniu domów. Dzięki Bogu, dziś nie będzie tego szurania, skrzypienia łóżka i stłumionych chichotów uciszających się nawzajem rodziców. To była dla Lili prawdziwa tortura.

Dziś słyszała jedynie, jak rozmawiają półgłosem przy pakowaniu

torby. Pewnie mówili o Jessie, o człowieku w celi śmierci, a może o tym, że tata nie zdąży na jutrzejsze spotkanie ze szkolnym pedagogiem. Z tego akurat była zadowolona. Wszyscy usiłowali zrozumieć jej „problemy”, pracowali nad motywacją i poczuciem własnej wartości, tak jakby miała od tego stać się wzorową uczennicą.

Jasne, mammo.

Po jakimś czasie usłyszała, jak samochód taty odjeżdża spod domu, światła zgasły i zapadła cisza.

Poderwało ją ciche stuknięcie. Z bijącym sercem podbiegła do okna. Rzucanie kamieniem w szybę było starą sztuczką, ale zadziało. Trzy razy zamrugła światłem, dając znak, że już idzie.

Lila doskonale pamiętała drogę po schodach. Wiedziała, które stopnie trzeszczą i które należy ominąć. Wymknęła się kuchennymi drzwiami, przeszła przez pomost i w końcu go zobaczyła.

Heath Walker. Tylko dzięki niemu jej życie miało sens.

Wyglądał jak młody bóg. Jedną rękę miał opartą na biodrze, drugą podawał Bobrowi kawał wołowiny, żeby głupi pies nie zaczął szczekać.

Lila przypadła do Heatha, otoczyły ją jego mocne ramiona. Pocałowali się gwałtownie i namiętnie. Heath przygotował się już na imprezę. Wyczuła w jego ustach smak wykradzonych papierosów i piwa.

– Chodźmy! – szepnęła, chwytając go za rękę.

Heath rzucił psu resztkę mięsa i zanurzyli się w cieniu lasu. Musieli dojść do samochodu, który został po drugiej stronie działki. Heath bardzo uważał, żeby nikt nie usłyszał silnika ani nie zobaczył reflektorów.

– O cholera! – Lila zatrzymała się gwałtownie.

– Co się stało?

– Mamy towarzystwo. W chatce nocuje moja ciotka. Cholera!

– Może nic nie usłyszała.

Skradali się po ścieżce w milczeniu. Lila nawet wstrzymała oddech, żeby nie przyciągnąć pecha. Problem był dość poważny. Żeby dotrzeć do miejsca, w którym Heath zaparkował swojego dżipa, musieli przejść obok chatki. Jeśli będą wystarczająco cicho, jeśli będą mieli szczęście, to Jessie ich nie zauważy. W przeciwnym razie będą musieli wymyślić jakąś historyjkę o pożyczaniu książki czy zeszytu.

W chatce paliło się jedno światło, w oknie sypialni. Błagam, błagam, błagam, powtarzała bezgłośnie Lila.

Niestety, gdy tylko wyłonili się z cienia drzew, zauważyli, że Jessie stoi w drzwiach i patrzy w ich stronę.

– Lila, to ty? – zawołała.

Puściła rękę Heatha.

– Tylko spokojnie – powiedziała cicho, po czym przykleiła do twarzy przymilny, szkolny uśmiech, mimo że Jessie nie przypominała żadnej znanej jej nauczycielki. Lila wiedziała, że umie udawać. Dzięki tej umiejętności nie została wyrzucona ze szkoły ani przyłapaną na kradzieżach w sklepach. Jednak Jessie była fotografką, tak jak mama. Czy fotograf widzi to, czego inni ludzie nie widzą? – pomyślała z niepokojem.

– To ja, ciociu!

– Podejdz bliżej do światła, bo cię nie widzę.

Lila ruszyła do przodu, dając Heathowi znak, żeby szedł za nią. Zauważyła, że ciotka ma na sobie jedwabne szorty w gwiazdy i księżyce oraz koszulkę na cienkich ramiączkach. Sama też mogłaby się tak ubrać.

– To mój kolega Heath. Przyszedł pożyczyć książkę do chemii.

– Cześć, Heath. Miło cię poznać. – Wyciągnęła rękę, ale przez ułamek sekundy skierowała ją w niewłaściwą stronę. Uśmiechnęła się czarująco. Miała dziwny akcent, który pasował do jej niezwyklej postaci.

– Dobry wieczór. – W obecności dorosłych Heath umiał zaprezentować nienaganne maniery. W ogóle nie było po nim widać zdenerwowania.

– Musisz być pilnym uczniem, skoro przychodzisz po książkę o tej porze – zauważyła Jessie z lekkim przekąsem.

– Oj, ciociu! – Lila posłała jej niewinny uśmiech. – Przejdziemy się tylko kawałek nad jezioro, naprawdę. – Starła się, żeby prośba dźwięcząca w jej głosie nie była zbyt natarczywa. Musi się udać, musi! Jeśli Jessie jej nie uwierzy, Heath ją rzuci. A przecież jest kapitanem szkolnej drużyny futbolu! Mógłby mieć każdą dziewczynę. Co mu po takiej, która nie potrafi się wymknąć wieczorem z domu.

Jessie zawahała się, próbując ocenić sytuację.

– Nie robimy nic złego, przysięgam – zapewniła ją Lila.

Jessie dotknęła palcem dolnej wargi.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Zgadzam się. Nie chcę

zaczynać naszej relacji od konfliktu.

Dziwne sformułowanie: zaczynać naszą relację. Jakby to był jakiś początek. Ale Lila nie miała czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Najważniejsze, że odniosła zwycięstwo. Uśmiechnęła się i pod wpływem impulsu rzuciła się ciotce na szyję.

– Dziękuję – powiedziała. – Jesteś wspaniała.

Jessie wyglądała na zaskoczoną taką serdecznością, ale odpowiedziała mocnym uściskiem.

– Tylko żebyś nie narozrabiała. I pamiętaj, jeśli mama będzie o coś pytać, to nie zamierzam cię kryć.

– Nie będzie takiej potrzeby. Nie będziemy rozrabiać, prawda, Heath?

– Jasne. Miło było panią poznać. – Uśmiechnął się tym swoim ujmującym uśmiechem, od którego Lila dostawała przyspieszonego bicia serca. Ciocia Jessie też chyba była pod wrażeniem. Patrzyła na nich z łagodnym, przyjaznym wyrazem twarzy, a nie podejrzliwie jak mama. Lila wzięła Heatha za rękę, czując dumę i zadowolenie. Taką chwilę chciałyby zachować na zawsze.

Zeszli w kierunku jeziora, a potem poszli okrężną drogą do miejsca, w którym stał dżip Heatha.

– Niewiele brakowało! – zawołała Lila z ulgą, siadając na fotelu pasażera.

– To prawda. – Przechylił się znad kierownicy i znów ją pocałował. Ale tym razem przesunął dłoń na jej biust.

Poczuła, jak przez jej ciało płynie gorący prąd. Mimo to odsunęła

się od Heatha. Od jakiegoś czasu nalegał, żeby zgodziła się na seks. Na razie odmawiała, ale wiedziała doskonale, że niedługo ulegnie. We właściwym czasie i we właściwym miejscu. Będzie cudownie.

– Pewnie wszyscy już na nas czekają – powiedziała. – Lepiej jedźmy.

– Jak chcesz. – Heath włączył silnik i ruszył. Wyjechali na drogę obok pękniętej skały.

Lila pokręciła gałką radia. Dudniący rytm wypełnił wnętrze samochodu. Po przejechaniu niewielkiej odległości zabrali z drogi czwórkę pasażerów: Trávisa Bridgera z jego młodszym bratem Digiem oraz dwie najbliższe przyjaciółki Lili, Kathy Beemer i Sierę Jeffries. Travis miał siedemnaście lat i wyglądał na tyle poważnie, że w najbliższym miasteczku udało mu się kupić piwo.

– Oto nektar bogów – powiedział, podając każdemu zimną, oszronioną puszkę.

Lila odwróciła się do tyłu na swoim siedzeniu.

– Na zdrowie. – Trąciła się z pozostałymi i nie odrywając ust, wypila niemal jedną trzecią zawartości. Tak naprawdę nie za bardzo lubiła ten gorzki smak, ale drugie piwo poszło już całkiem łatwo. W całym ciele czuła miły chłód, wszystkie kontury dookoła nieco się rozmyły, usta układały się w uśmiech bez żadnego powodu.

– Zrób sobie podwójną przyjemność. – Heath podał jej skręta. Zapaliła go, wciągnęła dym i wstrzymała oddech. Walcząc z odruchem kaszlu, podała skręta dalej. Roześmiała się radośnie, patrząc na przyjaciół. Kathy siedziała u Diga na kolanach, bo brakowało jednego pasa. Otworzyła trzecie piwo, żeby uczcić tę chwilę. Ogarnęła ją niesamowita radość. Oto ma Heatha oraz czwórkę wspaniałych przyjaciół, którzy rozumieją ją bez słów, którzy ją lubią, mimo że matka

jest taka beznadziejna, mimo że z ojcem już dawno straciła kontakt, a bracia doprowadzają ją do szaleństwa. Czasem Lili wydawało się, że pojawili się w jej życiu tylko po to, żeby przypominać, że codziennie można się bawić.

Reflektory dżipa rzucały na pustą drogę długie smugi światła, omiatające dęby, jadłoszyny i przekradające się w zaroślach zwierzęta. Miała wrażenie, że samochód płynie na fali piwa, marihuany i śmiechu. A kiedy Heath dotknął dłonią jej policzka, omal nie krzyknęła z radości.

– Dokąd teraz, szefie? – spytał Dig przerywanym głosem, zaciągając się marihuaną.

– Seven Hills! – pisnęła Lila.

– Seven Hills! – poparła ją Kathy.

Heath uśmiechnął się, nie spuszczać oczu z drogi.

– Już się robi. – Otworzył kolejne piwo, pociągnął potężny łyk i wstawił puszkę do uchwytu na napoje.

Lila poczuła dreszcz podniecenia. Uwielbiała to miejsce. Wszyscy tam jeździli na samochodowe skoki. A Heath miał do tego najlepsze auto. Jego ojciec był bardzo nadziany i po rozwodzie dawał synowi wszystko, włącznie z najnowszym modelem dżipa, idealnym do jazdy w terenie.

Samochodowe skoki stały się tak popularnym sportem wśród nastolatków, że w szkole zorganizowano specjalny apel poświęcony kwestiom bezpieczeństwa. Na podium stał dyrektor w towarzystwie policjanta w słonecznych okularach. Nie zrażając się chichotami i głupimi pytaniami, tłumaczyli, dlaczego jeżdżenie z dużą prędkością po stromych górskich drogach jest niebezpieczne, zwłaszcza po piwie i marihuanie. Ale ci sztywni dorośli w ogóle niczego nie rozumieli. Nie

chodziło o niebezpieczeństwo i bunt. Chodziło o latanie.

– Załoga gotowa? – rzucił Heath, kiedy dojeżdżali do mocno pofalowanego fragmentu drogi rozciągniętego na siedmiu pagórkach w pobliżu porzuconego kamieniołomu. Miejsce to stało się w ostatnim czasie bardzo popularne, wieść o nim rozniosła się szybko wśród okolicznych nastolatków. Kilka innych terenówek wyskakiwało na wzgórzach ponad drogą. Zauważyła poobijanego forda bronco Judda Masonsa. Mnóstwo ludzi miało takie pikapy, ale ten samochód rozpoznała natychmiast po pomarańczowych płomieniach wymalowanych na drzwiach. A okrzyki, które dochodziły zza otwartych okien, z całą pewnością wydobywały się z gardła Leifa Ripleya.

Heath sprawdził zapięcie pasa. Na tylnym siedzeniu były tylko trzy miejsca, więc kazał Digowi oddać swój pas Kathy.

– Zaprzyjcie się rękami o sufit. Tylko mocno! Lila, kochanie, ty też.

Spojrzała na niego z uwielbieniem, przechyliła się i pocałowała go w policzek. Heath jeździł bezpiecznie. Ale bezpiecznie nie musi znaczyć nudno, co za chwilę miał udowodnić. Zwiększył obroty silnika, mrugnął światłami, by pokazać innym, że jest gotowy do startu, i wcisnął pedał gazu.

– Jeeee! – wrzasnął Dig z tylnego siedzenia. – Pokaż im, stary!

Dżip pędził w górę, ku niebu, niczym pocisk. Doskonały start. Sierra i Kathy zaczęły krzyczeć, ale Lila nie wydała z siebie głosu, zachwycona zapierającą dech prędkością. Z całych sił przycisnęła dłonie do sufitu.

I wreszcie na samym szczycie wzgórza, tam gdzie droga opadała w dół, dżip wystrzelił w powietrze. Przednia szyba zamieniła się w idealną ramę dla bezkresnego nocnego nieba. Taki sam widok musiał

być z pokładu statku kosmicznego Enterprise. Na chwilę wszystko zwolniło – czas, oddech, bicie serca – umilkły nawet piski z tylnego siedzenia, ustępując miejsca pełnej zachwyty ciszy.

Potem nastąpiło nieuniknione lądowanie. Heath poradził sobie z tym doskonale, niczym profesjonalny kaskader w filmie z Vinem Dieselem. Urządzili mu entuzjastyczną owację, po czym ten idiota Dig otworzył puszkę z piwem. Wstrząśnięty napój rozprysnął się po całym wnętrzu.

– Dobra robota, stary! – Travis walnął brata w plecy.

– Boli mnie kark – jęknęła Kathy. – Dupa wyskoczyła mi chyba na metr w górę.

Heath roześmiał się, po czym ruszył na wzgórze numer dwa.

– Uwaga, wchodzimy w nadprzestrzeń – obwieścił niskim głosem telewizyjnego prezentera i z całych sił docisnął pedał gazu. Tylne koła buksowały przez moment, w powietrzu uniósł się zapach palonej gumy i niemal jednocześnie dżip z rykiem skoczył do przodu. Pokonali wzniesienie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę i na szczycie wylecieli w górę. Gdy opadli na ziemię, samochód podskoczył jeszcze kilka razy, kołysząc się mocno i wyrzucając spod siebie snopy iskier. Lila poczuła dreszcz niczym na pokazie fajerwerków, mimo że z całych sił uderzyła ramieniem o drzwi. Co tam siniaki! – pomyślała, wydając okrzyk radości. Na tym polega piękno życia, zamierzała je zagarniać obiema rękami.

Najbardziej lubiła następne wzgórze, długi, ostry podjazd, a potem lądowanie na stromym zboczu.

– Jeszcze raz – powiedziała prosząco. – Jeszcze raz.

Heath zwiększył obroty silnika.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

Lila poczuła dumę. Powiedziała coś, co zasłużyło na aprobatę takiego fantastycznego chłopaka.

– Super! – wrzasnął Dig.

– Jest mi niedobrze – mruknęła Sierra. – Przygryzłam sobie wargę, leci mi krew.

– Następnym razem nie otwieraj ust przy skoku – poradził Travis, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

– Dawaj, Heath! Pokaż, co umiesz! – entuzjasmował się Dig.

Dżip pomknął do przodu. Lila miała wrażenie, że jej żołądek zostaje z tyłu niczym piórko na wietrze. Gdy pędzili pod górę, otworzyło się nad nimi czarne, bezkresne niebo. Lila odbierała wszystko ze zwiększoną wrażliwością – ostry zapach palonej gumy, śmiech przyjaciół, dudniący rytm muzyki z radia i uderzenie krwi w uszach, gdy cztery koła dżipa oderwały się od nawierzchni.

Jeszcze nigdy nie znaleźli się tak wysoko. Zauważyła to od razu. Wiedziała, że ten wyskok jest inny, kiedy Dig uderzył pięściami w kolana, krzycząc „Suuuupeeeeer!”. I kiedy Kathy szepnęła „Boję się”, a ona zobaczyła, że niebo zaczyna wirować. I kiedy Heath zacisnął dłonie na kierownicy, mrużąc „O cholera”.

Coś poszło nie tak. Ta myśl przebiegła przez wszystkich niczym prąd elektryczny. Lila otworzyła usta, ale nie wiedziała, czy wydobywa się z nich jakiś dźwięk. Machnęła bezwładnie rękami i chwyciła się poręczy fotela. Czyjś – wszystkich? – krzyk wypełnił wnętrze samochodu, noc, cały świat, cały wszechświat.

Czas niemal się zatrzymał. Auto płynęło w powietrzu, podtrzymywane jedynie siłą przerażenia i modlitw pamiętanych ze szkółki niedzielnej. Drogi pod nimi nie było.

Koniec nastąpił w ułamku sekundy. Musieli wyskoczyć pod niewłaściwym kątem i dlatego nie mogli już wylądować na drodze. Dżip runął na ziemię i skręcił gwałtownie, przednia szyba wyskoczyła niczym soczewka kontaktowa. Auto podskoczyło, a potem przewróciło się na dach. Było prawie tak samo jak wtedy, gdy pływały kajakami po rzece Guadalupe, kajak wywrócił się i Lila zawisła z głową w wodzie. Prawie utonęła, w ostatniej chwili mama wyciągnęła ją za kark na powierzchnię.

Ale teraz nie było nikogo, kto by ją mógł uratować. Zalewał ją niewyobrażalny ból, dżip przewracał się jeszcze wiele razy, wyrzucając w powietrze kamienie i kłęby kurzu. Słyszała płacz, pisk, krzyki „Boże!” i „Cholera!”, słyszała głos Heatha, Kathy, która tak się bała, i Diga, któremu wydawało się, że życie jest jedną wielką zabawą. Ktoś wypadł z samochodu, nie wiedziała, kto to był, i podskakując jak piłka zniknął w ciemnościach. Zanim dżip znieruchomiał wreszcie niczym umierający dinozaur, przeleciało jej przez głowę całe życie. Ból, strach i modlitwy pulsowały w niej w rytm muzyki. Radio grało nadal, jakby nic się nie stało.

Piosenka skończyła się, prezenter zapowiedział prognozę pogody o pełnej godzinie. Która to godzina? – zastanawiała się przez moment Lila. Różne myśli zbliżały się do niej i odpływały niczym kolorowe rybki w akwarium. Dobiegł ją płacz, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. Wysoki, zawodzący jęk, wręcz nieludzki. Głos stworzenia owładniętego niewyobrażalnym cierpieniem i błagającego o pomoc. Miała w oczach pełno piasku, potłuczonego szkła i krwi.

Z radia dochodziły do niej strzępy zdań z reklamy piwa. „Wypijmy z przyjaciółmi... Życie jest lepsze...”. Czowała zapach moczu i kału. W pewnym sensie miała nadzieję, że to jej kał i mocz, bo to by

znaczyło, że jeszcze żyje.

„Kiedy usiądziesz za kierownicą forda lonestar...”.

Poruszyć się, musi się poruszyć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zwisa do góry nogami przytrzymywana przez wżynający się w ciało pas. Odwróciła głowę, ból palił ją żywym ogniem. Przez pokrytą siatką pęknięć boczną szybę przenikało do środka mlecznobiałe światło księżycy. Szeroko otwarty schowek na rękawiczki zdążył już z siebie wypuścić wszystkie rzeczy, w środku paliła się jedynie mała lampka.

Heath. Nie widziała jego twarzy odwróconej w drugą stronę. Jedno ramię miał przyciśnięte do kierownicy. Jego miękkie, jasne włosy przypominały płynne złoto. Na zwisającej bezwładnie dłoni zobaczyła ciemne plamy. Krew.

Lila zamknęła oczy. Dlaczego dokuczałam Scottiemu? Dlaczego byłam niedobra dla taty? Dlaczego nie sprzątałam w swoim pokoju? Boże, proszę, zmienię się, będę grzeczna, tylko błagam, zrób coś, żeby to nie była prawda.

– Boję się. – Gdzieś z wnętrza samochodu rozległ się cichy szept.

Silnik cały czas pracował, Lila czuła zapach spalin i benzyny. Usłyszała grzechocący dźwięk. To jej zęby uderzały o siebie. Mimo strasznego bólu odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje na tylnym siedzeniu. Spod przymrużonych powiek dostrzegła Kathy, która patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i powtarzała w kółko:

– Boję się, boję się, boję się...

Ktoś inny też się odezwał. Nie umiała rozpoznać głosu układającego się w monotony zaśpiew:

– Boże... Boże... Boże.... – Urywane błaganie kogoś, kto już

dawno zapomniał słów modlitwy.

Słyszając wyraźne kapanie, odwróciła się mocniej, pokonując ból ramienia. Na tylnym siedzeniu kłębiły się ręce, nogi, zgniecione puszki po piwie, pomięte ubrania, wszystko pokryte ciemnymi, śliskimi plamami wilgoci. Tylko jedną twarz widziała wyraźnie. Dig jako jedyny nie miał pasa. Jego twarz jaśniała niczym księżyc – blady, odległy i tajemniczy. Miał zamknięte oczy. Z kącika ust sączyła się czarna, lepka strużka, druga wypływała z ucha.

Znów usłyszała terkotanie w głowie, tym razem szybsze i głośniejsze. Spomiędzy drżących szczęk wydostał się dźwięk, który w ogarniającym ją bólu i przerażeniu ułożył się w jedyne słowo, które miało sens, w jedyną dostępną myśl:

– Mamusiu...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zanim jeszcze Luz podniosła słuchawkę, wiedziała. Takiego telefonu boi się każda matka, wyczekuje na niego z lękiem znanym jedynie tym, których całym światem jest miłość dla innych. Ten dzwonek mógł oznaczać tylko jedno: oto kiedy spała, jej życie wywróciło się do góry nogami.

Obudziła się natychmiast i podniosła słuchawkę przy drugim dzwonku. W ułamku sekundy adrenalina wymiotła z niej całe zmęczenie. Przed oczami miała całą galerię możliwych tragedii. Samolot, którym leciał Ian, rozbił się. Mama miała atak serca. Jessie... Tak, to do niej. Na pewno Simon dzwoni, żeby błagać o przebaczenie, nie mając pojęcia, która godzina jest teraz w Ameryce. Na szczęście to był zwykły dzień i dzieci spały bezpiecznie w łóżkach.

Zerknęła na zegar. Czerwone cyfry pokazywały pierwszą trzydzieści sześć.

– Słucham?

– Czy rozmawiam z matką Lili Benning?

Wszystko w niej w środku zlodowaciało.

– Tak – odpowiedziała spokojnym na pozór głosem. – Lucinda Benning przy telefonie. – Nienawidziła swojego pełnego imienia i prawie nigdy go nie używała, ale też rzadko odbierała telefony w środku nocy.

– Moje nazwisko Peggy Moran, jestem pielęgniarką w szpitalu Hillcrest. Pani córka została przywieziona...

– Moja córka śpi w swoim pokoju.

– ...oddział urazowy na poziomie drugim...

Luz poderwała się z łóżka, nerwowymi ruchami zakładała na siebie jakieś ubranie, brodą przyciskając telefon do ramienia.

– Nic nie rozumiem, przecież Lila śpi.

– Proszę pani, zdarzył się wypadek samochodowy z udziałem grupy nastolatków...

– Grupy... Nie, to musi być jakieś nieporozumienie. – Uczucie ulgi odurzyło ją jak narkotyki. – Jest powszedni dzień, moja córka jest w domu. – Ściskając w dłoni telefon, zajrzała do pokoju Lili, tak na wszelki wypadek. Przecież to nieporozumienie. Nic się nie stało, Lila śpi w swoim łóżku, a to wszystko to jakiś straszny koszmar. Ale nie. W pokoju panował bałagan, a w środku nie było nikogo.

– Pani córka jest u nas w szpitalu. Zidentyfikowaliśmy ją na podstawie tymczasowego prawa jazdy, które miała w kieszeni.

Całe opanowanie uszło z niej niczym powietrze z przekłutego balonu. Luz chwyciła wiszącą na klamce torebkę.

– Czy jest przytomna? Mogę z nią porozmawiać?

– Jest teraz na radiologii.

– Czy... – Luz była tak przerażona, że nie mogła wydobyć z siebie tych słów. – Już jadę. Ale mam do was ponad sześćdziesiąt kilometrów. Czy potrzebujecie mojej zgody na zabieg albo... – Umilkła, opierając się o poręcz schodów. Nie mogła uwierzyć, że to mówi.

– Za wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić. – Pielęgniarka nie mogła już jej udzielić żadnych informacji, więc Luz się rozłączyła.

Musi tam jechać. I to natychmiast.

Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma telefonu komórkowego. Ian używał służbowego, ale jej nigdy nie podobała się taka elektroniczna pępowina. Teraz jednak oddałaby wszystko za komórkę. Mogłaby wyjechać natychmiast i po drodze opowiedzieć Ianowi, co się stało. A tak bezradnie przemierzała pokój, próbując dodzwonić się do Huntsville Tourist Lodge, gdzie zwykle zatrzymywał się na noc, próbując do ostatniej chwili ocalić życie któregoś ze swoich klientów.

Żony innych prawników powtarzały jej od lat, że nie dzwoni się w środku nocy do męża, który wyjechał w delegację. Adwokaci osób skazanych na śmierć mieli wokół siebie wiele stażystek gotowych na każde zawołanie. A już na pewno adwokaci o takim wyglądzie jak Ian. Stażystki były na ogół młode, pracowite, pełne ideałów i... napalone. Wszystkie te myśli przebiegały jej przez głowę, gdy czekała, aż recepcjonistka w hotelu odbierze telefon, a potem połączy ją z pokojem Iana.

– Przykro mi, proszę pani, ale nikt nie odbiera. Chce pani zostawić wiadomość?

Wpuszczając psa do domu, powiedziała w krótkich słowach, co się stało. Rozłączyła się i spróbowała połączyć się z Ianem przez pager. A potem przez komórkę. Też nie odbierał, więc zostawiła wiadomość na poczcie głosowej. Do cholery, Ian! Gdzie jesteś!

Odsuwała od siebie wszystkie myśli oprócz jednej: musi natychmiast jechać do Lili. Weszła na górę, zatrzymała się przy drzwiach pokoju synów i uchyliła je lekko. Spali głęboko. Słyszała spokojne oddechy, czuła zapach pogrążonych we śnie ciał.

Jessie. Dzięki Bogu, że przyjechała. Zajmie się chłopcami. Tylko

czy siostra ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak się wyprawia dzieci do szkoły? Nie miała wyjścia, musiała zdać się na nią. Zresztą chłopcy byli już dość samodzielni.

Luz wyszła na dwór, wrzuciła ogromną torbę do samochodu i włączyła silnik. Zostawiła samochód na jałowym biegu i szybkim krokiem ruszyła do chatki Jessie, potykając się kilka razy w ciemnościach.

– Jessie! – Zapukała do drzwi. – Obudź się! – Otworzyła drzwi i weszła do środka. Jessie wychodziła właśnie z sypialni, mrugając zaspanymi oczami. – Przepraszam cię, ale zdarzył się wypadek.

– Jaki wypadek? – W głosie Jessie dźwięczał niepokój.

– Samochodowy. Lila jest w szpitalu. Muszę tam natychmiast jechać.

Jessie zbladła.

– Lila?

– Dzwonili ze szpitala Hillcrest. Zostawiłam już wiadomość Ianowi.

– Jezu, to niemożliwe! Wypadek? Przecież ona... – Głos jej się załamał, oparła się o framugę.

– Jess, posłuchaj. Chłopcy śpią. Psa wpuściłam do środka. Mogłabyś z nimi posiedzieć? – Luz zauważyła, że myśli wymykają się jej spod kontroli. Nie mogła się skupić. – Gdybym nie wracała, musisz ich obudzić koło siódmej i dać im śniadanie. Owen i Wyatt mają szkolny autobus o siódmej czterdzieści pięć. Mogłabyś...

– Jedź już, na miłość boską! – Jessie przerwała siostrze

z niespotykaną u niej stanowczością. – Zadzwoń, gdy tylko będziesz coś wiedziała. – Uścisnęła Luz i popchnęła ją delikatnie w kierunku drzwi. – Wszystkim się zajmę.

Luz jechała dużo szybciej, niż pozwalały na to przepisy. Prowadziła samochód z lodowatym opanowaniem. Nie czuła właściwie nic. Od czasu do czasu gdzieś z boku migwały żółte oczy nocnych zwierząt. Nie zwalniała jednak, wiedząc, że gdyby na drodze pojawił się jeleń czy pancernik, to i tak nie będzie ich omijać. Miała wrażenie, że jej umysł pracuje jak po dawce nowokainy, a przerażenie poczuje dopiero wtedy, gdy to naturalne znieczulenie przestanie działać.

Przed szpitalem zaparkowała w miejscu oznaczonym tabliczką „Dla gości”. A kogo się spodziewali w szpitalu? Stałych mieszkańców? Pobiegła w kierunku głównego wejścia, osłoniętego wielkim baldachimem, przez który szpital wyglądał jak pięciogwiazdkowy hotel.

Minęła automatycznie otwierane drzwi i weszła do półkolistego holu, w którym kłębił się tłum ludzi – policjanci z drogówki, ratownicy medyczni, lekarze i pielęgniarki. Jakieś kobiety łkały w ramionach mężów, starsi ludzie poklepywali dłonie młodszych, dzieci w piżamach kręciły się w kółko zdezorientowane. Nie wszyscy zdążyli się nawet do końca ubrać i uczesać.

Przepychając się w kierunku recepcji, zauważyła rodziców Kathy oraz matkę i ojczyma Heatha Walkera. Nie pamiętała ich imion. Jak to się stało, że nie znała już rodziców przyjaciół Lili? Kiedyś ona i inne matki chodziły z dziećmi nad jezioro, a w niedzielne popołudnia zapraszali do siebie całe rodziny na mecze siatkówki czy piłki nożnej. Rodzice ustawiali się przy liniach bocznych i dopingowali swoje pociechy. Ale dzieci zaczęły dorastać, rodzice powoli tracili ze sobą kontakt. Nie potrzebowali już siebie tak jak dawniej, znajomość ograniczała się do uprzejmych powitań w kościele albo na zebraniach komitetu rodzicielskiego.

Przechyliła się przez ladę, na której leżały karty pacjentów i inne dokumenty, a w małych pudełkach stały tanie, plastikowe długopisy.

– Lila Jane Benning. Jestem jej matką.

– Chwileczkę. – Recepcjonistka nacisnęła kilka klawiszy komputera. – Tak, przeniesiono ją już z oddziału reanimacyjnego. Jest w sali numer cztery. Stan stabilny. Może pani do niej iść. Zaraz poproszę sanitariusza, żeby panią zaprowadził...

Luz nie czekała na sanitariusza. Minęła salę z napisem „Oddział urazowy”. Szybkie spojrzenie wystarczyło, by zobaczyła lekarzy i pielęgniarki ściśniętych wokół szpitalnego wózka. Mieli na sobie poplamione krwią fartuchy, na podłodze leżały zakrwawione opatrunki. Strzałka przy bocznym korytarzu pokazywała drogę na oddział reanimacyjny. Idąc dalej, znalazła podłużną salę ze ścianami ze zbrojonego szkła. Stały tam cztery łóżka otoczone małymi stolikami na kółkach zastawionymi różnymi przyrządami. Ze stojaków na kroplówki zwieszały się plastikowe pojemniki z tajemniczymi eliksirami, pikające monitory rejestrowały różne funkcje ciała. Od razu zauważyła córkę leżącą nieruchomo na plecach i przykrytą białymi prześcieradłami. Wystawała spod nich jedynie szczupła dłoń, do dwóch placów przymocowane były plastrem przewody prowadzące do monitora. Lila miała zamknięte oczy i bladą twarz, na szczęście bez żadnych obrażeń. Nos i usta przykrywała maska tlenowa.

Luz stanęła przy łóżku.

– Lila. – Cała trzęsła się w środku, nie mogła ustać na nogach. Uspokoiła się, gdy przypomniała sobie słowa pielęgniarki, że stan córki jest stabilny. – Skarbie, jestem przy tobie.

Przez moment poczuła się jak po narodzinach Lili. Drobne ciało leżało w inkubatorze, zbyt kruche, żeby można je było wziąć na ręce. Luz przypomniała sobie, jak obejmowała przezroczystą kopułę, modląc

się i powtarzając: „Żyj, proszę cię, żyj...”.

Opanowała się siłą woli i wzięła córkę za rękę. Wtedy małe rączki Lili były oplecione siecią przewodów, a skóra tak przezroczysta, że widać było wszystkie żyły. Czasami Luz miała wrażenie, że dostrzega krew płynącą w delikatnych naczyniach.

Stan jest stabilny. Nie wiedziała dobrze, co to może znaczyć. Instynktownie pogłaskała córkę po głowie. Wyczuła we włosach piasek i jakieś odłamki. Lila śmierdziała wymiocinami, krwią i benzyną. Jej dbająca o wygląd dziewczynka, która potrafiła pojechać do drogerii specjalnie po waniliowy dezodorant i antybakteryjny żel

pod prysznic.

– Lila, słyszysz mnie?

– Mama. – Jej szept był cichy, delikatny i słodki jak śpiew ptaka.

Luz zeszywniała, znów czując drżenie całego ciała, ale tym razem z powodu ulgi.

– Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie.

Lila nie otwierała oczu. Leżała bez ruchu, ale wydawało się, że gdzieś odpływa.

– Pani Benning, prawda? – Przy łóżku stanął mężczyzna o śniadej cerze. Miał na sobie idealnie czysty fartuch chirurgiczny, wystająca z kieszeni plakietka mówiła, że nazywa się Roland Martinez. – Taki kolor włosów musi być dziedziczny.

Zajrzał do karty i Luz poczuła panikę. Boże! A jeśli zrobili jakieś badania, z których wynikało, że Lila nie jest jej biologiczną córką? Przecież teraz nie będzie jej wszystkiego tłumaczyć.

– Jak to się stało? – spytała.

– Wypadek samochodowy z udziałem sześciorga nastolatków. Lila miała niebywałe szczęście. Niebywałe – powtórzył. – Miała zapięty pas i odniosła jedynie niewielkie obrażenia. – Wziął do ręki wiszącą na łóżku kartę i zaczął czytać. – Przyjął ją doktor Raman z oddziału urazowego. Zbadano ją wstępnie, a potem wysłano na zdjęcia rentgenowskie i na tomografię. Nie ma żadnych objawów urazów wewnętrznych ani żadnych złamań. – Wskazał dłonią na klisze wiszące na podświetlanych szybach. – Ma niewielką ranę na nodze, siniaki na ramieniu, tam gdzie był pas, oraz kilka niegroźnych zadrapań. Będziecie musiały pójść na wizytę kontrolną do lekarza rodzinnego, ale pani córka pewnie urodziła się w czepku, skoro wyszła z takiego wypadku.

– Czy ma we włosach krew?

– Tak, którejs z ofiar. – Doktor Martinez mówił bardzo spokojnie, patrząc Luz w oczy.

Nie śmiała zapytać o pozostałe dzieci. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Czemu jest półprzytomna?

– W jej krwi wykryliśmy jeden przecinek dwa promila alkoholu.

Luz zaczęła szybciej oddychać, broniąc się w ten sposób przed kolejnym atakiem paniki. Pijana. Lila piła. Boże, jak ona mogła tego nie zauważyć? Co z niej za matka?

– Czy pan wie, jak doszło do wypadku?

Doktor Martinez przysiadł na taborecie na kółkach. – Słyszała pani o skokach samochodowych?

Potrząsnęła przecząco głową.

– To nowe szaleństwo wśród nastolatków. Dzieciaki pakują się do zwykłego auta albo do terenówki, wjeżdżają z dużą szybkością na szczyt wzgórza i tam wyskakują w górę. Tak jak na filmach. Tyle że nie mają pojęcia, jak naprawdę robią to kaskaderzy. Według wstępnych ustaleń policji dzip przeleciał w powietrzu trzydzieści metrów, a gdy spadł na ziemię, koziółkował następne czterdzieści metrów. Lila siedziała obok kierowcy. Gdy przyjechało pogotowie, wciąż była przypięta pasem.

– Byłam pewna, że śpi w łóżku. – Luz zamknęła oczy, ale szybko je otworzyła, żeby patrzeć na córkę. – Lila, dlaczego to zrobiłaś? – spytała pełnym bólu szeptem. – Dlaczego zrobiłaś coś tak szalonego?

Lila uśmiechnęła się nieznacznie.

– Chciałam latać.

– Przyjechała pani sama? – spytał doktor Martinez z lekką nutą współczucia.

Tak naprawdę pytał: jest pani samotną kobietą? Mąż panią rzucił i nie ma nikogo, na kim mogłaby się pani wesprzeć w takiej chwili?

– Mąż musiał wyjechać w delegację, ale wróci jak tylko będzie mógł najszybciej – powiedziała. – Co teraz?

– Na pewno policja będzie chciała ją przesłuchać. Potem ją wypiszemy, o ile nie pojawią się jakieś komplikacje. – Podał jej sztywną podkładkę z jakimiś dokumentami i długopis. – Musi pani to wypełnić.

Luz wzięła formularze.

– Co z innymi dziećmi? – Dopiero teraz odważyła się zadać to

pytanie.

– Czwórka przebywa w naszym szpitalu. – Miał ciemne oczy i gęste rzęsy. Patrzył na nią z ciepłym współczuciem. – Jedna osoba została przewieziona helikopterem na oddział urazowy do szpitala Brackenridge.

– Kto?

– Tego mi nie wolno powiedzieć.

Ucisk w klatce piersiowej zamienił się w ukłucia bólu. Wiele razy widziała ten zwrot w gazetach. Imię i nazwisko ofiary zostanie ujawnione po zawiadomieniu rodziny... A potem pomyślała coś strasznego. Dzięki Bogu, że to nie jest moje dziecko.

Na gładkiej powierzchni stołu zabrzączał pager doktora Martineza.

– Przepraszam panią na chwilę.

Luz skinęła głową, zapatrzona na córkę. Lila spała, a może tylko chowała się za zamkniętymi powiekami.

Chciałam latać. Całe życie pragnęła różnych rzeczy, których Luz nie mogła jej dać.

Skupiając się z największym wysiłkiem, skończyła wypełnianie formularzy. Przebyte choroby i urazy. Drżącymi rękami wpisywała w rubryki odpowiednie słowa.

Ona też miała kiedyś marzenia. Wyobrażała sobie, że gdy dorośnie, będzie podróżować po całym świecie i fotografować miejsca, których większość ludzi nigdy nie zobaczy na własne oczy. Tadź Mahal, jaskinie w Lascaux, płaskowyż Nasca. Nie brała pod uwagę, że będzie miała męża i dzieci. Ale wiele lat temu zrezygnowała z tych marzeń dla

życia, którego w ogóle nie planowała.

Nigdy nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, dopóki ta miłość nie pojawiła się jako przystojny student prawa. Uśmiechał się do niej z drugiego końca bibliotecznej sali. Od tamtej chwili jej marzenia przybrały zupełnie inną barwę. Niemal natychmiast zdecydowali się na ślub. Luz miała pracować, dopóki Ian nie napisze pracy magisterskiej, i dopiero potem miała skończyć studia. Wydawało jej się to zupełnie oczywiste. Miała wprawę w czekaniu. Może matka ją tego nauczyła. W dzieciństwie zawsze na coś czekała – na autobus do szkoły, na to, że matka ją wreszcie zauważy, na przekaz pieniężny...

Ian chciał być adwokatem osób skazanych na śmierć. Wówczas nie bardzo wiedziała, co to oznacza. Wydawało jej się, że małżeństwo z prawnikiem oznacza stabilizację i wolność od problemów finansowych. Wyobrażała sobie duży, wygodny dom w dobrej dzielnicy Austin, przyjęcia, na które będą zapraszali ciekawych – nie, fascynujących – ludzi. Rysowała się przed nimi świetlana przyszłość.

Jedyną rysą na tym obrazie był fakt, że Ian i Jessie nie spodobali się sobie od pierwszej chwili. Nie byli wobec siebie niegrzeczni, raczej... spięci. Gdy zapytała o to każde z nich w rozmowie w cztery oczy, nie umieli powiedzieć, na czym polega problem. Chciałabym mieć pewność, że będziesz szczęśliwa z takim facetem jak on, tłumaczyła Jessie. Ona jest jakaś dziwna, mówił Ian.

Luz jak zawsze broniła siostry, ale stosunki Jessie i Iana nigdy się nie ociepliły. A dwa tygodnie przed ślubem Jessie zszokowała wszystkich informacją, że jest w ciąży i że nie chce zatrzymać dziecka.

Gdy Luz zapytała, kto jest ojcem, usłyszała w odpowiedzi: „Jego nie mogę brać pod uwagę”. Uznała, że chodzi o żonatego mężczyznę. zaproponowała siostrze pomoc. W końcu na świecie jest wiele samotnych matek. Jednak Jessie wyznała jej, że nie może urodzić dziecka, mimo że bardzo tego chce. Była przerażona. Przeplakała całą

noc.

– Nie umiałam nawet zająć się złotą rybką – łkała, wspominając wydarzenie sprzed wielu lat.

Simon zaproponował jej udział w projekcie fotograficznym finansowanym przez BBC, który miał się zacząć tej jesieni od wyjazdu za granicę, a skończyć za parę lat wystawą pokazywaną na całym świecie. To była ciężka praca nawet dla osoby samotnej, nieposiadającej zobowiązań. Osoba wychowująca dziecko nie mogłaby się tego podjąć. A Jessie chciała jechać. Ten projekt był dla niej wszystkim. Był życiową szansą.

Luz pomyślała wtedy, że jeśli już coś, to na pewno dziecko jest życiową szansą.

– Wiem, jestem okropna i wstydzę się tego – powtarzała Jessie. – Ale jako matka byłabym jeszcze gorsza.

Luz oznajmiła Ianowi, że chce adoptować to dziecko. Zrobił się błąd jak ściana i zapytał dlaczego. Odpowiedziała, że nie może się zgodzić, by Jessie oddała je komuś obcemu. Niezwykle dzieciństwo sprawiło, że Jessie była niezdolna do roli matki. A Luz wręcz przeciwnie. Chciała być matką dla całego świata.

– To dziecko ma w sobie moją krew – powtarzała.

Ian wydukał z siebie pytanie, kto jest ojcem, a Luz wyznała, że podejrzewa Simona. Ian zgodził się w końcu, choć tak naprawdę uległ presji Luz. Wygrała tę bitwę. Zawsze potem skrycie zazdrościła różnym adopcyjnym rodzicom, że wspólnie cieszyli się z podjętej decyzji. Tak naprawdę Ian został ojcem, bo go do tego zmusiła.

I jeszcze bardziej go za to kochała. Zamiast planowanego miesiąca miodowego na Hawajach pojechali po dziecko do szpitala. Obiecali

sobie, że wyjadą, gdy tylko mała podrośnie na tyle, że będzie można ją ze sobą zabrać.

Gdy Jessie była w siódmym miesiącu ciąży, z niewiadomych przyczyn zaczął się przedwczesny poród. Następował tak szybko, że lekarze nie byli w stanie zatrzymać skurczów. Dziecko zostało umieszczone w inkubatorze. Od momentu narodzin Luz pokochała je miłością żarliwą i gorącą jak ogień.

Jessie była kompletnie zagubiona, gdy lekarze powiedzieli jej, jakie są rokowania. Już kilka godzin po porodzie chciała podpisać dokumenty adopcyjne. Lila miała niewielkie szanse na przeżycie, więc Ian i Luz zgodzili się, chociażby dlatego, żeby dziecko miało dwoje rodziców, którzy by je mogli opłakiwać, oraz prawdziwe imię, a nie tylko określenie „Ryder, córka”. Luz spytała Jessie, czy trzeba kogoś zawiadomić – chodziło jej oczywiście o ojca małej – ale siostra powiedziała, że on wie. Luz sądziła, że jej siostra majaczy.

Lila stała się całym jej światem, bezradnym cudem zamkniętym w szklanej kapsule. Mijały kolejne dni, a ona nadal żyła.

Luz czuwała dzień i noc przy inkubatorze, w którym leżało jej dziecko. Cieszyła się każdym sztucznym oddechem pompowanym w maleńkie ciało. Dziękowała Bogu za każdą chwilę normalnej pracy serca. Oddanie Luz było dla Lili tym samym co krew płynąca przez pepowinę. Karmiło ją miłością tak potężną, że wydawała się namacalną, pulsującą siłą.

Gdy przywieźli Lilę do domu, Luz odłożyła na półkę swoje książki i marzenia o podróżach. A ponieważ była tak samo osłabiona jak każda kobieta po trudnym porodzie, niemal zapomniała, że to nie ona nosiła córkę pod sercem. Po godzinach bezsennego czuwania miała już nowe marzenie, do którego przywiązała się z całych sił: chciała, żeby jej dziecko było zdrowe. I tak się stało. Lila wyrosła na śliczną dziewczynkę. Luz wielokrotnie dziękowała Bogu za ten cudowny dar.

Zaznaczając kolejne punkty w części kwestionariusza dotyczącej chorób w rodzinie, Luz uświadomiła sobie, że Lila należy także do Jessie. A jeśli potrzebna będzie krew? Poczwała dreszcz. Wypadek i nagłe pojawienie się Jessie były jak uderzenie bolesnej prawdy o biologicznych rodzicach Lili.

Boże, spełnienie prośby Jessie, by utrzymać adopcję w sekrecie, wydawało się takie proste. Po powrocie do Edenville wymyślili swoje życie od nowa, przekształcili plany i marzenia. Odłożyli w nieokreśloną przyszłość wszelkie wyjazdy – mieli za dużo długów i za dużo zobowiązań. Potem pojawił się Wyatt, po nim Owen i wreszcie Scottie. Nie każda ciąża była planowana, ale każdą witali ze spokojną, niemal stoicką radością. Ian ciężko pracował i był dobrym ojcem, chociaż zawsze traktował Lilę nieco inaczej niż chłopców. Ciągłe dręczył go koszmar, że tracą ją przy narodzinach. Natomiast Luz tak bardzo kochała dzieci i macierzyństwo, że nie zauważyła, kiedy straciła samą siebie.

Lata i marzenia mijały i blakły niczym jesienne kolory na zagubionych klonach nad jeziorem, powoli i niezauważalnie. Któregoś dnia stwierdziła ze zdziwieniem, że jaskrawe czerwienie, żółcie i pomarańcze rozmyły się w bure brązy. Nie pozwalała sobie jednak na zgorzknienie. Każdego dnia działo się tyle rzeczy. Miała tak wiele – męża, który ją kochał, czwórkę zdrowych dzieci...

Zagryzła wargę i skończyła wypełnianie formularza. Przez jakiś czas patrzyła na śpiącą Lilę, czując, że z każdą upływającą minutą ogarnia ją coraz większy niepokój. Widziała, jak po drugiej stronie korytarza rodzice Heatha rozmawiają z trójką lekarzy. Wyraz ich twarzy wskazywał, że stan chłopca musi być poważny. Odwróciła twarz z nadzieją, że jej nie zauważyli. Ci, którzy przeżyli, też cierpią z powodu poczucia winy.

Odłożyła papiery i zaczęła przemierzać pokój w tę i z powrotem,

spoglądając na Lile, która wyglądała niczym celtycka księżniczka, delikatna i niebiańsko piękna. A jednocześnie tkwiła w niej dzikość biologicznej matki, ta sama przyciągająca uwagę osobowość, fascynująca mieszanka sprytu i uroku. Luz zastanawiała się, jak to możliwe, że... dziecko jest tak podobne do matki, która zostawiła je już pierwszego dnia życia.

– Pani Benning?

Podniosła głowę z pewnym zażenowaniem. Stojący przed nią mężczyzna zdjął z głowy kowbojski kapelusz. Był wysoki i barczysty, miał na sobie mundur policjanta drogówki. Na odznace widniało jego nazwisko: P. McKnight. Miał przy sobie stosowne policyjne wyposażenie: pistolet w kaburze, kajdanki i pałkę. Emanowała z niego pewność siebie człowieka, którego zadaniem jest zapewnianie bezpieczeństwa innym, ale Luz poczuła irracjonalną złość, że nie udało mu się ochronić Lili przed jej buntowniczą naturą.

– Moje nazwisko McKnight, chciałbym uściślić kilka kwestii dotyczących wypadku. – Zadał kilka pytań, chociaż sam wiedział więcej, po czym wspólnie stworzyli prawdopodobny przebieg wydarzeń. Lila wymknęła się z domu, spotkała Heatha i razem wsiedli do dżipa. Po drodze zabrali pozostałych i pojechali na wzgórze. Luz zauważyła, że kręci się niespokojnie, opowiadając policjantowi o swoich problemach z córką. O coraz gorszych stopniach, coraz częstszych wagarach, cichych dniach i wrzaskach, które wybuchały, gdy któraś z nich nie umiała już poradzić sobie z narastającą frustracją. A do tego jeszcze piwo i marihuana, może i inne używki. Od jak dawna to trwało? Luz nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Bezradnie patrzyła policjantowi w oczy.

– Kocham córkę. Nie spodziewałam się, że coś takiego ją spotka. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że może wyjść w nocy z domu, pić piwo i palić trawę.

W krótkofalówce coś zachrobotało i policjant, przeprosiwszy ją, odszedł na bok. Spojrzała na zegarek. Piąta trzydzieści. Boże, już cała noc minęła. Gdzie do cholery jest Ian?

Wyszła do poczekalni i zajrzała do torby w poszukiwaniu drobnych. Wrzuciła do automatu kilka monet i wybrała numer.

Jessie odebrała przy pierwszym dzwonku.

– Co z nią?

– Wszystko w porządku – powiedziała Luz pospiesznie, chcąc uspokoić siostrę. – Kilka sińców i skaleczeń. Wypiszą ją, jak tylko... Tak naprawdę nie wiem, na co my jeszcze czekamy. Nie dodzwoniłam się do Iana, ale zostawiłam mu wiadomość. Jestem pewna, że już wraca z Huntsville. – Zdawała sobie sprawę, jak to zdanie brzmi i wcale jej się to nie podobało. Tak jakby nie mogła znaleźć własnego męża i starała się go usprawiedliwić.

– Jak to się stało? – spytała Jessie.

Luz wzięła głęboki oddech. Czowała się tak, jakby miała odpierać zarzuty.

– Wymknęła się w nocy z domu.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie.

– Umówiła się z kilkoma innymi osobami – ciągnęła dalej Luz. – Pojechali robić skoki samochodowe czy coś takiego. – Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki i wytarła o udo spoconą dłoń. Spokojnym głosem opisała siostrze całe wydarzenie, wyobrażając sobie jednocześnie, jak dżip Heatha leci w powietrzu, a potem koziołkuje przez kilkadziesiąt metrów. – Okazuje się, że to ich nowy sport

ekstremalny.

Kolejna chwila ciszy.

– Wcale nie jest taki nowy – powiedziała w końcu Jessie.

– Jak to?

– Pamiętasz cadillaca eldorado? Jeździłam nim, gdy miałam szesnaście lat.

– Nie za bardzo. – Niewyraźnie pamiętała starego zielonego gruchota z niezamykającą się jedną szybą i głośną muzyką nieustannie grającą z wiejskiego radia. A potem przypomniała sobie, jak musiały odholować go na złomowisko, po tym jak Jessie dowlokła się nim z hurgotem do domu. Prawa opona była w strzępach, zniszczona maska nie nadawała się do reperacji.

Poczuła dreszcz.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Droga obok kamieniołomów? Mówią na to Siedem Wzgórz. Niestety, głupota bywa dziedziczna. Z Lilą na pewno wszystko dobrze?

– Tak. Jest w lekkim szoku. – Luz uznała, że nie będzie wspominać o picciu.

– A chłopak?

– Skąd wiesz, że był z nią jakiś chłopak? Nic takiego nie mówiłam.

– W podobnych okolicznościach musi chodzić o chłopaka. Zresztą mówiłaś, że spotkała się z innymi dziećmi.

– To prawda. W samochodzie były trzy dziewczyny i trzech chłopców.

– Boże! Co z nimi?

– Raczej nie za dobrze. Jedną osobę zabrano do Brackendridge. Chyba... – Odwróciła się do ściany, żeby nikt z zewnątrz jej nie widział.
– Obawiam się, że jego stan jest bardzo poważny, ale nikt nie udziela żadnych informacji. Boję się o Lilę. Żeby się tylko nie załamała, kiedy się o wszystkim dowie.

– Nic jej nie będzie – powiedziała Jessie stanowczo. – Już my tego dopilnujemy.

– Dzięki, Jess. Będziemy w domu najszybciej, jak to możliwe.

Luz odłożyła słuchawkę. Przypomniała sobie moment, w którym zobaczyła dziś Jessie. Idącą w kierunku ganku nieco młodszą, bardziej wyrazistą wersję samej siebie. Z tym swoim promiennym uśmiechem Jessie wdarła się do Edenville niczym tornado.

Rozejrzała się po poczekalni. Była tu już kiedyś. Z Lilą dwukrotnie, najpierw gdy mała rozcięła sobie brodę, spadając z huśtawki, i drugi raz, gdy złamała rękę, skacząc z dachu stodoły. Wyatta przywiozła tu w którąś niedzielę w zeszłym roku, po tym jak rozciął sobie rękę o zardzewiały gwóźdź. A parę lat temu przyjechała sama, bo nie chciała zgłaszać się ze swoją dolegliwością do lekarza rodzinnego.

W poczekalni panował chaos, pojawiała się coraz więcej ludzi. Zauważywszy panią Linden, szkolnego pedagoga, zdała sobie sprawę, że sytuacja jest naprawdę poważna. W samochodzie było sześcioro nastolatków. Sześć rodzin, sześć matek obudzonych w środku nocy z głębokiego snu.

Ludzie wokół płakali, kłócili się, modlili. Policja próbowała wszystkich przesłuchać. Nell Bridger osunęła się w ramiona pani Linden i Luz zamarła z przerażenia. Nell miała dwóch synów, Trávisa i Diga. Który z nich był w dziapie? Obaj?

Próbowała się do niej przedostać, ale Nell szybko wyszła, wspierana przez panią Linden. Wrzawa robiła się coraz głośniejsza. Luz miała ochotę zasłonić uszy, żeby nie słyszeć krzyków rozpacz i przerażenia.

Nagle w tym wszystkim pojawił się Ian. Z niepokojem rozglądał się po poczekalni. Dostrzegłszy Luz, ruszył w jej kierunku. Rzuciła mu się na szyję, jakby był jej jedyną bezpieczną przystanią.

Nie odzywała się, bojąc się gorzkich wyrzutów. Praca pochłaniała go całkowicie, i nie obowiązywały go biurowe godziny urzędowania. Ominęły go pierwsze samodzielne kroki dzieci, nie było go na wielu urodzinach, zawodach pływackich i szkolnych zebraniach, bo musiał stawić się w sądzie, bo ścigał się z czasem, próbując oddalić czyjąś egzekucję. Była dumna z tego, co robił, ale czasem żałowała, że tak mało ma go dla siebie.

– Jak ona się czuje? – spytał cicho. – Mogę ją zobaczyć?

Luz zacisnęła palce na jego koszuli. Kolana się pod nią ugięły.

– Nic jej nie jest.

Przytuliła się do niego jeszcze raz i w tej samej chwili rozbłysły flesze. Przybyli dziennikarze żądni sensacji, która by się dobrze sprzedała w gazetach albo telewizji. Luz chwyciła Iana za rękę i poprowadziła go przez tłum, a potem dalej korytarzem do pokoju badań.

Lila siedziała na łóżku, popijając coś z plastikowej butelki. Głowę

otaczała jej chmura miedzianych włosów. W chłodnym świetle lamp twarz była niemal biała. Na widok Iana odwróciła wzrok.

– Tatuś.

– Cześć, skarbie. – Ian zatrzymał się przy końcu łóżka, patrząc na nią z podobnym do lęku powściągliwym szacunkiem. Nie przytulił Lili, położył jedynie rękę na wykrochmalonym prześcieradle przykrywającym nogi. Od kiedy weszła w okres dojrzewania, traktował ją jak egzotyczne stworzenie, którym mogą się zajmować jedynie wyszkoleni specjaliści. – Na pewno nic jej nie jest? – szepnął do Luz.

– Na pewno. Zostań przy niej. – Luz myślała tylko o tym, żeby wreszcie wyjść ze szpitala. Chciała zabrać rodzinę jak najdalej od burych korytarzy, gabinetów badań i całego tego przerażającego sprzętu stwierdzającego skalę obrażeń, życie albo śmierć. – Poszukam kogoś, kto nam pomoże się stąd wydostać.

Po tym, co przeszła jako matka wcześniaka, wiedziała doskonale, jak sobie radzić ze szpitalną biurokracją. Z determinacją graniczącą niemal z niegrzecznością odnalazła doktora Martineza, a potem zapowiedziała mu, że jeśli natychmiast nie wypisze Lili ze szpitala, to ona i tak natychmiast zabierze stąd córkę. Luz zawsze była zdziwiona, gdy ludzie się jej bali. Ale gdy chodziło o dzieci, stawała się wręcz agresywna.

Machając plikiem dokumentów, weszła do sali z dobrą wiadomością. Doktor Martinez przekazywał ostatnie zalecenia i jednocześnie zakładał Lili kołnierz ortopedyczny. Kiedy kazali jej usiąść na wózku, na którym miała pojechać na parking, wyglądała niczym rozgniewana egipska bogini.

Gdy wjechali do poczekalni, pojawiły się pierwsze problemy. Lila jako pierwsza z ofiar wypadku opuszczała szpital. Część rodziców patrzyła na nią z zazdrością i ukrytą pretensją. Jej widok stanowił

przykre przypomnienie, że ich dzieci nie miały tyle szczęścia.

Gdy zbliżali się do głównego wyjścia, podeszła do nich blada kobieta z zaczerwienionymi oczami.

– Jestem Cheryl Hayes, matka Heatha Walkera.

Heath Walker. Pierwsza miłość Lili. Każda próba kontrolowania napędzanej hormonami namiętności była jak powstrzymywanie przyływu morza. Omamił jej córkę swoimi wdziękami, a potem namówił, by wyszła w nocy z domu. Chciał się popisać przed nią kaskaderskimi umiejętnościami, a naraził ją na wielkie niebezpieczeństwo, o mało jej nie zabił!

– Lucinda Bening – powiedziała przez zaciśnięte gardło. – To mój mąż.

Kobieta nie zwracała uwagi na jej słowa. Cała jej uwaga skupiona była na Lili, która patrzyła na nią z niepokojem.

– Pani Hayes, jak się czuje Heath?

– A jak ma się czuć? Na szczęście nie jest ciężko ranny, ale już w tym sezonie nie będzie grał w futbol. Ominie go mecz z dawnymi absolwentami! To wszystko przez ciebie, moja panno! Heath nigdzie by nie pojechał, gdyby nie twoje nalegania...

– Zaraz, zaraz! – przerwała jej ostro Luz. Kątem oka zauważyła, że Lila aż się skuliła, ale nie mogła się powstrzymać. – To pani syn siedział za kierownicą. Chyba nie chce pani powiedzieć...

– Pani wybaczy – Ian wtrącił się spokojnie, kładąc Luz rękę na plecach. – Wszyscy musimy przez to przejść, ale oskarżanie któregokolwiek z dzieci nie pomoże ani im, ani nam. Życzę zdrowia pani synowi. – Te prawnicze czary zadziałały na tyle, że udało im się

dotrzeć do drzwi.

– Jak ona śmiała coś takiego powiedzieć! – Twarz Luz była czerwona od spóźnionej złości.

– Jest zdenerwowana – powiedział Ian perswazyjnym tonem. – Gdy stanie się coś strasznego, ludzie zawsze szukają winnych.

– Ona ma rację – odezwała się Lila, tracąc cierpliwość. Gdy sanitariusz uniósł podnóżki fotela, wstała i sztywno ruszyła w stronę parkingu. – To ja chciałam skakać dżipem. Uwielbiam to robić.

Luz poczuła w żołądku zimny kamień. Podała Ianowi kluczyki.

– Ty będziesz prowadził.

Doszli do samochodu. Ian przytrzymał Lili drzwi. Wślizgnęła się do środka i krzywiąc się lekko z bólu, zapięła pas, zanim zdążyli jej o tym przypomnieć. Oparła się i zamknęła oczy.

– Heath siedział za kierownicą – powtórzyła Luz, zajmując miejsce obok kierowcy. – To była jego decyzja i jego odpowiedzialność.

Lila ziewnęła. Jej pozorny spokój był jedynie fasadą. Luz zauważyła pojedynczą łzę, która potoczyła się po policzku córki i spadła na kołnierz.

Jechali do domu w nieprzyjemnej ciszy. Ich córka przeżyła straszny wypadek. Nie powiedziała im jeszcze, co wtedy widziała, słyszała i czuła. Na większość pytań policjanta odpowiadała „Nie pamiętam”, jednak Luz nie umiała wyczuć, czy to była prawda. Ale w swoim macierzyństwie zawsze kierowała się instynktem i ten instynkt podpowiadał jej, że to nie jest najlepsza pora na trudne pytania.

Jednak Ian nie miał w sobie macierzyńskiej wrażliwości. Był

mężczyzną, prawnikiem, do tego krystalicznie uczciwym.

– Od dziś będziemy musieli zmienić wiele rzeczy – powiedział przez zaciśnięte szczęki.

– Porozmawiamy o tym w domu, dobrze? – Drżącą ręką Luz odgarnęła sobie włosy. Kiedy odwróciła się do tyłu, zobaczyła, że Lila śpi.

Za oknem zmieniał się krajobraz rozciągnięty wzdłuż asfaltowej drogi – wzgórza z piaskowców, żółtawe trawy i błękitne poranne niebo. W zaroślach głogu podskakiwały dudki, wokół solanek wystawionych przez ranczerów gromadziło się bydło. Mijali ciężarówki i kolorowo pomalowane szkolne autobusy. Dla wszystkich, których życie nie wywróciło się do góry nogami w ciągu nocy, zaczynał się kolejny zwykły dzień.

– Gdzie byłeś w nocy? – spytała Iana.

– Zebranie bardzo się przeciągało. Zamówiliśmy pizzę i kompletnie straciliśmy poczucie czasu. Gdy odebrałem twoją wiadomość, od razu zadzwoniłem po Matlocka. W nocy na wieży lotniska nikt nie pracuje, więc musiał inaczej załatwić pozwolenia na lot. Przecież wiesz, że przyjechałem tak szybko, jak to było możliwe. Ale dla ciebie zawsze jestem spóźniony, prawda?

– O co ci chodzi? – Zdziwiona spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Nieważne. Oboje jesteśmy wykończeni. Kto został z chłopcami?

– A jak myślisz? – Luz wydawało się, że to jest oczywiste. – Jessie, któż by inny?

– Myślałem, że zadzwonisz raczej po kogoś bardziej... Kogoś, kto zna chłopców lepiej.

- Jessie była na miejscu. Poza tym jest ich ciotką.
- Niby prawda.
- Masz jakiś problem z tym, że to ona się nimi zajmuje?

Zerknął we wsteczne lusterko.

– Jessie jest dziwna. Zawsze taka była. Nie chodzi mi o to, że robi chłopcom krzywdę, ale na przykład czegoś nie dopilnuje.

– Daj jej spokój, Ian. Przez te szesnaście lat zmieniła się. My też. A w ekstremalnych sytuacjach można na niej polegać.

– Proszę, podaj mi choć jeden przykład takiej sytuacji.

– Uratowała mi życie. Ale chyba nigdy ci o tym nie mówiłam.

– Jessie uratowała ci życie? Chyba wlałaś w siebie za dużo kawy.

– Naprawdę. Byłyśmy wtedy małe. Zimą zrobił się taki mróz, że na pastwiskach zamarzyły stawy dla bydła. Jak mówili starsi mieszkańcy, pierwszy raz od pięćdziesięciu lat lód był tak gruby, że dało się jeździć na łyżwach. Oczywiście musiałyśmy to sprawdzić. Do stawu Cuttera szło się dobrą godzinę. Nie mieliśmy prawdziwych łyżew, ale przez cały dzień ślizgaliśmy się na tenisówkach. Ja i Jessie zostałyśmy najdłużej. Inne dzieciaki musiały być w domu przed zmrokiem, ale my... No cóż, znasz moją mamę. Już prędzej by nam powiedziała, że mamy wrócić do domu na wiosnę.

Luz podciągnęła nogę i usiadła bokiem, żeby lepiej widzieć Lilę. Jako matka zawsze chciała być przeciwieństwem Glenny Ryder. Inne dzieci wracały do ciepłych, jasno oświetlonych domów, gdzie czekała na nie gorąca zupa. Luz i Jessie mogły sobie zrobić kanapki z wędliną,

a potem godzinami patrzeć tępo w telewizor.

– Było już prawie ciemno, ale postanowiłyśmy zrobić jeszcze jedno kółko na stawie. Tylko jedno. Chyba wtedy po raz pierwszy udało mi się prześcignąć Jessie. Ale przewróciłam się i z poślizgiem wjechałam w drzewo. Kostka nie chciała mi się zginać, a z łokcia dosłownie sikała krew. Nie byłam w stanie iść. Zapadł zmrok. Jessie rozpałała ognisko. Nie miałam pojęcia, że to potrafi i że zawsze nosi w kieszeni zapalki. Poszła do miasta po pomoc. Do tej pory nie wiem, jak odnalazła drogę w lesie. Dotarła do Edenville, gdy w telewizji zaczynał się wieczorny dziennik. Ale nikt nie chciał jej słuchać, wszyscy byli przekonani, że to fałszywy alarm, więc wsiadła do samochodu szeryfa i włączyła silnik i syrenę. Jestem pewna, że pojechałaby sama do lasu, gdyby w końcu nie potraktowali jej poważnie. Jessie jest silna, gdy przychodzi czas próby, tylko że życie nie stawiało przed nią takich wymagań.

– Bo to ty podejmowałaś za nią trudne decyzje – mruknął Ian.

Te słowa zdenerwowały Luz.

– Słucham?

– Przecież słyszałaś. – Wziął głęboki wdech, próbując się opanować. – Przykro mi, skarbie, ale sama musisz przyznać, że byłaś dla Jessie kimś więcej niż siostrą.

Luz wyciągnęła rękę i odgarnęła z czoła Lili kosmyk włosów. Macierzyństwo okazało się wielką przygodą. Szesnaście lat temu zdecydowała, że jej życie skreśli w lewo i ta droga wciąż doprowadzała ją na nieznane terytoria.

Ian prowadził samochód z pełną wprawą nonszalancją, opierając nadgarstek o górną część kierownicy. Ominął leżącą na drodze kupkę padliny, płosząc przy okazji stado kruków.

– Luz, dobrze się czujesz?

Skinęła głową, chociaż zalała ją fala zmęczenia gęstego niczym syrop.

– No i co my zrobimy z naszą młodocianą przestępczynią? Moim zdaniem powinna dostać dożywotni szlaban.

Luz przytaknęła skinieniem głowy. Areszt domowy. Wciąż trzymając Lilę za rękę, przysięgła sobie, że od tej chwili wszystko się zmieni. Wszystko będzie inaczej. Ustanowią żelazne reguły.

Od tej chwili nic już nie będzie takie jak kiedyś.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Jesteś taka jak mama, tylko inna – obwieścił Scottie.

Stał na kuchennym stole, mając na sobie jedynie koszulkę. Po bezsennej nocy Jessie udało się nakarmić i wysłać do szkoły dwóch starszych chłopców. Scottie przesiedział czterdzieści minut przed telewizorem, opierając się o śpiącego psa.

– Jestem podobna do mamy, bo jestem jej siostrą – odpowiedziała, grzebiąc w koszyku z czystą bielizną, który znalazła na suszarce. – Nareszcie! – Podniosła majtki ze Spidermanem. – To chyba twoje.

– Nie. Owena.

– Ale dziś możesz je założyć.

– Nie. – Popatrzył na nią ze śmiertelną powagą.

– A te? – Pokazała mu kolejną parę, tym razem z nieznaną jej zieloną postacią z kreskówek.

– Wyatta. Gdzie jest mama? – Scottie był na granicy płaczu. Jessie doskonale zdawała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu nie zobaczył po obudzeniu mamy.

Kompletnie nie miała pojęcia, co się robi z płaczącym dzieckiem. Pośpiesznie zajrzała do kosza i wyjęła koronkowe stringi.

– Te na pewno są twoje.

– Wcale nie. – W kącikach ust Scottiego pojawił się uśmiech.

– Nie nosisz koronkowych majtek? – powiedziała Jessie

z udawanym zdziwieniem. – No dobra, widzisz tu jakieś swoje rzeczy?

– Niiieee. – Pokręcił głową.

– To chcesz chodzić przez cały dzień z gołą dupą?

– Powiedziałaś dupa.

– No to co?

– Mówi się pupa.

– Dobra, spróbuję zapamiętać. – Rozglądając się po zagraconym pokoju, zauważyła na kłamce parę maleńkich kąpielówek. – Scottie, mam świetny pomysł. – Wskazała ręką w tamtym kierunku.

– Moje majtki! – Chłopczyk zszedł niezdarnie ze stołka.

Jessie wyciągnęła rękę, żeby zdjąć je z kłamki, ale palce natrafiły w pustkę.

Boże, tylko nie teraz. Spróbowała znowu, tym razem uderzając kostkami o drzwi. Skup się! W końcu odnalazła właściwe pole widzenia i zdołała chwycić spodenki.

– Voila! – Podała Scottiemu ubranie.

– Włala – powtórzył z promiennym uśmiechem.

Uparł się, że sam włoży spodenki, nie zdając sobie oczywiście sprawy, że może to potrwać cały dzień.

Boże, Luz przechodziła to z czwórką dzieci i mimo to nie zwariowała, pomyślała Jessie, czując, że jej cierpliwość jest już na wykończeniu. Jak jej się to udało? A jednocześnie z coraz większym

zachwytem i czułością patrzyła, jak Scottie usiłuje włożyć stopy do otworów nogawek. Wyglądał słodko. Miał ciemne, kręcone włoski i pulchne stópki, w wielkim skupieniu poruszał czubkiem języka. Jessie pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy nie było jej z Lilą. Boże, co ja straciłam!

– Tak się cieszę, że mogę cię widzieć – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Co?

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że cię widzę.

Scottie nadal był zajęty ubieraniem się.

Jessie znalazła w tym czasie buteleczkę różowego lakieru i zaczęła malować sobie paznokcie u nóg. Z ponurym zadowoleniem stwierdziła, że w prawym oku wzrok nadal ma dobry. Wprawdzie pole widzenia zmniejszyło się, ale na małą odległość wszystko widziała w idealnej niemal ostrości. Zauważyła, że Scottie jej się przygląda, a potem bez słowa podsuwa jej swoją stópkę.

Uroczyście pomalowała mu paznokcie. Jego zadowolona mina podziiałała na nią jak największa nagroda. Ale ten wesoły nastrój nie trwał długo.

– Gdzie jest mama? – spytał Scottie z niepokojem.

– Mama powiedziała, że możemy wziąć sobie na śniadanie Cheetosy.

– Nieprawda.

– I oranżadę w proszku. – Wzięła go za rękę i poprowadziła do lodówki.

Od chwili, gdy została obudzona przez Luz, dręczyły ją wyrzuty sumienia.

Po głowie tłukła jej się myśl, że mogła Lilę zatrzymać.

Przejdziemy się tylko kawałek nad jezioro.

Naprawdę nie zauważyła kłamstwa czającego się w tych dużych, zielonych oczach? A może już jest ślepa? Jak mogła nie wychwycić fałszu w jej głosie? Powinna była, bo to było zupełnie jak zagłądanie przez lustro w przeszłość. Przecież sama nieustannie kłamała, próbując wyrwać się spod kontroli. Jedynie Luz umiała ją przejrzeć. Boże, oddałaby resztkę wzroku, gdyby można było cofnąć czas.

– Gdzie są Cheetosy? – spytał Scottie.

Pogłaskała go po głowie.

– Zdaje się, że w spiżarni.

Gdy przeszli przez kuchnię, Jessie posadziła Scottiego na dziecięcym foteliku przy stole, otworzyła torebkę z serowymi chrupkami i naląła kubek oranżady. Chłopczyk rzucił się na to łakomie i zjadł wszystko, zanim dotarło do niej, że powinna była dać mu owsiankę.

Serce jej biło w dziwnym rytmie. Jak dla niej wszystko toczyło się zdecydowanie zbyt szybko. Nie umiała nic z tym zrobić. A na dodatek dała siostrzeńcowi najbardziej nieodpowiednie jedzenie na świecie. Będzie się za to smażyć w piekle.

Otworzyła okno, żeby wpuścić poranne powietrze, i usiadła ze Scottiem przy stole. Wydawało jej się, że kuchenny kącik śniadaniowy

jest mniejszy niż kiedyś, ale poza tym niewiele się tu zmieniło. Ten sam dębowy stół, może tylko trochę bardziej porysowany. Na półeczce na bibeloty stał zegar wskazujący drugą dwadzieścia sześć.

– Ten zegarek źle chodzi – zauważyła, jakby czterolatek zwracał na to uwagę.

– To zegarek Jessie.

Ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem.

Ale gdy Scottie z teatralną przesadą wzruszył ramionami, zrozumiała. Luz nastawiła zegarek tak, by wskazywał czas w Nowej Zelandii. Jessie dzwoniła wtedy, gdy było jej wygodnie, nie zastanawiając się nad tym, która godzina jest w Teksasie. Obok zegarka stało kilka starych pucharów mamy, teraz jednak służyły nie za symbol sportowej sławy, tylko jako podpórki dla oprawionych w ramki zdjęć. Na wszystkich były dzieci Luz.

– Założę się, że to mama robiła te zdjęcia.

– Mhm.

– Robi najlepsze zdjęcia na całym świecie.

– Mhm.

Najbardziej pociągały ją zdjęcia Lili, od niemowlęcia po piękną księżniczkę w szmaragdowej sukience stojącą obok przystojniaka, którego widziała wczorajszego wieczoru. Jak on miał na imię? Keith? Nie, Heath. Komuś innemu wyszłaby z tego zwykła fotka dwójki młodych ludzi, ale Luz nigdy nie robiła zwykłych fotek, lecz znakomite fotografie. Miała niezwykle oko i potrafiła wyczuć najlepszy moment.

Dzięki temu udało jej się uchwycić to, co najważniejsze – młodość, wrażliwość, urodę, siłę, przebojowość. Ciekawe, czy po tym, co się stało w nocy, nadal będą tacy odważni.

– Pamiętam, jak twoja mama dostała pierwszy prawdziwy aparat – powiedziała. – Było Boże Narodzenie, ja miałam dziewięć lat, a ona dwanaście. Nasza mama...

– Twoja mama? – spytał zdziwiony.

– Ta pani, która każe mówić na siebie panna Glenny – odpowiedziała Jessie.

– A dziadek Stu wozi mnie tym swoim magicznym krzesłem.

Jessie nie miała pojęcia, o jakie magiczne krzesło chodzi, więc ciągnęła dalej:

– Panna Glenny miała umowę sponsorską ze sklepem fotograficznym, dzięki czemu twoja mama dostała prawdziwy aparat i tyle filmów, ile chciała.

Tamtego roku prasa dużo pisała o córkach Glenny Ryder, które odziedziczyły po niej rude włosy i zniewalający uśmiech. Luz i Jessie wszędzie matce towarzyszyły niczym nadworna fotografka i jej asystentka. To był dobry rok. Jessie pamiętała wystawne Boże Narodzenie w Broken Rock i dwa nowe puchary dołączone do kolekcji.

Pamiętała też wyraźnie, jak wywoływały z Luz zdjęcia. Spędzały wiele godzin w ciemni, którą urządziły w najmniejszej chatce. Gdy zanurzały papier w wywoływaczu, zaczynała się prawdziwa magia. Fotografia była cudem światła i chemii, z którego rodziło się utrwalone na papierze zdjęcie.

Niedługo potem pojawił się mąż mamy numer dwa – opalony

blondyn, dużo młodszy od Glenny, który w błyskawicznym tempie wydał jej pieniądze, a potem zniknął, zapomniawszy podać wierzycielom swój nowy adres. Ale Luz chroniła aparat jak drogocenny skarb. Zakochała się w fotografii bez pamięci. Jessie myślała czasem, z przykrym poczuciem winy, że przejęła wszystkie dziewczęce marzenia Luz.

Dopiero teraz zrozumiała, na czym polegała ta wymiana.

Zatrzymała wzrok na zdjęciu przedstawiającym całą czwórkę dzieci bawiących się na łące pełnej kwitnących łubinów. Dzieci stanowiły taki sam element krajobrazu jak dęby i pofałdowane wzgórza.

– Musisz być dumny ze zdjęć mamy.

– Mhm.

– Umiesz powiedzieć coś oprócz „mhm”?

Scottie uśmiechnął się, słysząc, jak Jessie go naśladuje.

– Mhm.

Wzięła go na ręce i przytuliła, sycąc się jego ciepłem i zapachem.

Jej uwagę przykuł odległy, żaloszny płacz. Zauważyła na jeziorze jakiś ruch. Nad wodę zlatywało stado nurów.

– Patrz, Scottie, ptaki!

Posadziła go sobie na kolanach i razem patrzyli przez szerokie okno. Nury lądowały w idealnym szyku niczym oddział wojska. Kierowały się w stronę pomostu, przy którym kołysał się mały samolot.

– Widziałeś kiedyś, jak samolot lata?

Pokiwał głową.

– Tata Amber ma samolot.

Ach, zapewne ten pilot. Rusty albo Dusty.

– Amber to twoja koleżanka?

– Mhm – powiedzieli oboje jednocześnie i wybuchnęli śmiechem.

Ptaki poderwały się równocześnie do lotu, jakby kierowane jedną myślą. Wiedziała, kiedy ich dostojne skrzydła chwytają powietrze, czuła to w swoich barkach i klatce piersiowej. Mimowolnie uniosła brodę, gdy stado wzbiło się ku niebu, zostawiając za sobą migotliwe ślady na wodzie. Nury przeleciały nad koronami zagubionych klonów i zniknęły z zasięgu wzroku. Poczwała nagle ukłucie bólu, uświadamiając sobie, co traci.

Co widzi człowiek, który przestaje widzieć?

– Ciociu!

Odwróciła się do Scottiego, przybierając normalny wyraz twarzy.

– Co, mały?

– Siusiu.

– Chyba wiesz, gdzie jest łazienka?

Zszedł na podłogę, wyciągnął do niej rękę i poprowadził za sobą.

W łazience usiadł na sedesie jak kowboj w siodle.

Na ścianie wisiała pokratkowana kartka z kolorowymi gwiazdkami i napisem: „Scottie siada na nocnik”. Boże, Luz, pomyślała Jessie. I tobie się wydawało, że moje życie jest egzotyczne?

Scottie podskoczył, jakby aligator ugryzł go w pupę.

– Mama wróciła!

Musi mieć w uszach radar jak nietoperz, pomyślała Jessie, nie pozwalając mu wyjść z łazienki, dopóki nie podciągnie majtek i nie umyje rąk. Gdy wreszcie otworzyła drzwi, Scottie rzucił się pędem na ganek, tupiąc po drodze bosymi stopami.

Radość na jego buzi mówiła wszystko. Żadna praca, żadna kariera nie mogła przynieść większego zadowolenia niż ta mina i okrzyk: „Mama wróciła!”.

Luz wysiadła z samochodu i chwyciła syna na ręce. Popatrzyła ponad jego głową na Jessie, która nie wiedziała, co się w tym spojrzeniu kryje: ulga czy wyrzut.

Widok Iana ma miejscu kierowcy nie zdziwił jej. Widocznie w nocy przyleciał z drugiego końca Teksasu, żeby być przy córce. Czy Lila zdawała sobie sprawę, jaka z niej szczęściara?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patrząc na szwagierkę stojącą na ganku, Ian uświadomił sobie coś, czego nigdy nikomu nie powiedział: Luz nie była jedyną piękną kobietą, z którą poszedł do łóżka.

Od tamtego czasu minęło szesnaście lat, ale nadal mógłby to potwierdzić.

Jessie miała na sobie krótką, powiewną spódnicę i obcisłą koszulkę, w której wyglądała niczym modelka z reklamy bielizny. Jak zawsze unosiła się wokół niej aura niebezpiecznego ożywienia. Tam, gdzie się pojawiała, atmosfera natychmiast ulegała zmianie. Powietrze zaczynało wibrować, jakby naładowane elektrycznością, cała uwaga skupiała się w rozgrzanym centrum. Już sama obecność Jessie sprawiała, że mężczyźni pragnęli dokonywać bohaterских czynów i składać zdobyte łupy u jej stóp. Podczas przelotnego romansu tak naprawdę nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć – dla jednych mężczyzn było to intrygujące, ale Iana frustrowało. Gdy tylko pierwszy płomień przygasł, porzuciła go dla innej przygody. Poczul wtedy ulgę.

Zobaczył ją znowu po kilku tygodniach, kiedy zdażył już o niej zapomnieć. Siedziała w bibliotece, pomagała głuchej studentce w pisaniu referatu z biologii. Co od razu powinno było dać mu do myślenia. Ale dopiero gdy podszedł bliżej, zorientował się, że to nie Jessie, ale kobieta ładząco do niej podobna. Zauważyła, że obserwuje ją ukradkiem, więc podszedł i się przedstawił. Ona nazywała się Luz Ryder i była siostrą Jessie. Wyglądały niemal tak samo, ale jej uroda nie była taka niepokojąca. Luz była spokojna i opanowana, emanowała ciepłem, które koilo serce i duszę. Przy Jessie mężczyzna gotów był walczyć ze smokami, a Luz inspirowała do osiągnięć trwałych i realistycznych, a przez to trudniejszych. Ian pokochał ją jeszcze tego samego dnia i ta miłość nie wygasła do dziś.

Spotkanie z Jessie w nowych okolicznościach było nieco niezręczne, ale skrepowanie zniknęło, gdy zauważyli, że łączy ich jedno: lojalność wobec Luz.

A potem wybuchła bomba: Luz poinformowała go, że Jessie jest w ciąży, a ona zamierza adoptować jej dziecko. Ian zaprotestował. Chciał zacząć ich wspólne życie z czystym kontem, a nie naprawiać błędy Jessie. Ale gdy w grę wchodziła jej siostra, Luz była twarda jak skała.

Ian spotkał się kiedyś z Jessie w cztery oczy i zadał jej oczywiste pytanie. Do dziś pamiętał jej odpowiedź: „Nie”.

Przyjął to za dobrą monetę. Zdawał sobie sprawę, że spotykała się też z innymi mężczyznami, a poza tym ta wersja była dla niego w pewnym sensie wygodna. Przygoda z Jessie była jak chwila nieuwagi, zderzenie fal wzburzonych hormonów.

– Tatuś! – Okrzyk Scottiego przywrócił go do rzeczywistości. Chwycił syna na rękę.

– Tęskniłem za tobą, ty potworze.

– Ciocia Jessie ze mną siedziała. – Machnął rączką w kierunku domu.

– Wiem. – Przez krótką chwilę on i Jessie patrzyli sobie w oczy.

Jessie zeszła z ganku i podbiegła do samochodu.

– Lila, jak się czujesz? – spytała niecierpliwie, patrząc, jak dziewczyna powoli wysiada z auta.

– Nic mi nie jest. – Machnęła lekceważąco ręką. – A poczuję się jeszcze lepiej, jak się pozbędę tego paskudztwa. – Zdjęła z siebie

kołnierzyk ortopedyczny.

– Już dobrze. – Jessie przytuliła ją delikatnie.

– Nie kręci ci się w głowie? – spytała Luz.

– Nie, nie kręci mi się w głowie. – Lila mówiła to z wyraźnym rozdrażnieniem, ale drżący podbródek zdradzał skrywane głębiej uczucia. – Jestem zmęczona.

Scottie wyzwolił się z objęć Iana i zsunął na ziemię.

– A dlaczego jesteś cała brudna? Co masz na włosach? – Scottie zawsze bardzo lgnął do siostry, która na ogół opędzała się przed nim jak przed muchą. Ale gdy myślała, że nikt ich nie widzi, przytulała go do siebie czule.

– Lila! – ponaglił ją, nie słysząc odpowiedzi.

– Czego chcesz?

– Lila, a skąd masz takie paznokcie? – Chwytał ją za rękę i patrzył na jaskrawy lakier.

– Mam je od urodzenia – mruknęła.

– Nieprawda.

– Prawda.

– A właśnie że nie.

Przekomarzając się, weszli do domu. Drzwi za nimi zamknęły się z głośnym trzaśnięciem. Ian aż podskoczył, słysząc ten dźwięk.

– Jesteś blady jak ściana – powiedziała Luz, głaszcząc go po ramieniu. – Ale najgorsze już za nami. Wszystko będzie dobrze.

– Co ty opowiadasz! Luz, czy ty nic nie rozumiesz? Wszystko się nam rozpadło! Mam na swoim koncie wiele przegranych spraw, byłem przy egzekucjach morderców i niewinnych ludzi skazanych za zbrodnie, których nie popełnili. Trzymałem w ramionach zrozpaczone matki. Ale to, co się stało, jest dużo gorsze, bo dotyczy mnie osobiście. I mojej rodziny. Miałem was chronić, a tymczasem moja córka omal nie zginęła w wypadku. Zawiodłem was.

– Nikogo nie zawiodłeś – odezwała się Jessie. – To moja wina.

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

– O czym ty mówisz? – spytał Ian.

– Może usiądziemy. Lepiej będzie, jak porozmawiamy tutaj. – Wskazała na metalowe krzeselka stojące pod dębem.

Ian patrzył na nią z ciekawością. Siostra marnotrawna. Jeszcze nie oswoił się z jej obecnością. Najchętniej postawiłby między nimi mur. Ale żaden mur ani inna przeszkoda nie powstrzymałyby Jessie przed sięgnięciem po to, na co miała ochotę.

Wyglądała trochę jak postać z innej rzeczywistości. Miała długie, opalone nogi, bose stopy i pomalowane na różowo paznokcie. Na prawym obojczyku zrobiła sobie maoryski tatuaż. Zreflektował się, że przygląda jej się zbyt długo.

– Może przynieść ci kawę albo coś do picia? – zwrócił się do żony.

– Wysłuchajmy najpierw Jess. – Uśmiechnęła się do siostry zachęcająco. – Skąd ci przyszło do głowy, że to twoja wina?

– Widziałam ją z tym chłopakiem. – Głos jej się trząsł. – Wczoraj wieczorem. Nawet mi go przedstawiła. A ja pozwoliłam im na tę randkę.

Ian spojrzął na Luz, która wpatrywała się w Jessie z takim wyrazem twarzy, jakby otrzymała cios w splot słoneczny. Wyciągnął rękę i zaczął delikatnie masować kark żony. Jessie skrzyżowała ramiona na piersi. Teraz nie była już taka piękna, wyglądała raczej na zagubioną, jakby wszystko wymknęło się jej spod kontroli. W pracy często miał do czynienia z ludźmi, którzy tak wyglądali. Nie byli to skazani, lecz ich rodziny, matki siostry i córki, które na końcu swojej wędrówki po krętych drogach systemu prawnego i tak docierały do celi śmierci.

– Nie bardzo wiedziałam, która jest godzina – mówiła dalej Jessie.
– Usłyszałam jakieś głosy, więc wyszłam przed dom. Chyba byli bardziej zdziwieni niż ja. Lila przedstawiła mi go, a potem powiedziała, że idą tylko na krótki spacer nad jezioro. – Zerkała niespokojnie na Iana i Luz. – Przysięgam, nie widziałam w tym nic złego.

– Krótki spacer. – Głos Luz był lodowato ostry. – A od kiedy to chłopcy chodzą z dziewczynami na spacer o jedenastej wieczorem?

Ian wciąż masował jej kark, ale w ogóle nie zwracała na to uwagi.

– Wiem, że nie chodziło tylko o spacer. Ale do głowy mi nie przyszło, że mogą gdzieś pojechać. – Jessie potrząsnęła głową. – Nie mogę uwierzyć, że mnie oszukała.

Ian wybuchnął śmiechem.

– Na jakim ty świecie żyjesz?

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – spytała Luz.

– Przecież nie jest dzieckiem, które trzeba pilnować, żeby nie wpadło do jeziora. – Jessie patrzyła śmiało na siostrę. Ian doskonale

wiedział, ile wysiłku to wymagało. – Naprawdę, Luz, nie umiem powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

– Więc tego można było uniknąć – powiedziała Luz cicho. – Wystarczyło, żebyś...

– Ej! – Ian sam był zdziwiony, że jej przerywa. – Przecież wiesz, że to nieprawda. Jeśli Lila postanowiła, że wymknie się w nocy z domu, to dopięłaby swego, nawet gdyby Jessie nas o tym poinformowała.

Jessie spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz Ian był skupiony na Luz. Ostatnio Lila dawała jej nieźle popalić, a ona bała się o córkę i dlatego robiła się nieprzyjemna. Ian też się o nią bał, ale miał bardziej realistyczny punkt widzenia. Każdy człowiek postąpi tak, jak sam postanowi – będzie robił rzeczy głupie, szlachetne albo okrutne – i nawet własna matka nie będzie w stanie go od tego odwieść.

Luz zacisnęła usta i zamknęła na chwilę oczy. Jej mąż wyczuł, że próbuje się uspokoić.

– Ian ma rację. – powiedziała w końcu. – Nie wiedziałas, co planują, i nie mogłas ich powstrzymać. Ale mogłas przynajmniej... – Zamilkła, ale Ian był pewien, że Jessie i tak domyśliła się dalszego ciągu. Mogłas przynajmniej spróbować.

– Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Nie powinnam była się z nią spotykać – wybuchła Jessie. – Ciągnę za sobą klątwę. Wyjadę jak najszybciej.

– To akurat zawsze dobrze ci wychodziło. – Luz potrafiła być okrutna w swojej szczerości.

– A po co mam tu siedzieć?

– Bo jesteś mi, do cholery, potrzebna! – Głos Luz, zawsze tak silny

i stanowczy, załamał się. – Czy chociaż raz w życiu nie możesz zostać gdzieś na dłużej?

– Luz – szepnęła Jessie. – Proszę cię, nie płacz.

Wstały i objęły się. Ian widział ich bliskość i ich rozpacz. Pomimo szesnastu lat rozłąki więź między siostrami była wciąż tak samo silna.

– Tak samo ty mnie czasem przerażałaś – ledwie słyszalnie szepnęła Luz.

Jessie roześmiała się niepewnie.

– To ja się bałam ciebie.

Luz spojrzała na nią zdziwiona, jakby nie rozumiejąc. Ale Ian wiedział dobrze, o co chodzi.

– Powinniśmy już pójść do domu i zająć się Lilą – przypomniał.

Luz skinęła głową i wzięła go za rękę bezbronnym gestem, który jednak szybko stwardniał, znamionując zdecydowanie.

– Będę mogła z nią później porozmawiać? – spytała Jessie.

– Jasne – powiedział Ian. – Po swoim kłamstwie ma cię za co przeproszać.

Jessie nagle coś sobie uświadomiła.

– A nasze kłamstwo? Może to my powinniśmy ją przeprosić? – Śmiało patrzyła Luz w oczy. – Tak, chodzi mi o tamto kłamstwo.

Luz zeszywniała.

– Nie możemy jej teraz tego zrobić.

Ian z trudem zachowywał spokój. Może Jessie wydawało się, że to takie proste: wrócić po szesnastu latach i powiedzieć wszystko Lili. Nie mógł pojąć, dlaczego teraz ta sprawa stała się nagle tak ważna. Przecież Lila należała do niego i do Luz, zanim jeszcze przyszła na świat. I przyjazd Jessie nie mógł tego zmienić. Przynajmniej taką miał nadzieję.

– Daj spokój, Jess. Wszyscy musimy najpierw dojść do siebie.

Patrząc na jej wyraz twarzy, wiedział, że ustąpiła jedynie na krótko.

Weszli do domu. Scottie siedział przed grającym głośno telewizorem. Jadł Cheetosy, a w kubeczku miał jakiś czerwony płyn. Luz pocałowała go w główkę, a potem jednym zgrabnym ruchem odebrała mu chrupki i kubek z oranżadą, przyciszając jednocześnie telewizor. Scottie był najspokojniejszym z dzieci. Bez protestów rozsiadł się znów na kanapie i skierował uwagę na ekran.

– Będziemy na górze u twojej siostry – powiedziała Luz.

– Aha.

Kiedy weszli do jej pokoju, Lila leżała w łóżku, ale Ian był pewien, że tylko udaje sen.

– Musimy z tobą porozmawiać – oznajmił głośno.

Otworzyła oczy i spojrzała na nich obojętnie.

– Usiądź, proszę. To poważna sprawa.

– Dobrze, że mi mówisz. – Patrząc na nich wilkiem, usiadła na

łóżku i oparła się o poduszki.

– Daruj sobie ten sarkazm – powiedziała Luz lodowato. Rzadko używała tego tonu.

– A ty daruj sobie kazania – warknęła Lila. – Nie musisz mi mówić, że jestem beznadziejna. Nie musisz mi mówić, że mam szlaban do końca życia, że byliście ze mnie tacy dumni, a teraz musicie się za mnie wstydzić, i że decyzje, które teraz podejmuję, będą miały wpływ na całe moje życie, a przez to, co robię, pozbawiam się najlepszych życiowych szans...

– Przynajmniej wiemy, że nas słuchała – zauważyła Luz kwaśno.

– I że jeśli się nie poprawię, to skończę na zmywaku w nędznej restauracji...

– Dość tego. – Starał się złagodzić ton, ale i tak zabrzmiało to jak wojskowy rozkaz. – Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że twoje życie zmieniło się diametralnie. Ale wciąż jesteś naszą córką. Nie omówiliśmy jeszcze z mamą szczegółów, ale konsekwencje tego, co się stało, będą poważne.

– Proszę, co za niespodzianka.

Gdzie ona się tego nauczyła?

Telefon na dole zadzwonił i szybko umilkł, widocznie Jessie go odebrała.

Lila bez wahania sięgnęła po bezprzewodową słuchawkę, ale Luz ją ubiegła.

– Chwileczkę! – zawołała Lila buńczucznie. – To na pewno do mnie. Na pewno jakieś wieści od moich przyjaciół. Muszę wiedzieć, co

z nimi.

– Dowiem się wszystkiego za ciebie. Na telefon też masz szlaban. Tak samo jak na stereo, telewizor i komputer.

– Zaraz, o co tutaj chodzi? – zaprotestowała Lila. – Nie możecie mnie odciąć od...

– Sama siebie odciąłeś – zauważył Ian. – Wiedziałaś przecież, że takim zachowaniem możesz się pozbawić wszelkich przywilejów.

Zbladła bardziej niż zwykle.

– Przepraszam – powiedziała. – Postąpiłam głupio, ale już nigdy czegoś takiego nie zrobię. W porządku?

– Co do jednego jesteśmy zgodni: to było głupie. – Twarz Luz złagodniała. Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać córkę po ramieniu. – Kochanie, przecież wiesz, jak bardzo cię kochamy.

– Coś jeszcze? – Lila odsunęła się.

Luz opuściła dłoń, ale nie zareagowała na to odtrącenie.

– W pokoju trzeba wprowadzić zmiany. – Zaczęła wymieniać je po kolei. – Od roku nie widziałam tu podłogi. Rockowe plakaty mają zniknąć, a potem pomalujesz ściany.

– Chcesz powiedzieć, że ten wypadek wydarzył się z powodu plakatów?

Luz zignorowała tę uwagę.

– Chcę powiedzieć, że plakaty mają pójść do śmieci. Do szkoły i ze szkoły będziesz jeździła autobusem. Żadnych przejazdów

z kolegami – wymieniała warunki aresztu domowego z lodowatą furją.

– I myślisz że to cokolwiek zmieni? – rzuciła zaczepnie Lila. – Jeszcze bardziej będę cię nienawidzić.

– Nie odzywaj się do mamy w ten sposób! – zwrócił jej uwagę Ian.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Możesz mnie nienawidzić, ale przynajmniej będziesz żyła – powiedziała Luz, nie dając po sobie poznać, jak bardzo ją to zabolalo. – Nie spodziewam się żadnej wdzięczności z twojej strony, ale przynajmniej nadal będę miała córkę.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Na końcu korytarza była łazienka z prysznicem. Rozplakała się dopiero tam, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć, a woda od razu zmywała gorzkie łzy.

– A po co ja jej jestem żywa? – krzyknęła Lila, która nie nauczyła się jeszcze powstrzymywać płaczu. – Przecież ona mnie nienawidzi.

– Wiesz przecież, że to nieprawda – powiedział Ian.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Nie powinieneś być sam, ile razy mam ci to powtarzać.

– Mamo, nie jestem sam. – Dusty mówił do telefonu lekko zniecierpliwionym głosem.

– Jesteś mężczyzną w kwiecie wieku – ciągnęła, jakby nie słysząc jego słów. – Najwyższy czas zostawić przeszłość za sobą.

Patrzył na Amber, która w skupieniu budowała z klocków wieżę.

– Dobrze, mamo.

– No właśnie, córka Leafy Willis przeniosła się do swojej rezydencji w Austin i nie zna tu nikogo...

– Daj mi numer, zadzwonię do niej. – Już dawno nauczył się, że z matką lepiej się nie kłócić. Poza tym musiał jej przyznać rację, przynajmniej częściowo. Ze względu na Amber powinien wreszcie wyjść ze swojej skorupy i zacząć normalnie żyć. Czasem czuł się cholernie samotny. Ale nie tęsknił za tymi wszystkimi przesłodzonymi lalkami, które podsyłała mu matka. Wdowieństwo przyciągało do niego piękne kobiety – niestety, żadna nie była w jego typie.

Podawała mu numer telefonu.

– Ma na imię Tiffani, przez „i”.

Zamilkł na chwilę, udając, że notuje.

– Zapisałem.

– Jest neurochirurgiem. Zadzwon do niej i zaproś na kolację.

I pamiętaj, że w tym tygodniu masz mi przywieźć Amber.

– Rozkaz, proszę pani.

– Świetnie. A teraz daj mi Amber do telefonu.

– Mamo, przecież ona nie umie jeszcze mówić.

– I nigdy się nie nauczy, jeśli nie pozwolisz jej rozmawiać z babcią. Daj mi moją wnuczkę do telefonu, nie widziałam jej od dwóch tygodni. Gdybyś się przeprowadził do Austin, tak jak radziliśmy...

– Już ci ją daję. – Nie miał najmniejszej ochoty dyskutować z matką o swojej decyzji osiedlenia się w Edenville. Podał słuchawkę Amber. – Proszę, mała. Babcia Weezy chce z tobą rozmawiać. – Przezwise „Babcia Weezy” wymyślił najstarszy syn siostry Dusty’ego i od tamtej pory wszystkie wnuki ją tak nazywały.

Dziewczynka przycisnęła słuchawkę do ucha. Doskonale wiedziała, w jakiej pozycji należy ją trzymać.

Dusty stał obok i obserwował córkę. Przechyliła lekko główkę, jak ktoś, kto uważnie słucha swojego rozmówcy. O czym kobiety ze sobą rozmawiają? Wychowywał się w domu pełnym kobiet – z trzema siostrami o wysokich wymaganiach i matką typu alfa – więc wiedział, że potrafią rozmawiać bez przerwy, ale nie umiał sobie przypomnieć żadnego konkretnego tematu. Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiał rytmów kobiecego serca, nie pojmował, w jakim kierunku podąża kobiecy umysł. Dlatego poważnie obawiał się, czy będzie umiał wychować córkę. A to właśnie robił. O czym będą ze sobą rozmawiali, gdy Amber nauczy się mówić?

Z całą powagą gadała coś w swoim języku do telefonu, przerywała na chwilę, żeby posłuchać, i znów coś mówiła. W końcu znudzony się tą zabawą, położyła słuchawkę na podłodze i odeszła. Dusty podniósł

telefon, ale matka już się rozłączyła.

W pokoju pojawił się Arnufu z plikiem listów i innych przesyłek. Rzucił pocztę na stół i ruszył w kierunku Amber. Pico, który plątał się u jego stóp, zatrzymał się przy swojej misce.

– Ta! – zawołała Amber na jego widok.

– I jak się dziś czuje nasza księżniczka? – Podniósł ją wysoko, na co Amber zareagowała radosnym i bardzo głośnym chichotem.

– Jest bardzo gadatliwa. – Dusty usiadł przy stole, żeby przejrzeć pocztę. Duży tytuł na pierwszej stronie „Edenville Register” przykuł jego uwagę. Wziął gazetę i zaczął czytać. – Jezu! – mruknął.

– Nie wzywaj mienia Pana nadaremno, zwłaszcza w obecności dziecka – skarcił go Arnufu.

– Wczoraj w nocy na wzgórzach przewrócił się samochód wypakowany nastolatkami – powiedział Dusty. – Byłam tam córka Benningsów i Ian musiał natychmiast wracać. – Dusty wiedział, że długo jeszcze będzie pamiętał widok Iana na pasie startowym. On też miał okazję się przekonać, że życie ludzkie jest bardzo kruche. Wszystko może się zmienić dosłownie w ułamku sekundy.

Wrócił do lektury. „Jedno z dzieci nie żyje”. Nazwisko ofiary zostanie ujawnione po powiadomieniu rodziny.

To niemożliwe, żeby chodziło o córkę Iana, ale przy takim wypadku nigdy nie wiadomo. Wpatrywał się w zdjęcie roztrzaskanego dzipa. A jeszcze wczoraj te dzieciaki odrabiały lekcje, grały w piłkę, siadały w domu do kolacji, kłóciły się z rodzicami.

Arnufu przeżegnał się, na co Amber dotknęła czoła piąstką, próbując go naśladować. Pocałował ją i postawił na podłodze.

– Straszna rzecz – mruknął, odkładając gazetę. – Jak masz dzieci, to masz zmartwienia, nie da się tego uniknąć.

Arnufu nalał sobie do kubka kawy, drugi podał Dusty’emu.

– A dlaczego chciałbyś tego uniknąć?

– Bo to cholernie boli.

– Co z tego? Prawdziwy mężczyzna umie znosić ból.

– A prawdziwy idiota go szuka.

– A tchórz przed nim ucieka. – Arnufu znów wziął Amber na rękę.
– No i co na to poradzić? Przecież nie oddasz jej Cyganom, prawda?

– No cóż, muszę się chyba z tym pogodzić.

– Ja mam pięć córek, i każda z nich przysporzyła mi wiele smutku. Ale dzięki temu wiedziałem, że żyję, że wciąż mam serce, skoro mogę się smucić. To wcale nie takie straszne.

Dusty patrzył na pyzată buzię córki. W jej uśmiechu zobaczył nagle twarz Karen.

– Masz rację. To wcale nie takie straszne.

– Ona da ci też wiele radości i szczęścia.

– Raczej bezsenne noce i rachunki za szkołę.

– Jeszcze podziękujesz za to Bogu. – Arnufu dał małej pić i postawił ją na podłodze.

Amber była wyraźnie senna. Kiedy zbliżała się pora drzemki, nie chodziła, tylko raczkowała, nie męczyła też tak bardzo Pica. Dusty wrócił do poczty. Otworzył dużą kopertę od Blair LaBorde. Ta kobieta była nieustępliwa, musiał jej to przyznać.

W środku znalazł egzemplarz „Enquirer” złożony tak, że widać było artykuł z wielkim tytułem: „Martwa matka rodzi zdrowe dziecko”. Przy tekście znajdowały się niewyraźne zdjęcia zrobione w szpitalu w Fairbanks – jego oraz kobiety w śpiączce i noworodka. Przez chwilę patrzył, nie do końca rozumiejąc, co to znaczy. Miał wrażenie, że uchodzi z niego całe powietrze. A potem poczuł, jak ogarnia go wściekłość.

Zwinął gazetę w kulę i rzucił na podłogę. Takim samym ruchem chwycił telefon i wybrał numer, który znał już na pamięć.

– Doprowadziła mnie pani do granicy wytrzymałości, pani LaBorde – rzucił, gdy podniosła słuchawkę.

– Więc dostał pan moją przesyłkę? – Nie była zaskoczona. Wiedziała doskonale, jak zareaguje. – Ohydny artykuł, prawda?

– Nie czytałem go.

– Jest ohydny, niech mi pan wierzy.

– Pani się na tym zna najlepiej.

Niezrażona ciągnęła dalej:

– Jest pan strasznie uparty. Ale chce pan to zostawić bez odpowiedzi? Chce pan, żeby to była ostateczna wersja wydarzeń? Niech pan posłucha, nie znam ani pana, ani pańskiej historii. Ale wiem, że jest zupełnie inna od tego, co kobieta, która chce uchodzić za najbliższą przyjaciółkę pańskiej żony, sprzedała temu szmatławcowi. Chce pan,

żeby pańska córka przeczytała kiedyś taką wersję?

– Zanim dorośnie, ta historia będzie przebrzmiała. Nawet za tydzień nikt już o niej nie będzie pamiętał.

– Może tak, a może nie. Ludzie chętnie kłamią za pieniądze, a mój wydawca oferuje panu pieniądze za prawdę. Taka suma mogłaby zabezpieczyć pańskiej córce przyszłość.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Gdyby chciał, to już dawno sprzedałby swoją historię temu, kto da najwyższą cenę. Stworzył sobie zbroję, która miała oddzielać go

od innych ludzi. W szpitalu zapowiedział, że nie życzy sobie, by na zewnątrz wyciekły jakiegokolwiek informacje o tym, co się stało. Do tej pory nikt nie naruszał jego prywatności. Niestety, prasie – w eleganckiej postaci Blair LaBorde – udało się go wytropić.

– O swoją córkę sam potrafię zadbać – zauważył chłodno.

– Nie wątpię, że zrobiłby pan dla niej wszystko, panie Matlock.

Usłyszał jednak to, czego Blair LaBorde nie dopowiedziała. Pewnego dnia może spotkać go to samo co Karen. Ona też powtarzała z wielkim przekonaniem: „Potrafię zadbać o swoją córkę”. Miała wszelkie powody, żeby tak myśleć, przecież była młoda, zdrowa i silna. Niestety nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się stanie jutro.

Spojrzał jeszcze raz na gazetę. Nadine Edison opowiedziała im tę historię dla pieniędzy, bezlitośnie odsłaniając wszystko, czego się dowiedziała dzięki swojemu wścibstwu. A jeśli Amber kiedyś to przeczyta?

– Na czym polega wyłączność? – W jego głosie nie było już złości, lecz zmęczenie.

– Opowie pan tę historię jedynie mojej gazecie.

– To mogę zagwarantować.

– Zajmę panu najwyżej dwa dni. Może nawet jeden.

Skrzywił się na myśl o długich rozmowach z tą kobietą.

– Dam pani znać. – Pożegnał się szorstko i odłożył słuchawkę.

– Powinieneś się zgodzić – powiedział Arnufu, domyśliwszy się, czego dotyczyła rozmowa.

– A ty powinieneś pilnować swojego nosa – mruknął Dusty, choć wiedział, że stary przyjaciel nie skorzysta z tej rady.

– Nie znałem twojej żony za dobrze – ciągnął Arnufu. – Ale wiem, że była praktyczną kobietą i miała serce lwicy. Uznałaby, że to bardzo piękna historia. Zresztą Amber jest tego dowodem.

Dusty nie mógł zaprzeczyć, Karen była bardzo racjonalną osobą. Przy podejmowaniu wszystkich decyzji kierowała się rozsądkiem. Kochała go miłością czystą i nieskomplikowaną. Była najbardziej szczerą i uczciwą osobą na świecie. Wydawało mu się, że słyszy jej cichy szept: „Chcą ci zapłacić za to, że opowiesz im o czymś, co wydarzyło się naprawdę. Co w tym złego?”.

– To nie byłoby w porządku. – Dusty pokręcił głową.

Arnufu wskazał gazetę.

– A to jest w porządku? Ja tam lubię „Texas Life”. Mają dobre zdjęcia i dobre przepisy. I dobrze piszą o polityce. – Skończył kawę, westchnął z zadowolenia i patrzył, jak Dusty przegląda kontrakt

przysłany razem z gazetą.

– Sprawa jest uczciwa od początku do końca – stwierdził. –
Opowiesz światu o tragedii i o cudzie. Świat potrzebuje takich historii.

– Guzik mnie obchodzi, czego świat potrzebuje. Tu nie chodzi
o świat, tylko o moją córkę.

– Więc opowiedz, jak było naprawdę. – Arnufu wstał i wyszedł na
dwór zapalić cygaro.

Tak naprawdę to Karen podjęła tę decyzję. Amber przeczołgała się
przez cały pokój niczym pojazd gąsienicowy, chwyciła Dusty’ego za
nogawkę i podciągnęła się do góry. Sięgała mu do kolana. Odchyliła do
tyłu główkę. Miała takie same oczy jak Karen, duże, o niewinnym
spojrzeniu. I uśmiechała się tak jak ona.

Poczuł, jak zalewa go potężna fala miłości i opiekuńczości. Miał
wrażenie, że Karen stoi tuż obok niego, że słyszy bicie jej serca.

Nie spuszczać oka z córki, sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jessie sama przydzieliła sobie obowiązki telefonistki. Postanowiła, że będzie chronić Iana i Luz przed zdenerwowanymi rodzicami innych dzieci, przed nauczycielami i dziennikarzami, przed urzędnikami z wydziału komunikacji i inspektorem z towarzystwa ubezpieczeniowego. Urządziła nawet prowizoryczne stanowisko pracy przy stole na tarasie – miała tu telefon bezprzewodowy, notes, ołówek i szklanekę z mrożoną herbatą. Jej najmłodszy siostrzeniec bujał się na huśtawce z opony zawieszanej na pobliskim dębie.

Większość rozmówców w pierwszej chwili brała ją za Luz. Miała do niej bardzo podobny głos, chociaż akcent chwilami brzmiał dziwnie, w zdaniach pojawiały się nowozelandzkie konstrukcje i zwroty.

– Nie wiedziałam, że Luz w ogóle ma siostrę – powiedziała napastliwie jakaś dama z Kościoła Baptistów.

– A ja nie wiedziałam, że Luz w ogóle chodzi do kościoła – odparowała Jessie.

Tyle rzeczy nie wiedziała o swojej siostrze. Przez te wszystkie lata utrzymywały ze sobą kontakt, oczywiście Luz pilnowała tego bardziej sumiennie niż Jessie. I to ona głównie pytała, co u Jessie słychać. Skrzywiła się, zdając sobie sprawę, jak bardzo była skupiona na sobie. Uznała, że jej życie jest dużo ciekawsze niż życie Luz i chętnie opowiadała o swoich przygodach. Niektóre e-maile przypominały wręcz relacje podróżników próbujących przybliżyć egzotyczne miejsca ludziom, którzy nigdy tam nie dotrą.

Przy piątym telefonie miała już wypracowaną formułkę. Lila odniosła niewielkie obrażenia i została wypisana ze szpitala. Naprawdę nie ma pojęcia, w jakim stanie są pozostałe dzieci, nie wolno jej też podawać ich nazwisk. Nie, nie wie, kto siedział za kierownicą ani do

kogo należy samochód.

To akurat było kłamstwem. Prowadził Heath, nastoletni przystojniak zgrywający wioskowego głupka.

Większość osób dzwoniła, żeby okazać troskę, wsparcie i współczucie. Ale niektórzy byli obcesowi, jak chociażby ta kobieta z kościoła. Jednak kroplą, która przelała czarę, był Grady Watkins, prawnik specjalizujący się w odszkodowaniach.

– Jest pan znajomym Benningsów? – spytała Jessie.

– Proszę pani, wiem, że to dla rodziny bardzo trudne chwile i wolałbym, żeby przy tym wszystkim nie pojawiły się dodatkowe problemy finansowe.

– Nie wątpię, że pan by wolał. Więc co pan proponuje? Pozwać kierowcę, jego rodzinę, producenta samochodu, producenta opon i szpital? To byłby dobry start.

– Proszę pani, moim zadaniem jest sprawdzić, jakie działania będą najbardziej korzystne i sprawiedliwe dla ofiar tej strasznej tragedii.

– A pańskie honorarium wynosi...?

– To kwestia negocjacji z ofiarą i jej rodziną – odpowiedział gładko.

Przerwała rozmowę. Wszyscy prawnicy to szumowiny. Z wyjątkiem jej szwagra.

Dopisała ten telefon do listy, oznaczając go rysunkiem rozzłoszczonej twarzy. Wypadek wytrącił Jessie z równowagi. Kiedy Luz obudziła ją w środku nocy, poczuła panikę. Lila mogła być ranna! A lekarze mogli potrzebować ważnych z medycznego punktu widzenia

informacji, jak chociażby to, kim są jej biologiczni rodzice.

Po spięciu z Ianem i Luz ta myśl nie dawała już jej spokoju. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że najwyższy czas powiedzieć całą prawdę. Poza względami medycznymi Lila po prostu miała prawo wiedzieć, kim naprawdę jest.

Luz sama przyznała, że od jakiegoś czasu mieli z córką problemy. Ale jak ujawnienie tajemnicy odbije się na Lili? Z pewnością nie zamieni jej w pilną uczennicę,

ale czy przypadkiem nie zaszkodzi? Komu to pomoże? A kogo zrani?

Westchnęła ciężko i spojrzała na Scottiego. Siedząc na huśtawce, szurał nóżkami po piasku, bezskutecznie próbując odepchnąć się od ziemi.

– Ej, szefie! – zawołała Jessie. – Pobujać cię?

– Tak! – pisnął radośnie.

Popchnęła huśtawkę.

– Trzymaj się mocno!

Patrząc, jak Scottie zaciska dłonie na linie i unosząc się, odchyła do tyłu głowę, Jessie poczuła nagły lęk. Jeszcze wczoraj nigdy by nie pomyślała, że zabawa na huśtawce może być niebezpieczna, a teraz przez umysł przebiegło jej kilka scenariuszy, a każdy następny straszniejszy od poprzedniego. Dopiero teraz dotarło do niej, że wychowywaniu dzieci towarzyszy nieustanny lęk, że oto za chwilę może dojść do jakiejś tragedii.

– Trzymasz się? – spytała.

– Trzymam.

– Na pewno?

– Na pewno.

Bujała go coraz wyżej, gdy nagle na skraju pola widzenia pojawił się cień.

Nie, tylko nie teraz!

Nie czuła bólu, zobaczyła jedynie pulsujące światło, a po nim ciemną mgłę.

Błagam!

Bardzo długo nie umiała się modlić, ale nauczyła się tego, gdy dwa lata temu lekarze powiedzieli jej o chorobie. Modliła się w prostych słowach, jak dziecko zanoszące pełne rozpacz prośby.

Błagam, spraw, żeby to mnie nie spotkało.

Czuła złość, widząc, że nikt jej modlitw nie słucha. Ale może powinna była modlić się o coś innego? Specjaliści, do których się zgłaszała, przyznawali niechętnie, że nic nie mogą zrobić. A sądząc po zmniejszającym się szybko polu widzenia, zostało jej już niewiele czasu.

To nastąpi dość szybko, powiedział doktor Tso. Siedzieli w schludnym, luksusowo urządzonej gabinecie w Tajpej. A doktor Hadden z Auckland posunął się jeszcze dalej: „Jeśli jest ktoś, kogo chciałaby pani zobaczyć po raz ostatni, proszę nie zwlekać”.

Ktoś, kogo chciałaby pani zobaczyć po raz ostatni...

To te słowa kazały jej wrócić do domu. Tylko że na razie stała się jedynie przyczyną kłopotów.

Scottie, który niczego nie zauważył, podniósł buzię w górę i patrzył na niebo.

– Patrz! – krzyknął. – Ciocia, widzę cały świat!

– Super! A teraz sam się bujaj, machaj nogami. Muszę gdzieś zadzwonić.

Z zapinanej na suwak przypiętej do paska jedwabnej torebki wyjęła portfel. W ciągu wielu lat podróży nauczyła się trzymać najpotrzebniejsze rzeczy przy sobie.

Odezwało się w niej echo dawnego niepokoju, gdy spomiędzy kartek często używanego paszportu wyjęła zapomnianą kartę pokładową. Po tym, jak oddała swoje dziecko, przemierzyła niemal cały świat, jakby czegoś nieustannie szukała. Zawsze miała wrażenie, że w jej życiu, w jej sercu i we wszystkim, co robi, czegoś brakuje. Próbowwała odnaleźć spełnienie i wydawało jej się, że takim spełnieniem będą podróże do najpiękniejszych zakątków świata. Zdjęcia, które robiła, nie przyniosły fortuny, ale przynajmniej pozwoliły pokrywać koszty leczenia w szpitalu.

I tak jak pustkę w życiu Jessie miały wypełnić podróże, tak Luz znalazła na to dużo prostszy sposób. Wyszła za męża, urodziła dzieci, wróciła do rodzinnego domu. Jessie zastanawiała się, czy siostra naprawdę jest szczęśliwa. Ciekawa była, czy odważy się zadać jej to pytanie. Bo co będzie, jeśli usłyszy przeczącą odpowiedź?

Usiadła przy stole i wyjęła z portfela białą wizytówkę. Widniał na niej rysunek pospolitego ptaszka i dwie linijki złotych, wytłaczanych liter. Glenny Ryder. Mistrzyni golfa. Nic poza tym. Co pewnie było najlepszym wyborem. Te dwa słowa najlepiej do Glenny pasowały.

Nawet córki myślały o niej w ten sposób.

Każde inne określenie nie byłoby trafne. Glenny Ryder, matka dwojga dzieci, nie brzmiało dobrze. Urodziła co prawda dwie córki, nawet je po swojemu kochała, ale ich nie wychowała.

Jessie obracała wizytówkę w palcach. A może Glenny Ryder – żona? To też do niej nie pasowało. Spędziła w stanie małżeńskim w sumie ponad trzydzieści lat, ale z czterema różnymi mężami. Już lepiej Glenny Ryder – seryjna żona.

Przechyliwszy wizytówkę, odczytała numer, którego nigdy nie zapamiętała, bowiem zmieniał się tak często, a ona tak rzadko dzwoniła. Na odwrocie dopisała trzy nowe numery, skreślając poprzednie. Wybrała ostatni.

– Halo!

Jessie dopiero po chwili przypomniała sobie imię ojczyma.

– Czy rozmawiam ze Stuartem?

– Luz?

– Nie, mówi Jessie.

– Witaj, Jessie. Co tam u ciebie? – Miał miły głos, który przypominał głos prezentera nocnego programu radiowego.

Zagryzła wargę.

– Przyjechałam do Stanów i zatrzymałam się u siostry.

– To świetnie. Pewnie jesteście szczęśliwe, że mogłyście się w końcu zobaczyć.

– Aha. – Jessie przymknęła oczy, próbując go sobie wyobrazić. Matka zawsze przyciągała do siebie przystojnych, czarujących mężczyzn. Wbrew dobrym radom wychodziła za nich, a oni nieodpowiedzialnie obchodzili się z jej pieniędzmi. Stuart z pewnością nie był wyjątkiem. Luz została zaproszona na ślub, który odbył się kilka lat temu w Las Vegas. I oczywiście przysłała Jessie zdjęcia. Jessie dość słabo pamiętała przystojnego mężczyznę siedzącego za stołem obok szczęśliwej panny młodej. Na szczęście nie był młodszy od żony. Matka miała na sobie obcisłą suknię z jedwabiu w bursztynowym kolorze. Na nagie ramiona opadały rude włosy, zbyt długie jak na jej wiek. Ale skoro Ann-Margret mogła mieć taką fryzurę, to ona też.

– Mama w domu?

– Nie, jest w klubie.

– Mogłam się spodziewać – powiedziała Jessie kwaśno.

– Coraz lepiej jej idzie. Musisz być z niej dumna.

– Jasne.

– Ale ma też komórkę, choć używa jej wyłącznie do ważnych spraw.

Zapisała numer.

– Dzięki, Stuart.

– Nie ma za co. Wszystko u was dobrze?

Zawahala się.

– Tak, świetnie. Ale muszę z nią porozmawiać.

– Na pewno się ucieszy.

Jessie rozłączyła się i zaczęła nerwowo bębnić palcami o blat. Wyłącznie do ważnych spraw. Ciekawe, co to znaczy. Dla jej matki ważną sprawą był spóźniony przelew za tantiemy z reklam albo konieczność wyważenia któregoś z kijów.

Tak naprawdę Glenny Ryder nie była złą kobietą, nie była nawet złą matką. Po prostu wychowywała córki w niekonwencjonalny sposób. Przejechały tysiące kilometrów, od Augusty do Palm Springs, śpiewając po drodze piosenki Jackson Brown i Carole King.

W miastach takich jak Palm Springs mieszkały jak biedota. Zatrzymywały się na przedmieściach w obskurnych motelach z wysłużonym neonem „Wolne pokoje” i banalną nazwą typu „Zajazd pod Gwiazdami”. W ciągu roku szkolnego mieszkały w domu nad jeziorem, zdane na łaskę uprzejmych sąsiadów i wynajmowanych opiekunek, dopóki Jessie i Luz nie dorosły na tyle, żeby same się sobą zajmować. Zdaniem Glenny nastąpiło to wtedy, gdy Luz skończyła dziewięć lat i dosięgała do schowka na klucze nad parapetem.

Nigdy nie przydarzyło się im poważniejsze nieszczęście – czy to za sprawą zwykłego fartu, czy wrodzonej mądrości. Właściwie wychowywały się same. Luz była pilna i pracowita, Jessie dzika i zbuntowana. Glenny zajmowała się kolekcjonowaniem trofeów sportowych i mężów – ci ostatni zawsze okazywali się mniej trwali i mniej przydatni. Dziewczynki nauczyły się radzić sobie ze swoimi problemami, zanim Glenny się o nich dowiadywała. Robiły wszystko, żeby nie zawracać matce głowy trudnymi sprawami. Od najmłodszych lat wiedziały, że należy jej się wyrozumiałość. Kariera matki zapewniała im paliwo do samochodu oraz jedzenie, więc była najważniejsza.

Wkrótce stało się to rutyną, niepisaną regułą. Nie wymagaj od Glenny zbyt wiele, bo niedługo ma turniej. Jeśli jej kiepsko pójdzie...

No cóż, teraz jest nawet gorzej niż kiepsko, pomyślała Jessie. Znacznie gorzej, niż kiedykolwiek mogły przypuszczać. Przecież gdzieś na świecie na pewno istnieje podręcznik z listą rzeczy, które należy zrobić, gdy świat rozpada się na kawałki. I na pewno pierwszy punkt na tej liście brzmi: zadzwoń do mamy.

Ale Glenny Ryder była inna niż większość matek. W zasadzie była niepodobna do żadnej matki.

Cześć, mamó. Niedługo oślepnę, a Lila wymknęła się w nocy z domu i omal nie zginęła w wypadku razem z bandą pijanych nastolatków. Co u ciebie?

Wystukała numer. Słuchając sygnału, wyobrażała sobie sztuczną zieleń pola golfowego, pasy murawy biegnące obok klombów z jukką i karnegią, małe jezioro dające złudzenie chłodu w pustynnym upale.

W słuchawce odezwał się przyciszony głos.

– Tu telefon Glenny Ryder.

Tylko matka miała osobę do odbierania telefonów na polu golfowym.

– Mówi jej córka Jessie. Muszę z nią porozmawiać.

– Jess? Cześć, dziecino. Masz głos podobny do Luz.

Dopiero teraz rozpoznała Bucky McCabe, która od dwudziestu pięciu lat nosiła za jej matką kije. To był najdłuższy i najlepszy związek w całym życiu Glenny.

Jessie uśmiechnęła się.

– Cześć. Ciągłe chodzisz za mamą?

– Ktoś to musi robić.

– W czym wam przeszkodziłam?

– Nie martw się, telefon jest ustawiony na wibracje, a nie na dzwonek.

– Bardzo sprytnie. Dasz mi Glenny?

– Jasne. – Bucky zawahała się. – Chętnie bym cię zobaczyła, kwiatuszku.

– Ja ciebie też.

Po chwili w słuchawce rozległ się inny głos.

– Jessica Didrickson Ryder, to naprawdę ty? – Glenny mówiła szeptem, żeby przypadkiem nie przeszkodzić innym golfistom.

– Cześć, Glenny. Wiem, że jesteś w środku rozgrywki, ale mam ważną sprawę.

– Co się stało?

Boże, nie wiedziała, od czego zacząć.

– Wróciłam do Stanów – powiedziała. – Zatrzymałam się u Luz.

– Witaj w domu. Jaki masz problem? – Koktajle wypijane na licznych przyjęciach i kolejne paczki Virginia Slims sprawiły, że głos Glenny stał się lekko ochryply.

Jessie nie mogła pojąć, dlaczego telefon do matki wydał jej się

dobrym pomysłem.

– Luz ma mały problem z Lila. A ja... – Zamilkła. Słowa uwięzły jej w gardle. Jak ma to komukolwiek wytłumaczyć? Choroba miała swoją nazwę, opisane objawy. Ale nie miała jednego: skutecznej metody leczenia. Nie bardzo rozumiała, dlaczego miałyby o tym mówić matce. – Nieważne. Wczoraj Lila wybrała się z kolegami na nocną przejażdżkę. Mieli wypadek.

– Boże!

– Nic jej nie jest – powiedziała szybko Jessie. – Inne dzieci są w gorszym stanie. – Zamknęła oczy, zastanawiając się, co Lila widziała, słyszała i czuła. Jak długo ten koszmar będzie ją jeszcze dręczył? Kiedy zacznie zadawać trudne pytania o swoich przyjaciół? Jak jej kruche, nastoletnie serce przyjmie straszną wiadomość?

– Luz jest mocno podłamana. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

Glenny westchnęła ciężko.

– Biedactwo.

Jessie nie umiała zgadnąć, czy odnosi się to do Luz, czy do Lili.

– Mamy za sobą nieprzespaną noc.

– Przyjechać do was?

Jessie wydawało się, że matka nie powinna nawet zadać takiego pytania. Prawdziwa matka wie. „Przyjechać do was?”.

Otworzyła oczy.

– Nie wiem – powiedziała z pełną szczerością. – To zależy od

ciebie.

– Stu ma w przyszłym tygodniu konferencję w Phoenix... Boję się, że teraz będę wam tylko przeszkadzać. – Już zaczęła się wycofywać. Tak naprawdę chciała usłyszeć od Jessie „Masz rację, lepiej poczekać, aż wszystko się trochę uspokoi”. Co oczywiście by znaczyło, że matka nie przyjedzie nigdy.

– Wcale byś nie przeszkadzała. W domkach jest dużo miejsca.

– Sama nie wiem... Nawet nie znasz jeszcze Stuarta.

Jessie ugryzła się w język. Miała ochotę powiedzieć, że matka często przyprawiała do domu mężczyzn, których jej córki nie znały.

– Tym bardziej powinniście przyjechać. Chciałabym go wreszcie poznać.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Jessie wiedziała, co to znaczy. Sama często posługiwała się tą frazą. Zastępowała słowo „nie”, znaczyła to samo, tylko w łagodniejszej formie.

Dzięki czemu sprawiała, że druga strona nie miała już nic do powiedzenia.

Usłyszała sygnał oznaczający, że czeka drugie połączenie.

– Mam drugi telefon – powiedziała.

– W takim razie nie będę cię zatrzymywać.

Już dawno przestałaś mnie zatrzymywać, mamo.

Zerkając czujnie na Scottiego, odebrała następny telefon. A potem kilka kolejnych. Dzwonili znajomi, sąsiedzi, nauczyciele, jakieś osoby z firmy prawniczej Iana. Nadal jednak nie było żadnych wiadomości od rodziców pozostałych dzieciaków. Posłusznie zapisywała numery telefonów, w krótkich słowach przedstawiała przebieg wypadku i dziękowała rozmówcy za pamięć i troskę.

W pewnym momencie spanikowana zrobiła szybki test wzroku. Wysunęła przed siebie palec na odległość ramienia i zaczęła go powoli przesuwając w bok, starając się zauważyć, w którym miejscu przestaje go widzieć.

– Co robisz? – spytał z zaciekawieniem Scottie.

– Patrzę, kiedy palec zniknie.

Zaczął ją naśladować, ale odwracał głowę za ruchem palca.

– Nie oszukuj! Musisz patrzeć prosto przed siebie.

– Dlaczego? Jak ruszam głową, to go lepiej widzę.

Roześmiała się.

– Masz rację, kowboju. Jeśli nie widzisz czegoś kątem oka, to po prostu odwróć głowę.

– Aha.

Kto by pomyślał, że rozmowa z czterolatkiem może być taka pouczająca.

W odróżnieniu od niego Lila nie była ani szczerą, ani prostolinijną. Pokazała, że potrafi być sprytna i fałszywa. A jednocześnie była urocza, dowcipna i piękna. Jessie wyczuwała w niej coś znajomego. Ta sama

dziwna energia sprawiała, że Jessie popełniła w życiu tyle głupstw – sypiała z mężczyznami, których nie kochała, za łatwo się poddawała, zbyt szybko odchodziła. Podjęła decyzję w sprawie dziecka pod wpływem bólu i strachu.

Wierzyła wówczas, że adopcja jest najlepszym wyjściem, ale skutki tego planu uderzyły w nią rykoszetem. Dlaczego? Przez cały czas starała się trzymać od córki z daleka. To była przecież część umowy, którą zawarła z Bogiem. Oddała córkę w najlepsze ręce, zaopiekowała się nią siostra. Chciała mieć pewność, że Lila nie stanie się taka sama jak jej biologiczna matka.

Ale wszystko wskazywało na to, że Lila zmierza dokładnie w tym samym kierunku.

Scottie wrócił do zabawy na huśtawce. Telefon znów zadzwonił.

– Dom Benningsów, słucham.

Chwila milczenia.

– Chciałabym rozmawiać z Jessie Ryder.

Zaskoczona uniosła brwi.

– Słucham, to ja.

– Mówi Blair LaBorde z „Texas Life”.

Jessie rozpoznała głos swojej dawnej nauczycielki dziennikarstwa.

– Nie spodziewałam się, że tak szybko się odezwiesz.

– A ja nie myślałam, że tak szybko coś dla ciebie znajdę. I na dodatek niemal na twoim podwórku.

Jessie aż się zagotowała w środku.

– Chyba nie chcesz, żebym zrobiła materiał o wypadku...

– O wypadku? – w głosie Blair pojawiła się czujność. – A co masz na myśli?

Jessie wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem, zła na siebie, że nie trzymała języka za zębami.

– Więc nie chodzi ci o tego rozbitego dzipa?

– Nie. Ale może warto się tym zająć.

– Za żadne pieniądze! – Uznała jednak, że Blair należą się pewne wyjaśnienia. I tak niedługo dowie się o wszystkim. Opowiedziała więc o wypadku, starając się, by zabrzmiało to spokojnie i rzeczowo.

– Sześcioro nastolatków! – Blair gwizdnęła cicho. – Niezła historia.

– To niewielka społeczność. Ludzie bardzo to przeżyli. – Postanowiła nie mówić, że wypadek dotknął też jej rodzinę. – A co mi chciałaś zlecić?

– Chodzi o tę starą sprawę, o której ci wspominałam. Węszę koło tego już od jakiegoś czasu. To mógłby być całkiem duży materiał.

Był to szyfr oznaczający „Zapłacimy nieco więcej niż tylko marną wierszówkę”. Jessie ożywiła się na myśl o pracy.

– Słucham, mów.

– Jakiś czas temu moje pismo chciało zamieścić reportaż

o pewnym mieszkańcu Edenville, ale daliśmy sobie spokój. Kiedy jednak wspomniałaś, że wróciłaś w tamte

okolice, to uznałam, że moglibyśmy odgrzebać sprawę.

Jessie zamarła. Boże, a jeśli chodzi o Iana? Ian Benning, szlachetny prawnik bez grosza przy duszy, walczący o sprawiedliwość wbrew woli swojego ojca, polityka o konserwatywnych poglądach. Świetnie nadawał się na bohatera historii o starciu Davida z Goliatem.

– Żartujesz! Kto to jest?

– Nikt znany. Historia o zwykłym człowieku. Do tego rewelacyjna! Czekam na odpowiedź od tego faceta. I wiem, jak będzie brzmiała. Może jest uparty jak osioł, ale nie jest głupcem.

– Historia o ludziach? Co ja będę miała do roboty? Fotografuję góry i wiszące mosty, a nie...

– Ale to nie jest wiszący most, tylko gość o nazwisku Matlock.

Nagle Jessie zobaczyła przed sobą jakiś cień. Cofnęła się, zanim się zorientowała, że to cień rosnącego na trawniku wielkiego dębu.

– W porządku. Podaj więcej szczegółów i bierzemy się do roboty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lila przespała niemal cały dzień tak jak w dzieciństwie, gdy zachorowała na zapalenie ucha i miała gorączkę. Tylko że teraz, gdy obudziły ją wpadające przez okno jasne promienie popołudniowego słońca, wcale nie czuła się lepiej.

Z dołu dobiegały dźwięki codziennego życia – dzwonek telefonu, kroki ojca chodzącego po pokoju i rozmawiającego z mamą przyciszonym głosem, ciotkę wtrącającą od czasu do czasu jakąś uwagę. Mama była zdenerwowana, bo nie mogła się skontaktować z najbliższą przyjaciółką, Nell Bridger. Lila zacisnęła powieki, próbując nie myśleć o tym, kiedy po raz ostatni widziała Diga i Trvisa.

Musiała się znowu zdrzemnąć, bo nagle usłyszała, że Wyatt i Owen wrócili ze szkoły. Jak zwykle jeden z nich trzasnął drzwiami i natychmiast został skarcony. Scottie, któremu nie pozwolono pójść do Lili, zaczął marudzić. Zrobiło jej się smutno – jej zakaz kontaktów ze światem obejmował także tego malucha?

Leżała bez ruchu. Miała chyba lekką gorączkę, kręciło jej się w głowie. Żałowała, że nie jest już małym dzieckiem – mama siadała wtedy przy niej na łóżku i gładziła ją po czole. Zateęskniła za słono-słodkim smakiem Gatorade pitej z dzieciennego kubeczka, za śmiesznymi żartami z „Ulicy Sezamkowej” i za tamtą pewnością, że pogodny świat czeka na nią, aż wyzdrowieje. Ale nie była już dzieckiem. Rodzice uzmysłowili to jej wyraźnie, przedstawiając nowe zasady. A jednocześnie potraktowali ją jak Wyatta, którego trzeba było ukarać za wrzucanie piłek golfowych do jeziora.

Nadal nic nie rozumieli. Była najstarsza, na dodatek była dziewczyną. Zawsze musiała opiekować się braćmi, sprzątać po nich i znosić ich wrzaski. Nic dziwnego, że gdy tylko mogła, uciekała z domu, piła piwo i chodziła na imprezy.

Przypomniało jej się, jak tuż po wypadku próbowała ocenić swoje obrażenia. Jedne wspomnienia były ostre i wyraźne, inne zamglone, jakby widziała je przez zaparowaną szybę. Koszmarne chwile, gdy słyszała ryk radia i czuła swąd ciekącej benzyny, ciągnęły się w nieskończoność. Ktoś – wydawało jej się, że Kathy – wpadł w histerię, zanosząc się ni to płaczem, ni to dzikim krzykiem przypominającym zwierzęcy skowyt.

Pamiętała, że zasłoniła uszy rękami, a po policzkach leciały jej strumienie łez. Modląc się, próbowała zawrzeć z Bogiem układ: jeśli nie będzie miała żadnych złamań, zacznie się tak uczyć, żeby mieć średnią ocen co najmniej trzy i pół; jeśli nie założą jej żadnego szwu, przepracuje społecznie kilka godzin w ośrodku dla osób chorych na alzheimera; jeśli okaże się, że nikt nie jest ranny, już do końca życia bez szemrania będzie sprzątać cały dom.

Wreszcie przyjechała straż pożarna i karetka pogotowia – chyba nawet więcej niż jedna – i wszystko wokół załało sztuczne białe światło. Ratownicy medyczni i barczyści strażacy rozbiegli się po zboczach niczym stado mrówek. We wszystkich oknach auta pojawiły się zatroskane twarze. Szorstki głos wydawał rozkazy dotyczące „planu wydostania” i prosił o wsparcie.

W pewnej chwili po drugiej stronie szyby zobaczyła Judda Masona, który widział cały wypadek, bo chwilę wcześniej zrobił to samo swoim bronco. Przechylił głowę w bok, żeby zajrzeć do środka, i powiedział coś, czego inni nie odważyli się powiedzieć głośno: „Cholera jasna! Ale masakra!”.

Jeden ze strażaków, młody chłopak niemal jeszcze bez zarostu, chwycił go za kołnierz i odciągnął na bok. A Judd, którego opuściła już cała zuchowatość, osunął się na kolana i zaczął wymiotować. Potem do środka zajrzał młody strażak. Lila pamiętała, że jego twarz, której rysy były zniekształcone przez pęknięcia szyby, znalazła się bardzo blisko.

„Ta jest przytomna! – zawołał, nie spuszczać jej z oka. – Szybciej z tymi noszami!”.

Podbiegli inni ratownicy i zaczęli zadawać Lili mnóstwo pytań. Wiesz, co się wydarzyło? Jaki jest dzisiaj dzień? Który mamy rok? Gdzie cię boli?

A najdziwniejsze było to, że wydawało jej się wtedy, że umiera. Że jej ciało unosi się gdzieś pod wodą.

Później doktor Martinez wytłumaczył, że tak reaguje się w szoku. Miała wrażenie, że nie może złapać tchu. Że już nigdy nie będzie oddychać.

Nie pamiętała „wydobycia”, jak ratownicy to nazywali, ani jazdy karetką do szpitala. Leżała przez jakiś czas na wózku szpitalnym, potem policjanci z drogówki zadali kilka pytań, wreszcie przewieziono ją na prześwietlenie, trochę umyło, podłączono kroplówki i zostawiono w sali, gdzie miała czekać na mamę.

Mamusiu, pospiesz się, proszę... Nie wiedziała, czy powtarzała to głośno, czy tylko w myślach.

Gdy mama wpadła do pokoju, Lila wiedziała, że teraz już nic się jej nie stanie. Nie rozplakała się jednak, nie załamała. Gdyby to zrobiła, mama od razu by zobaczyła, jak bardzo Lila się boi i jak bardzo jest zagubiona. A przecież zawsze chciała udowodnić, że jest samodzielna i nie potrzebuje nikogo. Więc jak zwykle założyła obronną maskę, która składała się ze złości, buntu i sarkazmu, modląc się, żeby jak najszybciej się stąd wydostać.

Według lekarza miała niebywałe szczęście. „Wstrząśnięta, nie zmieszana”, obwieścił technik radiolog, który robił jej tomografię.

Szczęściara. Co to za szczęście, wyjść bez szwanku z wypadku,

w którym twój ukochany chłopak i najbliżsi przyjaciele...

Zwlokła się z łóżka i chwyciła słuchawkę telefonu. Cisza. Ktoś odłączył kabel.

Rzuciła ze złością słuchawką o podłogę i czując kolejną falę zawrotów głowy, oparła się o komodę. Wszystko wokół niej zaczęło wirować niczym w chatce Dorotki. Opadła na stojące w rogu krzesło, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Poczowała zapach swojego potu, wymiocin i czyjejś krwi. Zdała sobie sprawę, że położyła się do łóżka bez kąpieli.

Co z Heathem? Czy zdążył się już wykapać? Wydała z siebie cichy jęk.

– Hej, wszystko w porządku?

Podniosła głowę.

– O, ciocia. A gdzie mama?

– Zajmuje się twoimi braćmi. Wydawało mi się, że słyszę twoje kroki, więc pomyślałam, że już nie śpisz. Niczego ci nie potrzeba?

Lila oparła się o poduszkę i przyglądała ciotce. Jessie przypominała jej wytatuowanego, rudowłosego chochlika. Obraz zmienił się nieco. Teraz była podobna do mamy, a jednocześnie inna niż mama. No, może mama po ecstasy.

Niczego ci nie potrzeba?

Owszem, ciociu, potrzeba. Może spróbujemy cofnąć czas o dwadzieścia cztery godziny, co?

Zawroty głowy ustały, zauważyła bezprzewodową słuchawkę

przypiętą do paska Jessie.

– Muszę zadzwonić – powiedziała. – Nie wiem, co się dzieje z innymi. Kathy to moja najlepsza przyjaciółka. Znamy się od przedszkola. Ona się wczoraj tak bała. Chciałabym chociaż usłyszeć jej głos.

Jessie wskazała turkusowy plastikowy telefon stojący obok komputera.

– No to zadzwoń do niej.

– Mój telefon jest zepsuty – powiedziała Lila. – Chyba bateria wysiadła. Mogę wziąć twój?

Jessie zrobiła krok do przodu. Najwyraźniej nie zauważyła stosu książek leżących na podłodze. Wpadła na nie, omal się nie przewracając.

– Cholera – mruknęła. – Twój rodzice w tym punkcie akurat mają rację. Tu są potrzebne wielkie porządki.

Świetnie. Ona też przeszła na ciemną stronę mocy.

– Pożyczysz mi telefon?

Jessie usiadła na taborecie i spojrzała na Lilę.

– Lila, wczoraj mnie okłamałaś. Przypomnij sobie. Zaczęłaś naszą znajomość od kłamstwa, a ja byłam na tyle głupia, że ci uwierzyłam. I teraz muszę z tym żyć. Przyjaciółka mojej mamy ma takie powiedzenie: każde kłamstwo ma krótkie...

– Nogi – wpadła jej w słowo Lila. – Słyszałam to już.

Jessie patrzyła na nią w milczeniu. W jej wzroku było coś

dziwnego.

Każde kłamstwo ma krótkie nogi...

Było jej przykro?

Powinno być, więc zrobiła to, co na ogół robi osoba, której jest przykro.

– Ciociu, naprawdę przepraszam za to, co się stało.

Zaczęłaś naszą znajomość od kłamstwa.

Przełknęła z trudem i poczuła naprawdę silny ból, po raz pierwszy od wypadku.

– Przepraszam – powtórzyła.

Jessie siedziała bez ruchu.

– To nie mnie powinnaś przeprosić.

Lila poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Zacisnęła powieki. Niedawno przysięgła sobie, że nie będzie płakać, bo nie chciała pokazywać innym ludziom, jak bardzo jej na nich zależy. Bo wtedy zyskaliby nad nią przewagę i skończyłoby się tak, że chciałyby ich uszczęśliwiać, zamiast myśleć o swoich przyjemnościach. To nie było łatwe zadanie, ale przecież życie składa się z samych trudności, a ona chciała się po prostu dobrze bawić.

Otworzyła oczy.

– Więc obraziłaś się na mnie, bo cię okłamałam, ale nie chcesz, żebym cię przepraszała, tak?

– Nie, uważam, że powinnaś mnie przeprosić – powiedziała Jessie.
– Ale chciałabym, żebyś to zrobiła szczerze. Na pewno cholernie żałujesz, że wymknęłaś się w nocy do swojego chłopaka i że doszło do wypadku. Ale czy żałujesz, że mnie okłamałaś? Nie sądzę. Dopiero co mnie poznałaś. Co cię obchodzi, czy mnie oszukałaś, czy nie.

– Nie chcę, żeby mnie to obchodziło. – Ten szept wydobył się z niej niejako wbrew jej woli. A potem pojawiły się łzy, gorące i upokarzające. – Naprawdę, ciociu, wolałabym, żeby mnie nikt nie obchodził.

Zwinęła się w kulkę, jakby chciała wtopić się w krzesło ze wstydu. Jessie podeszła do niej, tym razem potykając się o stertę ubrań. Usiadła przy Lili, objęła ją i trzymała w objęciach nawet wtedy, gdy próbowała się odsunąć. Nie wiadomo dlaczego, ale ten mocny uścisk sprawił, że Lila rozplakała się jeszcze bardziej.

A wtedy nie mogła się już powstrzymać. Płakała i płakała w objęciach Jessie, w końcu napięcie w niej zelżało i poczuła się lepiej. Od dawna nie przytulała się tak do mamy i taty. Ciągle albo była na nich zła, albo zamierzała być zła, albo zamierzała przestać być zła. Z Jessie było inaczej, nic ich ze sobą nie łączyło, nie miała z nią zadawnionych konfliktów. Dzięki temu mogła się przy niej rozplakać bez lęku, że od tego płaczu umrze.

– Tak strasznie się bałam – powiedziała, pociągając nosem. – Tak się bałam. – Powtarzała to wiele razy, a Jessie gładziła ją po włosach, a potem podała ręcznik, który wyjęła z torby z ubraniami czirliderki. Lila zauważyła, że Jessie ma twarz mokrą od łez. – Dlaczego płaczesz? – spytała.

Usta Jessie zadrżały.

– Bo po raz pierwszy w życiu mogłam cię do siebie przytulić.

Lila nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc sięgnęła po ręcznik i wytarła twarz. Jessie wzięła do ręki mocno przybrudzony róg.

– O matko, przecież to jest groźne dla zdrowia!

– Tak jak i cały mój pokój.

– I podoba ci się to?

– Pewnie że nie. Ale sprzątać też nie lubię.

– Chyba będziesz musiała.

Lili przypomniało się, jak Jessie potykała się o kolejne przeszkody.

– Wiem. Rodzice mi kazali. A teraz czekam, aż przyjdą robotnicy i wstawią w okno kraty. Już nigdy nie zobaczę dziennego światła.

Przez twarz Jessie przemknął błysk paniki.

– Nawet nie mów takich rzeczy.

– Ale to prawda. Chcą mnie trzymać w więzieniu do czasu, aż będę pełnoletnia. Nie obchodzi ich, że zgniję tu z nudów.

– Gdyby twoim rodzicom na tobie nie zależało, to daliby ci pełną swobodę i pozwolili odpłynąć jak najdalej.

Lila wstała z krzesła. Czuła się słabo, wszystko ją bolało, mimo że nie odniosła żadnych obrażeń. Zaczęła zbierać z podłogi porzucane ubrania i wrzucać do kosza na brudną bieliznę. Jessie przyglądała się jej przez chwilę, a potem wzięła kartkę z wypisanymi numerami telefonów, włączyła telefon i wyszła na korytarz. Lila przycisnęła ucho drzwi.

Jessie przedstawiła się jako rodzina jednej z ofiar i spytała o stan

pozostałych dzieci. Słuchała uważnie, powtarzając od czasu do czasu „Aha”. A potem spytała:

– Mogę zadzwonić do jej sali? Rozumiem. Tak, poczekam.

Lila nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Kathy? – spytała, otwierając gwałtownie drzwi.

Jessie skinęła głową, weszła z powrotem do pokoju i opadła na krzesło. Na tle kolorowych poduszek, w spódnicy układającej się miękko na skraju krzesła, wyglądała niczym anioł. Znieruchomiła, podnosząc dłoń w górę.

– Kathy? Chwileczkę, skarbie, ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

Lila z niecierpliwością chwyciła słuchawkę.

– Kathy? Mówi Lila. Jak się czujesz?

– Niedobrze. – Kathy mówiła cichym, słabym głosem. – Mam złamaną nogę w dwóch miejscach. Do tego połamane żebra i szwy na brodzie. Boli jak cholera, a właściwie bolało, bo teraz dali mi jakieś lekarstwo. Umieram z pragnienia, ale powiedzieli, że nie wolno mi nic pić.

– Widziałaś może Heatha?

– Nie – powiedziała Kathy z wahaniem.

– Kathy, co się dzieje?

– Mama mówiła, że Sierra miała krwotok wewnętrzny i musieli jej zrobić operację. Aha, i ma strzaskaną stopę.

Lila zacisnęła powieki. To niemożliwe. To nie może być prawda.

– Przecież biega w naszej sztafecie.

– Już nigdy nie pobiegnie. – Głos Kathy był dziwny. – Skąd dzwonisz?

– Wypuścili mnie do domu. Mam szlaban do końca życia.

– Ja pewnie też. Na razie starzy trzęsą się nade mną, ale niedługo im przejdzie.

– Moim już przeszło.

– To do dupy.

– No. A co z innymi? Wiesz coś o Digu i Travisie?

Ktoś wyrwał jej z ręki telefon. Dopiero teraz zauważyła, że obok niej stoi mama z twarzą twardą i bladą niczym marmur.

– Chwileczkę! – Lila znów przybrała buntowniczą pozę. – Nie skończyłam jeszcze rozmawiać.

Luz rozłączyła rozmowę.

– Chyba mam prawo się dowiedzieć, co z moimi przyjaciółmi – zaprotestowała Lila.

– Dowiem się tego za ciebie. – Luz odwróciła się do Jessie. – Ona ma zakaz używania telefonu do odwołania.

– Myślałam, że rozmowa z przyjaciółką dobrze jej zrobi – próbowała się usprawiedliwić Jessie.

– Myślałaś... – Luz przerwała i wzięła głęboki wdech. – Mam swoje powody, żeby odciąć ją od rozmów telefonicznych. Lila, posłuchaj... Boże, jak ja mam ci to powiedzieć... – Zamilkła niepewnie, co mocno Lilę zaniepokoiło. Matka zawsze wiedziała, co ma powiedzieć. Ale teraz nie wyglądała na złą, raczej smutną i przestraszoną. – Kochanie, wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli nie dowiesz się tego przez telefon...

– Kathy powiedziała mi... – Lila zawiesiła głos. Ostatnio często przerywała mamie, ale teraz mama patrzyła na nią dziwnie, miała zaciśnięte usta, jakby chciała zachować w tajemnicy coś, o czym i tak będzie musiała powiedzieć. – Co się stało? – spytała szeptem, żałując, że wylała wszystkie łzy przy Jessie.

Luz wyciągnęła do niej rękę, ale Lila zrobiła krok w tył.

– To był naprawdę groźny wypadek – zaczęła Luz. – Naprawdę cud, że nic ci się nie stało. Ale inne dzieci nie miały tyle szczęścia.

– Heath? – Lila z największym trudem wydobyła z siebie głos.

Luz pokręciła głową, chowając słuchawkę do kieszeni.

– On wyzdrowieje. – Jej dłonie poruszały się nerwowo. – Chodzi o Alberta Bridgera, o Diga. – Zamilkła, blednąc jeszcze bardziej. – Miał bardzo poważne obrażenia, przewieziono go do szpitala helikopterem. Zrobili wszystko, żeby go uratować. – Luz przełknęła z trudem ślinę. Wyglądała na kompletnie załamana. – Lila, córeczko, Dig nie żyje.

Jessie westchnęła ciężko. Lila nie oddychała w ogóle.

Nie! Nie! Nie! Milczała nadal, ten krzyk rozlegał się w jej umyśle. Serce też krzyczało rozdzierająco. Nie, nigdy w to nie uwierzy. To na pewno nie Dig. On jest dopiero w dziewiątej klasie. Dopiero co dostał się do szkolnej reprezentacji piłkarskiej. Zbiera pieniądze na crossowy

motocykl. Znają się od piaskownicy.

Nie, to niemożliwe.

Lila niemal zgięła się wpół z bólu, ale nadal nic po sobie nie pokazywała. Nie dawała najmniejszego znaku, że słowa mamy do niej dotarły. Dopóki nie zacznie wyć, płakać, rzucać przedmiotami o ziemię, rwać włosów z głowy, to nie będzie prawda.

– Kochanie – odezwała się Luz.

Lila wyciągnęła przed siebie dłoń, jakby zasłaniając się przed ciosem. Dobrze wiedziała, co się teraz stanie. Mama za chwilę włączy ten swój przeraźliwie praktyczny ton. Zacznie tłumaczyć Jessie, kim jest Dig, jak długo ich rodziny się znają i dlaczego to jest takie smutne. A potem będzie wymieniać, co trzeba w związku z tym zrobić, czyli na przykład zawieźć im zapiekankę, zamówić kwiaty i urządzić jakąś kiczowatą i sentymentalną ceremonię w rodzaju zasadzenia drzewa przed szkołą, żeby uczcić jego pamięć.

Luz patrzyła na dłoń Lili.

– Posiedzę przy tobie.

Lila skinęła głową, ale potem zmieniła zdanie.

– Wolalabym pobyć trochę sama.

– Na pewno?

Znow skinęła głową. Proszę.

Luz odwróciła się, dając znak Jessie, by wyszła za nią. Jessie spojrzała na Lilę przez ramię. W jej oczach było coś dziwnego, Lila nie umiałaby powiedzieć, o co tu chodzi. Tak jakby Jessie patrzyła na nią

i jednocześnie na nią nie patrzyła. Może ten specyficzny rodzaj widzenia wynikał z faktu, że ciotka była znaną fotograficzką.

Wyszły obie, zostawiając uchylone drzwi.

Lila poczuła lodowaty dreszcz, mimo że w pokoju musiało być co najmniej dwadzieścia pięć stopni. Gdy zamknęła oczy, pod powiekami pojawił się obraz Diga, jak z odrzuconą głową śmieje się i oddaje Kathy swój pas. Heath przed chwilą podał mu skręta. Lila niedawno pożyczyła mu swój kalkulator, który teraz na pewno jest gdzieś w jego pokoju. Zdażył rozwiązać te zadania z algebry? Zdażył pogłaskać psa, pomyśleć życzenie przy spadającej gwiazdce, usłyszeć najnowszy kawałek Actual Tigers? Już nigdy nie zagra w licealnej reprezentacji, nie zaprosi dziewczyny na bal maturalny, nie zobaczy jesiennych liści odbijających się w tafli jeziora, nie usiądzie przy ognisku, nie będzie się śmiał z przyjaciółmi.

W jej umyśle rozległ się złowrogi szept. To wszystko przez ciebie, moja panno. Szept był coraz głośniejszy, aż wreszcie zamienił się w krzyk zagłuszający wszystkie inne dźwięki. Pani Hayes miała rację. Gdyby nie ona, Heath nie wychodziłby w nocy z domu, Dig żyłby nadal, Sierra miałaby sprawną stopę.

– ...i dlatego nie chciałam, żeby gdzieś dzwoniła. – To głos mamy. Rozmawiała z kimś na dole.

– Skąd mogłam wiedzieć? – Jessie była wyraźnie zdenerwowana.

– Będę ci wdzięczna, jeśli podporządkujesz się moim zasadom dotyczącym Lili.

Moim zasadom. Wymówiła te słowa tak, jakby zostały wyciosane na kamiennych tablicach.

Jessie powiedziała coś cicho, ale odpowiedź mamy była głośna

i wyraźna.

– Do cholery, Jess, nie możesz teraz wyjechać! Jesteś mi potrzebna.

Nieźle. Więc Jessie też miała już mamy dość. Ale dużo bardziej zastanawiające były trzy ostatnie słowa. Nigdy w życiu nie słyszała, żeby matka przyznała się do bezradności. Jesteś mi potrzebna.

– ...tego chłopca, który zginął? – spytała Jessie.

– Znam się z jego matką od niepamiętnych czasów. Nie ma męża, mieszka w wielkiej przyczepie w Two-Dog Ranch... – Mama mówiła coś dalej, a skończyła tak, jak Lila się spodziewała. – Muszę jej zawieźć coś do jedzenia.

Lila zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami, zasłaniając uszy dłońmi. Nie chciała tego słuchać. Z każdym kolejnym słowem mamy Dig stawał się coraz bardziej martwy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jessie nie widziała na lewe oko od ponad roku. W drugim też traciła wzrok. Jedyne zacieklą determinacją i upartym zaprzeczaniem udawało jej się odwlekać to,

co i tak było nieuniknione. Znalazła się jednak w punkcie, w którym nawet upór nie mógł powstrzymać nadchodzącej przyszłości. Musiała pogodzić się ze swoją chorobą, która postępowała coraz szybciej. Zaczęła się do tego przygotowywać, chłodno i racjonalnie, ale i tak miała wrażenie, że spada w głąb przepaści i nie wie, co będzie dalej.

Zadzwoiła do ośrodka dla niewidomych w Austin, w którym zarejestrowała się, będąc jeszcze w Nowej Zelandii. Beznamiętnym głosem umówiła się na wizytę, a potem weszła pod prysznic, myśląc, że tam będzie się mogła porządnie wypłakać. Ale stała jedynie nieruchomo pod strumieniem wody, nie umiejąc pozbyć się dziwnego uczucia, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Z niewytłumaczalnych powodów od jakiegoś czasu stan wzroku był stabilny. Podobnie się działo rok temu. Przez kilka miesięcy w polu widzenia pojawiały się dziwne zamglenia i rozbłyski, obrazy stawały się rozmazane niczym widziane przez zalaną deszczem szybę. I nagle pewnego dnia wszystkie symptomy ustąpiły. Zniknął stan zapalny, siatkówka działała prawidłowo. Ten cud dał jej okrutną, złudną nadzieję, która zniknęła po kilku dniach. Bezpowrotnie straciła wzrok w jednym oku.

Prawym okiem widziała nadal doskonale, ale teraz wiedziała już, że nie ma na co liczyć. Wyszła spod prysznica i stojąc przed lustrem, zaczęła wycierać włosy ręcznikiem. Zamrugła kilka razy, spojrzała w prawo i w lewo, potem w górę i w dół, sprawdzając zakres pola widzenia zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi przez lekarza.

Tak jakby cokolwiek mogło jej pomóc.

Choroba miała długą i dziwną nazwę: ostra strefowa ukryta retinopatia zewnętrzna, w literaturze medycznej zastępowaną czasem skrótem AZOOR. Tak naprawdę oznaczała koniec całego dotychczasowego życia. Jessie nie umiała już powiedzieć, ile dni i tygodni spędziła w specjalistycznych klinikach. Wyniki badań nie były pocieszające. Jej nadzieja powoli zamieniała się w ponurą determinację, a potem w rozpacz. Siatkówki w oczach stawały się bezużytecznym film niewłaściwie umieszczony w aparacie.

W klinice okulistycznej w Christchurch zrobili jej wszystkie dostępne badania, ale ciemna mgła coraz bardziej ograniczała pole widzenia. Najlepsi specjaliści na Dalekim Wschodzie bezradnie rozkładali ręce. Lekarze, do których dotarła, przyznawali niechętnie, że jej przypadek trzeba zaliczyć do kategorii nieuleczalnych. Jessie nie miała takiego szczęścia jak większość chorych, którzy odzyskują wzrok w ciągu trzech lat. Mówiono jej, że musi się zmierzyć z rzeczywistością i poczynić stosowne plany. Poradzono, żeby zapisała się do Beacon for the Blind, międzynarodowej organizacji osób niewidomych, która miała główny ośrodek w Austin.

Specjaliści uznawali to za nieszczęśliwy, choć naturalny proces chorobowy, ale Jessie miała własną teorię. W grę wchodziła siła znacznie potężniejsza niż jej wola, pragnienia czy poświęcenie lekarzy. To była kara. Wykorzystywała ludzi, odmawiała im pomocy, porzucała. A teraz musiała za to zapłacić.

A na dodatek bała się, że ta klątwa może się okazać zaraźliwa i dotknie każdą osobę, która pojawi się w jej życiu.

Chciała zobaczyć Lilę, dopóki jeszcze mogła cokolwiek widzieć. A gdy tylko się tu pojawiła, Lila omal nie zginęła. Jessie stwierdziła, że powinna wyjechać. Tylko że Luz powiedziała: „Do cholery, Jess, nie

możesz teraz wyjechać! Jesteś mi potrzebna”.

Gdy Lila oparła się o nią, łkając, Jessie przekonała się, co to znaczy kochać dziecko, przytulać je do siebie, akceptować, nawet jeśli zrobiło coś okropnego, nawet jeśli pachnie krwią, wymiocinami i olejem samochodowym.

Przysiadłszy na skraju łóżka, pomalowała paznokcie u nóg koralowym lakierem, a następnie włożyła beżową sukienkę na ramiączkach i roboczą kamizelkę, cud szwalniczej inżynierii z płótna w kolorze khaki, pełną kieszeni, kieszonek, pętelek, sznurków i przegródek zapinanych na suwaki. Wyglądała w niej prawie jak Margaret Bourke-White.

Nie była pewna, jaki sprzęt powinna zabrać na takie zdjęcia. Jakie obiektywy? Jakiej czułości filmy? A może raczej aparat cyfrowy?

Zdziwiła się, że aż tak denerwuje się tym zleceniem. Zupełnie jakby nie miała na swoim koncie tysięcy opublikowanych zdjęć, nie była nominowana do wielu nagród, jakby to nie jej prace wisiały na billboardach przy drogach na Dalekim Wschodzie, jakby nie urządzono jej kilku indywidualnych wystaw. Dziś miała jedynie zrobić kilka zdjęć gościowi mieszkającemu po drugiej stronie jeziora. Bułka z masłem. Ale w głębi serca wiedziała coś, o czym nie odważyłaby się nikomu powiedzieć: jej kariera zawodowa dobiegała końca. To była ostatnia sesja.

Po kilku minutach stanęła przy drzwiach domu Luz. Była ubrana, z gotowym sprzętem i zdenerwowana.

– Ciocia Jessie! – Scottie poderwał się i rzucił jej na szyję.

– Cześć, chłopie. – Pogłaskała go po kręconych włosach.

– To dziewczyna! – drażnił się z nim Owen. – Ma pomalowane

paznokcie.

– Założę się, że też byś chciał takie. Ty i Wyatt.

– Eeeee! – Dwaj starsi chłopcy zawyli głośniejsze niż i tak głośno grający telewizor.

Luz zawołała do nich z kuchni:

– Ściszczone to...

Wyatt wcisnął przycisk wyłączający dźwięk.

– ...natychmiast.

– Cześć, chłopaki! – Jessie ucieszyła się, że po weekendzie życie rodzinne wróciło do normy. W kościele baptystów odbyło się pełne smutku żałobne nabożeństwo. Wszyscy byli wstrząśnięci, jakby otumanieni, małe dzieci wierciły się i rozmawiały zaniepokojone tym, że dorośli obejmują się i płaczą. Jessie siedziała z Lilą w jednym z tylnych rzędów i trzymała ją za rękę. Lila chciała się jakoś wymigać z tej uroczystości, ale Luz nie chciała nawet o tym słyszeć.

Dziś wszystko się uspokoiło. Ze względu na tragiczny wypadek władze szkolne ogłosiły, że obecność w szkole nie jest obowiązkowa. Wszystkim potrzebującym zapewniono opiekę psychologów. Luz najwyraźniej postanowiła zatrzymać Owena i Wyatta w domu. Lila kategorycznie odmówiła pójścia do szkoły. Twierdziła, że wszyscy ją napadną i będą oskarżać o to, że do wypadku doszło przez nią.

– No i co zamierzacie dzisiaj robić? – zwróciła się Jessie do siostrzeńców.

Wstali nieśmiało, wpatrując się w nią z uwagą. Ciekawa była, czy jej przyjazd już zawsze będzie się im kojarzył z nieszczęściem.

– Już wiem, pewnie popłyniecie gdzieś pirackim statkiem – odpowiedziała. – Nie? W takim razie będziecie tropić pancerniki w lesie.

Owenowi bardzo się ten pomysł spodobał.

– A może wykopiecie w ziemi głęboką dziurę aż do samych Chin?

– Tak! – zawołał Scottie.

– A może posprzątaacie w swoim pokoju? – odezwała się Luz z kuchni. – Kontrola za piętnaście minut, a potem jedziemy na zakupy. Jeśli się okaże, że macie porządek, to zabieram was na śniadanie do McDonalda.

Chłopcy natychmiast ruszyli biegiem do schodów, omal się o siebie nie przewracając.

Jessie weszła do kuchni.

– Ciekawe, gdzie się nauczyłaś tej sztuczki. Od doktora Spocka?

Luz pochyliła się i wyjęła z piekarnika parującą zapiekankę.

– Spock mógłby się wiele nauczyć ode mnie. Przekupstwo to bardzo pomocna metoda.

Jessie przymknęła oczy i z lubością wciągnęła powietrze.

– Kurczak z kukurydzą – powiedziała Luz. – Dla rodziny Diga. Jacyś krewni Nell przyjeżdżają na pogrzeb, będą musieli coś zjeść. Pomyślałam, że możemy jej to podrzucić po drodze. – Zapisała na żółtej karteczce instrukcję odgrzewania i przykleiła do pokrywki.

Jessie zdążyła już oswoić się z myślą, że Luz ma tu swoje życie i swoich przyjaciół, którzy znają ją lepiej niż własna siostra.

– Blisko się przyjaźnisz z Nell Bridger? – spytała.

– Tak. Zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy dzieci były małe. – Włożyła naczynie z zapiekaną do podwójnej papierowej torby. Miała oczy podkrążone z niewyspania. – Synowie byli dla niej całym światem. Co roku robiłam im na Boże Narodzenie zdjęcia.

Dig i Travis. Starszy zapewne jeszcze długo pozostanie w szpitalu.

– Nie wiem, jak ona to wszystko przetrwa. – Luz pociągnęła nosem. – Jedyne, co mogę dla niej zrobić, to przynieść zapiekaną.

– Najważniejsze, że będziesz przy niej – zapewniła ją Jessie. – Z zapiekaną czy bez. A gdzie Ian?

– Z samego rana pojechał do Austin – powiedziała Luz swobodnie. Widocznie zdarzało mu się to często. – Odda twój samochód do wypożyczalni, a wróci z jakimś kolegą, który mieszka w Marble Falls.

– A Lila?

– Niech się wyśpi. A potem... zobaczymy.

– Niedługo będzie musiała powrócić do żywych.

– Ale jeszcze nie dziś. – Luz patrzyła na Jessie, zdejmując kuchenny fartuch. – Widzę, że wybierasz się do pracy.

– Tak.

– Szybko ci poszło.

– Znasz przecież Blair. Zawsze chowa coś w rękawie. A ja muszę zarabiać na życie.

Luz uśmiechnęła się.

– Jak to? Zdjęcia nie są wyrazem twojej artystycznej duszy?

– Robię zdjęcia, żeby spłacać kartę kredytową. – Zawahała się. – Fotografia nie pasjonuje mnie ostatnio.

– Nie żartuj! Przecież to jest całe twoje życie.

Raczej było. Jessie zmusiła się do uśmiechu.

– Ludzie często zmieniają zawód. Pomyślałam, że teraz spróbuję sił w pisaniu. Albo zajmę się wyplataniem koszyków.

Luz roześmiała się, biorąc to za żart. Jessie spojrzała na zdjęcia wiszące w kąciku śniadaniowym.

– Te były zrobione z potrzeby serca – powiedziała.

Siostra miała naprawdę bogate życie. Widać to było wszędzie dookoła, w drobnych detalach, które ludzie często biorą za oczywistość. Wisząca na lodówce laurka od Owena z niezdarnym napisem „Dla kochanej mamy”. Ocieplacz na imbryk z krzyżkowym haftem „W kuchni Luz ogrzejesz się miłością”. No i oczywiście ścienny mural złożony z przeróżnych fotografii. Twarze roześmiane i pogrążone w głębokim skupieniu, dzieci uchwycone w ruchu, stojące nieruchomo, bawiące się, śpiące głęboko, machające radośnie sportowymi trofeami.

– To prawda. – Luz wzięła ścierkę i zaczęła wycierać blat. – Nigdy nie miałam czasu oprawiać ich w ramki, więc przyklejałam odbitki do ściany. A potem Ian położył na wierzchu arkusz pleksi i teraz wygląda to na zamierzony efekt. – Popatrzyła na siostrę. – Jesteś zdenerwowana.

– Mam małe doświadczenie w fotografowaniu ludzi.

– Daj spokój, tak samo mogłabym powiedzieć, że mam małe doświadczenie w fotografowaniu pomników albo formacji skalnych. – Oparłszy dłonie na biodrach, wpatrywała się w ścianę. – Chociaż może to i prawda. – Roześmiała się. – Niestety, żeby sfotografować egzotyczne miejsce, trzeba najpierw tam pojechać.

Jessie wskazała zdjęcie Wyatta w stroju żółwia ninja wymachującego mieczem z „Gwiezdných wojen”.

– Nie widzisz, że to jest właśnie egzotyczne?

– Raczej dziwne. – Popijając kawę, zaczęły wspominać dawno minione studenckie lata. Jessie można było porównać do Ansel Adams, a Luz do Annie Leibovitz. Jessie potrafiła jeździć wiele razy do Enchanted Rock i polować na idealny zachód słońca, natomiast Luz przesiadywała w parkach, uwieczniając rodzinne pikniki, bawiące się dzieci, starszych ludzi siedzących na ławeczkach. Potem zaczęły wymieniać uwagi o sprzęcie fotograficznym, który Jessie zapakowała do torby – najnowocześniejszym aparacie cyfrowym i starym Nikonie FM, z którym nigdy się nie rozstawała. To były ich najprzyjemniejsze chwile od przyjazdu Jessie, ale niestety, trwały zbyt krótko. Przerwał im tupot nóg na schodach i krzyk:

– Mamo! On mi zabrał...

Gdy rozległ się dźwięk klaksonu, chłopcy rzucili się pędem na ganek.

– Ktoś przyjechał! – zawołał Scottie.

– Przecież wiemy, ty matołku. – Owen odepchnął go na bok, żeby otworzyć drzwi.

– Nie jestem matołkiem!

– A właśnie że jesteś.

– Nie jestem

– Jesteś. – Owen wyjrzał na ganek. – Wow!

Skinał na Jessie i Luz, żeby do niego podeszły. Obłok kurzu unosił się jeszcze nad najnowszym, biało-złotym modelem cadillaca. Wsiadła z niego kobieta w garsonce od Escady i podeszła do bagażnika.

Blair LaBorde prawie nie zmieniła się przez te lata. Nadal miała bujne, jasne włosy w kolorze rzadko spotykanym wśród kobiet mających wielopokoleniowe korzenie w Teksasie. Barwą przypominały szampana i ułożone były we fryzurę rozślawną przez znaną członkinię teksaskiej socjety Lynn Wyatt.

Pociągnięte drogą szminką usta odsłaniały w wystudiowanym uśmiechu dwa rzędy wspaniałych zębów. Emanowała z niej aura stanowczego optymizmu, który miał przesłaniać leżące głębiej zgorzknienie i bezwzględną ambicję, coraz częściej spotykane w Teksasie wśród kobiet w pewnym wieku. Poruszała nerwowo dłońmi, a czubek nosa drgał jej tak, jakby miała za chwilę kichnąć. Jessie zauważyła to wszystko, schodząc z ganku na podjazd. Miała niesamowitą umiejętność błyskawicznego wchłaniania obrazów i wprowadzania ich do swojego archiwum.

– Jessie Ryder! – zawołała Blair z akcentem z dobrych dzielnic Dallas, otwierając bagażnik. – I Luz! Daję słowo, wcale się nie zmieniliście. Gdy występujecie razem, powinien się rozlegać jakiś podkład muzyczny.

– Może na przykład „Złe, dobre i poprawiane chirurgicznie”? –

zazartowała Jessie.

– Na pewno nie jesteście poprawiane. – Blair uniosła idealnie wymodelowane brwi.

– No, może jeszcze nie. – Jessie uśmiechnęła się.

– I na pewno nie przy moich dochodach – oczywiście dorzuciła Luz.

Blair uścisnęła je po kolei. Wiele lat temu była ich opiekunką na studiach. Pod niezwykłą urodą kryła się niezwykła inteligencja – zrobiła doktorat z komunikacji masowej.

– Mój Boże, nie widziałyśmy się kawał czasu. – Wskazała ręką na chłopców przyklejonych do barierki. – Twoje? – zwróciła się do Luz.

– Tak.

– A córka?

– Dochodzi do siebie – odpowiedziała Luz. – Naprawdę miała kupę szczęścia.

– Słyszałam o tym. Dobrze, że to się tylko tak skończyło.

Luz odsunęła się w bok.

– Musicie zająć się pracą, nie będę was zatrzymywać.

– Gotowa? – spytała Blair Jessie.

– Chyba tak.

– Podobają mi się twoje prace. Widywałam je czasem w różnych

miejscach.

Jessie włożyła do bagażnika torbę z aparatami. W środku zauważyła mnóstwo wycinków prasowych, wydruków z poczty elektronicznej i plastikowe pudełko wypełnione papierami.

– Widziałaś moje prace?

– Nie, tak tylko powiedziałam. – W głosie Blair nie było nawet śladu poczucia winy. Sięgnęła po paczkę gumy do żucia i oderwała jeden kwadracik. – Nicorette?

– Nie, dzięki.

Blair wzruszyła ramionami i włożyła sobie do ust drugi kawałek.

– Ostatnio tym się głównie żywię. Możemy jechać?

Jessie skinęła głową, starając się nie zauważać dziwnego łaskotania w żołądku. To przecież tylko kolejne zlecenie. Fotografowała już najróżniejsze cuda świata. Zdjęcia jakiegoś mężczyzny i jego córki to naprawdę pestka.

– Podobno jesteś najlepsza w swoim zawodzie – zagadnęła Blair.

Jessie roześmiała się, zajmując miejsce obok kierowcy.

– O tobie mówią to samo.

– Miło mi to słyszeć. Obie miałyśmy mieć lekką i przyjemną pracę. – Wyjechała podjazdem na główną drogę. – Ładnie tu u was. – Zabębniła palcami na kierownicy. Paznokcie na lewej dłoni miała idealnie utrzymane i pomalowane na jaskrawy, czerwony kolor. Paznokcie drugiej ręki były obgryzione niemalże do samych skórek.

Zacisnęła palce.

– Rzucanie palenia to męka.

– Wiem, próbowałam kilka razy – przyznała Jessie. – Od jak dawna pracujesz nad tym artykułem? Powiedziałaś mi jedynie, że chodzi o kogoś stąd.

– Poluję na niego od ponad roku. Cały czas stawiał twardy opór. Powtarzał tak jak wszyscy, że chce chronić swoją godność i prywatność. Ale godność i prywatność to towar, trzeba tylko zaproponować odpowiednią cenę. Jednak ten gość trzymał się dłużej niż inni. Już byłam gotowa zadowolić się relacją z drugiej ręki, od osoby, która rozmawiała już z prasą, ale w końcu zmiękł i zgodził się współpracować.

– To dość skomplikowane. Moje tematy raczej nie mają możliwości negocjacji.

– Twoje tematy czyli co?

– Azjatyckie lasy deszczowe. Rafy koralowe na południowym Pacyfiku.

– Jak długo mieszkałaś za granicą?

– Piętnaście lat.

Blair gwizdnęła przeciągle.

– Czyli nie słyszałaś o tym Matlocku. – Skręciła w Springside Way, kierując się na południowy brzeg jeziora.

– Nie sądzę.

Blair uśmiechnęła się szeroko.

– No to będziesz pod wrażeniem.

Wjechała na podjazd prowadzący do domu Matlocka. Stary budynek stał na wzgórzu opadającym ku brzegowi. Tuż nad wodą znajdował się duży hangar na łódzie. Nowy pomost wcinał się w taflę jeziora niczym równe ostrze. Stał przy nim biało-zielony samolot na pływakach.

– Zwykle umawiam sesję zdjęciową w innym terminie – wyjaśniła Blair. – Ale z nim nie jest łatwo cokolwiek ustalić. Dlatego zrobimy dziś wszystko, co się da, i zostawimy go w spokoju.

Zatrzymała auto w cieniu zapuszczonego krzewu lagerstremii. Z pobliskich krzewów wypadł mały terier i rzucił się w ich kierunku z zajadłym szczekaniem. Po chwili ukazał się starszy mężczyzna niskiego wzrostu z ogorzałą twarzą i ciemnymi oczami. Uciszył psa po hiszpańsku i skinął głową do Blair.

– Pan Garza, jeśli się nie mylę, prawda? – zagadnęła Blair. – To moja fotografka, Jessie Ryder.

Mężczyzna przywitał ją nieznacznym skinieniem siwiejącej głowy.

– On jest w warsztacie, reperuje silnik.

– Dzięki. Same trafimy.

Ruszyły w dół po stromym zboczu.

– Super – mruknęła Blair. – Wiedział, że przyjeżdżamy, a teraz okaże się, że mu w czymś przeszkodziłyśmy.

– Może nie będzie tak źle – Jessie próbowała ją pocieszyć. –

Niektórym ludziom łatwiej rozmawiać, gdy wykonują zwykłe czynności. Siostra mi mówiła, że jest całkiem w porządku.

– No to na co czekamy? – Blair zatrzymała się przed wejściem, żeby pociągnąć usta szminką. Podała ją potem Jessie, ale ona potrząsnęła głową. Blair popchnęła uchylone lekko drzwi. – Panie Matlock! Dusty! – zawołała melodyjnym głosem.

– Wejdźcie do środka. – Mówił do nich przez ramię, pochylając się nad blatem, dzięki czemu miały okazję przyjrzeć się doskonale ukształtowanym pośladkom.

W warsztacie pachniało smarem. Zdążyło się już zrobić gorąco od słońca wpadającego przed okna. Mały wiatrak przesuwiał powietrze ponad rzędami półek i blatów. Dusty Matlock wyprostował się niespiesznie i stał nieruchomo na tle jasno oświetlonego okna.

W Jessie obudziła się nagle cała wrażliwość zmysłów. Ostre światło rysowało wszystkie kształty ostrą kreską. Matlock miał ciemne włosy układające się w miękkie fale. Ubrany był w robocze buty, zwykłe dzinsy i mokry od potu podkoszulek, który oblepiał tułów.

Jessie zauważyła wszystko w jednej chwili: umięśnione ramiona, płaski brzuch i błękitne oczy. Pożałowała, że nie pożyczyła szminki od Blair.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dusty robił wszystko, żeby nie myśleć o przyjeździe dziennikarki. Zaczął nawet żałować swojej decyzji. A teraz jej cadillac stał już na podjeździe, a ona sama w jego warsztacie. Blair LaBorde, kobieta ubrana z kosztowną elegancją, o bujnych włosach i czujnych oczach. Stała się zmurą jego życia, gdy tylko dowiedziała się o niezwykłych narodzinach Amber. Miała zimną urodę szlifowanego brylantu, a jakieś dziesięć lat temu z powodzeniem mogłaby być modelką z kolorowych reklam, które ukazywały się w jej piśmie.

Ale jego uwagę przyciągnęła raczej jej towarzyszka. Powiedzieć o niej ładna, to było za mało. Miała twarz jak z filmowego plakatu. A jednocześnie było w niej coś znajomego. Kiedy podeszła bliżej, zauważył, że idealne rysy łagodzi dziwny urok. Przyglądał jej się dłużej, niż pozwalała grzeczność.

– Dziękuję, że zgodził się pan na to spotkanie. – Blair nie dała mu czasu na zastanowienie się nad własną reakcją. – Oto Jessie Ryder – dodała. – Jest najlepsza. Spodoba się panu.

– Najlepsza w czym? – Przyglądał się tej kobiecie o imieniu Jessie i nagle coś sobie przypomniał. – Czy my się przypadkiem nie znamy?

– Przyjechałam do mojej siostry Luz Benning. Mieszka po drugiej stronie jeziora. Zna pan jej męża Iana.

Tak, teraz już wiedział. Kobieta spotkana na pustej drodze. Kobieta na pomoście. Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów. Cofnęła się, jakby chcąc uniknąć nieproszonych zalotów. Ten niepokój też mu się w niej spodobał.

– Wiele osób myli Jessie z Luz – powiedziała Blair.

– Ja akurat nie. – Nagle zrobiło mu się głupio i pożałował swojej opryskliwości. Rodzina Benningów przechodziła teraz ciężkie chwile. – Dustin Matlock. – Wyciągnął dłoń.

– Miło cię poznać. – Najwyraźniej nie zauważyła jego gestu. – Chyba będzie lepiej, jak zaczniemy mówić sobie po imieniu.

– Dzięki. Przykro mi z powodu tego wypadku. Jak się czuje twoja siostrzenica?

– Na szczęście dobrze. Ian z pewnością do ciebie zadzwoni, jak tylko znajdzie wolną chwilę. Wiem, że przywiozłeś go do szpitala w samym środku nocy.

Miły głos, pomyślał. Akcent z Teksasu, a do tego jakaś egzotyczna naleciałość.

– To dobrze, że nic jej się nie stało. – Ian Benning był nie tylko jego klientem, ale i dobrym znajomym. – Proszę pozdrowić Iana ode mnie.

Wyszedł na zewnątrz. Po podwórku biegał Pico, ganiając ptaki. Amber próbowała biegać za nim i zanosila się śmiechem, gdy Arnufu udawał, że ją łapie. Miała na sobie jedynie pieluchę i poplamioną koszulkę. Arnufu miał ją pięknie ubrać na przyjazd dziennikarek, ale widocznie nie zdążył. Dziewczynka podbiegła do Dusty'ego i uczepiona jego nogawki przyglądała się gościom.

Jessie wyjmowała coś z bagażnika cadillaca. Po chwili wyprostowała się, trzymając w rękach nowoczesny aparat. Od razu przytknęła go do oka i zrobiła serię zdjęć. Przez dłuższą chwilę Dusty był lekko zdezorientowany. Ta kobieta zrobiła na nim niezwykle wrażenie. Miał ochotę jej dotknąć, poczuć zapach włosów, rozmawiać z nią przez całą noc. To dziwne, że takie emocje wzbudzała w nim osoba z obozu wroga. Co ona takiego w sobie ma? Poruszyła go nie dlatego, że

przyjechała robić zdjęcia, ale dlatego, że przypomniała mu o rzeczach, na które nie zwracał uwagi od dwóch lat.

Ciekawe, pomyślał, ale zrobił lekko skrzywioną minę i odwrócił się do Blair.

– Nic mi pani nie wspominała, że szykuje na mnie zasadzkę.

– Mówiłam, że przywiozę ze sobą fotografa.

– Nie, nie mówiła pani.

– W takim razie zrobiłam panu niespodziankę. – Uśmiechnęła się czarująco. – Zdjęcia to trzy czwarte naszych artykułów.

– Nie czytam waszych artykułów.

– Ma pan do opowiedzenia wspomniała historię kochającego męża i dumnego ojca – nalegała Blair. – Jestem pewna, że chciałby pan mieć zdjęcia...

– Wie pani doskonale, dlaczego zgodziłem się z panią rozmawiać – przerwał jej ostro. – Wszystko przez to, że ta niby-przyjaciółka Karen nagadała głupstw pani konkurencji. Chciałbym to skorygować. Proszę jednak wybaczyć, nie życzę sobie, żeby moje zdjęcie czy zdjęcie Amber ukazało się w tym pani szmatławcu.

Blair patrzyła na niego z chłodnym spokojem.

– Mamy najlepszych fotoedytorów, a Jessie jest znana na całym świecie. A ja, proszę mi wierzyć, jestem bardzo dobrą dziennikarką. – Nie zareagowała na widok gniewnej miny Dusty’ego, czym zyskała sobie jego uznanie. – Panie Matlock, rozmawiałam już z szefami gangów, mordercami, cudzołożnymi kaznodziejami, uzbrojonymi miłośnikami sztuki przetrwania i z kim pan tylko chce. Niełatwo mnie

zniechęcić. – Blair LaBorde mówiła uprzejmie, ale stanowczo. – Obiecuję, że opublikuję tylko prawdę. Dotrzymam słowa, jeśli nie będzie pan przede mną niczego ukrywał.

Jessie Ryder nie zawracała sobie głowy uprzejmościami, tylko spytała:

– A o czym jest ta historia?

Dusty spojrział na nią uważnie. Spodobało mu się to wyzwanie. I paradoksalnie spodobało mu się też to, że tak otwarcie posługiwała się aparatem. Nie chowała się w krzakach z teleobiektywem tak jak inni fotoreporterzy.

Posadził sobie Amber na biodrze.

– Pójdę się trochę ogarnąć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Blair odwróciła się z uśmiechem do Jessie.

- Spodobałaś mu się.
- Daj spokój, jak zawsze umiesz przenikać tajemnice ludzkiej natury. – Jessie podążyła wzrokiem za Dustym.
- No cóż, ma się ten talent.
- Nie wspominałaś, że on boi się aparatu.
- Skarbie, ten facet nie boi się niczego i nikogo.

Jessie musiała przyznać jej rację. Z Dusty'ego biła pewność siebie i coś jeszcze. Patrzyła na niego nie tylko ze zwykłym zainteresowaniem. Podczas burzliwego związku z Simonem miała okazję poznawać wielu mężczyzn, ale takiego jak Dusty nie spotkała nigdy. Chyba wszystko popsukała, robiąc mu zdjęcia w pierwszej minucie znajomości. Nie była jednak przyzwyczajona do tego, że fotografowane przez nią obiekty mają uczucia.

Arnufu wyniósł małą przenośną lodówkę wypełnioną kostkami lodu i szklanymi butelkami coca-coli. Postawił ją na drewnianym stole na tarasie.

- Możemy posiedzieć tutaj, dopóki nie posprzątam w domu? Nie spodziewaliśmy się fotografa już dziś.
- Mogę przyjechać kiedy indziej – zaproponowała Jessie.
- Zapraszam serdecznie. Ale dziś też niech pani zostanie. Jestem pewien, że Dusty nie będzie miał nic przeciwko temu.

Poczuła, że się czerwieni. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nadal tak reaguje, i to po życiu, które prowadziła.

Arnold otworzył dwie butelki, jedną wręczył Blair, a drugą podał Jessie. Wyciągnęła po nią nieco drżącą rękę.

Blair szukała czegoś w swojej torbie.

– Panie Garza, mogę pana o coś zapytać?

Uśmiechnął się, wyraźnie mniej zdenerwowany tą rozmową niż Dusty.

– Oczywiście, senorita.

Blair wyjęła z torby magnetofon wielkości paczki papierosów i położyła go na stole.

– Od jak dawna pracuje pan u pana Matlocka?

Spojrzał spokojnie na dyktafon.

– Do publikacji czy nie?

Blair usiadła na wyblakłym leżaku.

– Jak pan chce.

– To bez znaczenia. Ale zawsze chciałem wygłosić tę formułkę. A dlaczego pani myśli, że u niego pracuję?

– To nieprawda?

– Czemu pani nie spytała, jak długo Dusty pracuje u mnie?

Blair miała w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby się zaczerwienić. Ale tylko na moment.

– Przepraszam pana – powiedziała rzeczowo. – Czy on u pana pracuje?

– Nie. – Z wesołym błyskiem w oku poprawił równo przycięte wąsy. Utkwił wzrok w magnetofonie. – Nazywam się Arnufu Carlos Chavez y Garza. Mam sześćdziesiąt dziewięć lat. Urodziłem się w Meksyku w Jalisco i legalnie wyemigrowałem na północ w 1974 roku. Moja żona zmarła dwa lata temu. Mieszkam tu, bo Dusty i Amber mnie potrzebują, a ja dzięki temu mam się czym zająć, no i poza tym to lubię.

– Co Dusty czuł, kiedy stracił żonę, a w zamian zyskał córkę?

– O to musi pani zapytać jego. – Popatrzył na jezioro. Lekki wiatr rozwiewał przyprószone siwizną włosy. Odwrócił się gwałtownie. Jessie zrozumiała, że musiał usłyszeć dźwięk otwieranych drzwi wcześniej niż ona.

– Uwaga, Arnufu, przekazuję ci ją – zawołał Dusty z wnętrza domu.

– Słyszałem.

Amber podeszła do niego z wyciągniętymi rączkami. Aureola jasnego puchu otaczała buzię cherubinka.

– A co też ona ma na sobie! – parsknęła z dezaprobatą Blair.

Jessie powstrzymała uśmiech.

– Zdaje się, że swoją najlepszą sukienkę.

W sukieneczce z satyny pokrytej falbankami z taniej koronki dziewczynka wyglądała jak torcik oblany różowym lukrem. Takie sukienki sprzedawano na przydrożnych bazarach, marzyły o nich dziewczynki przed pierwszą komunią, ale kupić ją mógł jedynie mężczyzna niemający najmniejszego pojęcia, jak trzeba ubrać dziecko.

Arnufu podniósł Amber. Jessie instynktownie nacisnęła spust migawki, robiąc serię zdjęć. Całkowicie skupiony na dziecku starszy mężczyzna i roześmiana dziewczynka z odchyłoną do tyłu główką.

– Super! – powiedziała. – Chyba mamy parę niezłych ujęć.

– Dzieci zawsze wychodzą dobrze na zdjęciach, nie? Czego nie da się powiedzieć o starych mężczyznach.

Jessie mrugnęła do Arnufu.

– Spróbuj to powiedzieć Seanowi Connery’emu.

Dusty wyszedł na taras. Jessie zauważyła, że zdążył wziąć prysznic w rekordowo krótkim czasie. Kręcone włosy miał jeszcze wilgotne. Na kieszonce błękitnej dżinsowej koszuli, podkreślającej kolor oczu, miał wyhaftowane logo z dwoma skrzydłami i nazwą firmy Matlock Aviation Services.

Amber przywitała go radosnym gaworzeniem. Dusty wziął ją na ręce i zajął miejsce naprzeciwko Blair.

– Możemy zaczynać.

Jessie zauważyła, że jest dziwnie zdenerwowana.

– Dobrze.

Uprzejmie skinął w jej kierunku głową.

– Możesz mi zrobić zdjęcie, kiedy chcesz.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Udawaj, że mnie tu w ogóle nie ma.
– Wiedziała, że papla za dużo, ale nie umiała się powstrzymać. Miał w sobie coś takiego... Im bardziej był wobec niej szorstki, tym bardziej była nim zafascynowana.

Popatrzył na nią, nie kryjąc zainteresowania.

– Dobra. Będę cię ignorował.

– Tak jakby mnie tu nie było.

Blair ponownie włączyła dyktafon.

– Dobra, Dusty, kolej na ciebie. Mów wszystko, od początku do końca.

Dusty wziął długi, głęboki wdech, przez moment przytrzymał powietrze, a potem je wypuścił. Jessie patrzyła na niego przez wizjer aparatu. Na jego twarzy malowało się takie napięcie, że gdyby nie sztuczny dystans stwarzany przez obiektyw, musiałaby odwrócić wzrok.

Zamknął na moment oczy, a kiedy je otworzył, wydawało się, że przeniósł się w jakieś odległe miejsce. Po chwili zaczął mówić:

– W naszym życiu nie było nic niezwykłego. Poznaliśmy się, zakochaliśmy się w sobie, wzięliśmy ślub. Mieliśmy małą firmę samolotową na Alasce, planowaliśmy pierwsze dziecko. Żyliśmy jak wiele innych małżeństw. Dopóki Karen nie umarła. Na dwa miesiące przed urodzeniem naszej córki.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Długi obiektyw drgnął. Zaskoczyło to Dusty'ego, bowiem Jessie obchodziła się ze swoim sprzętem z wprawą i pewnością zawodowca. Łatwo było wyobrazić ją sobie, jak beznamiętnie robi zdjęcia politykom, nieznanym nikomu bohaterom z małych miasteczek, ofiarom kataklizmów. Jednak ta chwila zawahania zdradziła nerwowość, którą próbowała ukryć za potężnym obiektywem.

– Przepraszam – mruknęła. – Ale to ostatnie zdanie mnie zaskoczyło.

Od tamtego dnia minęły już ponad dwa lata, a Dusty czuł obecność żony, jakby to się wydarzyło wczoraj. Karen była dowcipna, wesoła, prostolinijna. Ta sytuacja na pewno by ją zainteresowała.

– Właśnie dlatego wasze pismo chce o tym napisać – powiedział.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Zdziwiło go i zaintrygowało, że kobieta, która objechała cały świat, tak łatwo się czerwieni. Po raz pierwszy od dwóch lat piękna kobieta przyciągnęła jego uwagę. Nie spodziewał się, że to go jeszcze kiedykolwiek spotka. Powinien być jej za to wdzięczny. Oto nie tylko miał dowód, że wciąż żyje, ale że chce żyć nadal. Przebudzenie, którego doznał na jej widok, nie było żadną aberracją. W miarę upływu czasu utwierdzał się w tym przekonaniu.

Może to upał tak na niego działał. A może ona. Zdał sobie sprawę, że Blair uważnie mu się przygląda. Stary, weź się w garść, skarcił się w myślach. One tu mają do załatwienia swój interes. A on przystał na ich propozycję.

– Nie musimy się spieszyć. – W głosie Blair pojawiło się nieoczekiwane współczucie.

Przeniósł myśli w bolesną przeszłość, skupiając wzrok na czarnym pudełku na stole. Czy magnetofon uchwyci cały koszmar i straszliwe poczucie straty, które od tamtego dnia towarzyszyło mu w każdej chwili?

– Karen i ja mieliśmy wszystko, co potrzeba. Wierzyliśmy, że czeka nas długie, szczęśliwe życie. Była młoda i silna, tak jak ja miała licencję pilota. Przestała latać, gdy okazało się, że jest w ciąży. Ale w szóstym miesiącu nadal chodziła codzienne na pięciokilometrowe spacerunki. – Przed oczami pojawił mu się obraz Karen. Jest uśmiechnięta, w jasnych włosach odbija się słońce, które nigdzie nie świeci tak intensywnie jak latem na północy Alaski, maszeruje dziarsko przez brzoźowo-świerkowe lasy albo przechadza się w ogrodzie. Latem naparstnice i malwy dorastały do ogromnych rozmiarów i kwitły jak szalone, jakby chcąc zdążyć przed zabójczą zimą.

Tego dnia, w którym wszystko się zmieniło, letnie słońce było tak jasne jak uśmiech Karen, wiał chłodny wiatr, ostry niczym skalpel. Wróciła ze spaceru rozradowana, z nosem lekko zaczerwienionym od zimna.

Do dziś pamiętał, jak oparła się dłonią o jego piersi, tuż nad sercem, i wspięła na palce, żeby go pocałować. Czy wyglądała na zmęczoną? Zaniepokojoną? A może po prostu myślał o czymś innym i tego nie zauważył?

Głowę rzeczywiście miał zajętą długofalowymi planami zawodowymi. Przed zimą chcieli się przenieść do miasta. Letnia stacja miała swój niewątpliwy urok, ale ze względu na dziecko postanowili zachować zdrowy rozsądek. Wynajęli w Fairbanks mieszkanie niedaleko szpitala North Star, gdzie Karen miała urodzić dziecko. A wiosną zamierzali wrócić do siebie. Plan wydawał się prosty i łatwy. Nigdy by się nie spodziewał, że legnie w gruzach w ciągu kilku minut.

Tamtego dnia w jej głosie zauważył coś, co kazało mu się natychmiast oderwać od dokumentów i liczb przesuwających się po ekranie komputera.

Pocałowała go. Już nie była w takim dobrym nastroju.

– Źle się czuję. Głowa mnie bardzo boli.

– Chcesz się położyć? Zrobię ci herbatę ziołową.

– Nie chcę panikować, ale to nie jest zwykły ból głowy. Coś jest nie tak. Muszę jechać do lekarza. I to natychmiast.

Ton jej głosu bardzo go zaniepokoił. Coś rzeczywiście było źle.

Zerwał się z krzesła, żeby ją podtrzymać.

– Chodzi o dziecko?

– Nie. – Zamilkła. Patrzyła na niego z niespotykaną u niej bezradnością. – Coś złego dzieje się ze mną.

W ich przypadku wizyta u lekarza oznaczała znacznie więcej niż dojechanie do najbliższej przychodni. Włączył radio w laptopie, zaalarmował obsługę naziemną pasa startowego. Lot do lekarza będzie trwał co najmniej czterdzieści pięć minut. Wyjechali z domu w takim pośpiechu, że nawet nie zamknęli drzwi na klucz. Na kuchennym blacie zostały pokrojone pomidory i lista zakupów spisana przez Karen czerwonym tuszem. Kiedy Dusty prowadził samochód, Karen zadzwoniła z komórki do swojej lekarki. Zauważył, że resztką sił stara się zachować spokój, opisując objawy: ostry ból głowy... dziwny, trudny do opisania... nie, nie mam skurczów, tylko ten ból... Widział, że na jej spiętej, bladej twarzy przerażenie miesza się z zagubieniem. Co się dzieje?

Dusty był doświadczonym pilotem. Od pięciu lat latał nad Alaską, przewożąc pracowników szybów wiertniczych, dyrektorów firm, milionerów. Inuitom dostarczył serum ratujące życie, ewakuował mężczyzn, którzy wpadli w szczeliny, i awanturników, którzy porzobili sobie nosy w barowych bijatykach. Dwa lata wcześniej transportował do szpitala młodą kobietę w porodzie i jej przestraszonego męża. Razem odliczali długość skurczów, a między skurczami śmiali się nerwowo i zastanawiali, czy dać dziecku na imię Del Rey od nazwy miasta, w którym zostało poczęte, czy Macon od nazwy rodzinnego miasta rodziców. Kobieta cierpiała i była wystraszona, ale ani razu nie powiedziała: „Dzieje się ze mną coś złego”.

Te słowa wywróciły świat Dusty'ego do góry nogami, całkowicie odmieniły jego przyszłość. Gdzieś w zakamarkach umysłu zdawał sobie z tego sprawę już wtedy, gdy wkładał kurtkę pilota i pomagał ubrać się żonie.

Tego dnia Karen po raz ostatni patrzyła na dziką przyrodę Alaski. Wiedział to. Wyczytał to z jej przesyconej bólem twarzy, z głębi oczu.

Leciał z największą prędkością, jaką dało się wycisnąć z jego najnowszego pilatusa, nie zwracając uwagi na ciąg czy oszczędzanie paliwa. Karen siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami, nad górną wargą gromadziły się kropelki potu.

Na drugim miejscu dla pasażera siedziała nauczycielka z miejscowej szkoły, Nadine Edison, której jedyną niepodważalną zaletą było to, że Karen uważała ją za swoją najbliższą przyjaciółkę. Spędzały ze sobą wiele czasu, a ostatnio razem zajmowały się spisywaniem wyprawki dla dziecka. Podczas trwania lotu Nadine bez przerwy coś mówiła i pocieszała Karen. Powtarzała, jak bardzo wszyscy ją kochają, że urodzi wspaniałe dziecko, a ona będzie dumną, szczęśliwą ciocią.

Dusty przerwał na moment, gdy wesoły śmiech i gaworzenie Amber przywróciło go do teraźniejszości.

– Nie powiedziała jedynie, ile pieniędzy dostanie za sprzedanie tej historii brukowcom.

Zerknął na córkę, która wyglądała w koronkowej sukieneczce jak wielki, różowy goździk. Arnufu kupił ją na targu Mercado del Sol w San Antonio. Aż trudno sobie było wyobrazić, że pewnego dnia będzie dorosła i to wszystko przeczyta.

– Więc miałeś do Nadine zaufanie?

– Karen jej ufała. Ja w zasadzie nie miałem o niej żadnego zdania.

– Dobrze. Wróćmy do tamtego dnia. Podczas lotu twoja żona była spokojna.

Skinął głową. Jeszcze nigdy nie ucieszył się tak na widok chmury zanieczyszczonego powietrza nad miastem. Budynek szpitala był piękny jak nigdy. Ale zanim jeszcze Karen zmarła, miał niedobre przeczucie.

– Mówiłem, że bardzo ją kocham. Powtarzałem to wiele razy. – Popatrzył na swoje dłonie. – Podejrzewam, że to właśnie mówią sobie ludzie, kiedy tracą nadzieję, kiedy nie można już nic zrobić.

– Przed lądowaniem powiedziała mi trzy rzeczy. – Pamiętał, że na lądowisku stał rząd karetek. Tamtejszy personel znał jego i Karen. – Mam nagranie naszej rozmowy. – W innych okolicznościach roześmiałby się na widok wyrazu twarzy Blair. – Na urządzeniu rejestrującym lot. Jeśli chcesz mnie spytać, czy pozwolę ci jej posłuchać, to tak, pozwolę. I dam ci zapis rozmowy. Nie wstydzę się tego, co powiedziałem.

– A co Karen ci powiedziała?

– Że kocha mnie i dziecko. Że mam ratować dziecko bez względu

na wszystko. – Zamilkł i sięgnął po colę. – A potem powiedziała, że chyba umiera.

Dusty wpatrywał się w dal, przeszłość mieszała mu się z teraźniejszością niemal surrealistycznie. Po drugiej stronie jeziora, wokół domu Bennigów, panował jak zwykle ruch – dzieci biegały w kółko, jacyś ludzie przychodzili i wychodzili. Miał wrażenie, że ostatnie chwile z Karen zamieniają się w jego umyśle w kryształ, który rozpada się na tysiące kawałków.

Spojrzał na Jessie Ryder. Pojawiła się w jego życiu nieproszona, a jednocześnie miał wrażenie, że jest tu od dawna, od zawsze. Zamieniła jego rozpacz w publiczny spektakl, ale jednocześnie utrwalała ją dla Amber. Pewnego dnia córka zobaczy te zdjęcia, przeczyta słowa, które właśnie wypowiada.

– To były jej ostatnie słowa. Ostatnie.

Rejestrator lotu uchwycił jego spięty, nerwowy głos: „Karen! Karen! Boże, ona nie żyje! Boże, zrób coś, do cholery!”. To ostatnie było do Nadine, która rozmawiała przez radio z obsługą naziemną.

Karen straciła przytomność, a on nadal prowadził samolot, choć jego życie rozpadło się właśnie na wysokości trzech tysięcy metrów nad ziemią. Podczas szaleńczego przejazdu z lądowiska do szpitala ogarniała go coraz większa panika, którą bezskutecznie próbował tłumić. Jeszcze zanim lekarze ogłosili werdykt, wiedział, że najstraszniejsze obawy zamieniają się w rzeczywistość. U Karen doszło do pęknięcia dużego tętniaka. Wkrótce lekarze orzekli śmierć mózgu. Dusty musiał jedynie podjąć decyzję, kiedy odłączyć aparaturę. Słyszał, co lekarze mówią, widział płaską linię na monitorze, ale nie potrafił tego przyjąć. Przecież to jego miłość, jego żona, jego przyszłość...

Znów spojrzał na Jessie. Siedziała całkiem nieruchomo, jedynie po policzkach płynęły jej dwie strużki łez. Nie zrobiła ani jednego zdjęcia.

Gdy ich spojrzenia spotkały się, starała się jakoś opanować: wyprostowała się na krześle, zacisnęła dłonie na poręczy.

– Dobrze się czujesz? – spytał zdziwiony.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała cicho. Słyszając śmiech Amber, odwróciła w jej kierunku głowę. – To z jej powodu zgodziłeś się to zrobić, prawda?

Jej zrozumienie sprawiło mu przyjemność. Co za dziwna chwila na takie uczucia, pomyślał. Napięcie pomiędzy nimi stało się nieomal wyczuwalne.

– Tak, to z jej powodu postanowiłem wam o wszystkim opowiedzieć. Chodzi mi o prawdę. Ale nigdy chyba nie zrozumiem, dlaczego ludzi tak ten przypadek fascynuje.

– Kiedy ludzie czytają o cudzej tragedii, mają nadzieję, że coś podobnego ich ominie – powiedziała Blair. – To coś w rodzaju talizmanu chroniącego przed cierpieniem. Dużo łatwiej jest poradzić sobie z czyjąś tragedią niż z własną.

Dusty był pewien, że cień, który zauważył na twarzy Jessie, był jedynie wytworem jego wyobraźni. Przemknęło mu przez myśl, że może jednak wypadek dzipa miał dużo groźniejsze skutki. Ale Jessie była skupiona tylko na nim. Nie tak jak Blair, której zależało jedynie na materiale na reportaż. Nie, Jessie słuchała go tak, jak się słucha opowieści przy ognisku – ze współczuciem, przerażeniem i zainteresowaniem osoby, która jest po tej samej stronie. Zdażył już do tego przywyknąć, ale w przypadku Jessie taka troska miała zupełnie inną jakość. Przy niej chciał się zatrzymać, wyjaśnić, odsłonić przed nią serce i przesiać popioły, które z niego zostały, żeby sprawdzić, czy nie przetrwała w nich jakaś iskra życia.

Skończył colę i znów zaczął mówić do dyktafonu – neutralnego,

bezdusznego urządzenia, które łagodziło jego emocje.

– Podobno podczas ciąży przychodzi taki moment, w którym dziecko staje się czymś realnym. To prawda?

Blair wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie byłam w ciąży.

Spojrzał na Jessie. Otworzyła usta, a potem je zamknęła. Jej policzki zrobiły się czerwone, ale nie powiedziała nic.

– Dowiedziałem się tego od jednej z pielęgniarek w szpitalu. Że podczas ciąży przychodzi ta chwila, od której wszystko staje się rzeczywiste. Ja nie miałem jeszcze takiego wrażenia. Chcieliśmy odłożyć wszystkie zakupy i przygotowania na jesień, kiedy już przeniesiemy się do miasta. Nie zastanawialiśmy się też nad... nad niczym. – Nie umiał tego powiedzieć. Nie rozmawiali jeszcze o imieniu, o wysyłaniu zawiadomień, więc tym bardziej nie przyszło im do głowy, żeby omawiać ustalenia na wypadek jakiejś tragedii.

– A kiedy Karen... – Zamilkł i po chwili zaczął od nowa. – Siedziałem przy jej łóżku. Właśnie odbyłem nie wiem, którą już rozmowę z lekarzami i psychologiem. Wszyscy powtarzali, że Karen nie żyje. – Tamte godziny bólu zlewały się ze sobą, ale dokładnie pamiętał żonę. Wyglądała, jakby była pogrążona we śnie. Pamiętał dotyk jej dłoni, zapach włosów. Powtarzał sobie, że odeszła bardzo daleko i już nigdy nie wróci. A jednocześnie tak mocno czuł jej obecność.

– Ktoś z transplantologii tłumaczył mi, że gdy mózg umiera, reszta organizmu też przestaje funkcjonować, więc decyzję o przekazaniu organów do przeszczepów trzeba podjąć natychmiast. Strasznie się rozwodzili nad tym, że Karen była zdrowa, że wszyscy znali jej wielkoduszość, że podpisała zgodę na pobranie organów. A kto z nas tego nie zrobił? To prawda. Podpisała. Nie miała z tym żadnych

problemów. Gdyby to mnie dotyczyło, podjęłaby taką samą decyzję.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Tylko że ona nie była jeszcze martwa. Właśnie wtedy to do mnie dotarło z całą mocą. Wszyscy mówili, że aparatura podtrzymuje serce, płuca, nerki i nie wiem co jeszcze, jakby nikt nie zauważał, że ona też podtrzymuje czyjeś życie.

Zauważył moment, w którym Jessie wszystko zrozumiała. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, smutek, a gdy w końcu spojrzała na Amber – głębokie, szczere uznanie. Przypomnił sobie tę trudną decyzję, którą musiał wtedy podjąć. Gdyby lekarze doprowadzili do porodu, zostałby wdowcem i ojcem wcześniaka. Mogli też po prostu odłączyć Karen od aparatury – zmarłaby wtedy razem z dzieckiem. A mogli też utrzymywać ją przy życiu tak długo, aż dziecko będzie mogło przyjść na świat bez większych obaw o jego zdrowie i życie. Czyli przez kolejne sześć lub osiem tygodni. Decyzja dotyczyła jedynie dziecka, dla Karen nie było już żadnej nadziei. Dusty miał wrażenie, że jego świat rozpadł się na kawałki. Nienawidził siebie za obietnicę, którą złożył Karen. A być może nienawidził też dziecka za przedłużanie jego cierpienia.

– Nie byłem zbyt uprzejmy dla pielęgniarki, która zaczęła ze mną rozmawiać o dziecku. Mówiąc szczerze, krzyczałem na nią, i to bardzo. A jednocześnie cały czas trzymałem swoją żonę za rękę. – Zamilkł i zapatrzył się w jakiś odległy punkt. Korony drzew rosnących nad brzegiem drżały i rozmazywały się. Ale nie z powodu jego łez. Łzy były prywatną sprawą, a tę historię miał opowiedzieć światu.

Spojrzał na Jessie. Bez trudu zgadł, co czuje, patrząc na wyraz jej ust i drżenie powiek. Był pewien, że w jej życiu nigdy nie zdarzyła się żadna tragedia, ale zauważył w jej twarzy coś szczególnego. Przyglądał się Jessie uważnie, z nieodpartym wrażeniem, że łączy ich jakieś podobieństwo. Poznał ją niemalże przed chwilą, ale wydawało mu się,

że rozpoznaje jej uczucia. Był to ten sam rodzaj intuicji, który uruchamiał się w nim podczas lotów. Od czasu śmierci Karen różne kobiety próbowały go pocieszyć, ukoić jego ból, uwieść go, żeby nic nie czuł, ale żadnej się nie udało. Jessie, nie zdając sobie z tego sprawy, dawała mu coś zupełnie innego. Przyzwolenie

na ból i jednocześnie niewypowiedzianą obietnicę uleczenia rany.

Z domu wyszedł Arnufu, wziął Amber na ręce i poszedł na środek trawnika bawić się z nią czerwoną piłką. Obie kobiety siedziały nieruchomo.

– Oficjalnie moja żona była martwa – odezwał się Dusty. – Przez dwa miesiące codziennie u niej byłem, rozmawiałem z nią, włączałem muzykę, przy której tańczyliśmy. Powtarzali mi, że ona nie żyje. Ale jednocześnie była ciepła, piękna i czasem wyobrażałem sobie, że tylko śpi. Kiedy trzymałem ją za rękę, mogłem wyczuć puls. I przez ten cały czas wiedziałem, że pewnego dnia to się skończy. Że wyjmą z niej dziecko, organy do przeszczepów i zabiorą ją ode mnie. – Miał wrażenie, że jest czasem na granicy szaleństwa, kiedy patrzył na rosnący brzuch Karen, na jej pozbawione życia ciało podtrzymujące życie drobnej, nieznannej istoty. Ich długie pożegnanie było jednym wielkim cierpieniem.

– Kiedy nadszedł ten dzień, całą procedurę od początku do końca nadzorował ginekolog Karen. Wszystko było kontrolowane i monitorowane. Lekarze pozwolili mi słuchać bicia serca dziecka, tłumaczyli, co się dzieje. Ale nikt mi nie powiedział, jak mam sobie potem poradzić.

Gdy po raz pierwszy wziął swoje dziecko na ręce, zdał sobie sprawę, w jaki cud zamieniło się jego poświęcenie. Dał dziewczynce na imię Amber, co znaczy bursztyn, bo oczy Karen miały ten kolor. W pierwszej chwili chciał ją nazwać Karen, ale obawiał się, że już zawsze będzie wymawiał to imię ze smutkiem. Wziął głęboki oddech.

Skoro postanowił opowiedzieć o wszystkim, to mógł też powiedzieć i to.

– Był taki moment, że zastanawiałem się, czy nie oddać jej do adopcji.

Jessie syknęła, jakby się o coś oparzyła. Z płonącymi policzkami zaczęła coś ustawiać w aparacie.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytała Blair.

– Właściwie już byłem zdecydowany. Ale... serce mi nie pozwoliło. To ja miałem ją wychować, nawet jeśli wydawało mi się, że takie zadanie mnie przerasta.

Pierwsze miesiące z Amber zapisały się w pamięci Dusty'ego jak jeden ciąg bezsennych dni i nocy. Nie pił, bo alkohol jedynie pogłębiał jego smutek, ale czuł się jak na ciągłym kacu. Miał w sobie mętlik uczuć – żal, złość, a nawet niechęć do dziecka. Te emocje były tak silne, że czasem nie mógł oddychać, czasem kładł rękę na telefonie, żeby zadzwonić do prawniczki, z którą już wcześniej rozmawiał o prywatnej adopcji. Ale nigdy do niej nie zadzwonił. Mała była całkowicie od niego zależna i paradoksalnie ta świadomość dodawała mu sił. Udawało mu się przetrwać kolejną minutę, kolejną noc, kolejny miesiąc.

Gdy jego opowieść dobiegła końca, miał wrażenie, że odsłonił się całkowicie, a jednocześnie poczuł się lżej. Dziwne. Zdążył polubić tę kobietę, choć prawie jej nie znał. Pojawiła się z zamiarem naruszenia jego prywatności, ale wydawała się tak samo zagubiona jak on. Nie okazywała fałszywego współczucia jak Blair. Jej reakcja była dużo bardziej interesująca. Nie patrzyła na niego z litością. Patrzyła na Amber. Widział, że się przy tym uśmiecha.

Nie mogła tego wiedzieć, ale stała się nowym elementem w jego historii a nie tylko wynajętym fotografem, który miał uwiecznić jego spowiedź. Była jak nieznamy gość, który nagle wkroczył w jego życie.

I z jakiegoś niewiadomego powodu życie znów nabrało smaku.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Miała wrażenie, że na jej sercu coś się zacisnęło. Wyobraziła sobie Dusty'ego przy łóżku żony – rozmawia z nią, włącza ulubioną muzykę, trzyma ją za rękę, jakby wciąż jeszcze żyła. Ten obraz poruszył ją do głębi. Jak to jest, kiedy tak bardzo kocha się drugą osobę? A potem się ją traci, znając dokładnie dzień i godzinę, kiedy wciąż ciepłe serce zostanie z niej wyjęte i oddane komuś... obcemu.

Nie mogła wytrzymać jego uważnego spojrzenia, więc odwróciła się do Blair z gorącym pytaniem w oczach: Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Blair wspomniała jedynie, że chodzi o wdowca, który przeniósł się z Alaski i samotnie wychowuje dziecko, a nie o bohatera tragedii, który przeżył coś, czego nie dało się nawet opisać.

– Przepraszam was na chwilę. – Jessie wstała od stołu i podeszła do Arnufa, który bawił się na trawniku z Amber. Właśnie dlatego fotografowała ciekawe gatunki drzew, formacje skalne, starożytne mozaiki, zabytki zaginionych cywilizacji. Nie powinna była brać tego zlecenia. Nigdy nie będzie umiała w odpowiedni sposób pokazać cierpienia tego człowieka. Wcześniejsze zdjęcia Arnufa i Amber nie nadawały się do tej opowieści, teraz już to wiedziała. Brakowało w nich tego, co mogłaby przekazać, gdyby umiała patrzeć sercem a nie tylko okiem aparatu. Będzie musiała spróbować jeszcze raz.

Na jej widok Amber schowała się za kolanem Arnufa. Jessie niewiele miała do czynienia z dziećmi, wiedziała jednak, że potrafią wyczuwać nastrój drugiej osoby. Może tak jak konie czują też cudzy lęk? Zwolniła kroku i uśmiechnęła się ciepło.

– Czy Amber lubi, jak się jej robi zdjęcia? – spytała. Mówiąc to, zmieniła obiektyw i założyła nasadkę do zbliżeń.

– Oczywiście! – Arnufu uśmiechnął się czule, patrząc na dziewczynkę. – Wszyscy jej robią zdjęcia. Ona ma mnóstwo wielbicieli.

Jessie przyklękła na jedno kolano.

– A czy jest przyzwyczajona do nieznajomych?

– Nie za bardzo. Ale lubi ludzi.

– Cześć, mała – powiedziała Jessie miękko i wyciągnęła rękę. Przez krótką chwilę buzia Amber była tak obojętna i nieprzenikniona jak księżyc w pełni. Jessie myślała o tym, czego się właśnie dowiedziała: oto dziecko, które urodziło się z ciała martwej kobiety. Przyszło na świat dzięki miłości i wielkiemu poświęceniu. To życie było darem niemal mistycznym. Amber położyła rączkę na dłoni Jessie, małe palce zatrzepotały niczym skrzydła ptaka. Jessie wyobraziła sobie Lilę w tym wieku i mimowolnie zacisnęła dłoń.

Buzia Amber wykrzywiła się ze strachu, dziewczynka rozpłakała się. Arnufu odwrócił się do Dusty’ego, dając znak, że nic się nie stało, wziął Amber na ręce i skinął na Jessie, żeby poszła za nim.

– Pod tym względem jest zupełnie inna niż jej ojciec – wyjaśnił. – Nie pozwoli nikomu się do siebie zbliżyć, dopóki mu nie zaufa.

Jessie spojrzała na Arnufa badawczo.

– A jej ojciec jaki jest?

– Nie stwarza dystansu. Ufa każdemu, dopóki nie okaże się, że ktoś na to zaufanie nie zasługuje.

Jessie przyszło do głowy, że coś takiego musi wymagać swojego rodzaju odwagi. Albo świadczy o niewinności. Jej brakowało zarówno jednego, jak i drugiego. Przypomniała sobie wyraz twarzy Dusty’ego,

kiedy mówił, że najbliższa przyjaciółka Karen sprzedała brukowcom historię o jej śmierci. Poczucie zdrady było zdecydowanie mniej wyraźne niż zdziwienie.

Ponownie skupiła się Abmer, teraz już nieufnej. Pomyślała o fotografiach wiszących na ścianie u Luz, żałując, że nie przyjrzała się uważniej technice siostry. Tyle że ta technika była w zasadzie niewidoczna, podobnie jak autorka fotografii. Umiała uchwycić dziecięce twarze w sposób naturalny i niewymuszony. Arnufò miał rację, najważniejsze jest zaufanie. Na miłość boską, przecież nie można podchodzić do fotografowania dziecka tak samo jak do fotografowania posągu Napoleona czy toskańskiej winnicy.

– Chętnie zrobiłabym ci jeszcze kilka zdjęć – powiedziała. – Chyba że ty też mi nie ufasz.

– Jestem za stary, żeby ufać tak pięknej kobiecie. I za głupi, żeby jej nie ufać.

– Mój Boże! – zawołała ze śmiechem. – Gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata mojego życia?

– Wychowywałem pięć córek, tak samo pięknych jak ty.

Odwróciła się, żeby nie widział wyrazu jej twarzy. Rzadko zdarzało jej się odczuwać brak ojca, ale czasem ta świadomość uderzała w nią niczym młot.

– Proszę, jestem gotowy. – Arnufò przełożył sobie Amber nieco z boku i patrzył prosto w obiektyw, stojąc w staromodnej, niemal wojskowej pozycji. Jessie zdawała sobie sprawę, że fotoedytorzy nie lubią pozowanych zdjęć, ale w tym wąsatym mężczyźnie o siwych włosach trzymającym na rękach dziecko, tak jakby było delikatnym kwiatem, zobaczyła coś niezwykłego. Kontrast ogorzałej skóry ze świeżymi policzkami dziewczynki stanowił ucieleśnienie różnicy

pomiędzy młodzieńczą niewinnością a trudnym doświadczeniem życiowym.

Nacisnęła kilka razy spust migawki, ciesząc się, że czasy fotografii analogowej już minęły. Lata pracy w odległych zakątkach świata, gdy miała do dyspozycji jedynie aparaty analogowe, nauczyły ją uważnego dobierania kadrów i oszczędnego używania filmów. Na szczęście teraz nie musiała się ograniczać.

Ale już przy pierwszym kliknięciu wiedziała, że ujęcie jest idealne. Taki portret nie zdarza się często. Zrobiła jeszcze kilka zdjęć, nabierając coraz większej pewności siebie. Arnufu obserwujący posiadłość z trawnika wyglądał niczym hiszpański hidalgo z dawnych wieków. Amber powoli oswajała się z jej obecnością, a nawet okazywała pewną sympatię, przynosząc Jessie piórko, gałązkę i opadły liść. Ona zaś podążała za nią, cały czas robiąc zdjęcia. Nieprzewidywalność dziecięcych ruchów była intrygująca, wręcz pociągająca. Udało jej się uchwycić Amber śmiejącą się do brązowo-białego teriera i Amber stojącą nad jeziorem, wskazującą palcem wysoko w niebo. Jej zachwyty dla najzwyklejszych rzeczy wprowadzał do zdjęć atmosferę świeżości. Jessie znów poczuła ból straty, zobaczyła to, co ją ominęło, gdy dokonywała określonych wyborów. Wychowanie dziecka było przygodą, zapewne największą i najważniejszą w życiu. A ona jej nie przeżyła.

– Trochę się niepokoję, gdy podchodzi za blisko jeziora.

Jessie wyprostowała się i zobaczyła Dusty'ego, który zmierzał w ich kierunku.

– Przepraszam.

Arnufu powiedział po hiszpańsku coś, czego nie rozumiała.

Amber wydała z siebie pisk radości i podbiegła do ojca.

– Zajmę się nią – powiedział Dusty. – Zrób trochę mrożonej herbaty dla tej damy z długimi włosami. – Chwycił dziewczynkę pod pachy i podniósł w górę. – Jessie, lubisz dzieci?

Na to pytanie nie była przygotowana.

Uśmiechnął się, widząc jej wahanie.

– To nie jest chyba trudne pytanie.

Przyłożyła aparat do oka.

– Jakoś nie miałam okazji być dużo z dziećmi. – Nacisnęła spust, choć wiedziała, że zdjęcie będzie beznadziejne. Ale musiała jakoś odgrodzić się od Dusty’ego. Miała wrażenie, jakby ją nieustannie prowokował albo rzucał wyzwanie. Także wtedy, gdy przyznał, że rozważał oddanie córki do adopcji, ale potem odrzucił ten pomysł. Z pewnością nie zdawał sobie z tego sprawy, ale byli dwiema stronami tej samej historii.

Patrzyła na jego dłonie. Szerokie, silne, pewne tego, co robią... z wyjątkiem chwil, kiedy trzymały dziecko. Dusty Matlock wyglądał wtedy jak zagubiony facet, który niechcący wszedł do damskiej przymierzalni w eleganckim sklepie. Był spięty, a jednocześnie jego twarz wyrażała bezradny zachwyt. Starła się uchwycić te emocje, razem z koronkową sukieneczką i innymi szczegółami.

– Ona jest piękna – powiedziała. – Ale pewnie ludzie ci to ciągle mówią.

– To prawda.

Nie udało się. Nadal nie czuła między nimi porozumienia.

– Zanim zrobimy następny krok, chciałam ci powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu twojej żony.

– To też ciągle słyszę.

– I dzięki temu jest ci lżej?

– Nie.

– A jest coś, co ci pomaga?

– Tak.

Odetchnęła z ulgą. Gdyby zaprzeczył, byłby to dowód, że jest żywym przykładem drogi donikąd. Z jakichś niewiadomych przyczyn miało to dla niej znaczenie.

– Amber, prawda?

– Tak. A ostatnio także inne rzeczy.

– Mógłbyś o tym coś więcej powiedzieć?

W jego szerokim, powolnym uśmiechu, był jakiś czar. Irytował ją swoją nieprzewidywalnością i zmiennością nastrojów. I właśnie w tej chwili zrobiła zdjęcie, na które czekała. Dusty miał na twarzy ten swój rozbrajający uśmiech, Amber patrzyła na niego tak, jakby przed chwilą wynalazł wschód słońca. Tylko raz nacisnęła spust, bo wiedziała, że to wystarczy. Ale kiedy opuściła aparat, Dusty wciąż się do niej uśmiechał.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Było deszczowe popołudnie. Luz i Jessie wyjeżdżały razem do miasta, ale każda miała co innego do załatwienia. Jessie chciała zrobić kilka próbnych odbitek zdjęć, a Luz miała odwiedzić Nell Bridger.

Luz włączyła silnik i opuściła szybę.

– Chłopcy, zajmijcie się siostrą – krzyknęła. Owen, który bawił się na ganku na huśtawce, z uśmiechem pomachał im ręką.

Jessie zapięła pas.

– Czy Lila często zajmuje się braćmi?

– Jest najstarsza. To jej obowiązek.

Jessie już chciała powiedzieć, że Lila też ma prawo być dzieckiem, ale się powstrzymała. Nie miała prawa do wygłaszania ocen. Wsłuchiwała się w szum deszczu i odległy pomruk przewalających się grzmotów. Próbując usadzić się wygodnie, wskazała leżącą obok paczkę.

– Znów zrobiłaś obiad dla swojej przyjaciółki?

– Tak, lazanie.

Współczucie Luz dla Nell było szczerze i prawdziwe. Jessie poczuła dumę, że ma siostrę, która myśli o innych. I nie tylko myśli, ale też robi coś dla nich i chcąc im pomóc, wchodzi w sam środek trudnej sytuacji, mimo że sama może przy okazji ucierpieć. Zawsze taka była? Tak, od kiedy Jessie sięgała pamięcią.

– Ma szczęście, że jesteś jej przyjaciółką.

– Doceniam twoje uznanie, ale dla niej niewiele z tego nie wynika. Nie mogę zrobić nic, żeby jej naprawdę ulżyć.

– Bo to nie jest twój obowiązek. Zastanawiałaś się nad tym? – Zagryzła wargę. – Czasem po prostu nie można nic zrobić.

– Wiem, nie jestem przecież dzieckiem. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc.

Jessie pomyślała, że taka właśnie jest Luz. I że dlatego nie potrafi jej powiedzieć o swojej chorobie. Bo Luz przejdzie samą siebie i zacznie robić wszystko, żeby jej ulżyć. Nigdy nie pozwoli jej na samodzielność.

Zmieniła nerwowo pozycję. Postanowiła nie czekać dłużej, tylko już teraz powiedzieć, czego naprawdę chce. Wiatr szarpał przydrożne zarośla, przestraszony zając wyskoczył z kryjówki. W górze krążył jastrząb zapewne wypatrujący łatwiej zdobyczy w postaci zwierząt przejechanych na drodze lub też gotów zapolować, ale zając uciekł w kierunku pastwisk.

– Musimy porozmawiać o Lili.

Luz patrzyła prosto przed siebie, obserwując mokry chodnik, na który spadały wielkie krople deszczu. Wdmuchiwane przez klimatyzator powietrze było chłodne i wilgotne, pachniało pleśnią. Luz napięła ramiona, jakby przygotowując się do zderzenia.

– A o czym konkretnie?

W jej głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia. Luz na pewno nie ułatwi tej rozmowy. No cóż, pomyślała Jessie, ta rozmowa w ogóle nie będzie łatwa. Ale po raz pierwszy w życiu postanowiła, że nie ustąpi siostrze.

– Gdy powiedziałaś mi o wypadku, moją pierwszą myślą było:

A jeśli potrzebna będzie krew albo przeszczep i okaże się...

– Też o tym myślałam – przyznała Luz.

– I co?

– I cieszę się, że do tego nie doszło.

– Ale mogło.

– Mogło, ale nie doszło.

– A pomyślałaś, co będzie jutro? Pojutrze? Za rok?

– Pomyślałaś o tym, co było przez ostatnie piętnaście lat? – Luz wyrzuciła to z siebie nieznoszącym sprzeciwu tonem starszej siostry, którego Jessie tak nie znosiła.

– Chodzi mi o to, że wszystko może się zmienić w mgnieniu oka – powiedziała Jessie pojednawczo, widząc cierpienie malujące się na twarzy Luz. – Nie da się odzyskać straconych szans. Od dawna dużo myślałam o tym, kim Lila tak naprawdę jest. I czy ci się to podoba, czy nie, ona także należy do mnie.

Dwa rzędy wysokich pekanów zapowiadały wjazd do miasta. Suche liście drżały na wietrze. Kilka orzechów spadło na samochód, gdy przejeżdżały pod sklepieniem gałęzi. Luz westchnęła nerwowo.

– To prawda. Ma w sobie wiele twoich cech. Jest naszym wielkim skarbem, wiesz o tym dobrze. Nawet jeśli zachowuje się w sposób trudny do przyjęcia, to wciąż jest naszą małą Lilą. Kochamy ją tak, jakby... – Zamilkła, szukając właściwych słów.

– Jakbyś to ty ją urodziła – dokończyła za nią Jessie.

Ściągnięcie barków, zeszywnienie ramion, całe ciało w pozycji obronnej. Jednak Jessie nie mogła zrozumieć, przed czym Luz tak bardzo się broni? Przed bólem? Zdradą?

– Chcesz powiedzieć, że tak nie jest?

Znów pojawiło się między nimi napięcie.

– Oczywiście że nie. – Wyczuła, że Luz ma już dość tej rozmowy, ale nie chciała się cofnąć. – Wiedziałam to od samego początku, od chwili, kiedy ją... kiedy się urodziła i wy ją adoptowaliście. Oddałam wszystko w wasze ręce. – Zamknęła oczy, wdychając pachnące deszczem powietrze. – Nawet prawdę.

– To był twój pomysł.

– Wydawało mi się, że prawda będzie dla niej za trudna, że będzie się przez to czuła... inna.

Luz skinęła głową. Część napięcia już ją opuściła.

– A ja i Ian uszanowaliśmy twoje zdanie.

– Po wypadku znów zaczęłam o tym myśleć. Cholera. Nie wiem, jak mam ci o tym powiedzieć.

Luz zawahała się. Jessie doskonale widziała jej niezdecydowanie. To dziwne, ale gdy zna się drugą osobę tak dobrze, łatwo odgadnąć jej uczucia. A tym uczuciem był teraz strach.

– Wykrztuś to wreszcie z siebie. – Luz nie próbowała jednak zmienić tematu. – Powiedz, czego ty chcesz.

Dobrze, niech to się wreszcie stanie. Jessie przycisnęła dłonie do kolan, zamknęła oczy i skoczyła w przepaść.

– Musimy powiedzieć Lili, że to ja ją urodziłam.

Ciężką ciszę, która zapadła, przerywały jedynie rytmiczne uderzenia wycieraczek. Luz zacisnęła palce na kierownicy. Jej lęk stał się niemal dotykalny, Jessie miała wrażenie, że czuje jego woń, ostrą i cierpką jak zapach świeżego potu.

– Tego się nie spodziewałam – powiedziała wreszcie. – Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że zmienisz zdanie.

Jessie zauważyła, że Luz znów jest zdenerwowana. Dlaczego? Czyżby była przywiązana do staromodnego pojęcia adopcji?

– Luz, przecież wiesz dobrze, że nie pozbyłam się niechcianego dziecka. W dzisiejszych czasach adopcja nie jest żadnym wstydem i nie trzeba trzymać jej w tajemnicy. Zdecydowaliśmy się na adopcję z miłości do Lili, a nie dlatego, że była niekochana.

– Boże! Jessie, myślisz, że tego nie rozumiem?

– W takim razie rozumiesz też, że ludzie nie robią już z adopcji tajemnicy. I to od bardzo dawna.

– Jacy ludzie? – spytała Luz ostro. – My nie rozmawiamy o ludziach. Rozmawiamy o Lili. Jak zamierzasz ją przekonać po tych wszystkich latach, że nie została porzucona? Myślisz, że będzie umiała mi wybaczyć, że nie powiedziałam jej prawdy? Jest gdzieś jakaś instrukcja, jak się takie sprawy załatwia? Jakiś poradnik? Znajdę tam punkt pod tytułem „Co robić, gdy twoja córka nie wie, że jest twoją siostrzenicą”?

– Nie wiem. Ale dłużej tak być nie może. – Zanim jeszcze skończyła mówić, pożałowała swoich słów. – Luz, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Adoptowałam moją córkę, kiedy nie mogłam się nią

zająć. Kiedy nawet nie wiedzieliśmy, czy przeżyje. Zrzekłam się wszelkich praw do wtrącania się w jej wychowanie. Dlatego nigdy się u was nie pojawiłam. Ale... teraz jestem.

Luz wydała z siebie pełne lęku westchnienie.

– Więc chcesz powiedzieć zbuntowanej nastolatce, nad którą nikt nie panuje, że jest adoptowanym dzieckiem.

– Może to, co się z nią dzieje, wynika z tego, że nie wie, kim jest? Może wszystko się uspokoi, gdy Lila pozna swoją prawdziwą tożsamość?

– A może będzie miała do mnie żal, że ją okłamywałam? Może będzie miała żal do ciebie, że ją zostawiłaś?

– Więc mamy nic nie mówić Lili tylko dlatego, że obawiamy się jej reakcji? – spytała Jessie i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej.
– Ona jest już prawie dorosła. Zasługuje na to, żeby wiedzieć. Nie zaczęłam tego tematu ot, tak. Zastanawiałam się nad tym, i to jeszcze na długo przed wypadkiem.

Luz zabębniła palcami po kierownicy. Jej oddech stał się szybki i płytki.

– A myślisz, że ja nie?

– I do jakich wniosków doszłaś?

– Wiem tylko, że to bardzo skomplikowana sytuacja. Adopcja jest tylko częścią problemu.

Jessie usłyszała resztę w ciszy, która zapadła. Przerywał ją jedynie odgłos przesuwających się po szybie wycieraczek i uderzenia spadających orzechów.

Jessie zacisnęła dłonie na kolanach. Jak bardzo chciałyby mieć pewność, że to, co robi, jest słuszne. Czy ma wydobyć prawdę na światło dzienne, czy raczej pozwolić, by nadal kryła się w mroku? Czy jej decyzja wynika z egoistycznego pragnienia odzyskania swojego dziecka choćby w niewielkim stopniu, czy też stanowi dla Lili dar w postaci jej prawdziwej tożsamości?

Lila na pewno od razu spyta, kto jest jej ojcem. A odpowiedź na to pytanie mogłaby zdruzgotać Luz. Tylko że to też jest prawda.

– Luz – odezwała się Jessie. Bardzo chciała wiedzieć, o czym jej siostra myśli.

Luz odwróciła głowę tak gwałtownie, że samochód niemal zjechał na pobocze. Wróciła na środek pasa.

– Muszę to omówić z Ianem.

Jessie zrobiło się zimno. Teraz już wiedziała, co mogła czuć Pandora. Pochyliła się i zamknęła wywietrznik.

– Jak sądzisz, co on powie?

– To samo, co mówi od jakiegoś czasu w kwestiach dotyczących Lili. Że zgodzi się z każdą moją decyzją.

– Czy ich relacje są złe?

– Nie gorsze niż relacje wszystkich ojców z ich piętnastoletnimi córkami. Ian znalazł na to sposób, to znaczy składa wszystkie problemy w moje ręce. Ciekawa jestem, czy wszyscy mężczyźni tak robią, gdy ich dzieci wchodzi w okres dojrzewania. My akurat nie mamy pojęcia, jak to jest mieć ojca.

Jessie westchnęła głęboko.

– To prawda.

Luz przeniosła spojrzenie na siostrę.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić.
Powinniśmy jeszcze porozmawiać...

Kątem oka Jessie zauważyła jakiś ruch. Wiedząc, że jej wzrok czasem szwankuje, mrugnęła. Obraz zamienił się w szarą wiewiórkę, która pędziła wprost na jezdnię.

– Uważaj, Luz! – krzyknęła.

Luz skręciła gwałtownie, opony zapiszczały na mokrej nawierzchni. Naczynie z lazanią wystrzeliło do przodu, Jessie chwyciła je odruchowo.

Zanim Luz wyprowadziła samochód z poślizgu, rozległo się głucho uderzenie.

– Cholera! – syknęła prze zaciśnięte zęby, patrząc we wsteczne lusterko. Zatrzymała się przy bocznym pasie i uderzyła pięścią w kierownicę. – Do cholery jasnej! Pójdę za to do piekła.

Wciąż trzymając torbę z naczyniem na kolanach, Jessie odwróciła się i zobaczyła na środku drogi małą, futrzaną kupkę.

– Oj! – mruknęła.

– Czy ty zawsze musisz to robić! – odezwała się z wyrzutem Luz.
– Nie możesz wybrać bardziej odpowiedniego momentu na poruszanie trudnych tematów? Patrz, co zrobiłaś.

– Jasne, święta Luz. Możesz zrzucić wszystko na mnie. Szkoda tylko, że to nie ja siedzę za kierownicą. – Jessie spojrzała na siostrę i cała złość z niej wyparowała. Luz świadomie nie skrzywdziłaby nawet muchy. – Uratowałam lazanie – powiedziała cicho.

– Całe szczęście. – Luz westchnęła z rezygnacją.

– Biedny Pan Orzeszko – szepnęła Jessie. A potem, nie mogąc się powstrzymać, wybuchnęła śmiechem. Luz poszła w jej ślady. Po paru chwilach zanosił się śmiechem obie, niczym dwie czarownice.

– Jesteśmy okropne – powiedziała w końcu Jessie.

Luz powoli ruszyła do przodu.

– No cóż, chyba nic gorszego mi się dzisiaj nie przytrafi.

– Jasne. Ale nie możesz jeździć po drogach i polować na małe zwierzątka tylko po to, żeby reszta dnia dobrze ci poszła.

Zobaczyła Dusty'ego w kafejce obok sklepu z komputerami. Trzymał w dłoniach kubek z kawą, naprzeciw niego siedziała Amber i rozmazywała frytką ketchup na talerzu. Jessie zareagowała momentalnie niezwykle dla siebie mieszaniną niepokoju i niecierpliwego wyczekiwania. Było w tym coś więcej niż reakcja na seksownego mężczyznę okazującego jej zainteresowanie. Zauważyła wzajemne przyciąganie, które pojawiło się zupełnie nie w porę i kpiło sobie z niej niezaprzeczalną siłą. A żeby wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane, na dźwięk beztroskiego szczebiotu Amber poczuła, jak zalewa ją fala tkliwości.

Kusiło ją, żeby uciec, zanim Dusty ją zauważy. Zdrowy instynkt obronny ostrzegał, że powinna wycofać się natychmiast, zanim zrobi jakieś głupstwo, czyli na przykład zakocha się w tym mężczyźnie. Ona i Dusty Matlock powinni trzymać się od siebie z daleka. On miał przed

sobą wychowanie córki, a Jessie przygotowywała się do najważniejszej walki swojego życia.

Mimo to nie umiała się oprzeć. A już na pewno nie wtedy, gdy Amber spojrzała na nią i radośnie przywitała w sobie tylko znanym języku.

– W języku dzieci oznacza to „Zapraszamy do naszego stołu” – powiedział Dusty, podnosząc się z krzesła.

– Na takie zaproszenia się nie odmawia. – Usiadła obok Amber, która podała jej frytkę. – Bardzo ci dziękuję – powiedziała, zjadając ją z przesadnym apetytem. Dziewczynka przyglądała się jej z niesamowitym skupieniem, a potem wybuchnęła śmiechem.

Jessie patrzyła na nią i nagle ogarnęło ją mnóstwo pytań. Kim będzie ta istota za kilkanaście lat? Co będzie dla niej ważne? W kim się zakocha? Co los jej ofiaruje?

Niejako wbrew własnej woli wyobraziła sobie, że oto widzi pierwszy uśmiech Lili, pierwszy ząbek, pierwszy samodzielny krok. Zaczęła się zastanawiać, jak wyglądał jej pierwszy dzień w szkole, jak jej poszła pierwsza randka. Poczowała bolesną zazdrość, że Luz nie ominęła żadna z tych chwil. Ponownie skupiła się na Amber. Ona ma to wszystko przed sobą. Ciekawe, kto jej będzie w tym towarzyszył.

Amber podała kolejną frytkę, którą Jessie przyjęła z uśmiechem.

– Wydrukowałam trochę zdjęć, które robiłam dla „Texas Life” – powiedziała, pokazując torbę. – Chciałbyś je zobaczyć?

– Niekoniecznie. – W jego niskim głosie słychać było skrywane emocje.

– To niezwykła opowieść. Blair będzie umiała o tym napisać,

zobaczysz. – Z żalem pomyślała, że nie może zrobić nic, żeby ukoić jego ból. A jednocześnie wyczuła, że Dusty wcale tego od niej nie chce.
– Mam nadzieję, że nie żałujesz, że się na to zgodziłeś?

– Oczywiście że żałuję. Ale ty sprawiłaś, że było warto.

– Ja?

– Gdyby nie ten artykuł, nigdy byśmy się nie spotkali. Chciałbym cię bliżej poznać, naprawdę tego chcę.

– Zareczam ci, że nie. – Usiłowała zdobyć się na stanowczość. – Jestem zbyt lekkomyślna dla odpowiedzialnego ojca i człowieka interesu.

– I właśnie to mi się w tobie podoba.

– Dusty...

– Daj mi skończyć. Coś między nami zaiskrzyło. Też to zauważyłaś. – Wskazał na Amber, która oparła główkę o ramię Jessie. – Ona też coś poczuła.

– To niemożliwe – powiedziała szybko. – Strasznie mi przykro z powodu twojej żony, życzę ci wszystkiego dobrego, ale...

– Powiem ci coś o swojej żonie. Kochałem ją. Kochałem ją tak, że chyba bardziej nie można. Kiedy leżała w szpitalu, prosiłem Boga, żeby zabrał mnie, a nie ją, żeby wziął sobie moje nerki, moje płuca, a ocalił ją i dziecko. Tak, kochałem ją. A potem straciłem Karen i to już na zawsze we mnie zostanie. Ten żal i smutek jest częścią mnie, tak jak częścią mnie była miłość do niej.

Jessie poczuła, że się spina. Oczywiście to wszystko zmierza do wzruszającego wyznania, że dla Karen oddał całą swoją miłość i nikogo

już nie będzie umiał kochać. Co oczywiście nie wyklucza seksu bez zobowiązań.

Ale jej przewidywania nie spełniły się.

– Chciałbym pokochać kogoś jeszcze raz – usłyszała.

Zdziwienie odebrało jej dech.

– Po co mi to mówisz?

– Pomyślałem, że zanim zrobimy następny krok, powinnaś o tym wiedzieć.

Uniosła brwi. Wszystko w tym mężczyźnie było zaskakujące. Naprawdę są jeszcze tacy cudowni faceci?

– To miała być moja kwestia.

– Ty byś nie zaczęła tej rozmowy.

Zacisnęła mocno dłonie na blacie stołu.

– Tak? Dlaczego tak myślisz?

Łagodnie, ale stanowczo rozplótł jej palce. Jego dotyk był znajomy i bardzo intymny.

– Bo widzę, że próbujesz chronić siebie. Nie chcesz się angażować.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Dopóki cię nie poznałem, byłem taki sam jak ty.

– A jaki jesteś teraz?

– Gotowy. Co mnie cholernie dziwi.

ROZDZIAŁ DZIWIĘTNASTY

Po spotkaniu z Jessie Dusty nie mógł w nocy spać. Myślał o niej nieustannie. Uderzyła w niego niczym piorun, perspektywa znajomości z nią wywoływała w nim dziwne drżenie. Chciał ją poznać dogłębnie i jak najszybciej. Poruszyła w nim specyficzną strunę, jakby przypominając, że czas ucieka. Od pół roku próbował zainteresować się jakąś kobietą, pod wpływem matki umówił się nawet kilka razy z podsuwanymi przez nią kandydatkami. Ale wszystkie te spotkania okazały się jednym wielkimi niewypałem. Mimo że te kobiety były miłe, szczerze mu współczuły, zachwycaly się Amber i wyraźnie dawały do zrozumienia, że liczą na więcej. Ale grom, który rozłupał skorupę jego serca, uderzył dopiero teraz. Nie było to przyjemne uczucie, jednak cieszył się, że w ogóle się pojawiło.

Rano wypił kawę w ciszy, patrząc, jak słońce odbija się w jasnych włosach Amber, a potem znów pomyślał o Jessie. Pragnienie spotkania z nią stawało się niemal bolesne. I było w tym coś więcej niż zwykłe podniecenie. Ta znajomość miała zmienić jego życie. Jej też. Zastanawiał się, czy również to wiedziała.

Wziął Amber na ręce i zrobił coś, czego nie robił od dawna. Podeszedł do szafy i wyjął znoszoną kurtkę z logo Matlock Aviation w rozmiarze XS. Wciąż miał przed oczami Karen w tej kurtce, uśmiechającą się do niego z siedzenia pilota. Karen, która kochała latanie, przygody i męża.

Przycisnął kurtkę do siebie i poczuł słaby, ledwo wyczuwalny zapach, wywołujący falę wspomnień.

– To jest kurtka twojej mamy – powiedział do Amber, stawiając ją na podłodze i siadając obok niej.

– Mmmm. – Zacisnęła dłoń na miękkiej podszewce i spojrzała na

niego oczami Karen.

– Tak, twojej mamy. A to... – Sięgnął do kieszonki i wyjął złotą obrączkę. Założył ją na palec i pokazał Amber. – Zawsze będzie moja. Zrobiła się za duża – stwierdził. – Arnufu nie umie tak dobrze gotować jak twoja mama. – Zdjął obrączkę i zaczął oglądać napis wygrawerowany po wewnętrznej stronie. „Miłość nie umiera nigdy”. Gdy kupowali obrączki, to zdanie nie miało dla nich specjalnego znaczenia. Dopiero teraz, z każdym kolejnym dniem, uświadamiał sobie jego wagę.

Włożył obrączkę z powrotem do kieszonki i zapiął suwak. A wraz z tym gestem pojawiła się jakaś dziwna lekkość. Może to tylko jego ciche pragnienie, ale był pewien, że Karen daje mu swoje przyzwolenie niczym błogosławieństwo.

Powtarzał wiele razy, że Amber mu wystarcza, ale okłamywał sam siebie. Do urodzenia córki życie Karen było sztucznie podtrzymywane. Zdał sobie sprawę, że po śmierci żony jego życie też było sztucznie podtrzymywane. Osoba Jessie sprawiła, że musiał się z tym zmierzyć.

– Muszę to zrobić, mała – powiedział do córki. – Potrafisz to zrozumieć?

– Panno Ryder, czy ma pani lęk wysokości?

Jessie mrugała zaspanymi powiekami, patrząc na stojącego w drzwiach gościa.

– O siódmej rano wszystko budzi we mnie lęk.

– Już dawno po dziewiątej.

– W takim razie nie. Ale co ty tutaj robisz?

Dusty przyglądał się jej uważnie. Pod jego spojrzeniem cienka koszulka wydała jej się zbyt skąpym ubraniem.

– Zamierzam cię porwać.

– Uważaj, trenowałam sztuki walki – ostrzegła.

– Ja też – powiedział z szerokim uśmiechem. – Świetnie wyglądasz, ale powinnaś się ubrać.

Przecież to idiotyczne, pomyślała, a jednocześnie poczuła, że ten mężczyzna, który nagle się u niej pojawił, intryguje ją i przyciąga coraz bardziej.

– Mam ze sobą kawę – dodał.

– W takim razie nie odmówię. – Weszła do środka, żeby się przygotować. Powoli wybierała ubrania, chociaż tak naprawdę chciała się pospieszyć. Ta niecierpliwość zaniepokoiła ją.

– Dziewczyno, wyluzuj – mruknęła pod nosem.

Pociągał ją w niezwykły sposób. A robienie mu zdjęć okazało się najtrudniejszym zadaniem w jej karierze. Fotografowanie prawdziwych ludzi i ich prawdziwych emocji wymagało czegoś, czego sama nigdy nie ujawniała. Spotkanie z Dustym i z Amber pozwoliło jej poczuć smak słodczy, która nigdy nie będzie jej dana. Powinna mieć mu to za złe. Ale gdy wyszła na zewnątrz na jesienne słońce, ucieszyła się, że go poznała.

– W takim razie w drogę. – Ruszył w kierunku granatowej furgonetki.

Podążyła za nim, dziwiąc się swoim uczuciom.

– Dokąd jedziemy?

– Bądź spokojna, wrócisz do domu na kolację. Masz ze sobą aparat?

Poklepała znoszoną skórzaną torbę.

– Świetnie. Zobaczysz, nie pożałujesz.

Energia Dusty'ego była zaraźliwa.

Dojechali do jego domu z włączonym radiem i opuszczonymi szybami. Dusty zaparkował auto na podjeździe, a potem poprowadził Jessie na pomost, przy którym stał zacumowany samolot. Otworzył wąskie okienko i wyciągnął rękę.

– Madame!

Jej całe ciało zareagowało na specyficzny tembr głosu Dusty'ego, na kryjącą się w nim propozycję. Podała mu dłoń.

– A myślałam, że nigdy mnie tu nie zaprosisz

– A więc to tak, interesuje cię tylko moja maszyna.

– Zgadłeś.

Utrzymał samolot w równowadze, gdy wchodziła na pływak i wspinała się do kabiny. Nie było to łatwe – przez dłuższą chwilę zawisała z jedną nogą w kokpicie, a drugą wciąż nad pomostem. Mocne dłonie przytrzymały ją w talii, ciało ochroniło przed upadkiem niczym mur. Niezdarnie wdrapała się do środka i opadła na siedzenie pasażera. Samolot wyglądał jak dziecięca zabawka, wszystko w nim było zmniejszone do miniaturowych rozmiarów. Miała wrażenie, że kadłub i skrzydła są zrobione z blachy z puszek po piwie.

– Dzięki – mruknęła, patrząc na niego z zainteresowaniem i pewną podejrzliwością. Zwykle nie peszyła się w towarzystwie mężczyzn.

– Nie ma za co. – Był zupełnie spokojny. Okazywał jej zainteresowanie w otwarty sposób. Teraz jednak skupił się na samolocie. Sprawdził wszystkie wskaźniki na tablicy kontrolnej, wszystkie zawory, dźwignie i ekran GPS-u. – Jak wyszły zdjęcia?

– Podobno rewelacyjnie – odpowiedziała Jessie. – W każdym razie Blair tak mówi.

– Potrafi być czarująca.

– Akurat na tym jej najmniej zależy.

– Dużo z nią pracujesz?

– Nie. – Patrzyła, jak Dusty odcumowuje samolot. – To był mój pierwszy raz.

– Chcesz się umówić na jeszcze jedną sesję?

Spojrzała mu prosto w oczy. W polu widzenia dostrzegła lekkie drżenie. Być może spowodowane ruchem samolotu.

– Dzięki. Za pierwszym razem dostałam to, co było mi potrzebne.

– Tak? – Uśmiechnął się. – A ja mam inne zdanie.

Nie czekając na jej odpowiedź, zajął się przygotowaniem do lotu. Chwyciwszy za osłonę skrzydła, odwrócił samolot dziobem w stronę jeziora i odepchnął od pomostu. Zwinnie wspiął się do kokpitu i zajął miejsce pilota. Jessie znalazła pas bezpieczeństwa i zapięła.

– Nie boisz się latać, prawda? – zauważył.

– A powinnam?

– Ze mną? Nie ma najmniejszego powodu.

– W takim razie nie boję się. Prawdę mówiąc, mam większe doświadczenie w lataniu małymi samolotami niż w robieniu zdjęć dla „Texas Life”. – Między Kaszmiem a Katmandu przewożono ją starymi gruchotami zrobionymi chyba z puszek po sardynkach, a pilot, z którym leciała pomiędzy szczytami Himalajów, bez przerwy palił haszysz i śmiał się w niebogłosy. W porównaniu z tym, co widziała i przeżyła w Azji, ta wycieczka zapowiadała się wręcz nudno.

Wiedziała jednak, że nudna nie będzie.

Dusty przełożył dźwignię i przekręcił kluczyk. Silnik obudził się do życia i poruszył śmigła.

– Powinnaś chyba wiedzieć.

– Co wiedzieć?

– Coś się właśnie zaczyna.

Jessie zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Co się zaczyna?

– Coś między nami – odpowiedział z przewrotnym uśmiechem.

Po skórze przebiegł jej dreszcz.

– Daj spokój.

– Naprawdę. Wszyscy myślą, że tylko Amber trzyma mnie przy życiu. Ale nie tylko ona. Wciąż jeszcze jestem na tym świecie i córka nie może mi dać wszystkiego. Dlatego nie zamierzam biernie czekać.

Od nadziei aż zakręciło jej się w głowie, ale szybko przywołała się do rzeczywistości. On też powinien się zmierzyć z faktami.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że poradziłeś już sobie ze śmiercią żony.

– To zostanie we mnie na zawsze. Ale mam miejsce na coś więcej. Byłem pewien, że Karen jest miłością mojego życia.

– Co to znaczy, że byłeś pewien? Nie była?

Przesunął lekko małą, błyszczącą dźwignię.

– Kochałem ją do szaleństwa, ale gdybym ją teraz nazwał miłością swojego życia, to by oznaczało, że po jej śmierci miłość w moim życiu też się skończyła. – Nieoczekiwanie dotknął jej policzka. – A widzisz chyba, że nie zamierzam rezygnować.

Jessie była tak zaskoczona, że nie powiedziała nic. Dusty wyjął z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne i założył je niedbałym ruchem. Zwiększył obroty silnika. Samolot powoli ruszył do przodu i ustawił się dziobem do wiatru. Warkot nasilił się jeszcze bardziej, stał się donośny i głęboki. Dusty otworzył przepustnicę i przestawił ster wysokości. Hałas stał się niemal nieznośny, a po chwili pływaki oderwały się od wody. Jessie wydawało się, że wyczuwa moment, w którym delikatne skrzydła chwytają wiatr. Samolot uniósł się w górę, jakby jakaś niewidzialna dłoń chciała go przenieść do nieba. Dusty wyrównał lot, żeby uzyskać właściwą prędkość przed zakończeniem wznoszenia, i skierował się ku źródłom rzeki zasilającej jezioro.

Samolot zadrżał lekko, gdy mijali granicę wody i lądu, a potem

popłynął gładko w powietrzu.

Jessie wiedziała, że powinna podziwiać widoki, ale jej uwagę przyciągała twarz Dusty'ego. Słuchawki zsunął na tył głowy, mikrofon odsunął nieco na bok.

– Często to robisz?

– Kilka razy w tygodniu. Tylko zwykle lecę na północ i zawracam nad Marble Falls. Ale dziś zaplanowałem dłuższą wycieczkę. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co?

Cholera, musi to sama powiedzieć.

– O to, że zapraszasz ledwie poznaną kobietę do samolotu i zabierasz ją Bóg wie gdzie...

– Chciałem, żebyśmy popatrzyli na Travis Lake i Enchanted Rock. O tej porze roku jest tam pięknie.

– Zadałam ci pytanie.

– Jakie?

– Czy często to robisz.

Uśmiechnął się szeroko.

– A sprawiłoby ci to jakąś różnicę?

– Nie. – Odpowiedziała szczerze, zanim nawet zdążyła się

zastanowić.

– To dobrze.

Samolot pochylił się lekko przy skręcie, a potem poszybował w górę. Jaskrawe słońce odbijało się od powierzchni skrzydeł, mijany z dużą prędkością krajobraz rozmazał się w plamy w kolorze umbrzy i zieleni, błękitna wstążka rzeki wiła się wśród wzgórz. Klony z zabarwionymi na czerwono wierzchołkami wyglądały jak las zapalek przygotowanych do skrzեսania ognia.

Dusty przekreślił przełącznik i kokpit wypełniły dźwięki muzyki country. Jessie rozpoznała *Asleep at the Wheel*. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się błogo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Co się stało? – spytał.

W jego głosie usłyszała uśmiech.

– Mamy te same gusty muzyczne.

– W zasadzie tego się spodziewałem.

Jessie miała pełną świadomość, że to, co mogłoby się między nimi zacząć, szybko dobiegłoby końca. Uciekłaby, zanim zamieniłoby się w coś poważnego.

Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że Dusty wciąż się uśmiecha – czarująco, z tą swoją pewnością siebie. Miała wrażenie, że zna go od dawna, z łatwością mogłaby przywołać pod powiekami jego obraz. Białe zęby, opalona skóra, oczy nieco zbyt błękitne, włosy nieco zbyt długie, opadające na kołnierz koszuli. I jeszcze to coś w jego oczach, co zobaczyła przy pierwszym spotkaniu. Nie umiała nadać temu nazwy.

Mrugnęła, żeby rozproszyć mglistą nicość pojawiającą się w lewym oku. Zanim ogarnęła ją panika, uniosła powieki i wydała z siebie westchnienie ulgi. Nie, nie pozwoli, by lęk popsuł jej ten dzień. Odwróciła się do okna i patrzyła na porażająco piękny widok. Wyjęła nikoną F5 z obiektywem ze stabilizacją obrazu i uchyliła okno. Nareszcie była w swoim żywiole, mogła fotografować krajobraz. Zawsze potrafiła utrzymać idealnie poziomą linię horyzontu. Jej wielokrotnie nagradzane zdjęcie, zachód słońca na Seszelach, powstało bez używania siatki na matówce.

Otoczające ją widoki były oszałamiająco piękne. Wysokie obłoki wyglądały jak zamki z bitej śmietany ozdobione pierzastymi wieżyczkami. Strome kaniony i formacje skalne wyrzeźbione przez dawne uskoki geologiczne poprzecinane były błyszczącymi wstęgami rzek i strumieni. Budynek sądu, który wyglądał jak dziecinna zabawka, górował nad nieskazitelnie czystym ryneczkiem. W oddali dostrzegła plamy szmaragdowej, wypiełgnowanej zieleni pól golfowych otoczonych przez nienormalnie duże domy. Minęli Lake Travis i znaleźli się nad Enchanted Rock, granitowym masywem w kolorze bursztynu o średnicy prawie jednego kilometra. Ogromną monumentalną bryłę pokrywały tajemnicze pęknięcia, przez co góra wyglądała jak mózg podzielony na dwie półkule.

Jessie widziała już najwspanialsze cuda świata, dotarła do miejsc tak odległych i egzotycznych, że niewiele osób wiedziało o ich istnieniu, ale tylko tu, w środku Teksasu, czuła prawdziwą więź z krajobrazem. Był częścią jej serca i duszy, tak samo jak niefrasobliwość ojca i tęsknota za wędrownką matki. Tylko jedno słowo mogło opisać to, co czuła, patrząc w dół. Była w domu.

– A ty? Często ci się to zdarza? – Głos Dusty’ego przerwał jej rozmyślenia.

– Zdarzało. Kiedyś robiłam zdjęcia Luksoru z dwupłatowca. Ruiny piękne, ale przez tydzień nie mogłam rozczesać sobie włosów.

– Nie miałem na myśli latania.

Wiedziała dobrze, o co mu chodziło, a mimo to zapytała:

– A co miałeś na myśli?

– Seks na pierwszej randce. Często ci się to zdarzało?

– A kto mówi, że zamierzam...

Położył jej dłoń na udzie gestem, który był nieprzyzwoitą wręcz pieszczotą.

– Ja tak mówię.

– Samolot! Samolot!

Jessie nie mogła słyszeć swoich siostrzeńców, ale widząc, jak biegną w szaleńczym pędzie do pomostu, mogła sobie wyobrazić ich małpie wrzaski wywołane widokiem zbliżającej się do brzegu biało-zielonej cessen. Obok nich galopował pies, chociaż ujadania też oczywiście nie słyszała. Przymknęła na chwilę oczy, próbując sobie wyobrazić, że nie może ich widzieć. Skąd by wiedziała, że tam są?

Dusty wyłączył silnik i w tej samej chwili nad wodą rozległo się ujadanie psa i podekscytowane okrzyki chłopców. Była pewna, że podskakują niecierpliwie, czekając, aż samolot przybije do pomostu.

– Aż tak cię znudziłem? – spytał ze śmiechem. – Zasnąłaś z nudów?

Otworzyła oczy. Przechyliła głowę, żeby móc go widzieć poprzez cień, o którym nie chciała nawet myśleć.

– Potrzebuję dużych dawek rozrywki.

– W takim razie trafiłaś pod dobry adres – powiedział z zarozumiałością kapitała szkolnej drużyny futbolowej. Wskoczył na pływak i sprawnie zacumował samolot pod czujnym spojrzeniem zachwyconej publiczności. Jessie z wdzięcznością oparła się na jego ramieniu, dzięki czemu suchą nogą wydostała się na brzeg.

– Jessieeee! – Scottie dopadł do niej i chwycił ją za nogę. Miał na sobie kamizelkę ratunkową, którą Luz kazała mu zakładać, gdy szedł nad jezioro.

– To jest Dusty – powiedziała, a potem kolejno wymieniła imiona chłopców. – Zabrał mnie dziś na wycieczkę. Zatrzymaliśmy się na obiad w restauracji nad Lake Travis.

Równie dobrze mogłaby mówić po maorysku, bo chłopcy kompletnie nie zwracali na nią uwagi, zafascynowani samolotem i objaśnieniami Dusty’ego. Popołudniowy upał ustąpił przed przyjemnym, wieczornym chłodem. Jessie uniosła twarz. Głosy chłopców powoli odchodziły na drugi plan, miała wrażenie, że coraz wyraźniej słyszy szum wiatru w gałęziach drzew i zawodzenie nurów zwołujących się na nocny odpoczynek.

Po chwili pojawiła się Luz i kazała chłopcom umyć się przed kolacją.

– Zjesz z nami – oznajmiła, gdy tylko Jessie przedstawiła jej Dusty’ego.

Spojrzał na nią pytająco.

– To moja siostra Luz – wyjaśniła Jessie. – Zawsze lubiła rządzić.

– To mi się w kobietach podoba.

– Pan Garza zadzwonił z wiadomością, że poleciełście gdzieś razem, więc przy okazji zaprosiłam jego i Amber na kolację – powiedziała Luz. Jessie wydawało się, że zauważyła lekki rumieniec na jej twarzy. – Już dawno chciałam cię poznać. Ian uwielbia z tobą latać. Na kolację mamy wegetariańskiego kurczaka w sosie śmietanowym. – Luz nie zauważyła w tym żadnej sprzeczności.

Dusty spoglądał na Luz i na Jessie.

– Życie potrafi przyjemnie zaskoczyć.

Podczas kolacji było gwarno i wesoło, co nie tylko utwierdziło Dusty'ego w przekonaniu, że życie potrafi przyjemnie zaskoczyć, ale że w ogóle warto żyć. Luz i Ian próbowali okiełznać trzech tryskających energią chłopców, którzy oszaleli na punkcie Amber i nieustannie próbowali ją rozśmieszyć swoimi wygłupami. Widać było, że dzieci odziedziczyły urodę po rodzicach. Zwłaszcza nastoletnia córka była uderzająco podobna do matki i ciotki, ale miała przy tym poważne usta Iana Benninga. Lila przez cały czas milczała, jakby była smutna, co w zasadzie Dusty'ego nie zdziwiło. W końcu miała za sobą straszne przejścia. Ale nawet ona zdobyła się na uśmiech, gdy Amber, podeskcytowana okazywaną jej przez wszystkich uwagą, wyciągnęła rączki przed siebie, próbując objąć samo powietrze.

Arnufu spojrzał na Iana siedzącego po przeciwnej stronie stołu i podniósł butelkę z piwem.

– Jesteś prawdziwym szczęściarzem, amigo. – Jego słowa niemal utonęły w gwarze dziecięcych głosów.

– Wiem. – Ian pociągnął łyk piwa. A potem spojrzał na talerz i zmarszczył brwi. – Chociaż z tą zapiekanką miałem trochę mniej szczęścia. – Dołożył sobie porządną porcję papryczek jalapeno ze słoika. – To danie zdecydowanie potrzebuje czegoś ostrego.

– Albo męża, który by je umiał docenić – odcięła się Luz.

Dusty od razu ją polubił. Należała do tych kobiet, które chciało się poznać lepiej. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie zapracowanej, wręcz przemęczonej żony i matki, ale czuł wyraźnie, że pod tym kryje się dużo więcej. Jeśli Ian Benning wiedział, co jest dla niego dobre, to na pewno umiał to zauważyć.

– Pyszna zapiekanka – odezwała się Jessie. – Prawda, Lila?

Lila patrzyła tępo przez okno, w jej zielonych oczach krył się smutek.

– Co? A, tak. – Rozgarnęła jedzenie widelcem.

– Zajrzałam dziś do szkoły – powiedziała Luz. – Nauczyciele mówią, żebyś się nie martwiła lekcjami. Pan od matematyki dał mi spis zadań, ale nie musisz się z nimi spieszyć.

– Dzięki. Ale postanowiłam, że pójdę jutro do szkoły. – Spojrzała na matkę. Napięcie między nimi było niemal słyszalne, jak brzęczenie transformatora.

A wtedy Amber, która siedziała w wysokim dziecięcym krzeselku, przechyliła się i położyła pulchną rączkę na dłoni Luz.

– Mmma – powiedziała.

Dusty poczuł dziwny, gorzko-słodki ból, chociaż wiedział, że to była tylko przypadkowa sylaba. Zauważył, że siedząca obok niego Jessie też się spięła, więc uspokajającym gestem położył jej dłoń na udzie. Zesztywniała jeszcze bardziej, ale nie straciła jego ręki. Było mu cudownie, gdy czuł pod palcami kształt jej uda, gdy w pełnym luzu pokoju dotykał ramieniem jej ramienia, gdy wdychał zapach jej włosów.

Miał wrażenie, że zna ją od zawsze. W jej obecności uspokajał się, a jednocześnie ogarniało go przyjemne podniecenie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, co czuje do Jessie i czego od niej chce.

Wszystkiego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Z niewiadomych przyczyn Jessie poczuła żal, gdy Dusty podziękował Luz za kolację i pożegnał się z Ianem i chłopcami. Cały ten dzień był pełen nieoczekiwanych darów i niespodziewanych emocji. Siedzące przy stole dzieci były w różnym wieku i Jessie zdała sobie sprawę, że nie było jej tu, kiedy Lila przechodziła te same okresy życia. Ominęła ją słodycz pyzatej buzi Amber, bezgraniczne zaufanie Scottiego, dociekliwość Owena i żrebięca niezgrabność Wyatta.

A do tego jeszcze Dusty. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, była pałaca tęsknota za tym silnym, smutnym mężczyzną, który tyle w życiu przeszedł. Właściwie to dobrze, że już wychodzi. Musi wystartować przed zmrokiem, żeby zacumować samolot przy swoim pomoście. Nawet Lila zaczerwieniła się lekko, kiedy powiedział, jak bardzo mu przykro z powodu wypadku i że się bardzo cieszy, że nic się jej nie stało. Zdobyła się nawet na uśmiech i ciche podziękowanie.

– Do zobaczenia później – szepnął do Jessie, by nikt inny nie mógł go usłyszeć.

Wyszła na dwór, niosąc Amber, żeby posadzić ją w dziecięcym foteliku w furgonetce. Oparła małą na biodrze, ale dziewczynka cały czas utrzymywała sztywny dystans, odpychając się od niej rączkami. Poważny wyraz twarzy i spojrzenie przyklejone do Arnufa mówiły wyraźnie, że Amber jest lekko zdenerwowana.

– Nie przejmuj się! – powiedział Arnuf, siadając za kierownicą. – Powoli zaczyna cię lubić.

– Ja też ją lubię. To słodkie dziecko.

Uśmiechnął się.

– Wszystkie dzieci są słodkie.

Tego akurat nie wiedziała. Jessie znów poczuła na sobie ciężar decyzji sprzed wielu lat. Boże, co ona oddała! Prawo do patrzenia na taką buzię, prawo do marzeń o przyszłości osoby, której przyszłość miała w swoich rękach.

Przyglądała się Amber przez chwilę, mocując się z paskami i klamrami fotelika. Potencjał kryjący się w twarzy dziecka onieśmielał ją i fascynował jednocześnie. Gdy uświadomiła sobie, w jak niezwykle sposób Amber przyszła na świat, zalała ją fala zachwytu.

– Cieszę się, że to ja robiłam te zdjęcia.

– Ona jest darem dla niego. Cudem – powiedział Arnufu. – Zawsze będę w to wierzył.

– I wielkim poświęceniem.

– Wielkim darem – powtórzył. – Wiesz co, Bóg nam odbiera różne rzeczy. Czasem te najcenniejsze. Często nie wiemy dlaczego. Ale nie nam zadawać takie pytania. Czasem nie dostajemy za nawet największe poświęcenie odpowiedniego zadośćuczynienia. Ale żyjemy nadal. Bo cóż innego nam pozostaje.

Jessie pogłaskała Amber po główce.

– Jesteś wielkim skarbem, panienko.

– To prawda.

Zrobiła krok w tył i upewniwszy się, że wszystkie paluszki są wewnątrz samochodu, zatrzasnęła drzwi.

Siostrzeńcy krzyczeli i piszczeli na pomoście, patrząc, jak samolot

kołuje na wodzie, a potem unosi się w powietrze. Sunące z dużą prędkością pływaki zostawiły na wodzie spienioną smugę rozświetlonych słońcem kropli, które wyglądały jak żółte brylanty.

– Udało się! – krzyczeli chłopcy, podskakując tryumfalnie niczym w rytualnym tańcu. Nawet Ian się do nich przyłączył.

Jessie wróciła do domu i zobaczyła Lilę siedzącą na ganku.

– Jak ci się podoba wasz sąsiad?

– Mama mówi, że on już się w tobie kocha. Chyba ma rację.

– W takim razie ty i mama jesteście niepoprawnymi romantyczkami.

– Mama? – Jej śmiech był pozbawiony wesołości. – Chyba żartujesz. Kiedy mama mówi, że jakiś przystojny facet się w tobie kocha, to chce przez to powiedzieć, że on ma w tym jakiś interes.

– A on jest przystojny?

Lila skinęła głową.

– Mama mówiła, że wszyscy przystojni faceci cię podrywali. To prawda?

Jessie odwróciła wzrok.

– Może tak to dla niej wyglądało. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Słońce zniknęło za linią wzgórz. Dusty powoli zbliżał się do swojego pomostu. – Pakowałam się w różne beznadziejne związki, ale czułam irracjonalny lęk przed samotnością. Głupie, nie?

Do domu zbliżył się Ian, dosłownie obwieszony chłopcami. Scottie

siedział mu na ramionach, Owen wisiał na plecach, a Wyatt, przyklejony do nogi, jechał na stopie niczym na desce surfingowej.

– Co jest głupie? – spytał Wyatt.

– Chłopcy – rzuciła Lila.

– A wcale że nie.

– A wcale że tak.

– A wcale...

– Wprowadzić statek na orbitę! – zawołał Ian, dając Scottiemu znak, by otworzył drzwi. Schylił się i wszedł z chłopcami do środka, zanim kłótnia zdążyła się nasilić.

Jessie ze ściśniętym sercem patrzyła, jak Lila im się przygląda.

– Fajnego masz tatę i fajnych braci – powiedziała.

Lila usiadła na huśtawce z kolanem podciągniętym pod brodę, druga noga wisiała luźno w powietrzu.

– Może i tak.

– Trudno jest być jedyną dziewczynką w rodzinie?

– I tak nie mam wyboru. – Potarła policzek szybkim, niemal ukradkowym ruchem. – Oni wszyscy... Oni tak dobrze się ze sobą bawią. Ze mną tata taki nie jest. A po tym, co się stało, już nigdy nie będzie.

– Są rzeczy, których nie da się odwrócić. Jesteś na tyle duża, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Ale inne owszem, można naprawić.

– Nieważne. Robi się ciemno. Pójdę już. – Wstała z huśtawki.

– Dobrze się czujesz, skarbie?

– Chyba położę się wcześniej spać. Mam jutro szkołę.

Jessie pocałowała ją w głowę, próbując się nasycić tą krótką pieśczęcią. Gdy Lila poszła na górę, zajęła się robieniem porządku w kuchni i w jadalni, w czym towarzyszyło jej rytmiczne posapywanie zmywarki. Wydawało jej się, że słyszy samochód, ale ponieważ nikt nie wchodził, wytarła blaty. Z góry dobiegały okrzyki i odgłosy tupania. To Ian i Luz kładli chłopców spać.

– Dobranoc! – zawołała, stanąwszy przy schodach. – Wracam już do siebie.

– Do zobaczenia rano! – odkrzyknęła Luz.

– Zabieram ze sobą resztę merlota – powiedziała Jessie, wciskając korek do butelki, którą otworzyły z Luz przy kolacji.

– Proszę bardzo, częstuj się. Owen, w tej chwili wynieś mi stąd tę ropuchę! – Głos Luz zmienił się w jednej chwili.

Jessie wyszła na zewnątrz w towarzystwie Owena. Patrzyła, jak siostrzeniec przykłada do ust skulone dłonie i coś do nich szepcze, a potem kuca w trawie i wypuszcza jakieś ruszające się stworzenie.

– Co tam szeptałeś? – spytała Jessie.

– Powiedziałem jej, żeby nie brała tego do siebie. Mama nie lubi żadnych zwierzątek. Szkoda że nie słyszałaś, co się działo, jak przyniosłem do domu węża.

Jessie pochyliła się i pocałowała go w głowę.

– Mam do ciebie prośbę: nie przynoś więcej węży do domu.

– Dobra. – Owen wszedł do środka, wycierając dłonie o spodnie od piżamy.

Doszedł ją zapach róż. Poczowała gęsią skórę. Czy to możliwe? Zajrzała za róg ganku, żeby sprawdzić, czy nadal rośnie tam różany krzak. Luz pielęgnowała go, od kiedy Jessie sięgała pamięcią, i powtarzała, że ten krzew będzie żył wiecznie. I rzeczywiście, nie szkodziły mu nawet mroźne zimowe wiatry.

W zapadającym zmroku zobaczyła pęczki kremowych kwiatów kołysane lekkim powiewem. O tej porze roku nie były już takie piękne, ale pachniały odurzająco. Zerwała jeden, żeby zabrać go do sypialni.

Idąc wąską ścieżką w lesie, zdała sobie sprawę, że wciąż boi się ciemności. Z bijącym sercem skupiała się na świetle rozchodzącym się z ganku jej domku. Lampa nie świeciła jasno, ale to wystarczyło.

Zamknęła oczy, chcąc sprawdzić, co będzie, gdy światło zniknie. Niemal natychmiast potknęła się i przewróciła na kolana. Jakimś cudem udało jej się nie stłuc butelki, ale starła sobie skórę na kolanach.

– Szlag by to trafił – wymamrotała. – Cholera jasna. – Wstała i ruszyła w stronę chatki. Po rozmowie z Lilią czuła się sfrustrowana, pusta i niezadowolona. Nie umiała powiedzieć, czego się spodziewała. Że zaprzyjaźnią się od pierwszej chwili? Tymczasem prawda była taka, że się nie znały, a łączyły je jedynie więzy krwi i tajemnicze podobieństwa. Gdy Jessie była w wieku Lili, też wymykała się w nocy z domu, żeby gdzieś pojeździć z kolegami albo palić nad jeziorem trawę. Czasem siedziała na pomoście sama, aż Luz przychodziła po nią i kazała wracać do domu. O czym wtedy rozmawiały?

Uważnie stawiała stopy, przesuając się wąskim leśnym tunelem coraz bliżej światła. Wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć. Nie po takim dniu. A mimo to czuła w sobie pustkę. I lęk przed tym, co przyniesie przyszłość.

Z mroku wyłoniła się złowroga postać i ruszyła w jej kierunku. Jessie wstrzymała oddech, ale zanim zdążyła wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, usłyszała śmiech.

– Chyba nie chcesz wypić tego sama?

– Dusty! Ale mnie przestraszyłeś! Co ty tutaj robisz?

– Wydawało mi się, że się mnie spodziewasz.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież powiedziałem: do zobaczenia później. Teraz jest właśnie później. – Szarmancko wziął od niej butelkę i otworzył przed Jessie drzwi.

– Co ty robisz?

– Zamierzam napić się wina z moją nową kobietą.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Nic z tego. Wracasz do domu. A ja nie jestem twoją kobietą, ani nową, ani starą. Nie zapraszałam cię do siebie.

– Nieprawda.

Roześmiała się sceptycznie.

– Jesteś po prostu niemożliwy.

– Ty też. – Wziął z jej rąk różę, obrzucając wewnątrz domku szybkim spojrzeniem. – Ładnie tu – powiedział. – Ale trochę duszno. – Otworzył okno, żeby wpuścić wieczorne powietrze, odszukał dwa kieliszki i nalał do nich wino. – Jessie proszę, uwierz, to nie jest rytualne uwodzenie, które miałyby dowieść, że chcę znów spotykać się z kobietą.

Chociaż rytualne uwodzenie nie byłoby wcale takie złe, pomyślała.

– A więc co to jest? – spytała.

Podał jej kieliszek.

– Początek. A potem będzie już tylko coraz lepiej. – Upił łyk wina, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

Jessie poczuła uderzenie paniki.

– O czym ty mówisz?

– O nas. – Jego uśmiech, powolny i seksowny, sprawiał, że zapomniała o całym świecie. Bez najmniejszego ostrzeżenia położył jej dłoń na karku, przyciągnął do siebie i przycisnął usta do ust Jessie. Miała wiele doświadczeń z mężczyznami, niektórych żałowała, ale jeszcze nikt tak jej nie całował. Uwodzicielskie trzepotanie języka miało w sobie oszałamiającą zapowiedź seksu, delikatną i niedosłowną.

Jak to wszystko mogło się wydarzyć podczas pocałunku trwającego nie dłużej niż trzy uderzenia serca? Wiedziała jednak, jakie są zamiary Dusty’ego, zanim jeszcze zdążyła dogonić myślami gwałtowny przypływ emocji i doznań. Wyczuwała to w smaku jego ust, w sile uścisku. A kiedy rozluźniła się, gotowa ulec, odsunął się od niej.

– Z grubsza o to mi chodzi.

Uznała, że powinna okazać stanowczość.

– A zapytałeś, o co mi chodzi? Chyba nie chcesz powiedzieć, że to nie jest ważne?

Roześmiał się i lekko dotknął jej podbródka.

– Wiem dobrze, o co ci chodzi, skarbie. I naprawdę jest to dla mnie ważne.

Znów ją pocałował. Wydawało jej się, że tamten pocałunek był spełnieniem wszystkich marzeń, ale ten okazał się jeszcze lepszy. Dusty miał delikatne, słodkie od wina wargi, natarczywe i pełne niewypowiedzianych obietnic. Jego moc działała na nią niemal hipnotycznie. Dotąd tkwiła w szponach nienasyconego głodu, który owładnął nią wiele lat temu, każąc włóczyć się po świecie. Ale teraz wszystko się zmieniło. Tęsknota wzbudzana przez Dusty'ego była dużo głębsza i przez to bardziej smutna. Ale pragnęła go tak bardzo, że postanowiła nie myśleć o tym, co przyniesie jutro.

Uznała jednak, że powinna go ostrzec.

– Nie jestem taka... jaką chciałbyś mnie widzieć.

– A jak myślisz, co ja bym chciał?

– Ty potrzebujesz kogoś, kto umie pozostać na dłużej w jednym miejscu, kto na poważnie będzie dzielił z tobą życie.

– To, co się dzieje między nami, jest bardzo na poważnie.

– Między nami?

– Zgodziliśmy się, że będziemy uprawiać seks. Podchodzę do tego z pełną powagą.

Uśmiechnął się, a ona znowu zmiękła. Miała wrażenie, że w szaleńczym pędzie przerabiają kolejne etapy zalotów, z czego ta zachłanna, wytęskniona część niej była wręcz zadowolona. Czuła, że pożądanie Dusty'ego jest tak samo silne jak jej.

– To nie było dla mnie łatwe. I za cholere nie było przyjemne. W ciągu ostatnich dwóch lat uważałem się za faceta, który zakochał się, miał wspaniałe małżeństwo, a potem je stracił. Ale teraz zamierzam powrócić do życia. – Przeszedł przez pokój i wyciągnął do niej rękę. – I zamierzam znów kochać, może nawet mocniej niż za pierwszym razem.

– Zaraz, nie tak szybko. To jedynie chwila słabości.

– Nie. Kiedy się poznaliśmy, coś wyraźnie zaiskrzyło. Też to zauważyłaś.

Zagryzła wargi, nie mogąc zaprzeczyć. To szaleństwo, ale sama jego obecność wystarczała, by czuła smak innego świata, bezcenny smak poczucia bezpieczeństwa.

– Posłuchaj, może rzeczywiście trochę za bardzo się spieszę, ale to dlatego, że tak długo czekałem.

Wzięła go za rękę i podniosła się. Miała drżące palce.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Cecha wszystkich pilotów. Muszę podejmować szybkie decyzje i nie mogę pozwolić sobie na błąd. – Pociągnął ją do sypialni, przycisnął do ściany i zaczął rozpinąć guziki sukienki.

– I co twój instynkt ci podpowiada?

Zsunął ramiączka, sukienka opadła na podłogę.

– Że czekałem właśnie na ciebie.

Poczuła się jak w pułapce, bezbronna, uwięziona pomiędzy ścianą a jego ciałem, pomiędzy oczekiwaniami Dusty’ego a swoimi ograniczeniami. Co on takiego w niej zobaczył, że dwa lata po straszliwej tragedii, która go spotkała, mógł jej coś takiego powiedzieć? Zrozumiała, że chciałyby się do niego zbliżyć, ale nawet w takiej chwili nie umiała się powstrzymać.

– Nie pasuję do ciebie.

– Pozwól, że ja to ocenię.

– Przynoszę jedynie nieszczęścia. Uwierz mi, związek ze mną to wielki błąd.

– Co to znaczy, że przynosisz nieszczęścia?

– Jestem... Mam swoje plany. Nie mogę tu zostać. Powinieneś to wiedzieć. Zrozum, zawsze trzymam ludzi na dystans. Nigdy tego nie planuję, ale tak się kończy, że zawsze odchodzę.

– Mnie wyzwania nie zniechęcają. – Zdjął jej biustonosz i pochylił się, żeby pocałować nagą skórę. – Ładny tatuaż.

– Nie chcę być dla ciebie wyzwaniem. – Tak naprawdę chciałyby się w nim zakochać bez pamięci, ale wiedziała, że nie może być aż tak okrutna. Niedługo jej tu nie będzie. Nie ma innej możliwości. – Nie żartuję. – Jej głos był coraz słabszy. – Nie mogę tu zostać. Nawet dla ciebie.

– Zawrzyjmy umowę. Ty przestaniesz się tym martwić i nie będziesz już nic mówić, a ja przejdę do rzeczy. – Wyjął z kieszeni

paczkę prezerwatyw i rzucił ją na nocny stół.

– Nie mogę się nie martwić. – Ale nawet mówiąc te słowa, zamknęła oczy i poddała się pieszczotom. Było w tym nie tylko pożądanie, ale i odkrywanie: smaku Dusty’ego, zapachu i intensywnej obecności. Oraz odkrywanie tego wszystkiego, czego w sobie samej nie знаła, a może raczej utraciła w młodości.

Poczuła, że ją łagodnie odwraca i kładzie na łóżko.

– A teraz będę cię kochał. Zobaczysz, że ci się spodoba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jessie promieniała. Gdy tylko weszła do kuchni, Luz zauważyła wokół niej niezwykłą aurę.

– Dzień dobry – powiedziała, układając na blacie cztery torebki z drugim śniadaniem. – Widzę, że jesteś w dobrym humorze.

Jessie uśmiechnęła się, a uśmiech zamienił się w śmiech.

– Mamy piękny dzień. – Podeszła do dzbanka i nalała sobie kawę. Osłodziła ją, dołała śmietanki i stanęła przy oknie, najwyraźniej nie zauważywszy, że przy mieszaniu rozlała trochę kawy na blat. Patrzyła na jezioro. Poranne słońce pomalowało tafłę wody w złoto-różowe plamy, obłoki mgły przyklejały się jeszcze do brzegów. Po drugiej stronie jeziora drogą pędziła ciężarówka.

Luz pakowała do torebek śniadania z wprawą wynikającą z wielu lat praktyki i patrzyła na siostrę.

– Czy ten twój uśmiech ma coś wspólnego z pewnym pilotem i faktem, że spędziłaś z nim noc?

– Tak. Ale to nie pierwszy facet, który wychodzi ode mnie o świcie.

– Zobaczysz, on wróci. Dobrze mu się wczoraj przyjrzałam.

Jessie odwróciła się od okna, jej sylwetka rysowała się wyraźnie na tle jasnego tła. Miała na sobie egzotyczną jedwabną piżamę i w tym świetle wyglądała tak świeżo i swobodnie, jak w czasach studenckich.

Luz poczuła, że zbliża się dobrze znany demon. Zazdrość. Jessie nie była piękna. Była olśniewająca. Miała wiele talentów i umiała je

wykorzystywać z niezwykłą łatwością. I jak zwykle Luz pokonała demona swoją najskuteczniejszą bronią. Kochała siostrę. A przecież zazdrość nie może zniszczyć miłości.

Szum prysznicza w łazience i głośna muzyka z radia oznaczały, że Lila już wstała i rzeczywiście przygotowuje się do szkoły. Kolejny problem – Jessie wciąż czeka na odpowiedź. Rozmowa o adopcji Lili nie została zakończona. Gdy życie wróci do względnej normalności, powrócą też tamte pytania. Kiedy powiedzą Lili o wszystkim? Co jej powiedzą? I jak?

Jednak tego dnia myśli Jessie krążyły gdzie indziej. Ze zręcznością karcianego hazardzisty Luz rozkładała na blacie kromki chleba.

– Taki był dobry?

Jessie objęła się ramionami.

– Nawet nie masz pojęcia jak.

Luz obracała czubkiem noża w słoiku, wyjmując z niego ostatnie resztki masła orzechowego. Nie odezwała się, myśląc o tym, kiedy po raz ostatni obudziła się z takim blaskiem w oczach oznaczającym, że ma się za sobą noc wypełnioną fantastycznym seksem. W zeszłym roku w czerwcu?

– W skali od jednego do dziesięciu dałabym mu dziewięćdziesiąt osiem.

Luz dołożyła do każdej torebki małą paczkę chipsów, jabłko, kubeczek owocowego jogurtu i plastikową łyżeczkę. Cztery torebki, cztery drugie śniadania, czworo dzieci, cztery powody, żeby powiedzieć Ianowi „Nie dzisiaj, kochanie”.

Jessie oparła się na blacie, przy którym pracowała Luz.

– Widzę, że wszyscy idą do szkoły.

– Tak, Scottie też. Będzie w przedszkolu do południa. Robię mu takie samo śniadanie, żeby czuł się duży. – Pochyliła się, pisząc coś długopisem na serwetkach.

– Co robisz?

– Wkładam im do torebek miłosne liściki. – Na każdej serwetce dorysowała uśmiechniętą buźkę i serce. – O co chodzi? – spytała, czując na sobie badawcze spojrzenie Luz.

– Robisz to codziennie.

– W czasie roku szkolnego.

– Cztery drugie śniadania.

– Po jednym dla każdego dziecka. Czasem robię też dla Iana.

– Zdziwiasz mnie. Jak zawsze zresztą.

Luz nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– To dlatego, że skończyłam prawie cztery lata studiów. – Podeszła do schodów i zawołała: – Wszyscy już wstali?

– Tak, proszę pani! – odkrzyknął Scottie. Stare rury zaczęły skrzypieć i piszczeć, gdy Lila zakręciła wodę pod prysznicem.

Luz zajęła się przygotowywaniem śniadania. Postawiła na stole dzbanki z mlekiem i sokiem oraz pudełka z płatkami.

– A wiesz, że Amber jest w tym samym przedszkolu co Scottie?

Dusty zapisał ją do młodszych maluchów. Może chciałabyś zawieźć Scottiego?

Jessie odwróciła się szybko i nalała sobie kawy do kubka.

– Amber jedzie dziś do Austin, do swojej babci. – Przez nieuwagę znów rozlała kawę na blat. – Poza tym nie czuję się swobodnie za kierownicą. Przywykłam jeździć po drugiej stronie drogi.

– Nieważne. Tak tylko głośno pomyślałam. – Luz wytarła blat.

Jessie popijała kawę, z roztargnieniem patrząc przez okno.

– Jak ci się podoba Amber?

Luz przyglądała się siostrze. Jessie nie była zdolna do trwałych zobowiązań, nawet w związku z Simonem. Być może, ale tylko być może, Dusty byłby dla niej odpowiedni. Bo tylko on i Amber mogliby zdobyć serce Jessie.

– Śliczny aniołek, a Dusty i Arnufu traktują ją rzeczywiście jak anioła. Możesz mi podać tamto pudełko, które stoi na półce po prawej stronie? Muszę dosypać cukru do cukiernicy.

– Jasne. – Sięgnęła po blaszany pojemnik i popchnęła go po blacie. Gdy Luz odmierzała cukier, zdjęła z półki coś jeszcze.

– Czy to jest to, co myślę?

Luz poczuła nieprzyjemne uklucie, jakby Jessie ujawniła jakąś jej tajemnicę. Opanowała jednak drżenie rąk, napełniła cukiernicę i usiadła z kawą przy stole. To była jedyna chwila, kiedy mogła ją wypić w spokoju przed porannym zamieszaniem. Jessie usiadła przy niej, trzymając w ręku znaleziony skarb.

– Kompletnie o tym zapomniałam – powiedziała.

– Ja też – przyznała Luz. – Prawie.

– Nasz słoik życzeń. – Jessie zdjęła przykrywkę ze starego, rzeźbionego pojemnika i włożyła rękę do środka.

Ten widok wywołał w umyśle Luz masę wspomnień. Po jednym z turniejów mama przywiozła do domu puchar z napisem „Fandango Wodds, 9 września 1974”. Był to najbrzydszy puchar w całej karierze mamy i z pewnością wylądowałby na strychu, gdyby nie to, że miał przykrywkę. Mama nie darzyła go sympatią, bowiem nie udało jej się wygrać całego turnieju.

Ten rok w ogóle był trudny. Mama wygrywała rzadko, nie zakwalifikowała się do rozgrywek objazdowych. Luz pamiętała do dziś, jak stoi w kolejce w szkolnej stołówce, trzymając w ręku niebieskie kupony na darmowe obiady.

Z ich całej trójki tylko Luz umiała mierzyć się z faktami. Mama wynajdywała tysiące powodów, żeby nie iść do opieki społecznej po bony żywnościowe. Luz była jeszcze dzieckiem, ale to ona zdusiła w sobie dumę, wypełniała formularze i chodziła po zasiłek. Za każdym razem tłumaczyła, że mama albo wyjechała, albo jest chora, albo nie może przyjść. W szkole zaciskała zęby i korzystała z niebieskich kuponów. Jessie w ogóle nie jadła obiadów, za to kradła w pobliskim sklepie batoniki i oranżadę.

Pewnego ranka, wiele lat temu, kiedy Luz cerowała ulubioną bluzkę, siedząc przy tym samym zniszczonym stole, mama wzięła do ręki nielubiany puchar i powiedziała: „To jest słoik marzeń”.

Jessie, która zawsze była bardziej ekscentryczna niż Luz, zawołała od razu:

– Mogę mieć życzenie?

– Właśnie po to jest ten słoik. – Mama wręczyła każdej z nich kawałek papieru, długopis i monetę. – Ale musicie za to zapłacić. Napiszcie swoje marzenie na kartce, owińcie nią monetę i wrzucicie do środka. Gdy dostanę jakieś pieniądze, wyciągniemy jedno marzenie i spełnimy je.

I tak narodziła się ich tradycja. Dziewczynki wkładały do słoika monety zawinięte w kartki z marzeniami. Jessie dołożyła jeszcze do tego mały rytuał w postaci szeptem wypowiedzanej modlitwy i całowania monety przed wrzuceniem do środka. A kiedy szczęście się do nich uśmiechało, mama przypominała sobie o złożonej obietnicy. Z zamkniętymi oczami wyciągały ze słoika jakieś marzenie.

Czasem marzenia zapisane na wąskich paskach papieru były bardzo konkretne, jak na przykład „regulowany statyw nikkor”. Czasem magiczne – na przykład jednorożec. Czasem błahe, jak jakaś płyta z muzyką dyskotekową. A czasem przejmujące: tatuś. A bardzo często niemożliwe do spełnienia, jak chociażby „pokój na całym świecie”. Utrzymywały tę tradycję, nawet gdy już były prawie dorosłe.

Luz pracowała wtedy po szkole w szwalni i wróciwszy pewnego dnia do domu, napisała na kartce: studia na uniwersytecie.

– Wciąż to robisz? – Pytanie Jessie przywołało ją do rzeczywistości. – Wciąż zapisujesz swoje marzenia?

Luz upiła łyk czarnej kawy.

– Czasem. Ale przy czwórce dzieci życzeń jest znacznie więcej niż możliwości ich spełnienia. Ian nie zarabia dużo. Jego pensja ledwo nam wystarcza. – To niewiarygodne, ile kosztowało nawet skromne życie.

– I o to właśnie chodzi – powiedziała Jessie. – Zawsze trzeba mieć

jakieś niespełnione życzenia. Dzięki nim marzenia mają swoją moc. – Wyjęła ze środka ciasno zwinięty kawałek papieru, rozłożyła go ostrożnie i położyła na stole.

Luz spojrzała na kartkę.

– Chyba setna prośba Wyatta o PlayStation. Cały czas mam nadzieję, że może w końcu z tego wyrośnie albo wynajdą coś tańszego. Ale sądząc po charakterze pisma, to całkiem niedawny liścik.

– Wyciągnijmy jeszcze jeden.

Tym razem był to tajemniczy plemienny symbol, zapewne narysowany przez Scottiego.

– Nie jestem pewna, ale chyba chodzi o chomika.

Luz zaczerwieniła się, rozwijając kolejne życzenie.

– Ian zawsze to samo... – Ale zanim zdążyła zmiąć kartkę, Jessie wyrwała ją jej z palców. – Po francusku – odczytała i wybuchnęła śmiechem. – Dobrze się domyślam? Wszyscy faceci są tacy sami.

Nie umiałyby powiedzieć, czy Ian jest taki sam jak inni faceci. Był jej pierwszym i jedynym mężczyzną. W liceum zrażała do siebie chłopców powagą i pilnością w nauce. Często widywała szesnastoletnie matki z wózkami robiące zakupy w supermarkecie i przysięgała sobie, że nie zajdzie w ciążę i nie da się wpędzić w taką pułapkę. Co oznaczało, że trzymała się z dala od chłopców i młodzieżowych imprez.

Mimo to znalazła się w pułapce, chociaż w ciążę zaszła jej siostra. Ta myśl wywołała w niej wyrzuty sumienia.

– Następne – zawołała szybko.

Jessie przestała chichotać i rozłożyła następną kartkę.

– To od Lili. – Luz rozpoznała pismo córki.

– I co tam jest?

– Prawdziwy tatuaż.

– To akurat łatwo spełnić.

Luz popatrzyła na spiralne linie wyłaniające się spod koszulki Jessie.

– Aha.

Jessie, nie zauważywszy jej badawczego spojrzenia, wyciągnęła następną kartkę.

Luz rozpoznała swoje niewyraźne pismo.

– Moje mgr.

– Chodzi ci o pracę magisterską?

– Tak, najchętniej z najwyższą oceną. Niewiele mi brakowało. Napisałam to chyba z dziesięć lat temu. Od jakiegoś czasu ten słoik służy mi jedynie do przechowywania drobnych.

– Przechowujesz w nim swoje marzenia. Powinnaś wrócić na studia i je skończyć – powiedziała Jessie.

– Na studia? Tak po prostu? – Luz roześmiała się. – Jasne. Powiem Ianowi, że ma odwołać rozprawy w sądzie i zająć się dziećmi, psu każę siedzieć w budzie, Scottiemu zabronię chorować na zapalenie ucha, wytrzasnę skądś kilka tysięcy i ruszę do miasta, żeby zostać najstarszą

studentką na świecie.

– Jeśli to jest dla ciebie ważne, to zrób to.

– Mam czworo dzieci...

– A jak to się stało, Luz? Przypadkiem?

– Prawdę mówiąc, nie wszystkie były planowane.

Jessie omal nie zakrztusiła się kawą.

– Jeden przypadek zawsze może się przytrafić. Tak jak mnie. Ale ty masz trzech synów, Luz, i nie jesteś głupia. Dzieci były dla ciebie ważniejsze niż jakiś głupi papier.

Luz nie wiedziała, co ma na to powiedzieć.

Przy każdej ciąży pierwszą reakcją był szok, a potem fala radości tak wielkiej, że omal nie zwałała jej z nóg. Uwielbiała być w ciąży, uwielbiała rodzić dzieci, a opuchnięte kostki i żyłaki traktowała jak medale zasługi. Uwielbiała karmić piersią, uwielbiała swój ciepły, mleczny zapach i poczucie, że organizm bezbłędnie wytwarza to, co jest najlepsze dla dziecka.

– Chyba wydawało mi się, że mogę mieć jedno i drugie – powiedziała Luz. Jej kawa zrobiła się zimna i gorzka. Odstawiła kubek i włożyła rękę do słoika. Liczba zgromadzonych tam karteczek zaskoczyła ją. Wyjęła jedną z samego dna.

– Wycieczka do Meksyku. To chyba twoje pismo, Jessie.

– Tak?

– Musiałaś to napisać jeszcze przed swoim wyjazdem.

– Nigdy nie byłam w Meksyku.

– Dlatego ta kartka wciąż tu jest. Ale jeszcze zdążysz.

Jessie złożyła kartkę i odłożyła na bok. Luz zrobiła to samo ze swoim marzeniem o studiach, ale w ostatniej chwili owinęła kartką monetę, zgodnie z dawnym rytuałem przytknęła ją do ust i wrzuciła do słoika. Wzięła do ręki ołówek i mały notatnik.

– Jess, pomyślmy teraz jakieś marzenie.

– Dobrze. – Jessie zaczęła coś notować, jej długopis wyjechał poza krawędź karki i skrobał po drewnie stołu.

– Ej, chyba powinnaś przebadać sobie oczy.

– Prawdę mówiąc, już dawno...

– Spóźnię się! – zawołała Lila, zbiegając po schodach. – Nie zdążę nic zjeść.

Luz wstała i podała córce torbę z drugim śniadaniem. Lila wyglądała ładnie. A właściwie pięknie. Pomimo koszmarnego bałaganu w swoim pokoju zawsze prezentowała się tak, jakby właśnie wyszła z reklamy ubrań dla dziewcząt.

– Twój autobus odjeżdża za siedem minut. – Luz od razu się zorientowała, że nie powinna była tego mówić, zanim jeszcze Lila skuliła ramiona i spojrzała na nią ze złością. Lila nie jeździła do szkoły autobusem. Od początku roku szkolnego zabierał ją Heath Walker czerwonym dżipem. To był dla niej dowód prestiżu i uznania.

– Może poznasz kogoś fajnego w autobusie. – Żałosna próba, ale Luz nie umiała się pohamować.

– Jasne.

– A przede wszystkim dzień dobry, laleczko – powiedziała Jessie.

Lila spojrzała na nią wilkiem.

– Nieważne.

– Mam lepszy pomysł na wyprawianie dzieci do szkoły. Tak ją kopnę w tyłek, że doleci do samego miasta.

– Świetny plan – powiedziała Luz.

Lila patrzyła na swoje odbicie w rozsuwanych drzwiach. Starła się zachować obojętność, ale nerwy miała napięte jak postronki. Takie rzeczy Luz umiała zauważyć.

Rury znowu jęknęły. To Ian wszedł pod prysznic. Luz poczuła irytację. Czy chociaż raz nie mógł poczekać i pożegnać się z córką przed jej wyjściem do szkoły? Przecież przeżyła ciężki wypadek, który wstrząsnął całą społecznością. Potrzebowała ich wsparcia i miłości. Czy Ian nie zdawał sobie z tego sprawy?

– Kochanie, wiem, że nie będzie ci łatwo. I chcę ci powiedzieć, jak bardzo podziwiam twoją decyzję, żeby tak szybko wrócić do codziennych obowiązków. – Aż się krzywiła, słysząc własne frazesy.

– Nieważne – mruknęła Lila.

– Też jestem z ciebie dumna. – Jessie chciała być lojalna wobec siostry. – W życiu dzieją się różne rzeczy, a szkoła toczy się dalej.

Lila skinęła głową, a potem zerknęła na Luz.

– W ten weekend w szkole jest mecz z okazji Dnia Absolwenta.

Dzień Absolwenta to ważne wydarzenie w życiu małego miasteczka w Teksasie. I nawet fakt, że główny napastnik szkolnej drużyny Edenville Serpents uległ poważnemu wypadkowi, nie mógłby przeszkodzić w pielęgnowaniu starej tradycji. Luz była pewna, że już w piątek podniecenie z tym związane osiągnie najwyższy poziom. Dziewczeta będą paradować z przypiętymi do sukienek ozdobami z astrów w barwach szkoły – czerń i purpura – i ciągnąć za sobą długie wstążki. Chłopcy wejdą na wieżę ciśnień, żeby na pokrytym graffiti zbiorniku domalować farbą w spreju kolejny rok obchodów. Cukiernia będzie sprzedawać ciasteczka w kształcie megafonów, a czirliderek udekorują domy graczy kolorowymi serpentynami.

Lila dostała się w tym roku do reprezentacji czirliderek.

Luz zagryzła wargę, nie chcąc przypominać, że Lila ma zakaz wychodzenia z domu, a więc nie pójdzie ani na mecz, ani na wieczorne tańce. Nie ma sensu wracać do tego tematu teraz, przed wyjściem do szkoły.

– No to na razie – powiedziała Lila pośpiesznie i wybiegła na dwór.

Luz usiadła z westchnieniem przy stole. Jessie podsunęła jej papier i długopis.

– Marzenie, siostrzyczko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Lila przez całe życie mieszkała w Edenville, ale jadąc szkolnym autobusem, w którym śmierdziało olejem napędowym i torbami z ubraniami na WF, czuła się jak przybysz z obcej planety. Patrząc przez brudną szybę na miasteczko śliczne jak z pocztówki, zrozumiała, że w ciągu jednej nocy jej świat zmienił się całkowicie. Ostatni raz patrzyła na Edenville oczami dziewczyny, która знаła jedynie dobre strony życia: słońce, śmiech, przyjaźń i zabawę. Wraciała jako osoba, która spojrzała śmierci w oczy. Był jasny, rześki poranek, ludzie rozwijali markizy, zamiatali chodniki, witali się uśmiechami i machaniem dłoni.

Kim oni są, że tak łatwo im się śmiać? Kim są ci ludzie, którzy żyją bez troski, śpią mocno przez całą noc, bo nie dręczą ich koszmary o tym, że przewracają się w koziołkującym dziupie niczym żaby w blenderze?

W autobusie nikt się do niej nie odezwał, chociaż czuła na sobie natarczywe spojrzenia i słyszała nieprzyjemne szepty. Pasażerami byli głównie uczniowie młodszych klas, którzy nie mieli jeszcze prawa jazdy, dzieciaki z biedniejszych rodzin, których nie stać było na samochód albo dziewczyny porzucone przez swoich chłopaków. Czyli ci, którzy zajmowali najniższe miejsca w łańcuchu pokarmowym liceum Edenville.

No i oczywiście ona, Lila. Po wypadku została odcięta od świata. Teraz już nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce, a to było najgorsze uczucie pod słońcem. Słowa matki Heatha – „To wszystko przez ciebie” – prześladowały ją dniem i nocą. A jeśli to rzeczywiście jej wina? Może gdyby nie wymknęła się z domu tamtej nocy, nie zachęcała Heatha do skoków, nikomu nic by się nie stało? Och, gdyby miała już skończone szesnaście lat, mogłaby wsiąść do samochodu i odjechać stąd na zawsze. Tata obiecał, że kiedy zda egzamin praktyczny na prawo jazdy, pozwoli jej jeździć starym plymouthem arrow, który stał w komórce, od kiedy

była dzieckiem.

Starła się nie zauważać wszystkich szeptów i spojrzeń. Boże, ile by dała za to, żeby to był normalny dzień. Jechałaby do szkoły z Heathem, utrwalając tym swoją pozycję na niewidzialnej, ale szalenie ważnej licealnej drabinie popularności. A teraz przez te wszystkie zakazy rodziców nie wiedziała nawet, czy Heath jest w domu, w szpitalu czy może wrócił już do szkoły. Mama zachowywała się niczym telefoniczne gestapo, odłączyła nawet modem, żeby Lila nie mogła czytać e-maili.

Gdy autobus wjechał w uliczkę leżącą obok szkoły, poczuła się zdezorientowana jak po długiej podróży do kraju, w którym nie ma telefonów.

Liceum Edenville było typową, staromodną amerykańską szkołą, jakie widuje się w nostalgicznych filmach albo w przewodnikach turystycznych opisujących Edenville jako „miejsce, w którym czas się zatrzymał”. Na trawniku przed wejściem rosły magnolie i zimozielone dęby. Ogromny budynek z cegły i betonu był majestatyczny, ale dawał też poczucie bezpieczeństwa kojarzące się z długą tradycją. Stał tu zawsze i pozostanie tu przez kolejne dziesięciolecia.

Lili wydawało się czasem dziwne, że mama i ciotka chodziły do tej samej szkoły, ale faktom nie dało się zaprzeczyć. Miały nawet kilku wspólnych nauczycieli. A pan McAllister od angielskiego nieustannie przypominał całemu światu o siostrach Ryder, zwracając przy tym uwagę, że Lila jest do nich szalenie podobna. Szperając w zeszłym roku w archiwum kronik szkolnych, Lila ze zdziwieniem zauważyła, że zdjęcia uznane za najlepsze podpisane były nazwiskiem „L. Ryder”. L jak Lucinda. Dziwne. Wydawałoby się, że to Jessie powinna robić wszystkie zdjęcia, skoro dziś jest sławną na całym świecie fotografką. A tymczasem zdjęcia do kronik zrobiła matka Lili. Jakoś nie umiała myśleć o swojej mamie inaczej niż o mamie. Ale nie była przecież ślepa i umiała dostrzec jej talent fotograficzny. Może dawno temu mama

miała zamiar pracować w tym zawodzie?

Oczywiście Lila nigdy jej o to nie pytała.

Zastanawiała się czasem, czy prawdziwe jest twierdzenie, że po skończeniu liceum już wiesz, jaka jest twoja wymarzona praca. Pan Grimm, który doradzał im w kwestii wyboru dalszej drogi życiowej, mawiał, że talenty i upodobania, które ujawniają się w okresie szkoły średniej, są kluczem do dalszej przyszłości.

Lila powtarzała sobie, że jej talenty i upodobania wciąż się kształtują. Lubiała być czirliderką, lubiała alternatywną muzykę rockową, ciuchy dobrych marek i serowo-cebulowe chipsy, których dziewczyna mająca chłopaka za nic w świecie nie powinna jeść, bo po nich brzydko pachnie z ust. Umiała zrobić salto w tył, umiała stać na rękach, umiała całować się z Heathem i przysiąc w ostatniej ławce tak, że dla nauczycieli stawała się niemal niewidzialna.

Nie miała najmniejszego pojęcia, jak te umiejętności mogą się jej przydać w dalszym życiu.

Autobus wjechał powoli na boczny parking i zatrzymał się z lekkim szarpnięciem. Lila zerwała się z miejsca i wyskoczyła na zewnątrz nareszcie wolna. Usłyszała za sobą szept, ale kiedy odwróciła głowę, zobaczyła jedynie dwie dziewczynki, które ledwo знаła. Z niewinnymi minami zbierały swoje rzeczy. I wtedy sobie przypomniała. Ta grubsza nazywała się Cindy Martinez. Kiedyś dała Lili przepisać pracę domową z hiszpańskiego i potem myślała, że będą przyjaciółkami. Ale Lila potraktowała ją chłodno i Cindy zrezygnowała.

Zarzuciła plecak na ramię i ruszyła ciężkim krokiem przez zatłoczony parking.

Poczuła podejrzany zapach dymu papierosowego. Przy wejściu od strony zachodniej, gdzie żaden szanujący się normalny uczeń nie

śmiałyby się pokazać, tłoczyła się grupka punków i bogatych emigrantów z Europy. Dopiero teraz zobaczyła, jak głębokie były podziały pomiędzy uczniami. Jakby każda grupa zaznaczała swoje terytorium niewidzialnymi taśmami z napisem „Policja. Wstęp wzbroniony”.

Przy wejściu na czworokątne boisko zauważyła zastęp harcerzy. Trzymali na smyczach trzy młode labradory ubrane w zielone kamizelki z napisem „Trening psa przewodnika”. Nie miała nic przeciwko harcerzom, ale oni też byli na swój sposób dziwni i też izolowali się od reszty. Nie tylko zajmowali się hodowlą kóz i królików, wychowywali też rasowe szczeniaki. Polegało to na tym, że harcerz dostawał ślicznego małego labradora i musiał się nim cały czas zajmować: przyzwyczajał do poruszania się po domu, uczył bliskiej więzi z człowiekiem, spał z nim, jadł i w zasadzie był z nim przez cały czas. A kiedy szceniak dorastał, przechodził w ręce jakiejś organizacji z Austin, która zajmowała się szkoleniem psów dla niewidomych. Lila nie mogła tego pojąć. Jak można oddać komuś ukochanego psa, którego wychowuje się od szczeniaka?

Zbliżając się do frontu budynku, poczuła przyjemne podniecenie. To była jej szkoła, jej świat, jej miejsce na ziemi. Zdobyła się nawet na śmiałą myśl, że może Heath wrócił już ze szpitala i go dzisiaj zobaczy.

Z rozłożystych dębów rosnących przy wejściu zwieszały się czarne i purpurowe serpentyny, napis na wielkim transparencie głosił: „Do boju, Serpents!”. Dzień Absolwenta odbędzie się jak co roku, bo jesteśmy w Teksasie, a w Teksasie nikt nie odwoła takiego święta tylko dlatego, że kapitan drużyny rozbił się w samochodzie, a jakiś uczeń zginął w wypadku.

Lila przypomniawszy sobie, że ma szlaban. Znała swoich rodziców aż za dobrze. Wiedziała, że nie ustąpią. Ale mieli mocny sen. Wymknie się w nocy i przyjedzie na obchody. Heath wyzdrowieje. Da jej bukiet kwiatów, ona włoży nową sukienkę, a zasuszony bukiet zostawi sobie na pamiątkę na kolejne lata.

Narzekąca czasem na szkołę, ale prawdę mówiąc, uwielbiała ją. Lubiła ten śmiech i hałas, zapach stołówki i woń kawy dobiegającą z pokoju nauczycielskiego, skrzypiący głos z megafonu podający szkolne ogłoszenia, ściany wyłożone starymi książkami i korytarze pełne metalowych szafek.

Uśmiechnęła się. Była szczęśliwa, że znów tu jest.

Usłyszała nawet odległy śpiew aniołów. A potem ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że to nie anioły, ale szkolny Chór Chrystusowy, klub nawróconych uczniów, których gładko wygolone twarze zawsze się uśmiechały i którzy zawsze zachowywali się właściwie.

Stali przy maszcie, w którego połowie powiewała flaga amerykańska i jeszcze większa od niej flaga Teksasu.

Uśmiech zamarł jej na ustach. Dig, pomyślała i szybkim krokiem ruszyła naprzód. Widok, który zobaczyła, zadziwił ją. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tylu kwiatów. Bukiety z supermarketów wciąż zawinięte w celofan, cięte kwiaty w słoikach po dżemie, zerwane na łąkach rudbekie i dzwonki tworzyły wokół masztu ogromną piramidę. Ze środka wystawał pojedynczy słonecznik, na którym siedziała wrona i wydziobywała ziarna. Wszędzie leżały zdjęcia, ręcznie pisane liściki, tanie pluszowe misie z przypiętymi karteczkami, sportowe trofea. Lila zauważyła nawet dynię, na której ktoś napisał czarnym markerem „Brak mi ciebie, Dig”. A nad tą piramidą niczym groteskowy strach na wróble unosił się kostium piłkarski rozciągnięty na skleconym naprędcie drewnianym krzyżu. Z tyłu koszulki był numer 34 oraz nazwisko Bridger wypisane drukowanymi literami.

– Jezus zawsze z nami – śpiewał chór, trzymając się za ręce i kołysząc w rytm melodii. Z zamkniętymi oczami i twarzami wzniesionymi ku niebu wyglądali, jakby byli pogrążeni w ekstazie.

Patrzając na nich, Lila poczuła niechęć. Gdyby Dig żył, te świętoszkowate dzieciaki ani przez chwilę nie zwracałyby sobie głowy zbawianiem jego duszy. Do tego ekskluzywnego klubu należeli jedynie biali, którzy nie zauważali ani uczniów czarnych, ani Latynosów, ani takich jak Dig, którzy mieszkali w przyczepach. Jedynie od czasu do czasu zapraszali do siebie takiego odmienca, żeby pokazać, jak bardzo są różnorodni.

A ponieważ Dig nie żył, to chętnie przyjęli go do swojego grona.

Myśli Lili musiały wprowadzić na firmamencie zamęt, bo pieśń dobiegła końca i kilku chórzystów ją zauważyło.

Wieść o jej obecności rozprzestrzeniała się niczym wirus komputerowy, ale ona wpatrywała się w jedną osobę.

– Heath! – zawołała z ulgą. – Boże, jak dobrze, że jesteś.

Stał wśród nieznanym jej uczniów, opierając się na kulach. Nie zważając na nikogo, Lila podbiegła do niego, chcąc go objąć, ale kule jej przeszkodziły i musiała się zatrzymać. Ale na szczęście był tuż obok niej. I wyglądał cudownie.

Patrzyła na niego z coraz większym niepokojem. W innych okolicznościach objąłby ją, a może nawet pocałował ukradkiem, a ona nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wszyscy to zauważyli, bo przecież Heath był najprzystojniejszym chłopakiem w szkole.

Ale dziś w jego spojrzeniu był lodowaty chłód, który zatrzymał ją niczym niewidzialny mur.

– Heath – powiedziała cicho, niepewnie.

Odpowiedział ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Cześć.

Prawą nogę miał w gipsie. Do reszty straciła pewność siebie.

– Widzę, że złamałeś nogę.

Ktoś za nią westchnął z wyraźną dezaprobatą. Zignorowała to.

– Heath, przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale mam szlaban dosłownie na wszystko. Rodzice nie pozwalają mi pójść nawet na Dzień Absolwenta, ale zobaczysz, znajdę jakiś sposób. – Wiedziała, że zaczyna bełkotać bez sensu, ale nie umiała się powstrzymać. – Nie zawiodę cię.

– Mam złamaną nogę. Nie zagram w tym sezonie.

– Ale przecież możemy iść na mecz, a potem na imprezę. – Zrobiła krok do przodu, będąc pewna, że jeśli tylko go dotknie, ten zimny lód się roztopi i wszystko będzie dobrze.

– Ty chyba nic nie rozumiesz – powiedział.

Zamarła. Poczowała mocny skurcz w żołądku.

– Czego nie rozumiem?

Wskazał kulą na piramidę kwiatów. W powietrzu unosił się słodko mdlący zapach.

– Nie możesz udawać, że nic się nie stało.

– Niczego nie udaję, ale życie toczy się dalej. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dać sobie z tym radę.

– Ja znalazłem przebaczenie.

Ściągnęła brwi.

– Przebaczam ci, Heath.

– Nie o tym mówię. – Popatrzył na swoich towarzyszy z dziwnie łagodnym wyrazem twarzy. – Przyjąłem do swojego serca Chrystusa i uznałem go za swojego zbawcę.

– Och, przestań! Zmieniłeś się w ciągu jednej nocy?

Spojrzał na nią z gniewem.

– Otrzymałem przebaczenie za to, co kazałaś mi wtedy zrobić.

– Ja ci kazałam wychodzić z domu? Ja ci kazałam jechać na wzgórze? Ja ci kazałam rozbić samochód? – Lila nie mogła uwierzyć w jego słowa. – To tylko twoja wymówka. To ty siedziałeś za kierownicą. Jeśli religia pomaga ci pozbyć się wyrzutów sumienia, to w porządku. Ale ja nie muszę się nawracać. To, jaka jestem, zupełnie mnie zadowala.

– W takim razie pójdziesz do piekła. Ale beze mnie.

Poczuła się tak zraniona i upokorzona, że odchodząc od niego, ledwo trzymała się na nogach. Z ulgą dostrzegła Tinę Borden z drużyny czirliderek. Szła z dwiema innymi dziewczynami. Czirliderki rzadko pokazywały się same, bez towarzystwa co najmniej dwóch koleżanek czuły się nagie.

– Cześć – powiedziała, zbierając w sobie resztki potrzaskanej dumy. Jeśli rodzice nie pozwolą jej pójść na ten mecz, umrze. Po prostu umrze. – Co słyhać w sprawie meczu?

Tina zmrużyła oczy.

– Powinnaś porozmawiać z panią Crofter.

Pani Crofter była opiekunką drużyny czirliderek.

– O czym?

– Nie było cię na jednym meczu i opuściłaś dwa treningi pod rząd, więc nie możesz wystąpić na meczu w Dniu Absolwenta. – Ruszyła z koleżankami w kierunku piramidy kwiatów.

– Hej! – Lila szła tuż za nimi. – Miałam poważny wypadek. Nie opuściłam meczu i treningów z własnej woli.

Tina odrzuciła włosy przez ramię.

– Takie mamy zasady.

– Przecież to śmieszne – zawołała za nią Lila. Ale nikt już jej nie słuchał. Dziewczynki szeptały coś między sobą, zbliżając się do śpiewającego chóru.

Lila poczuła, że nie pójdzie do piekła. Już była w piekle. Ledwo widząc przez łzy, szła przed siebie, chcąc znaleźć się jak najdalej od szkoły. Z każdym krokiem jej plecak robił się coraz cięższy. Nagle wpadła na wysokiego chłopaka w mundurze.

– Hej! – Ustąpił jej drogę i przytrzymał za ramię, żeby nie straciła równowagi. – Chciałem tylko z tobą porozmawiać. Nie tańczę pogo przed dziewiątą rano.

Zamrugnęła niepewnie, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Piaskowa, idealnie wyprasowana koszula, na kieszonce jakieś insygnia.

– Co takiego?

– Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

– Wołałeś mnie? – Na okrągłej odznace miał napisane A. CRUZ.

Wziął ją za łokieć i podprowadził do betonowej ławki.

– Najlepiej zacznijmy od początku.

Wreszcie zdołała się opanować. Ten chłopak był zapewne jakimś wolontariuszem pracującym ze strażakami albo innymi ratownikami. Ale tym, co najbardziej przykuło jej uwagę, była jego twarz. Wyglądał jak ulubiony syn filmowego amanta. Miał idealnie czarne włosy, białe zęby i ciemne oczy.

– Dobry pomysł.

Podał jej chusteczkę do nosa. Z prawdziwego materiału, złożoną w kwadrat. Czy ktoś na świecie używał jeszcze takich chusteczek? Trudno jej było udawać, że nie płacze, więc wytarła twarz w czystą, białą tkaninę.

– Dzięki. Mam ci ją teraz oddać? Trochę się ubrudziła.

– Jak chcesz, możesz ją uprać. Oddasz mi później. Tylko pamiętaj, żeby ją porządnie wyprasować.

Po uśmiechu poznała, że chłopak żartuje. A. Cruz miał bardzo miły głos, a jego uśmiech onieśmielał ją i intrygował jednocześnie.

– Dobra, wyprasuję.

Wyciągnął do niej rękę.

– Andy Cruz.

– Lila Bening. – Podała mu dłoń. – Chodzisz do naszej szkoły?

– Tak, do maturalnej klasy. W tym semestrze mam szkolenie z ratownikami medycznymi. Zawołałem, żebyś poczekała, bo chyba mam coś, co należy do ciebie albo któregoś z twoich przyjaciół. Znalazłem to po wypadku.

Przyjrzała mu się uważniej i przypomniała sobie. Człowiek z latarką. Oczy, które patrzyły na nią ze smutkiem i z napięciem. Stanowczy głos: „Ta jest przytomna. Szybciej z tymi noszami!”.

– Na razie wszystko jest na posterunku straży pożarnej. Straciłaś coś tamtej nocy?

– Bardzo dużo. Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić – powiedziała.

– Mogę spróbować. Jeśli chcesz z kimś pogadać...

Zawahała się. Przesunęła wzrokiem po jego twarzy i idealnie wyprasowanym mundurze. Był maturzystą. I do tego ratownikiem.

– Może i chcę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jessie musiała pojechać do Austin na spotkanie, na które umówiła się kilka tygodni wcześniej, będąc jeszcze za granicą. Ale jej wzrok pogorszył się tak bardzo, że nie była w stanie prowadzić samochodu. Już samo przygotowywanie odbitek stanowiło wielki problem.

Ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony – od Nell Bridger, matki chłopca, który zginął w wypadku. Skontaktowała się z Blair LaBorde i poinformowała, że chce się wypowiedzieć dla „Texas Life” na temat katastrofy. A teraz obie, ona i Blair, miały przyjechać, żeby omówić potrzebne do artykułu zdjęcia.

Kiedy Jessie weszła do kuchni, Luz jedną ręką wycierała blat, a drugą zmieniała wiszącą nad nim żarówkę.

Jessie poczuła nagły przyływ miłości.

– Ile moich sióstr potrzeba do wkręcenia żarówki?

– Połowę. – Luz wrzuciła gąbkę do zlewu. – Nauczyłam się wykonywać jednocześnie kilka czynności, zanim jeszcze wynaleziono Windowsy.

Usiadły przy stole, żeby spokojnie porozmawiać przy kawie o pomyśle Blair. W domu panowała cisza, dzieci pojechały do szkoły, a Scottie do przedszkola.

– Nie mogłam uwierzyć, że Nell chce wyjawic tę historię przed światem – powiedziała Luz. – Że chce publicznie pokazać swoją rozpacz. Ale wczoraj wieczorem długo ze sobą gadałyśmy i wydaje mi się, że ją rozumiem. Jej zależy na tym, żeby zrobiło się głośno o różnych niebezpiecznych zabawach nastolatków, takich jak skakanie samochodami. W ten sposób radzi sobie po śmierci syna.

– A co sądzą rodzice pozostałych dzieciaków?

– Moim zdaniem ona ma prawo to powiedzieć. Obiecałam, że będę ją wspierać. Rodzina Kathy Beemer też uważa, że głośna dyskusja na ten temat może ocalić czyjeś życie. Nie skontaktowałam się jeszcze z rodzicami Sierry i Heatha. A co ty o tym myślisz, Jess?

Przypomniała sobie, co poczuła, kiedy Luz obudziła ją w środku nocy, mówiąc, że Lila jest w szpitalu. To była najgorsza, najstraszniejsza chwila w jej życiu. Miała wrażenie, że ktoś wypuścił z niej całe powietrze i już nigdy nie zaczerpnie oddechu.

– Nie życzyłabym takiej tragedii najgorszemu wrogowi. Dlatego zgadzam się z Nell. Jeśli ujawnienie takiego zagrożenia pozwoli uratować chociaż jedno dziecko, to warto to zrobić.

– Cieszę się, że tak myślisz, bo Nell na pewno chciałaby, żebyś to ty robiła zdjęcia.

Jessie nerwowo szukała w głowie jakiejś wymówki, ale na szczęście przyjechała Blair.

– Przywiozłam paczki! – zawołała, podnosząc białe tekturowe pudełko.

Jessie zeszła z ganku, trzymając się jedną dłonią poręczy.

– Nasze uda nigdy ci tego nie wybaczą.

– Zaparzyłam świeżą kawę – powiedziała Luz, zapraszając je do środka. Postawiła na stole parujące kubki, dzbanek ze śmietanką i cukiernicę. Czekały jeszcze tylko na Nell.

– Boże, są po prostu fantastyczne! – zawołał Blair.

Ton jej głosu wystarczył, by Jessie zorientowała się, że Blair patrzy na zdjęcia Luz wiszące na ścianie i stojące w ramach na półce. Uśmiechnęła się z dumą.

– Niezła jest, prawda?

Blair upiła łyk kawy.

– Niesamowite. A czym się zajmujesz zawodowo?

Jessie zauważyła, że jej siostra niemal skurczyła się w sobie, siadając naprzeciwko Blair.

– Tym, na co pani teraz patrzy, pani doktor LaBorde. Dziećmi i psami. Szkolnymi przedstawieniami i meczami piłkarskimi dla maluchów.

– Powinnaś to gdzieś opublikować – stwierdziła Blair i Jessie nagle zrozumiała, o co jej chodzi.

Luz przesunęła się nerwowo na krześle.

– Nie mam żadnego doświadczenia. Nie kończyłam nawet studiów.

Blair zabębniła palcami po stole.

– Tego nie wiedziałam.

– Wyszłam za mąż, a potem z Ianem... niemal zaraz pojawiła się Lila.

Jessie zacisnęła pod stołem dłoń. Nie wiedziała, co Blair pamięta z tamtych czasów. Gdy Jessie kończyła studia, była w szóstym miesiącu

ciąży. Nie rozpowiadała o tym, ale też nie ukrywała swojego stanu.

– Trzeba było zwrócić się do mnie, kiedy pracowałam na wydziale
– powiedziała Blair. – Pomogłabym ci skończyć studia.

Jessie dotknęła jej ramienia.

– Luz nigdy nie prosi o pomoc.

– A ty prosisz? – głos Luz zabrzmiał ostro, a jednocześnie z dziwną rezygnacją. – To wszystko przez naszą matkę – zwróciła się do Blair. – Psychoanalityk miałby z nami łatwą pracę.

– Zamykała was w dzieciństwie na całe miesiące w piwnicy?

– Nie, bo musiałyby pamiętać, że w ogóle ma dzieci – powiedziała Jessie.

– Daj spokój, Jess, starała się, jak mogła. – Luz zawsze brała na siebie rolę mediatorki. Czasem Jessie miała ochotę chwycić ją za gardło i potrząsnąć z całej siły. – Grała zawodowo w golfa i dużo podróżowała. – Luz mówiła to do Blair. – W ciągu roku szkolnego mieszkaliśmy z Jessie tutaj, a latem jeździliśmy z mamą.

– Mogę ci dać tyle zleceń, ile będziesz chciała. I zobaczę, co da się zrobić z tymi idiotycznymi wymaganiami dotyczącymi wyższego wykształcenia.

Zapadła chwila milczenia.

– Kim ty jesteś? Dobrą wróżką? – spytała zaskoczona Luz.

– Tak, macham różdżką i wszystko od razu lepiej idzie. Prawda, Jessie?

Gorliwie pokiwała głową, mając nadzieję, że nikt nie zauważy jej zamyślenia. Musi zająć się swoimi sprawami. Lekarze z Nowej Zelandii wysłali do ośrodka Beacon wszystkie wyniki jej badań z dokładnym opisem choroby i wskazaniem do natychmiastowego włączenia Jessie do specjalnego programu. W dzisiejszej rozmowie miała ustalić termin rozpoczęcia treningu przeznaczonego dla osób zagrożonych ślepotą. Na samą tę myśl kręciło jej się w głowie, ale nie mogła już zwlekać.

Żeby zająć umysł czymś innym, rozłożyła na stole zdjęcia Dusty'go i Amber. Patrzyła na nie przez coraz węższe pole widzenia w prawym oku, ale wiedziała, że technicznie są bez zarzutu i będą stanowić doskonale uzupełnienie artykułu. Jednak w porównaniu ze zdjęciami Luz brakowało im duszy. Ta wada była tak subtelna, że niewiele osób umiałoby ją dostrzec. Dwie z nich siedziały obok niej przy stole.

– Trzeba było zlecić to Luz. – Jessie wygłosiła opinię, której żadna z nich nie odważyłaby się wyrazić. Mówiła to bez złośliwości czy zawiści, po prostu stwierdzała fakt. – Dzieci i rodziny to jej temat.

– Takiego zdjęcia bym nie zrobiła.

Jessie przechyliła lekko głowę. Na fotografii Dusty opierał się jednym łokciem o skrzydło cissy. Jego spojrzenie, jego postawa, wszystko w nim emanowało seksem. Tuż przed zrobieniem tego zdjęcia zaczął mówić o chodzeniu do łóżka na pierwszej randce. Otwarta wręcz propozycja speszyła ją, nacisnęła spust migawki właściwie przypadkowo. I wyszło jej najlepsze zdjęcie.

– Niestety, nie mogę go wykorzystać. – Blair podsunęła odbitkę Luz. – Zbyt seksowne do tego tematu. Ale rzeczywiście miło na niego popatrzeć.

Jessie oparła brodę na dłoni. Na jej ustach błąkał się marzycielski uśmiech.

– Wiem.

Blair wyjęła z paczki kawałek nikotynowej gumy do żucia.

– Nie zrobiłaś tego.

– Zrobiłam.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziła Luz. – W pewnym sensie możesz sobie przypisać zasługę swatki.

Blair opowiedziała im o artykule i propozycjach, które przygotowała na kolegium redakcyjne.

– To będzie najważniejszy materiał w numerze – wyjaśniła. – Totalny wyciskacz łez.

– Cud Matlocka? – Luz odczytała tytuł z leżących na stole notatek Blair.

– To tylko robocza wersja, ale coś wymyślę. Jessie, lepiej go pilnuj, bo gdy artykuł się ukaże, nie będzie się mógł opędzić od kobiet. Nawet Arnufu dostanie tysiące propozycji. On jest fantastyczny. – Blair zrobiła balona z gumy. – Luz, przykro mi to mówić, ale artykuł o wypadku ukaże się nawet bez twojego udziału.

– Blair zawsze wali prosto z mostu – wyjaśniła Jessie.

– Moje pismo ukazuje się w nakładzie dwóch milionów egzemplarzy – powiedziała Blair bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Sama widzisz. – Jessie wskazała zdjęcia rozrzucone na stole. –

To jest historia faceta, który wyjął dziecko z macicy swojej żony, a potem odłączył ją od aparatury. Myślisz, że miałyby opory przed napisaniem artykułu o wypadku?

Blair siedziała w milczeniu. Nie miała zwyczaju się usprawiedliwiać.

– Czy śmierć nastolatka podnosi sprzedaż? – cicho spytała Luz.

– Niestety tak – przyznała Blair.

– Ale możemy mieć kontrolę nad tym, co się ukaże – powiedziała Jessie, używając ulubionego słowa swojej siostry.

Gdy Blair zbierała zdjęcia, przyjechała Nell swoim starym, lekko zdezelowanym dodge'em. Jessie wyszła za Luz na ganek i patrzyła, jak siostra czule wita się z przyjaciółką. Potem zrobiła krok do przodu, mówiąc:

– Współczuję ci z całego serca, Nell. – Wiedziała, że żadne słowa nie są w takiej sytuacji odpowiednie.

– Bardzo ci dziękuję. – Nell uścisnęła jej dłoń.

Jessie przyglądała się jej z uwagą. Jak w ogóle można oddychać po takiej straszliwej stracie? Tymczasem ta kobieta musiała zmierzyć się z myślą o przyszłości bez syna. Była dość krępa, miała wyraziste rysy i, jak Jessie mogła przypuszczać, jej twarz w ciągu ostatnich tygodni postarzała się co najmniej o dziesięć lat. Miała spracowane dłonie z krótkimi paznokciami, bez pierścionków. Ubrana była w prostą, dżersejową sukienkę w ciemnym kolorze. Przyłgął do niej zapach lawendy i bezsennych nocy.

– Bardzo chciałam cię poznać, Jessie. Luz tyle mi o tobie opowiadała. – Zrobiła krok do tyłu. – Ale wy jesteście do siebie

podobne!

Weszły do środka. Nell poruszała się po domu ze swobodą świadczącą o tym, że była tu częstym gościem. Wyjęła z torby złożoną gazetę i rzuciła ją na stół. Z pierwszej strony krzyczał wielki tytuł: „Śmierć nastolatka w zgniecionym samochodzie”. Artykułowi towarzyszyły bezduszne zdjęcia roztrzaskanego dżipa, robione z ukrycia zdjęcia ofiar, ich rodzin i przyjaciół. Nell wyglądała na jednym z nich jak bezdomna.

– Na razie ukazało się tylko to.

Otworzyła drugą teczkę.

– To są prace Luz – wyjaśniła Jessie i Blair. – Niespecjalnie posługuję się aparatem, więc zawsze ją prosiłam, żeby porobiła chłopcom jakieś zdjęcia. – Spojrzała na przyjaciółkę. – A teraz chcę, żebyś zrobiła zdjęcia do tego artykułu.

– Nell, to niemożliwe. – Luz była wyraźnie zdenerwowana.

– To nie był mój pomysł, przysięgam! – zawołała Jessie, czując na sobie badawczy wzrok siostry.

– Chcę, żebyś zrobiła te zdjęcia – powtórzyła Nell. – Chcę, żeby ludzie dowiedzieli się o wszystkim, ale nie w takiej formie. – Wskazała na gazetę. – Tylko tak mogę nadać sens temu, co się stało.

– Nie mogę zrobić zdjęć – zaprotestowała Luz. – Ludzie mi nie wybaczą, że naruszam ich prywatność, że celuję do nich z obiektywu. Już i tak wiele osób ma za złe, że Lila nie odniosła żadnych obrażeń. Obawiam się, że mnie też nie przyjmą dobrze.

Nell pokręciła głową.

– To tylko Cheryl Hayes tak gada, bo jej chłopak nie będzie mógł grać do końca sezonu. Wszyscy inni myślą tak jak ja. Luz, jesteś jedną z nas. Cierpiałas z nami, płakałas z nami. Na twoich zdjęciach nie będziemy wyglądać jak banda wieśniaków.

– Nell ma rację – wsparła ją stanowczo Blair. – Ludzie lubią, kiedy pokazuje się ich rozpacz. Pamiętasz Oklahoma City? Chcą, żeby opowiedzieć o tym, co się stało, ale w piękny sposób. Uwierz mi, wiem, co mówię.

– Ty napiszesz artykuł?

– Prawdę mówiąc, chciałam to zlecić Jessie.

Jessie wstrzymała oddech. Luz położyła dłoń na ramieniu Nell.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że to dobry pomysł – powiedziała Nell cicho.

Blair wyjęła z ust gumę i zawinęła ją w serwetkę.

– Potrzebuję prawdziwego papierosa.

Nell podniosła się ze znużeniem.

– Pójdę z tobą.

Gdy wyszły na ganek, Luz odwróciła się do Jessie.

– Dlaczego tak się przy tym upierasz?

– Bo chyba mam prawo chociaż raz się przy czymś uprzeć?

– Co to znaczy „chociaż raz”? Chcesz powiedzieć, że to ja zawsze

narzucam swoje zdanie?

– No cóż, spójrz na siebie krytycznie.

– Naprawdę uważasz, że narzucam swoje zdanie? To przecież ty manipulujesz tą sytuacją.

Jessie omal nie wybuchnęła śmiechem.

– Luz, posłuchaj, obie doskonale wiemy, na czym polegały relacje między nami. Ja broiłam, ty ratowałaś mi tyłek. Chodziłam na wagary, ty mi pisałaś usprawiedliwienie i podrabiałaś podpis mamy. Ja potrzebowałam pieniędzy na chesne, ty szłaś do pracy. Ja miałam nieślubne dziecko, ty je adoptowałaś. To tylko kilka przykładów. Więc może chociaż raz pozwolisz, żebym to ja wsparła ciebie.

Luz w milczeniu oparła się o blat.

– Zrezygnowałaś dla mnie ze swoich marzeń – ciągnęła Jessie. – Kiedy ostatni raz włożyłaś marzenie do słoika? Spełnisz prośbę swojej przyjaciółki. Zrobisz zdjęcia do artykułu, który ja napiszę.

– Przecież to nie ma sensu.

– Właśnie że ma. Jeśli tego nie zrobisz, stracimy wielką okazję, nawet Nell to wie. Bez twoich zdjęć skończy się na sensacyjnej tandecie. – Wskazała fotografie wiszące na ścianie. – Luz, możesz wykorzystać swój talent w słusznej sprawie, a przy okazji zarobisz trochę forsy.

– Można by pomyśleć, że jesteś interesowna. – Ton głosu Luz świadczył, że się poddała.

Jessie pobiegła do domku po swoje rzeczy. Mijając ogród, dała znak Nell i Blair, że wszystko poszło dobrze. Zabrała teczkę z wynikami badań i torbę fotograficzną. Wróciła do domu i położyła ją przed Luz.

– Będą ci potrzebne.

– Nie mogę wziąć twojego sprzętu. – Z nabożnym szacunkiem oglądała aparaty, obiektywy, filtry i inne gadzety, które Jessie gromadziła przez wiele lat.

– Możesz. Posłuchaj, Luz, wiesz, jak się tym posługiwać. Poza tym Nell ufa tylko tobie.

Luz wyjęła z torby aparat i podniosła go w taki sposób, jakby był świętym Graalem. Jedyne Jessie rozumiała, co się dzieje. Oddawała Luz jej marzenie ze świadomością, że nigdy go nie odbierze. Sama już nigdy nie zrobi żadnego zdjęcia, nigdy nie poczuje w dłoni ciężaru aparatu, nie usłyszy kliknięcia oznaczającego idealne ujęcie. Przekazanie sprzętu fotograficznego stanowiło zakończenie pewnego rozdziału. Obserwowała twarz Luz, starając się zapamiętać wszystkie szczegóły.

Znalazła się w punkcie zwrotnym, ale chciała przejść przez to sama. Jedyne życie, jakie znała, dobiegło końca, a teraz czekał ją – i to dosłownie – skok w nieznaną ciemność.

Luz była o krok od łez. Ale się nie rozpląkała. Luz nigdy nie pozwalała sobie na płacz.

Rozległ się dźwięk telefonu. Jessie sięgnęła po słuchawkę. Od wypadku to ona odbierała wszystkie telefony.

– Dom Benningów, słucham.

– Mama?

Zamarła i na ułamek sekundy pozwoliła sobie na marzenia.

– Lila? Co się stało, skarbie?

– A, to ciocia Jessie. Dasz mi mamę?

– Może ja mogłabym ci w czymś pomóc?

Jessie usłyszała, że Lila pociąga nosem i serce jej się ścisnęło.

– Siedzę w gabinecie pielęgniarki – powiedziała Lila żałośnie.

– Jesteś chora?

– Przecież to pokój pielęgniarki. Schronienie dla wyrzutków. – Cierpienie w głosie Lili było niemal namacalne.

– Jesteś wyrzutkiem?

Lila zawahała się.

– Kiepsko się czuję.

Jessie starała się przypomnieć sobie przebieg wydarzeń. Wczoraj po powrocie ze szkoły Lila poszła prosto do swojego pokoju, mówiąc, że musi odrobić lekcje. Przy kolacji prawie się nie odzywała. Chyba pojawiła się pierwsza rysa w jej pancerzu.

– Co się stało, kochanie?

– Och, ciociu, nie chcę tu dłużej zostać. Nie mogę jeszcze chodzić do szkoły.

Jessie nie wahała się ani chwili, mimo że czekało na nią tyle ważnych spraw – przecież miała zrobić dziś pierwszy krok w kierunku ciemnej, przerażającej przyszłości. Szybko przyswoiła sobie fundamentalne prawo natury. Kiedy dziecko cię potrzebuje, wszystko

inne schodzi na dalszy plan.

– Siedź spokojnie, już po ciebie jadę.

– Dzięki, że zajmiesz się Lilą – powiedziała Luz, przytulając Jessie. Blair włączyła silnik samochodu. Nell już pojechała, była umówiona na spotkanie z pastorem i innymi rodzicami w sprawie artykułu do gazety. – Może rzeczywiście potrzebne jest jej jakieś wyjście do miasta.

– Tak, dzień wolnego dobrze jej zrobi. Zabiorę ją na lunch, a potem coś wymyślimy. Może pójdziemy do fryzjera i manikiurzystki. A jeśli starczy czasu, kupię jej jakąś nową płytę. Wrócimy wieczorem z Ianem.

– Świetny pomysł, Jess. Ale... – Luz zagryzła wargi i ściągnęła brwi w taki sposób, że Jessie miała ochotę krzyknąć.

Ale co? Mam jej nie mówić, że to ja ją urodziłam?

– Pewnie będzie chciała odwiedzić Trávisa Bridgera w szpitalu. Wolałabym, żeby jeszcze się z nim nie spotykała.

Jessie wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zauważyła, że wstrzymała oddech.

– Zrozumiano, będziemy się trzymać z daleka od szpitala.

– Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak rozkaz.

Owszem, chciałaś.

– Luz, wszystko będzie dobrze. Dzień wolnego od razu poprawi jej nastrój.

– Za szybko kazałam jej wracać do szkoły po wypadku. Wydawało mi się, że codzienna rutyna dobrze jej zrobi, a tymczasem skutek był odwrotny.

– Boże, Luz, może jeszcze weźmiesz na siebie odpowiedzialność za strach przed węglikiem albo za konflikt na Bliskim Wschodzie? Nie zrobiłaś nic złego! Grupa nastolatków nieźle narozrabiała, przydarzyło im się coś strasznego, a naszą rolą jest zrobić wszystko, by przez to jakoś przeszli. Lila wróci do siebie, bo wychowałam ją na silną, samodzielną kobietę. Ja robię swoją niewielką część. Praca nad tym artykułem będzie miała działanie terapeutyczne, dla mnie i dla ciebie. – Dziwnie się czuła, wspierając Luz, która zawsze wiedziała, co należy zrobić. – A na koniec wszystkie będziemy nowymi kobietami.

– Chcesz powiedzieć, że w starych jest coś nie tak?

– Po prostu są stare – zawołała Blair z siedzenia kierowcy. – Pozwól swojej siostrze wsiąść do samochodu.

– Wrócimy do domu z Ianem. – Jessie objęła Luz. – A przez ten czas zajmij się trochę sobą. Na przykład odśwież znajomość z aparatem.

Wsiadła do samochodu. Pokazywała Blair drogę przez ocienione pagórki Edenville, potem minęły stojący przy głównym placu neogotycki budynek sądu z wieżą z żółtego piaskowca.

– A więc tak wygląda twoje rodzinne miasto – powiedziała Blair, skręcając w Aurora Street.

Przejechały obok kościoła baptystów, starego, drewnianego budynku z białą fasadą, otoczonego wypielegnowanym trawnikiem. Przed wejściem stała tablica z napisem: „Nasz anioł, Albert Bridger, 1989 – 2003”.

Kino samochodowe z ogromnym ekranem wciąż mieściło się na

skraju miasta. Na wielkim neonie wyświetlał się napis: „Zamknięte”.

– Założę się, że musiałaś tu nieźle rozrabiać – stwierdziła Blair.

Jessie uśmiechnęła się ponuro. Wróciły do niej wspomnienia: samochody śmierdzące olejem wypluwanym przez kiepsko pracujące silniki i smak taniego, ciepłego piwa kradzionego ze skrzynek ustawionych przed sklepem spożywczym. Przypomniła sobie, jak jakiś chłopak nieśmiało położył jej dłoń na udzie. A inny, który wcale nie był taki nieśmiały, chwycił ją za pierś tak, jakby łapał piłkę na boisku.

Blair patrzyła na rozległe, puste pastwiska, skały i kolczaste zarośla, a przecież były zaledwie kilka przecznic od głównego placu miasteczka.

– Nic dziwnego, że chciałaś się stąd wyrwać.

– Inni ludzie nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej. W tym miasteczku wszyscy się znają. Nastolatkom nic nie uchodzi na sucho, bo wszyscy ich obserwują. Ale na niektóre dzieciaki to nie działa.

Zatrzymały się na szkolnym parkingu dla gości, a potem podeszły do dziwacznej kapliczki Diga – wielkiej sterty kwiatów, których część już zwiędła.

– Musimy mieć takie zdjęcie – powiedziała Blair, wskazując na powiewający na wietrze kostium piłkarski.

– Luz sobie z tym poradzi, uwierz mi.

Weszły do budynku liceum. Było tu niemal tak samo jak za czasów Jessie. Zapach szatni, środków dezynfekcyjnych, kawy, stłumiony hałas. Podłoga świeciła się od codziennego polerowania. Na ścianie wisiał wielki napis: „Dzień Absolwenta '03. Serpents, do boju!”.

Jessie zostawiła Blair na korytarzu i ruszyła na poszukiwania Lili. W głównym budynku nadal panował gwar niczym na dworcu kolejowym. Przy dębowym stole obok wejścia, jak za dawnych lat, siedziała pani Myrtle Tarnower. I jak dawniej miała przy sobie grubego zeszytu, w którym notowała, kto się spóźnił, kto jest chory, a kto poszedł na wagary. Do jej obowiązków należało dzwonienie do rodziców uczniów, którzy nie pojawili się na pierwszej lekcji. Pani Tarnower wiele razy telefonowała do domu Ryderów z pytaniem o powody nieobecności Jessie.

– Chciałabym zabrać do domu swoją... Lilę Jane Benning – powiedziała Jessie. – Moja siostra Luz...

– Właśnie dzwoniła w jej sprawie – wpadła jej w słowo pani Tarnower, a potem pokazała, któredy należy iść do gabinetu pielęgniarki. Mieścił się w tym samym miejscu co dwadzieścia lat temu. Jessie zaglądała tu czasem po plaster albo tabletki przeciwbólowe. Zdarzało się też, że przeczekiwała lekcję, gdy nie odrobiła pracy domowej z algebry. Minęła korytarz i stanęła przed ciężkimi drzwiami z matowego szkła.

Zapukała lekko i weszła. Na taborecie przy oknie siedział chłopiec z trądzikiem i przykładał sobie do ramienia kompres chłodzący z niebieskiego żelu. Jessie minęła go i zajrzała do następnego pokoju. Lila siedziała na niskiej ławeczce. Miała bladą, napiętą twarz, wpatrywała się w wiszącą na ścianie tablicę z instrukcją postępowania w przypadku zakrztuszenia.

– Cześć, dziecinko.

– Ciocia Jessie! Dzięki, że przyjechałaś.

– Nie ma o czym mówić. Chodź, idziemy.

Wyszły z gabinetu. Po drodze spotkały Blair, która rozmawiała na

korytarzu z dwiema dziewczynkami z jakiejś młodszej klasy. Gdy tylko zobaczyły Lilę, przeprosiły i odeszły pospiesznie, jakby jej nieszczęście było zaraźliwe. Jessie udała, że tego nie widzi. Spojrzała na Blair i przedstawiła Lilę, po czym spytała:

– Naprawdę źle się czujesz czy źle się czujesz w szkole?

– Odpowiedź B.

– Tak myślałam. Posłuchaj, ja i Blair zamierzamy napisać artykuł o wypadku. Ukaże się w „Texas Life”.

– To niemożliwe.

– Możliwe. Pani Bridger i pani Beemer już się zgodziły. Chcemy jechać do Austin. Blair ma zebranie w redakcji, a ja muszę załatwić kilka spraw. Może pojechałabyś z nami? Mam kilka pomysłów, które na pewno poprawią ci humor. Słyszałaś o Galindo?

– To chyba najbardziej znane kosmetyczne spa w mieście! Naprawdę tam pójdziemy?

– Zapraszam cię na lunch, a potem dostaniesz ode mnie trzygodzinny pakiet zabiegów. Ale ostrzegam, w tym się mieści także masaż.

Lila usiadła na tylnym siedzeniu wykładanym różową skórą.

– Jeszcze nigdy w życiu nie miałam masażu. – Nie odzywała się, gdy jechały przez miasto. Dopiero kiedy minęły dużą tablicę „Edenville żegna was”, westchnęła ciężko.

– Co się dzieje, wyduś to z siebie. – Jessie, która siedziała z przodu, odwróciła się i wzięła Lilę za rękę. – Blair jest profesjonalistką. Można przy niej wszystko powiedzieć, trzeba tylko

pamiętać, że ona nie szanuje cudzej prywatności.

– Ale potrafię uszanować prawdę – powiedziała Blair. – Nie każdemu można powiedzieć prawdę.

– I tak cała szkoła już wie – wybuchła Lila. – Heath ze mną zerwał.

To świetnie. Jessie ugryzła się w język, żeby tego nie mówić, ale nie uznała tego za złą wiadomość.

– Tak mi przykro. Wiem, że będziesz za nim tęsknić. A wracając do artykułu, twoja mama zrobi do niego zdjęcia.

– To niemożliwe.

– Możliwe.

– Przecież to ty jesteś fotografem.

– Już nie. – Ostateczność tego stwierdzenia przeraziła ją, ale udało jej się ukryć swoje uczucia. Zrozumiała, że Luz robiła to samo. W ten sposób zachowywała kontrolę nad swoim światem. W środku się w niej gotowało, ale na zewnątrz pokazywała twardą zbroję. – No to co, zgadzasz się?

Lila wzruszyła ramionami.

– Niech będzie.

– Ludzie chętnie przeczytają o waszym mieście, o twoich kolegach i o twoim życiu. Ale jeśli nie chcesz, żeby napisać, że Heath z tobą zerwał, to nie napiszę.

– Chociaż z drugiej strony zerwanie z dziewczyną tuż przed Dniem

Absolwenta dużo mówi o jego charakterze – stwierdziła Blair.

– Co takiego? – spytała z ciekawością Lila.

– Że jest cwany lisem bez kręgosłupa moralnego, który boi się wziąć odpowiedzialność za swoje postępowanie – powiedziała Jessie.

Lila uśmiechnęła się z zauważalnym zadowoleniem.

– Miałam kiedyś chłopaka, który zerwał ze mną na dwa dni przed meczem o mistrzostwo ligi uniwersyteckiej – powiedziała Blair. – Zwykły fiut.

Dosadny język Blair zaskoczył Lilę, ale wyraźnie jej się spodobał.

– I co pani zrobiła?

– Razem z przyjaciółkami przygotowaliśmy mu włochatą zemstę.

– A co to takiego?

– Wyjęłyśmy ze swoich szczotek i grzebieni wszystkie włosy, a potem wcisnęłyśmy mu do samochodu przez szparę w oknie. Uzbierała się całkiem poważna kupka na siedzeniu.

Lila roześmiała się, wycierając łzy, ale jej dobry nastrój ulotnił się już po chwili.

– Nie chodzi tylko o Heatha. Zawiesili mnie w reprezentacji czirliderek, bo opuściłam trening. Ale czy ja specjalnie miałam ten wypadek? A najgorsze jest to, że po wypadku Heath dołączył do grupy nawiedzonych religijnie uczniów.

– Co takiego? – Jessie zmarszczyła brwi.

– Oni się trzymają razem. – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Jak nie podążasz za Jezusem, to nie możesz siedzieć przy moim stoliku na stołówce.

– Nie znoszę czegoś takiego – powiedziała Blair, sięgając po gumę.

– Heath był w kościele może parę razy w życiu, a teraz powtarza w kółko, że odnalazł przebaczenie i zbawienie. A wszyscy mają pretensję do mnie, chociaż to nie ja siedziałam za kierownicą.

– To skąd wiesz, że mają pretensję do ciebie? – spytała Jessie.

– Bo trudno im zwalić winę na najlepszego atakującego szkolnej reprezentacji. A on już zdążył wszystkim powiedzieć, że to ja chciałam jechać na wzgórze i że to ja upierałam się przy skakaniu samochodem. I powiedział też, że to ja kazałam Digowi oddać pas Kathy. Traktują Heatha jak jakiegoś bohatera.

– Nie przejmuj się tym. Dzisiaj mamy dzień przyjemności.

W drodze do salonu Jessie zauważyła na wystawie księgarni znajomą okładkę.

– Muszę kupić tę książkę.

– „Pogłaszcz króliczka”? – spytała Lila.

– Tak, dla Amber. W sam raz dla dziecka w tym wieku. Pewnie nie pamiętasz, ale dostałaś ode mnie taką samą na pierwsze Boże Narodzenie.

– Nie pamiętam. Chodzisz z nim? – Lila uśmiechnęła się domyślnie.

– Jedną randkę można uznać za chodzenie?

– Z jego wyglądem tak.

Jessie roześmiała się. Miała ochotę powiedzieć Dusty’emu, że zdał egzamin u Lili. Miała ochotę powiedzieć mu o wszystkim. Jednak rozsądek podpowiadał, że powinna go unikać.

Tylko że ona nie była rozsądna. Nigdy.

W restauracji w spa jedzenie podawano w maleńkich, ale za to pięknie dekorowanych porcjach. Lila zjadła wszystko, niemal do ostatniego okruszka, Jessie niczego prawie nie tknęła. Nic dziwnego, że ludzie rozpieszczają swoje dzieci, pomyślała. Przyglądanie się szczęśliwemu dziecku dawało niezwykle zadowolenie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła.

Wykupiła dla Lili pakiet zabiegów i przytuliła ją na pożegnanie, a kobieta ubrana jak kapłanka New Age przyniosła szklanek herbaty ziołowej i włączyła medytacyjną muzykę.

– Ekstra! – szepnęła Lila.

– Masz przed sobą trzy godziny przyjemności. Przyjdę po ciebie koło czwartej. Zdażymy jeszcze zrobić zakupy, a potem pojedziemy taksówką do taty do pracy.

– Ciociu!

Ton głosu Lili wzbudził w Jessie czujność.

– Słucham.

– Kiedy tu jechałyśmy, zauważyłam... Minęłyśmy szpital, więc pomyślałam sobie....

– Nie proś mnie o to.

– Chciałam tylko...

– Nie. – Jessie wiedziała, że musi być stanowcza. Tylko dlaczego było to takie trudne? A potem pomyślała, że przecież Lila może stąd w każdej chwili wyjść i sama pójść do szpitala. – Nie zawieź mnie, Lila. Błagam cię, nie zawieź mnie.

– Boże, mówisz jak aktorka dramatyczna.

Jessie poczuła przypływ paniki, ale zmusiła się do żartobliwego uśmiechu.

– Właśnie zastanawiam się nad zmianą zawodu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pomysł z salonem kosmetycznym był genialny, myślała Jessie, idąc ulicą wzdłuż kampusu uniwersyteckiego w kierunku Instytutu Beacon. Nie musiała nikomu się tłumaczyć z wyjazdu do Austin.

Betonowy gmach był największy na całej ulicy. Weszła przez automatycznie otwierane drzwi i znalazła się w przestronnym holu z błyszczącą podłogą i sufitem wyłożonym dźwiękochłonnymi płytami. Czuła się trochę jak szczur w labiryncie, podążając za kolorowymi znakami wymalowanymi na podłodze kolejnych korytarzy, aż w końcu trafiła do skrzydła, gdzie mieścił się oddział okulistyczny.

Wstrzymując nieco oddech, weszła przez szklane drzwi. Czekała na swoją wizytę, przymknęła oczy, starając się nie widzieć ulotek i broszurek o konieczności zakładania okularów ochronnych i regularnych badaniach wzroku. Dziesięć najważniejszych informacji na temat barwnikowego zwyrodnienia siatkówki. Jak żyć z zespołem Ushera. Leczenie cukrzycy. Jak radzić sobie ze złością. Tak, to ostatnie by jej się przydało.

Ale na żadnej ulotce czy broszurce nie zauważyła słowa „ślepy”. Zwykłe słowo, tak często używane. Ślepa miłość, ślepy traf, ślepy zaułek, ślepy nabój, ślepa furia, ślepa nienawiść, ślepa kiszka, ślepa próba. I ślepe przeznaczenie. Tyle rzeczy na świecie jest ślepych. Będzie miała dobre towarzystwo.

Spotkanie z lekarką przebiegało w sposób całkowicie przewidywalny, co w pewnym sensie było nawet przyjemne. Jessie wiedziała, kiedy i jak położyć podbródek na podpórce lampy szczelinowej, znała testy, badania i pytania w kwestionariuszu. Doktor Margutti dobrze przygotowała się do tej wizyty, przejrzała mnóstwo dokumentów i wyników badań przesłanych z Tajpej i Christchurch, by prześledzić postępowanie ślepoty. W swojej pracy umiała zachować

idealną równowagę pomiędzy zawodowymi kompetencjami a współczuciem dla chorej. Z uznaniem wyraziła się o okuliście z Christchurch, który już jakiś czas temu dostarczył jej wszystko, co potrzebne: wyniki badań medycznych i testów psychologicznych, historię przypadku i znakomite rekomendacje dotyczące możliwości adaptacyjnych pacjentki.

– Założę się, że z radością się mnie pozbył – powiedziała Jessie. – Ciekawe, co tam napisał. Jessie Ryder ma znakomite zadatki na osobę niewidomą?

Doktor Margutti zignorowała jej sarkazm. Miała delikatne, wrażliwe dłonie skrzypaczki i stanowczy głos osoby, która nie tylko leczy, ale i wykląda na uniwersytecie. Całe badanie było dla Jessie niczym *deja vu*. Podobnie jak dziwne łaskotanie w żołądku.

– Reakcja na światło w prawym oku znacznie się pogorszyła.

– Rozumiem. – Jessie poczuła złość, że lekarka nie potrafi dać jej żadnej nadziei. Słuchała jednak z obojętną miną, jak doktor Margutti tłumaczy rzeczy, o których wiedziała od dawna. Ale słowa prawdy, chociaż spodziewane, pojawiły się bez żadnego ostrzeżenia.

– Podczas szkolenia będzie musiała pani nosić opaskę zasłaniającą resztkę wzroku. Im szybciej pani zacznie, tym lepiej. Jeśli to pani odpowiada, możemy zapisać panią na wcześniejszy termin.

– Nie, dziękuję. – Powiedziała to szybko, niemal ze złością. Już od wielu miesięcy wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale jeszcze nigdy nie poczuła aż takiego przerażenia. Ten strach ją zirytował. Wspinała się po stromych górach i żeglowała po niebezpiecznych morzach. Siedziała przy stole z poszukiwanymi na całym świecie zbrodniarzami i podróżowała w towarzystwie niebezpiecznych ludzi. Przeżyła malarię, tsunami, dyzenterię i brutalne rewizje osobiste. To, co się teraz dzieje, to jedynie kolejna niedogodność, przez którą musi

przejsć.

– Zwykle ktoś z naszego personelu składa wizytę w domu pacjenta
– powiedziała doktor Margutti.

Jessie wyobraziła sobie, jak do domu Luz przyjeżdża nieznajoma osoba i zaczyna zadawać niedyskretne pytania, zwraca uwagę na różne zagrożenia i wytyka rozmaite braki i usterki.

– Nie mam jeszcze stałego mieszkania. Zacznę go szukać po skończeniu szkolenia. Chętnie skorzystam wówczas z waszej pomocy.

– Ależ oczywiście.

– Dziękuję. – Jessie już przed wielu laty powzięła mocne przekonanie, że dla niej najważniejsza w życiu jest niezależność. I starała się jej bronić we wszystkich okolicznościach. W ośrodku Beacon mieli najlepszy na świecie ośmiotygodniowy program dla osób zagrożonych utratą wzroku. Pierwsze cztery tygodnie szkolenia odbywały się w siedzibie ośrodka i obejmowały między innymi trening z psem przewodnikiem. Kolejne cztery tygodnie były kursem samodzielnego życia. W zasadzie wszystko było już przygotowane.

Z wyjątkiem Jessie.

– Świetnie. – Doktor Margutti uśmiechnęła się. – Powinna pani do końca wykorzystać dzisiejszą wizytę. Recepcjonistka wytłumaczy pani, jak dotrzeć do internatu. Obejrzy pani ośrodek i pozna kilka pracujących tam osób.

Najpierw windą na dół, potem kładką dla pieszych do przystanku specjalnego autobusu dojeżdżającego na nierzucające się w oczy osiedle. Nad bramą wisiała tablica z napisem: „Beacon. Ośrodek dla niewidomych. Założony w roku 1982”. Widziała to już wcześniej na zdjęciach, ale nigdy nie myślała, że sama się tu znajdzie.

W największym budynku mieściły się sale wykładowe, sale zajęć, laboratoria, a także skrzydło mieszkalne przeznaczone dla uczestników kursów i dla instruktorów. Teren wokół przecinały ścieżki o różnej nawierzchni: z cegły, żwiru i ubitej ziemi. W wielu miejscach stały pomarańczowe plastikowe stożki i inne przeszkody. Obok wiała się ruchliwa brukowana droga. Idąc korytarzami na spotkanie przeznaczenia, Jessie poczuła żal zaprawiony złością i goryczą. Każda plama koloru, każde poruszenie na wypielegnowanych trawnikach i w koronach orzeszników jeszcze bardziej podsycaly ten gniew.

Zaczęła przygotowania już wiele miesięcy wcześniej, a mimo to trudno było jej się z tym pogodzić. Miała ochotę krzyknąć: „Co ja tutaj robię? Przecież to jest miejsce dla ludzi niewidomych!”. Zacisnęła usta i weszła do obszernego foyer, które przypominało przytulny salon umeblowany miękkimi kanapami i fotelami. Tuż obok znajdowały się poczekalnia i jadalnia. Przeszklone drzwi prowadziły na cedrowy taras.

Na jej spotkanie wyszła jakaś kobieta.

– Jessie? Nazywam się Irene Haven.

Zapamiętała jej głos z licznych, a czasami rozmów telefonicznych.

– W końcu przyjechałam.

Podaly sobie ręce. Irene mówiła spokojnym, stanowczym głosem. Miała zielone oczy, bujne, ciemne włosy i śniadą cerę. Była ładna, ale w bardzo dyskretny sposób.

– Zapraszam na taras. Powiedziałam Sully’emu, że do niego przyjdziemy. Dziś jest taka piękna pogoda.

Malachai Sullivan był zastępcą dyrektora. Jessie kontaktowała się z nim przez telefon i za pośrednictwem e-maili. Gdy weszły z Irene na

taras, Sully siedział przy wielkim, okrągłym stole przykrytym czerwonym obrusem i zarzuconym różnymi dokumentami.

– A więc w końcu do nas dotarłaś. – Przywitał Jessie przyjaznym uśmiechem.

– W końcu. – Usiadła po drugiej stronie stołu naprzeciwko Sully'ego i Irene. – Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jestem. – Wypełniały ją lęk i niepokój. Przecież to niemożliwe. Nie, ona nie jest jedną z tych niewidomych osób potykających się co krok, odartych z godności, pozbawionych sensu życia. Chociaż nie widziała tu nikogo, kto by się potykał. Jedynie w oddali jakaś para przechodziła przez ulicę, ale akurat ci ludzie nie wyglądali na niewidomych.

– Wspominałaś, że zapoznałaś się już z naszym programem – odezwała się Irene. – Ale ponieważ to twoja pierwsza wizyta, Sully oprowadzi cię po ośrodku. – Napelniła trzy szklanki mrożoną herbatą. – Proszę. Witaj w Beacon.

Jessie spróbowała tylko trochę, za to Sully wypił herbatę niemal jednym haustem.

– I co teraz? – spytała Jessie. Roześmiała się, słysząc nerwowość w swoim głosie. – Ostatni raz tak się czułam przed egzaminem na studiach.

Irene zajrzała do grubego pliku notatek.

– Doktor Tso i doktor Hadden bardzo gorąco poparli twoje zgłoszenie, doktor Margutti również wyraziła swoją zgodę, więc możesz zaczynać.

– Czy to znaczy, że nie przyjmujecie wszystkich chętnych? – spytała Jessie z niedowierzaniem.

– Niestety, musimy rozważnie dysponować czasem i funduszami, a nasz program nie dla każdego się nadaje. A zatem do rzeczy. Naszym podstawowym celem będzie nauczenie cię strategii umożliwiających samodzielne życie.

– Samodzielne. Do cholery, jak ja mogę być samodzielna, skoro nie będę mogła jeździć samochodem? – warknęła, nie mogąc już opanować złości.

– Przede wszystkim będziesz musiała na nowo określić, czym jest dla ciebie samodzielność – powiedziała Irene spokojnie. – Albo jazda samochodem. To przecież nic innego jak przemieszczanie się z punktu A do punktu B. Można to robić na wiele sposobów, nie tylko siedząc za kierownicą. Nauczysz się znajdować inne możliwości. Zajmiemy się wszystkimi aspektami codziennego życia, od chwili gdy budzisz się rano i wstajesz z łóżka, aż do momentu, gdy idziesz spać. Po czterech tygodniach w ośrodku wypuścimy cię na głęboką wodę.

– W każdej chwili możesz zwrócić się po wsparcie albo dodatkowy trening – wtrącił Sully. – Tu będzie twoja baza, twój dom rodzinny.

– Fantastycznie – powiedziała z ironią. Była zła na siebie za ten ton, ale jeszcze trudniej było jej się pogodzić z faktem, że w ogóle tu jest. – Jednak będziecie musieli trochę poczekać, zanim zrozumiem, jakie szczęście mnie w życiu spotkało.

Sully napełnił swoją szklankę. Jego maniery pozostawiały nieco do życzenia, bowiem nalewając herbatę, przytrzymał krawędź szklanki zakrzywionym palcem wskazującym.

– Nie masz wpływu na to, co cię w życiu spotyka, ale od ciebie zależy, jak do tego podejdziesz. Myślę jednak, że możemy sobie darować wykład o tym, że niewidomi też mogą prowadzić produktywne życie i odnaleźć sens w tym, co ich spotkało.

– Dzięki. Raczej bym tego nie zniosła.

Irene poklepała Sully'ego po ramieniu.

– Zostawię was samych. Wszystkiego dobrego, Jessie. Do zobaczenia przy zapisach.

Do zobaczenia... Jessie poczuła dreszcz.

Malachai Sullivan oparł ręce na stole i wychylił się w kierunku Jessie. Całkowita uwaga, którą jej okazywał, była w pewnym sensie przyjemna. Przemknęła jej nawet myśl, że chciałaby mieć takiego ojca jak Sully – ze szpakowatymi włosami, zmarszczkami wyoranymi przez liczne doświadczenia życiowe i przyjemnym wyrazem ust nawet bez uśmiechu.

– To trudne przejście dla każdego – odezwał się. – Dla rodzin też. Ale w tym czasie wsparcie najbliższych ma ogromne znaczenie.

– Dla mnie nie – powiedziała szybko. – Po pierwsze, nie mam... – Ale nawet ona nie mogła zdobyć się na takie kłamstwo. – Moja rodzina jest z tego wyłączona. Przyjechałam sama i tak już zostanie.

– Czy twoja sytuacja rodzinna była taka sama, zanim zaczęłaś tracić wzrok?

– W zasadzie tak.

– I nie chcesz tego zmienić?

Pomyślała o Luz, o Lili, o Dustym i Amber. Poczowała w sercu niewyobrażalną tęsknotę. Zebrała w sobie resztki sił.

– Nie. A to stwarza jakiś problem?

– Może tak, a może nie. Powiem z brutalną szczerością: czasami nawet najbardziej kochająca rodzina przeszkadza osobie niewidomej. Za bardzo stara się pomóc, robi to, co osoba niewidoma mogłaby bez problemów zrobić sama. W rezultacie traci się wszystkie nabyte umiejętności i znika cała motywacja do samodzielnego życia. Co znaczy, że rodzina zbyt uczynna może szkodzić.

Jessie pomyślała, że ten opis znakomicie pasuje do Luz, która chciała robić wszystko za innych. To dlatego nie mogła powiedzieć siostrze, dokąd się wybiera.

– Wolałabym przejść przez cały program sama. – Wstała od stołu.
– Stąd zaczniemy naszą wycieczkę? Zawsze chciałam zobaczyć, gdzie trzymają niewidomych. Chociaż to chyba nie ma znaczenia.

– Bardzo zabawne.

Sully wstał, a potem powoli i bardzo uważnie zasunął za sobą krzesło. Pochylił się, żeby wziąć coś spod stołu. Jessie ze zdziwieniem zobaczyła, że jest to krótkka smycz przymocowana do upręży dużego owczarka niemieckiego, który w jednej chwili zerwał się na równie nogi.

Jessie nie odezwała się ani słowem, ale musiała w jakiś sposób wyrazić swoje zaskoczenie.

– To jest Fred – powiedział Sully. Na dźwięk swojego imienia pies zamerdał ogonem.

– No właśnie... Nie wiedziałam, że... – Umilkła zdenerwowana.

– Że nie widzę? – Poklepał Freda i pies stanął przy jego lewej nodze. – Czasami nie ma to specjalnego znaczenia. Na przykład gdy piję mrożoną herbatę albo rozmawiam z przyjacielem przez telefon. Ale

czasem stanowi poważny problem. Chociażby kiedy przechodzę przez ulicę albo gram w bule.

– Kiedy grasz... – Wśród ścieżek zauważyła ocieniony prostokąt trawnika.

– Jestem beznadziejny w bule. – Mruknął coś pod nosem, wykonał ledwo zauważalny ruch nadgarstkiem i Fred natychmiast stanął na skraju chodnika. – Ale w kręgle gram świetnie.

Część mieszkalna ośrodka Beacon mieściła się w niedalekim sąsiedztwie głównego kampusu uniwersytetu. Jessie przypomniła sobie stojące wzdłuż ulic znaki ostrzegawcze: Uwaga, niewidomi! Kilka lat temu przejechałaby przez skrzyżowanie, nawet nie zmniejszając prędkości.

Sully pokazał jej mieszkanie uwzględniające specyficzne potrzeby osoby niewidomej – od takiego urządzenia łazienki, które pozwala uniknąć umycia zębów kremem do depilacji, po oznaczenie pokręteł na kuchence i słoiczków z przyprawami nalepkami z pismem Braille’a.

– Chcesz powiedzieć, że będę gotować na ślepo? – szepnęła, patrząc, jak instruktor uczy starszą kobietę smażenia omletu.

– Pewnie.

– Dziwne. Wcześniej nie lubiłam gotować.

W tak zwanej bibliotece – choć jak na bibliotekę panował tu duży hałas – znajdowało się mnóstwo niezwykłych urządzeń. Nowoczesna technika stanowiła tu nieocenioną pomoc – książki mówione, filmy z narracją przeznaczoną dla osób niewidomych, komputery, które zamieniały głos na tekst albo czytały na głos.

– Niektóre łatwiej się opowiada, inne trudniej – zauważył Sully,

wskazując na filmy.

– Wcale się nie dziwię.

– Wszystkim najbardziej podoba się ta część wycieczki. – Zaprowadził ją do sali gimnastycznej zastawionej różnymi przeszkodami. Nad wejściem wisiała tabliczka „Orientacja w terenie i sprawność ruchowa”. Stanęli w progu.

Instruktor pracował tu z Flossie, młodą suką rasy golden retriever, i kobietą o imieniu Margaret. On uczył Margaret, a ona psa, wydając mu polecenia, chwając i poprawiając błędy. Przechodzili tę samą trasę wiele razy. Chwilami poruszali się jak idealnie zgrana całość, ale czasem Margaret gubiła drogę, pies wahał się i Margaret omal nie przewracała się o jakąś przeszkodę. Flossie była skupiona niemal tak jak człowiek. A może nawet bardziej. Wydawało się, że jej jedynym pragnieniem jest pomoc swojej pani.

– Spodobało ci się, prawda? – spytał Sully, gdy odeszli spod sali.

– Tak. Wszyscy lubią zwierzęta.

– Fred to nie jest zwykłe zwierzę. Ani żaden inny pies przewodnik. Jessie, właśnie tego w pierwszym rzędzie musisz się nauczyć.

Zaprowadził Jessie do jednego z mieszkań, otworzył przed nią drzwi i zdjął uprząż Fredowi. W tej samej chwili Fred stał się normalnym psem, zaczął skakać i podrzucać pogryzioną już nieco zabawkę.

– On mi zastępuje uszy i ręce – wyjaśnił Sully. – W pewnym sensie służy mi też za oczy. Ale musi samodzielnie myśleć i dokonywać ocen. Gdy popełni błąd, musi go naprawić.

Jessie uśmiechnęła się. Polubiła Sully’ego za jego szczerość i za

to, że stanowił żywy dowód, że ślepotą nie musi być tak straszną tragedią, jak to sobie wyobrażała. Psa też polubiła.

– Mogę go pogłaskać?

– Jasne.

Pogładziła Freda po głowie pokrytej czarno-brązową sierścią.

– Musisz go naprawdę kochać.

– Nie ma słowa, żeby opisać to, co do niego czuję. – W głosie Sully’ego nie było fałszywej ckliwości. Pochylił się i podniósł z kanapy dwie poduszki. Na każdej z nich był wydruk fotografii dziecięcej buzi. – To moje wnuki – wyjaśnił. – Bardzo je kocham. Ale nie są dla mnie tym samym co Fred.

– Często je widzisz? To znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Tak, często je widuję. Mieszkają niedaleko i córka przyjeżdża tu z nimi dwa razy w tygodniu.

– A widziałeś je kiedykolwiek? – spytała Jessie po chwili milczenia.

– Nie. Jestem niewidomy od 1972 roku.

– Przeszkadza ci to?

– Pewnie. Chciałbym zobaczyć ich buzie. Ale trzymałem je na rękach. Całowałem policzki, czułem zapach skóry. – Z uśmiechem dotknął strun gitary stojącej w rogu na podstawce. – Śpiewałem im kołysanki, czytałem książeczki, a nawet napisałem dla nich kilka piosenek.

– Piszesz piosenki?

Sully wziął do ręki gitarę, zagrał jeden akord i zaśpiewał:

– Najlepsze domy buduje Paul Murray...

– Przecież ja to słyszałam w radiu!

– Komponuję jingle reklamowe. Może to nie jest jakaś wielka sztuka, ale sprawia mi przyjemność. A ty jaki masz zawód?

– Jestem fotografem.

Sully przestał się uśmiechać.

– Cóż, to się zmieni...

Jessie powstrzymała krzyk.

– Zawsze chciałam mieć psa – powiedziała, siląc się na lekki ton.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Luz zjadła kolację z chłopcami, bo Ian powiadomił telefonicznie, że przyjedzie z Lilą i Jessie nieco później. W zasadzie przywykła już do tego, że często nie ma go wieczorem w domu. To cena, jaką płacili za mieszkanie na wsi. A poza tym aż tak bardzo jej to nie przeszkadzało. Wieczór z samymi chłopcami był bardzo przyjemny. Z chęcią przygotowała ulubiony makaron z serem, a potem słuchała ich rozmów i patrzyła, jak pochłaniają ogromne ilości kurczaka polanego keczupem.

Niechętnie się do tego przyznawała nawet sama przed sobą, ale nieobecność Lili zdjęła z niej sporo napięcia. Wysłanie jej z Jessie do miasta było dobrym pomysłem. Luz powoli przyzwyczajała się do myśli, że córka dorasta. Gdyby jeszcze wiedziała, jak jej powiedzieć o adopcji!

Cały dzień spędziła w towarzystwie Nell Bridger, robiąc zdjęcia dzieciom ze szkoły. Gdy tylko Nell wyjaśniła, jaki jest cel artykułu, stało się tak, jak przewidziała Blair: nikt nie protestował. Wręcz przeciwnie, tłoczyli się przed obiektywem, jakby fotografie miały nadać ich uczuciom większą wagę. Luz zawahała się w pierwszej chwili, ale potem uświadomiła sobie, że to zlecenie nie jest tym samym, co robienie zdjęć własnym dzieciom. Musiała jedynie stanąć z boku i utrwalić ich ból, zagubienie, złość. Nie umiała pojąć, dlaczego wcześniej tego nie robiła. Praca sprawiała jej taką przyjemność, że straciła poczucie czasu i musiała w wielkim pośpiechu jechać po Scottiego do przedszkola.

– A u nas w klasie jeden facet miał pogadankę – oznajmił Wyatt.

Owen wydawał z siebie warczące dźwięki, przesuwając samochodzik po krawędzi stołu.

– Jaki facet? – spytała Luz.

– Jakiś policjant.

– Ja bym chciał zobaczyć policjanta – powiedział Scottie.

– A na jaki temat była ta pogadanka? – dopytywała Luz, rozgarniając na talerzu makaron.

– O bezpieczeństwie i o czymś tam jeszcze.

Samochodzik Owena wyskoczył w górę i spadł z krawędzi stołu.

– Aaaaa! – zawołał Owen ze sztuczną przesadą. – Tragedia na wzgórzach.

– Aaaaa! – powtórzył po nim Scottie. – Tragedia na wzgórzach.

– Uspokój się w tej chwili. – Luz spojrzała groźnie na średniego syna. – Nie wolno ci mówić takich rzeczy. Skąd ci to przyszło do głowy?

Owen zgarbił się i spuścił głowę, wpatrując się w talerz. Tak samo jak Luz i Jessie miał rude włosy i jasną cerę.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Zauważyła, że Wyatt i Scottie przyglądają się jej ze zdziwieniem. Owenowi zaczęła trząść się broda. Serce jej zmiękło. – No dobrze, to głupie pytanie. Ale powiedz mi w takim razie, czy wszystkie dzieci w szkole rozmawiają o skakaniu samochodami?

Owen skinął głową.

– I co mówią?

Wzruszył ramionami, odwracając wzrok.

– No, mówią o wypadku Lili i o tym uczniu, który się zabił.

– Nie żartuj więcej na ten temat, dobrze?

– Dobrze. – Podniósł widelec i wrócił do jedzenia. Jego bracia zrobili to samo. Odsunęli od siebie temat jak nie lubiane jarzyny na talerzu.

Luz poczuła nagły przyływ miłości do synów wymieszanej z poczuciem winy. W całym tym zamieszaniu wywołanym przyjazdem Jessie, a potem wypadkiem Lili, trochę ich zaniedbała. Dochodziły do nich strzępki plotek o tragedii, a oni próbowali sklecić z nich jakiś pełniejszy obraz.

– W takim razie powiem wam, jak to było. – Zwracała się do wszystkich trzech. – Lila i jej koledzy zrobili coś wyjątkowo głupiego. Wyszli z domu bez zgody rodziców, pili piwo, a potem zaczęli jeździć samochodem. Do tego traktowali samochód jak zabawkę.

Owen zerknął na swój samochodzik leżący na podłodze.

– Przez ich lekkomyślność wydarzył się groźny wypadek. Wszyscy zostali ranni. I teraz ich życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej. – Zaskoczyło ją, że mówi to ze łzami w oczach. – Życie Lili nie będzie już takie jak dawniej.

– To jakie będzie? – spytał Owen.

– Inne, matołku – powiedział Wyatt.

– Ona ma szlaban – dorzucił Scottie.

– Ma szlaban, bo ją kochamy i chcemy, żeby była bezpieczna –

wyjaśniła Luz.

– Ten szlaban wcale jej się nie podoba.

– Ale dzięki temu będzie się mogła zastanowić nad tym, co w swoim życiu zmienić.

Usta Scottiego wykrzywiły się w podkówkę.

– A ja nie chcę, żeby Lila się zmieniała. Chcę, żeby była taka sama.

– Ależ ona będzie taka sama. A na dodatek będziesz ją częściej widywał.

– Będzie musiała cały czas siedzieć w domu. – Po tym stanowczym stwierdzeniu Scottie nałożył sobie na widelec dużą porcję makaronu z serem. Dokończyli kolację w milczeniu, a potem byli dziwnie spokojni. Wyatt z własnej woli posprzątał ze stołu, a Owen pozbierał z podłogi swoje samochodziki i poustawiał je na półce.

Nagle ciszę przerwało trzaśnięcie drzwiczek samochodowych.

– Tata wrócił! – Scottie rzucił się do drzwi.

Z podjazdu rozległ się śmiech i śpiewy. „Born To Be Wild” było ulubioną piosenką Jessie i Luz z czasów długich podróży z mamą. Luz nie słyszała jej do wielu lat. A teraz nawet Ian ją nucił, wchodząc do kuchni.

Luz zamarła.

– Lila, zmieniłaś sobie życie – zawołał Scottie.

– Nie życie, tylko fryzurę, matołku – powiedział Wyatt, gapiąc się

na siostrę.

– Wyglądasz jak ciocia Jessie – dodał Owen.

Jessie wzięła Lilę za rękę i poprowadziła do światła.

– No i jak? – Zrobiła kilka kroków jak modelka na wybiegu, ciągnąc Lilę za sobą. – Podoba się wam?

– Dziwnie wyglądasz – stwierdził Owen.

– W takim razie świetnie do nas pasuje. – Ian chwycił go za ramiona i popchnął do kuchni, żeby poszukać sobie czegoś do jedzenia.

Luz stała jak wrośnięta w ziemię. Z krótką cieniowaną fryzurą Lila wyglądała jak młodsza siostra Jessie. Obie miały na sobie dzinsy biodrówki i luźne T-shirty odsłaniające kawałek gołego brzucha. A tuż nad paskiem spodni...

Luz zmarszczyła brwi, odłożyła ścierkę do naczyń i pochyliła się lekko, żeby lepiej widzieć.

– A co to takiego? Naklejany tatuaż?

– Chcę zobaczyć! – zawołał Scottie.

Lila uśmiechnęła się radośnie. Takiego uśmiechu Luz nie widziała u niej od dawna.

– Ciocia ma taki sam.

Obie jednocześnie pokazały swoje najnowsze dokonania.

– Ups! – mruknął Wyatt.

Luz niemal zachwiała się, patrząc na tatuaże gwiazdozbiorów. Pamiętała je ze starej mapy nocnego nieba wiszącej obok teleskopu, który mama dostała kiedyś od jednego ze sponsorów. Jessie miała Pegaza, a Lila Andromedę, księżniczkę przykutą do skały.

– To nie są naklejki, prawda?

– Umieram z głodu. – Lila podeszła do stołu, usiadła obok Iana i rzuciła się na makaron z serem.

– O co chodzi z tym tatuażem? – spytał Ian z pełnymi ustami. Luz miała ochotę mu przyłożyć. Jego beztroska była czasem nie do zniesienia.

– Jest maleńki – powiedziała Lila. – Chcesz zobaczyć?

Ian patrzył wprost przed siebie.

– Niekoniecznie.

– Mam jeszcze trochę pracy – powiedziała nagle Jessie. – Czeka mnie długa rozmowa z dyktafonem. – Wyszła, zanim Luz zdążyła ją zatrzymać.

Luz aż się w sobie gotowała, ale zawsze umiała ukryć złość i trzymać ją pod kontrolą. Kiedy się tego nauczyła? Kiedy nauczyła się dusić w sobie ogień, tłumić go aż do chwili, gdy wybuchał ogromnym płomieniem?

Ignorując wzburzenie Luz i nie komentując nowego wyglądu Lili, Ian zabrał chłopców na górę, żeby położyć ich spać. Lila też wstała od stołu, tłumacząc się, że czekają ją poważne prace wykopaliskowe, czyli sprzątanie pokoju. Ale mówiła to z uśmiechem na ustach.

W domu Benningów codzienne życie zawsze brało górę nad

poważnymi kryzysami. W głębi serca Luz była z tego zadowolona. Gdy miała dużo zajęć, mogła odłożyć trudne sprawy albo zostawić je niedokończone, jak wiele innych rzeczy w swoim życiu. Odrabianie lekcji, kąpiel, kładzenie dzieci do łóżek pojawiały się ze stałą regularnością. Dopiero po dziesiątej mogła pójść na górę, żeby porozmawiać z Ianem.

Siedział na swoim fotelu przy oknie i czytał prawnicze dokumenty. Luz szczerze kochała męża, ale to uczucie czasem było zabarwione irytacją. A dziś znalazła się na granicy wybuchu.

– Niekoniecznie? – powiedziała, naśladowując jego ton przy kolacji.
– Moja siostra wytatuowała naszą córkę, a ty masz jedynie do powiedzenia „niekoniecznie”?

Ian zdjął okulary i odłożył grubą teczkę z dokumentami.

– Po prostu nie chciałem go oglądać.

– I na tym właśnie polega problem – warknęła, słysząc w jego słowach echo setek wcześniejszych dyskusji. – Niczego nie chcesz wiedzieć, a już zwłaszcza gdy dotyczy to Lili. Co się z tobą dzieje? Prawie w ogóle się nią nie zajmujesz.

– Ona mnie nie potrzebuje. Jestem dla niej jedynie źródłem zasilania portfela.

– Ale to nie znaczy, że przestałeś być jej ojcem.

– Przecież wiem. I Lila też to wie. Ale córki w tym wieku nie potrzebują już ojców tak jak dawniej.

– Ona cię wciąż potrzebuje, do cholery! A ty nawet nie chciałeś porozmawiać z nią o tatuażu.

– Rozmawianie nie sprawi, że tatuaż zniknie, ani tym bardziej wkurzanie się i kłótnie. Nie możemy go usunąć, dlatego najlepiej, jak nie będziemy się tym zajmować.

Luz opadła na skraj łóżka. Zajrzała z roztargnieniem do kosza z niedokończonymi kawałkami patchworku, który zszywała od wielu lat. Ian usiadł obok niej. Zawsze umiał ją rozluźnić masażem karku, nawet w takich chwilach jak ta.

– Ian – westchnęła. – Co my teraz zrobimy?

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy, żeby sobie zrobić kolczyk w nosie.

Oparła mu policzek na ramieniu.

– Wiesz, o co mi chodzi. Jessie chce jej powiedzieć o adopcji. W tym tkwi największy problem. Nie wspominała o tym drugi raz, ale ta nowa fryzura i tatuaż to bardzo znaczące sygnały.

– Nie słyszałem, żeby jakieś dziecko się załamało tylko dlatego, że dowiedziało się o swojej adopcji – powiedział. – I co zamierzasz zrobić?

Położyła się na łóżku.

– Na razie chcę o tym zapomnieć.

– Hm... W tym akurat mógłbym ci pomóc. – Ułożył się obok niej.

Zdawała sobie sprawę, że nie zbliżyli się do żadnego rozwiązania, ale na tym właśnie polegał urok Iana. Umiał sprawić, że problemy znikają, przynajmniej na jakiś czas.

Tylko że następnego dnia wracały ze zdwojoną mocą. W domu panowało poranne zamieszanie, dzieci jadły w pośpiechu śniadanie,

a potem szykowały się do szkoły. Luz zauważyła, że Lila była w zdecydowanie lepszym nastroju. No cóż, nic tak nie dodaje pewności siebie jak nowa fryzura i permanentny tatuaż. Lila oczywiście uznała, że tatuaż ją „swędzi” i w związku z tym „musi” włożyć krótki sweterek, żeby nie podrażniać ubraniem wrażliwego miejsca.

Luz patrzyła, jak córka zarzuca plecak na ramię, a potem idzie pod górę, żeby przy drodze czekać na autobus szkolny. Była tak samo drobna, szczupła i zdeterminowana jak dziesięć lat temu, gdy po raz pierwszy wyruszała do przedszkola. Ian spieszył się jak zwykle, tym razem na spotkanie z organizacją obrońców praw człowieka. Luz zawiozła Scottiego do przedszkola, a sama pojechała do liceum, gdzie miała porozmawiać z rodzicami innych ofiar wypadku. Ich gotowość, by opowiedzieć o wszystkim do gazety, bardzo ją poruszyła. Udało jej się zrobić zdjęcie Nell Bridger trzymającej kostium piłkarski Diga. Sfotografowała mamę Sierry płaczącą w objęciach trenerki czirliderek. I ojca Kathy, który siedział samotnie na trybunach przy boisku i wpatrywał się w błękitne niebo.

Gdy Luz wróciła do domu późnym popołudniem, dźwigała na sobie także ich złość i smutek. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku domków stojących nad jeziorem. Nawet w jasnych promieniach jesienno słońca wyglądały przygnębiająco. Zawsze chciała je odnowić, pomalowała nawet dwie ściany jednej chatki, ale nigdy pracy nie dokończyła. Tymczasem Jessie zdążyła już wnieść tu własny zmysł smaku. Postawiła na oknie dzbanek z kwitnącą szałwią i rudbekiami, w oknie wychodzącym na jezioro powiesiła szal w kolorze fuksji.

Luz zapukała i weszła do środka.

– Cześć!

– Cześć. – Jessie siedziała przy stole, trzymając w dłoniach kubek z kawą. Miała na sobie turkusową sukienkę i ciemnożółte buty kowbojskie. Tylko ona mogła wyglądać w takim zestawie dobrze. Na

środku leżał dyktafon Blair. Jessie wcisnęła guzik, żeby go wyłączyć. – Właśnie pracuję nad artykułem.

Świetnie, pomyślała Luz. Mogą jak zwykle zacząć ostrożnie i delikatnie albo przejść od razu do rzeczy. Intensywne przeżycia tego dnia musiały mieć na nią duży wpływ, bo postanowiła, że nie będzie czekać.

Mimo to zmusiła się, żeby usiąść i mówić spokojnie.

– Od kiedy to wolno robić tatuaż dziecku, które nie jest twoje?

Jessie była równie spokojna, wręcz zacięta.

– A od kiedy to wolno zataić przed dzieckiem fakt, że jest adoptowane?

– Rozmawialiśmy o tym przed jej narodzinami. Zgodziłaś się. Do cholery! Sama przecież powiedziałaś, że tak będzie dla niej najlepiej. A teraz jesteś zła, bo postąpiliśmy dokładnie tak, jak chciałaś?

– Luz, proszę cię. Przecież nie mogę być za to zła.

– To prawda. Ale uznałaś, że możesz ją oszpecić. To oczywiste.

– Szlag by to trafił! A ty zawsze musisz mieć rację! – wybuchnęła Jessie. – Zawsze postępujesz właściwie, masz idealną rodzinę i idealne życie!

Luz była tak zaskoczona, że patrzyła z niedowierzaniem. Jessie chciała ją zranić? Dopiero po chwili dotarło do niej prawdziwe znaczenie jej słów. Ukryła twarz w dłoniach, zanosząc się od histerycznego śmiechu.

– Moje idealne życie. – Wciągnęła gwałtownie powietrze, czując,

że płyną jej łzy.

– Masz wszystko, zawsze postępujesz właściwie, a ja jestem jakimś dziwadłem, czarną owcą, która tylko włóczy się po świecie bez celu.

– Tak, mam cudowny rozpadający się dom, cudownego męża, którego nigdy nie ma w domu, wytatuowaną córkę i syna z dysleksją. – Widząc wyraz twarzy Jessie, roześmiała się znowu z histeryczną nutą. – Mówię o Owenie – dorzuciła wyjaśniająco. – To tylko jedna z rzeczy, których nie wiesz o moim idealnym życiu. – Napiła się kawy z kubka Jessie. – Boże, co ja bym dała, żeby móc włóczyć się po świecie tak jak ty. Żeby mieć fajny zawód i nie mieszkać w Edenville. I zobaczyć to wszystko, co ty widziałaś.

– Luz, uwierz, nie chciałabyś się ze mną zamienić.

– A skąd ty możesz wiedzieć, czego ja bym chciała? – Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Serce biło jej coraz mocniej. Zaczynała rozumieć, co się dzieje. – Nie widzisz, do czego doprowadziłaś? Zaczynam z tobą o nią rywalizować.

– Co?

– Tak, o Lilę. Oddałaś mi ją, a teraz chcesz ją odebrać. Nie wiedziałam, że dostałam ją tylko w dzierżawę.

– Na miłość boską, Luz!

– Imponujesz jej. Ona cię podziwia. Ja jej stawiam zakazy i każę sprzątać w pokoju, a ty zabierasz ją do spa i pozwalasz zrobić sobie tatuaż. Jessie, naprawdę nie rozumiesz, że i tak mam z nią problemy wychowawcze, a ty zachowujesz się jak książkowa ciocia Mame i jeszcze bardziej wszystko utrudniasz?

– To dziwne, że mówisz o cioci Mame. Przecież zabrała siostrzeńca w podróż dookoła świata.

– Jess, jeśli przyszło ci do głowy, że mogłabyś ją stąd zabrać, to grubo się pomyliłaś. – Luz znieruchomiała. Zdała sobie sprawę, że dla Lili poświęciłaby wszystko, nawet własną siostrę. Uderzyło to w nią z całej siły. Była gotowa stanąć z Jessie do walki.

– Nawet nie waż się o tym myśleć. Nie zamierzam jej nigdzie zabierać.

– Nie musisz, bo i tak będziesz wiedziała, że ona chce za tobą pojechać. Lila cię uwielbia.

– Uwielbia też Dave’a Matthews’a, ale to nie znaczy, że chciałyby za nim jeździć po świecie. Zrozum, jesteś jej matką. I tak powinno pozostać. Ale czasem... Po prostu tak cię pochłania rola matki, że zapominasz o innych rolach.

– Ciekawe, o jakich? Jessie, ja nie umiem nic innego. Nie miałyśmy szczęścia dorastać w normalnej rodzinie. Mogę jedynie kierować się wyczuciem.

– Ale wpadłaś w koleiny. Ty jesteś mamuszką, a ja tą gorszą siostrą, która zawsze sprawiała problemy.

– Rzeczywiście coś w tym jest.

– Niestety tak bardzo starasz się kontrolować każdą sytuację, że tracisz z oczu coś ważnego.

– Ciekawe, co.

– Lilę.

– O co ci, do cholery, chodzi?

– Tak cię pochłania organizowanie życia Lily, sprawdzanie ocen, śledzenie każdego ruchu i martwienie się o nią, że zapominasz, że ona jest kimś wyjątkowym.

– To nieprawda. Pojawiasz się tu nagle po piętnastu latach i myślisz, że możesz mi mówić, jak mam wychowywać swoją córkę?

– Jaka jest jej ulubiona grupa rockowa? A ulubiony nauczyciel? Co ją najbardziej denerwuje? Wiedziałaś, że Heath z nią zerwał i wrócił do Jezusa?

To ją zaskoczyło.

– Co takiego?

– Dlatego chciała, żeby ją zwolnić ze szkoły. Dlatego potrzebowała wolnego dnia.

– I dlatego pragnęła zrobić tatuaż?

– A może to ja chciałam zrobić tatuaż?

– Przecież już jeden masz.

– Miałam trzy. A teraz mam cztery.

– I myślisz, że oszpeceniem córki zmusisz mnie, bym powiedziała jej o adopcji?

– Nikt cię do niczego nie zmusza. – Jessie opuściła roletę w oknie.
– Mój przyjazd nie był dobrym pomysłem.

– Nawet tego nie mów. – Luz miała wrażenie, że traci grunt pod

nogami i nie wie, gdzie szukać bezpiecznego miejsca. – Boże, Jess, nie chcę się z tobą kłócić. Ale gdy następnym razem będziesz chciała wprowadzić jakieś stałe zmiany w wyglądzie moich dzieci, to wolałabym, żebyś to ze mną uzgodniła.

Przerwał im chrzęst opon na żwirze, na co Luz zmarszczyła brwi.

– Nie spodziewamy się żadnych gości.

– Ja się spodziewam. – Jessie przygładziła nerwowo włosy.

Luz zerknęła przez okno i zobaczyła Dusty’ego Matlocka idącego w kierunku domu. Gdy spojrzała znów na siostrę, zauważyła w jej twarzy coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Otwarte, nieskrywane uczucie, tak czytelne i intymne, że musiała odwrócić wzrok.

Nareszcie, pomyślała zadowolona, a prawie cała złość z niej odpłynęła.

Nareszcie młodsza siostra zakochała się. Być może taki wniosek mógł się wydawać trochę przedwczesny, ale Luz wiedziała, że się nie myli. Tak samo patrzyła na Iana wracającego do domu. W takich chwilach emocje są tak silne, że trudno je ukryć.

W Dustym Matlocku podobało jej się niemal wszystko – stosunek do córki i sama Amber, maniery, wygląd, a szczególnie sposób, w jaki traktował Jessie. Ale jego przyjazd nie oznaczał, że temat dyskusji zniknął. Kłótnia została jedynie przerwana, pozostawiając po sobie złość i wyrzuty sumienia.

– Dokończymy później.

– Jak chcesz.

Ulubione powiedzenie Lili. Ogólnikowe i wymijające. Luz nie

miała zamiaru tak kończyć tej rozmowy, ale wiedziała, że jej kontynuacja nie ma w tej chwili sensu.

Otworzyła drzwi, popychając Jessie przed sobą.

– Moja mama chce cię poznać – oznajmił Dusty, wyłaniając się z cienia dębu.

Jessie chwyciła Luz za rękę.

– Jezu, chyba nie przywiózł jej ze sobą.

– Zobaczymy.

Napięcie między nimi powoli zanikało.

– Twoja mama? – spytała Jessie, gdy Dusty pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. – To brzmi złowieszczo. – Mówiła to żartobliwym tonem i Luz wyczuła, że jego poufałość sprawia jej przyjemność.

– Cześć, Luz. – Dotknął daszka czapki zabawnym, nieco staroświeckim gestem.

– O co chodzi z twoją mamą?

– Chciałaby poznać Jessie.

– Tak? A dlaczego?

– Bo od paru dni mówię i myślę tylko o niej. Odszukaliśmy z mamą kilka starych numerów „World Explorer”, żeby zobaczyć jej zdjęcia.

– Chyba zwariowałeś – odezwała się Jessie.

– Możliwe. Ale tylko trochę.

Jessie przywarła do ramienia Luz.

– Proszę cię, nie pozwól mi z nim nigdzie jechać – zawołała z udawanym przestraczem. – Czuję, że ten facet ma złe zamiary.

– Bzdura. – Luz popchnęła ją w kierunku furgonetki. – Twoje zamiary też nie są najlepsze.

– I to mi się w kobietach podoba.

– A niedawno mówiłeś, że lubisz kobiety władcze – przypomniała mu Luz.

– Władcze o złych zamiarach. – Mrugnął do niej szelmowsko.

Luz roześmiała się, ale poczuła w sercu lekki niepokój. Na razie wszystko było wesołe i zabawne, ale kiedy w związku kończyła się zabawa i następował czas, by zmierzyć się z problemami, Jessie odchodziła.

Nie popsuj tego, siostrzyczko.

– Dokąd jedziecie? – zwróciła się do Dusty'ego. – Naprawdę zabierasz ją do mamy?

– Chyba dziś jeszcze jej daruję. Pojedziemy tam innym razem, kiedy będziemy mogli spędzić z mamą więcej czasu.

– Świetny pomysł! – zawołała Jessie, a potem niespodziewanie dotknęła ramienia Luz. – Nadal się kłócimy?

Luz zawahała się. Problem z Lilą nie był zwykłą kłótnią. Sprawa

była dużo głębsza, dużo bardziej skomplikowana. Tak bardzo, że zrobiła to, co zawsze wychodziło jej najlepiej: odłożyła problem na później.

– A nadal oddychamy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Idź już. Zobaczymy się, jak wrócisz.

Dusty otworzył przed nią drzwi samochodu.

– Lubisz meksykańską kuchnię?

– Uwielbiam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jessie zapięła pas. Zauważyła, że ktoś zabrał z samochodu fotelik Amber. Dusty obszedł auto, mówiąc coś do Luz, ale Jessie nie umiała rozróżnić słów. Nie lubiła, kiedy siostra była na nią zła, szczególnie gdy sama była powodem tej złości.

Ale taką już miała naturę. Zawsze działała pod wpływem impulsu, a nie rozsądku. Zwłaszcza wczoraj. Kazano jej skonfrontować się z tym, co ją czeka, więc musiała to potem odreagować, musiała zrobić coś szalonego. I zrobiły sobie z Lilą tatuaż.

A potem była zdziwiona, że Luz wcale się to nie spodobało.

Dusty usiadł za kierownicą, ale zamiast włączyć silnik, przysunął się do niej, objął ją i pocałował.

Ten pocałunek był jak długa pieszczota, w której zawierało się wszystko: niewypowiedziane obietnice, niewyrażone na głos uczucia, a nawet marzenia.

– Chciałem to zrobić od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy – powiedział.

– Co chciałeś zrobić?

– Zaciągnąć cię do mojej furgonetki i obmacywać.

– Jesteś perwersyjny!

– To jedna z moich zalet. – Odsunął się od niej z teatralnie odegranym ociąganiem i położył dłonie na kierownicy. – Nawet nie masz pojęcia, jak cholernie za tobą tęskniłem.

Poczuła dreszcz. Nigdy nikt tak do niej nie mówił, szczerze i otwarcie. Nie spotkała jeszcze mężczyzny tak prostolinijnego. Przeżył straszną tragedię i postanowił zacząć życie od nowa. A kiedy trzymał ją w ramionach, miała wrażenie, że jest dla niego najważniejsza na świecie.

Uruchomił silnik i ruszył pod górę.

– Musiałem związać mamę, bo inaczej przyjechałaby tu ze mną, żeby cię zobaczyć.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że byłbyś w stanie to zrobić.

– Masz rację. Louisy Tate Matlock nie da się poskromić. Bardzo chce cię poznać.

– Dlaczego?

Pogłaskał ją po policzku.

– Przecież wiesz, dlaczego.

Ta świadomość odebrała jej mowę. Nie, to chyba niemożliwe. Przeżyła tyle lat, nie doświadczając podobnego uczucia, cudownego, wywracającego wszystko do góry nogami, a teraz nagle ją to spotkało. Była tym przestraszona i rozradowana jednocześnie, jak podczas jazdy kolejką górską. Tylko że podczas jazdy kolejką wiesz, że za chwilę nastąpi koniec.

Tak bardzo za tym tęskniła. Czekwała na tego mężczyznę pół życia, a on pojawił się w najgorszym momencie.

Minął skręt do swojego domu i jechał dalej drogą. Jessie milczała, rozkoszując się dziwnym uczuciem niepewności. Nawet gdy zatrzymali się przy małym budynku obok pasa startowego, nie zadała żadnego

pytania.

– Chciałabyś wiedzieć, gdzie jedziemy? – spytał.

– Nie muszę pytać.

– Dlaczego?

– Bo odpowiedź zawsze będzie taka sama.

– Tak? Czyli jaka?

Wzięła go za rękę.

– Zgadzam się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Nie mogę uwierzyć, że przylecieliśmy do Meksyku – powiedziała Jessie.

Dusty upił łyk piwa.

– Przecież powiedziałaś, że lubisz meksykańską kuchnię.

Siedzieli przy okrągłym stoliku ulicznej restauracji. Jessie wyglądała pięknie, jej włosy rozwiewał lekki, wieczorny wiatr. Dusty zauważył jednak, że była czymś zdenerwowana, a nawet przygnębiona. Był zadowolony, że ją tu przywiózł. Samotny urzędnik imigracyjny na pasie startowym nigdy nie domagał się żadnego paszportu – wystarczył mu jakikolwiek dokument tożsamości oraz dwudziestodolarowy banknot – ale Jessie miała zwyczaj noszenia paszportu przy sobie.

Wcisnęła do piwa kilka kropli soku z limonki.

– Uwielbiam meksykańską kuchnię. W ogóle kocham Meksyk.

A ja kocham ciebie. Wyciągnął się na chybotliwym krześle, czując prawdę tych słów w całym ciele. Próbował tłumaczyć sobie, że być może jest za wcześnie na takie deklaracje, ale bezskutecznie. Miał co do tego całkowitą pewność, a instynkt pilota podpowiadał mu, że może tej pewności zaufać. Jessie jest kobietą, na którą czekał. Nie umiał wyobrazić sobie życia bez niej.

Ale nie chciał jej teraz tego mówić. Mogłaby go wziąć za wariata, który oświadcza się po kilku dniach znajomości. No i należałoby wyjaśnić jeszcze jedną drobną kwestię: czy ona kocha jego. Zastanowiwszy się nad tym, uznał że tak, choć sama jeszcze o tym nie wie. Ale niedługo się dowie. To była kolejna rzecz, co do której nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Jesteś dziś dość milczący – zauważyła Jessie.

– Po prostu wczuвам się w nastrój. Candela to moje ulubione miasteczko. Przylatuję tu kilka razy w roku.

Wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby chciała objąć kolorowe sklepy i knajpki rozrzucone wokół kolonialnego rynku.

– Rzeczywiście jest piękne. Jak je znalazłeś?

– Bratanek Arnufa pracuje na wieży tutejszego lotniska. I zawsze zapewnia mi ciepłe powitanie.

– To dobrze. Przynajmniej nikt cię nie bierze za przemytnika narkotyków.

– Mam taką nadzieję.

Felix i Yolanda Molinowie, właściciele restauracji, których poznał przy pierwszej bytności w miasteczku, przyglądali im się z ciekawością, ale byli zbyt starzy i zbyt dobroduszni, żeby robić to naprawdę dyskretnie. Dusty nigdy jeszcze nie był u nich z kobietą, więc przyjmowali Jessie jak prawdziwą księżniczkę.

Yolanda przygotowała prawdziwą ucztę: pieczone papryki nadziewane ostrym ryżem i orzeszkami pinii, chilli nadziewane mięsem i skwierzące na gorącym talerzu enchilady. Na deser dostali racuchy z miodem i cynamonem.

Jessie przymknęła oczy i uśmiechnęła się z lubością.

– Będę musiała się z tego wypowiadać.

– Nie wiedziałem, że jesteś katoliczką.

– Nie jestem, ale trochę grzechów mi się uzbierało.

Powiedziała to żartobliwie, ale Dusty zauważył w jej słowach dziwną powagę.

– A jakich?

– Wolałbyś nie wiedzieć.

– Wręcz przeciwnie.

– Uwierz mi, lepiej, żebym ci nic nie mówiła.

– Teraz to już nie masz wyjścia, musisz się wyświadczyć.

Zadrżała lekko, przyciskając dłonie do blatu stołu.

– Lepiej nie.

Podejrzewał, że zawsze tak robiła: unikała zwierzeń, ukrywała swoje słabości, nie umiała się otworzyć i pokazać, jak bardzo czasami bywa bezradna. Już miał poprosić Jessie do tańca, żeby rozproszyć jej smutek, ale coś go powstrzymało.

– Zastanów się, seniorita. Tylko ja mogę cię zawieźć do domu, ale jeśli mi nie powiesz, co cię trapi, to zostawię cię Yolandzie jako pomoc do zmywania naczyń. No, zdradź mi swoją najmroczniejszą tajemnicę.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Ty pierwszy.

Zawahał się. Może lepiej było nie zaczynać tego tematu.

– Mów, sam przecież chciałeś – ponagliła.

Wypił kilka łyków piwa. A co tam! Jeśli mają być ze sobą, to muszą mówić sobie o wszystkim.

– Boję się o swoją córkę.

Dusty był tak samo zaskoczony jak Jessie. Nie spodziewał się, że to wyznanie przyjdzie mu tak łatwo. Może to piwo, może atmosfera, a może fakt, że się zakochał – w każdym razie poczuł, że nie jest w stanie niczego przed nią ukryć.

– To znaczy boję się, że spotka ją coś złego. Cały czas się boję. Wychowuję ją sam i czuję, że to mnie kompletnie przerasta. Gdyby nie Arnufu, mógłbym zrobić jakieś głupstwo... Na przykład oddać ją mojej mamie albo którejś z sióstr.

– To by było głupie?

Uśmiechnął się ponuro.

– Nie znasz jeszcze mojej mamy i moich sióstr. Nieważne. Kiedy pojawia się dziecko, to myślisz przede wszystkim o nim, a nie o sobie. Wychowuję Amber, bo tak jest lepiej.

– Potępiasz ludzi, którzy oddają swoje dzieci?

– Skądże! Czasem to jest jedyne wyjście. Ale nie w moim przypadku. Dobra, teraz twoja kolej.

– Też miałam kiedyś dziecko. – Te słowa wyrwały się jej, zanim zdążyła pomyśleć.

Cholera. Może miała rację. Może wolałby o tym nie wiedzieć.

Uśmiechnęła się z fałszywą słodyczą.

– I co? Jesteś zadowolony, że spytałeś?

W porządku, pomyślał. To jest test, jak bardzo ją kocha. I czy kocha ją na tyle, żeby udźwignąć część jej smutku.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytał.

– To zależy od ciebie.

– Nie, kochanie. Od ciebie. To się zdarzyło tobie. – Wziął ją za rękę i patrzył na ich splecione palce. Ta kobieta wywoływała w nim niezwykłą czułość i budziła opiekuńcze instynkty.

Zacisnęła wargi i wzięła głęboki oddech.

– Miałam dwadzieścia jeden lat, byłam na studiach. Urodziłam córeczkę. Wcześniaka. Nikt nie wierzył, że przeżyje. Ja też nie. Jeszcze tego samego dnia opuściłam szpital. Dręczyła mnie dziwna myśl, że moja bliskość jedynie zmniejsza jej szanse.

– I ona przeżyła – dokończył, nie czekając nawet na potwierdzenie.
– Co było dalej?

– Nie mogę powiedzieć. To sprawy rodzinne.

Położyła dłonie na kolanach. W tym momencie zrozumiał. Przypomniał sobie wiecznie nadąsaną nastolatkę.

– Lila, tak?

Po jej policzku potoczyła się łza.

– Dusty, nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć.

Zmarszczył brwi.

– To tajemnica?

Skinęła głową.

– Kiedy ją... Na początku wydawało mi się, że moje dziecko nie powinno mnie znać. Dla jego dobra.

– A teraz co myślisz?

– Sama nie wiem. Wróciłam tu, żeby ją zobaczyć, ale kierował mną egoizm. Teraz muszę się zastanowić nad tym, co będzie lepsze dla Lili. Jeśli jej powiem, że to ja ją urodziłam, z pewnością zapyta o ojca. A tylko ja wiem, kto nim jest.

– O la la! Rzeczywiście masz kilka problemów.

Potarła palcem policzek.

– Znasz tylko połowę.

– No to powiedz mi wszystko.

Zawahala się, odwracając wzrok.

– Nie mogę. Ktoś może przez to cierpieć.

– A teraz cierpisz ty. Jess, wyrzuć to z siebie. To pomaga, naprawdę. Zbyt długo dusiłem w sobie to, co się stało z Karen, a gdy się przed wami otworzyłem, nawet przed Blair, to poczułem się lepiej.

Wzięła długi, głęboki wdech.

– Nie chciałam tego ani nie planowałam. Zналиśmy się z Ianem, zanim on spotkał Luz. To była kompletnie nieważna znajomość. Przelotna przygoda. Byliśmy razem na kilku imprezach i tyle. Potem każde z nas poszło swoją drogą.

Starał się zachować obojętność, ale wymagało to od niego pewnego wysiłku.

– Ja bym nie mógł skończyć znajomości z tobą po kilku imprezach.

– Może ty nie. Parę tygodni po naszym spotkaniu Ian poznał Luz. Boże, jaka ona była szczęśliwa. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby była zakochana. Gdy dorastałyśmy, to ona martwiła się o wszystko. Mamy ciągle nie było, więc Luz szybko przestała być dzieckiem i wzięła na siebie ciężar opiekowania się nami. A gdy pojawił się Ian, wszystko się zmieniło. Zakochana Luz była zupełnie inną osobą. Tak naprawdę wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jaką moc może mieć miłość.

Wstrzymała oddech na chwilę.

– Ian i ja nie wspomnieliśmy ani słowem o przeszłości. On i Luz od razu zaplanowali ślub, a ja dostałam zagraniczne stypendium. – Uśmiechnęła się cierpko. – Przez krótką chwilę wydawało się, że jej życie i moje potoczą się we właściwe strony. Ale zaraz okazało się, że jestem w ciąży. Wpadłam w dziwny stan, coś w rodzaju kontrolowanej paniki. I miałam potworne wyrzuty sumienia. W wieku dwudziestu jeden lat byłam w ciąży z facetem, który miał się wkrótce ożenić z moją siostrą. Zawsze byłam nieznośnym dzieckiem, ale to przekraczało nawet moje normy.

– Uwierz mi, wiele dziewczyn w tym wieku robi dużo gorsze rzeczy.

– I jak zawsze Luz pospieszyła mi na ratunek. zaproponowała, że adoptuje dziecko, a Ian się zgodził. Patrząc w kalendarz, mógł podejrzewać, że to jego dziecko. Zapytał mnie o to, a ja zaprzeczyłam. – Spojrzała na Dusty’ego zaczepnie. – Nieźle, co?

– Widocznie miałaś jakieś powody.

– Gdybym powiedziała, że to on jest ojcem, Luz by z nim zerwała. A on by się zachował przyzwoicie i przez ostatnie szesnaście lat wzajemnie byśmy się unieszczęśliwiali, o naszej córce nie wspominając. Prawda zniszczyłaby mojej siostrze życie.

– W takim razie nie powinnaś mieć do siebie pretensji. O ile wiem, Luz i Ian to bardzo dobre małżeństwo. Lila jest ze swoim biologicznym ojcem, ma normalną, kochającą rodzinę.

– Wiem. Powinnam być wdzięczna losowi, że moje dziecko ma takie życie. Ale powinnam była trzymać się od nich z daleka. Zawsze przynosiłam kłopoty, a cała sprawa z Lilą tylko to potwierdza. Kiedy byłam młoda, wolność dawała mi radość. Ale czas płynie, ja się starzeję. A Lila... To, że ją zobaczyłam, jest dla mnie najważniejsze. Dałam jej życie, a potem ją oddałam. Starłam się nie myśleć o tym, z czego zrezygnowałam, co mi umknęło przez te szesnaście lat. A teraz nie mogę myśleć o niczym innym. Kiedy dziś po mnie przyjechałeś, akurat kłóciłyśmy się z Luz. Zabrałam Lilę do miasta na jeden dzień, żeby sprawić jej przyjemność. – Dotknęła palcami brzucha. – Zrobiłyśmy sobie tatuaże. Chciałam, żebyśmy miały coś, co nas łączy.

Spróbował wyobrazić sobie szesnastoletnią Amber, która przychodzi do domu z tatuażem na brzuchu.

– To chyba nie jest najlepsza pamiątka.

– Wiem. – Dokończyła piwo. – A więc jak, doktorze? – powiedziała z przesadnym niemieckim akcentem. – Ta pacjentka chyba

nie rokuje, prawda?

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Z tobą, z twoją siostrą i z Lilą.

– Jasne. – Postawiła pustą puszkę na krawędzi stołu. Dusty chwycił ją, nim spadła na ziemię. – Wiesz, co mnie trochę przeraża? Postanowiłam sobie, że będę się trzymać od Lili z daleka. Dopóki tu nie przyjechałam, w zasadzie mnie nie znała. Byłam odległą, barwną postacią, podróżującą po świecie ciocią Jessie, która od czasu do czasu przysyła pocztówki z egzotycznymi znaczkami albo pisze e-maile z kafejek internetowych w Katmandu czy Kuala Lumpur. A mimo to ona jest do mnie pod wieloma względami bardzo podobna. Dziwne, nie?

– Hej, przecież ten wypadek nie przydarzył się jej dlatego, że jest z tobą spokrewniona. Ani dlatego, że tu przyjechałaś. Ten problem narastał już od jakiegoś czasu.

– Skąd wiesz?

– Bo pamiętam własną młodość. Problemy Lili nie pojawiły się w ciągu jednej nocy. To nie jest twoja wina ani wina twojej siostry. Winne są hormony i młodość.

– Tak naprawdę chodzi o zaburzenia w mózgu.

– Co takiego?

– Okazuje się, że brawura i lekkomyślność nastolatków wynikają z faktu, że ich mózg, a dokładnie mówiąc kora przedczołowa, jest niedojrzały. Ośrodki, które odpowiadają za formułowanie ocen, panowanie nad emocjami, organizację i planowanie nie są jeszcze do końca rozwinięte. To tłumaczy, dlaczego nastolatki robią takie idiotyczne rzeczy. Na szczęście po okresie dorastania mózg dojrzewa i młody człowiek uspokaja się. Dowiedziałam się tego wszystkiego, gdy

zbierałam informacje do artykułu dla Blair.

– Zajmujesz się też pisaniem?

– Od niedawna.

– Świetnie. Będę twoim pierwszym fanem. – Miał wrażenie, że odkrywa w niej nowe obszary. Urodziła Lilę, ale nigdy nie była matką. To go w niej fascynowało i wzruszało jednocześnie. Jednak ani przez chwilę nie wątpił, że Jessie jest w stanie pokochać dziecko. Po prostu nigdy wcześniej nie miała takiej szansy. – Nie wiem, skąd bierze się ten konflikt między tobą a Luz. Nie powiedziałaś Ianowi prawdy nie z pobudek egoistycznych, ale dlatego, żeby nie musiał wybierać między tobą a swoją siostrą. Luz postąpiła bezinteresownie, adoptując twoje dziecko. Obie chciałyście jak najlepiej. I do tego kochacie się. Co nie znaczy, że wszystko pójdzie łatwo. Popełniłaś błędy i musisz z tym żyć, tak jak każdy.

Oparła brodę na dłoni i westchnęła teatralnie.

– A ożenisz się ze mną?

Uśmiechnął się.

– Choćby jutro.

Wstała, odgarniając włosy z karku.

– W takim razie chodźmy zrobić próbę przed nocą poślubną.

Podniósł się i podał jej rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Mariachi zagrali ostatni utwór tego wieczoru, Dusty objął Jessie

i zaczął z nią tańczyć. Był kiepskim tancerzem, miał niewielką praktykę, ale wiedział, jak trzymać kobietę w ramionach i jak się z nią poruszać, żeby pokazać, czego tak naprawdę pragnie.

– Też muszę ci coś wyznać. – Pochylił się i szepnął jej coś do ucha.

– Nie znam hiszpańskiego.

– W takim razie będę musiał cię nauczyć.

Orkiestra umilkła. Dusty zapłacił rachunek i wziął Jessie za rękę. Poszli spacerem do Posada Santa Maria, gdzie mieli zatrzymać się na noc.

Zaspany recepcjonista przywitał ich skinieniem głowy. Weszli przez kamienną bramę na wewnętrzny dziedziniec. Jessie patrzyła z zachwytem na rozstawione w ogrodzie lampy i kwitnące poinsecje. Podeszła do pnących krzewów rozpiętych na jednej ze ścian.

– Wiciokrzew! I jaśmin! Pachnie tu jak w niebie. – Omal nie wpadła na pochyloną postać, na szczęście mężczyzna wyprostował się w porę i zszedł jej z drogi. – Przepraszam, nie zauważyłam pana – powiedziała prosto, ale poprawną hiszpańszczyzną.

– De nada, seniorita. – Mężczyzna zdjął kapelusz. Jako wyjaśnienie wskazał ręką na skrzynkę z kwiatami, które właśnie sadił.

– Dobranoc, senor – powiedział Dusty, biorąc Jessie za rękę. – Zamilkłaś. Coś się stało?

– Nie, tylko nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś sadił kwiaty w ciemności.

Roześmiał się cicho i zaprowadził ją do niewielkiego, prosto

urządzonego pokoju. Wyjął z kieszeni portfel i zaczął szukać prezerwatywy. Do diabła. Musiał ostatnio zużyć cały zapas i nie kupił nowych. No cóż, wyszedł z wprawy, przynajmniej jeśli chodzi o ten aspekt relacji z kobietą.

– Jakiś problem? – spytała Jessie.

– Nie mam prezerwatywy. A wątpię, żeby tu była nocna apteka.

– Biorę tabletki antykoncepcyjne. Poza tym jestem zdrowa, możesz mi zaufać.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Jego palce bezbłędnie odnalazły guziki z tyłu sukienki. Odsunął się na chwilę od Jessie, pokazując przymocowaną do ściany staromodną kropielnicę.

– To był kiedyś pokój zakonnicy? – spytała.

– Na to wygląda. – Zsunął jej sukienkę z ramion.

– W takim razie oboje będziemy musieli pójść do spowiedzi.

– Tak się może zdarzyć. – Pochylił się i przesunął wargami po koronce stanika.

Jessie przywarła do niego, zanurzając palce w jego włosach. Ta zwyczajna, stara jak świat pieszczota podziałała na Dusty'ego z niezwykłą siłą. Zrzucił z siebie ubranie i położył się na łóżku, pociągając za sobą Jessie.

Zawsze lubił seks. Lubiał smak i zapach kobiety. Lubiał dotykać jej skóry i słyszeć w uchu jej oddech. Śmierć Karen nie zmieniła tego. Ale teraz to jego pragnienie było czymś więcej niż tylko niezaspokojeniem, które nie pozwalało mu zasnąć przez tak wiele kolejnych nocy. Kilka razy był już o krok od tego, by wykręcić któryś z numerów telefonów

podawanych przez matkę. Lecz tamten niepokój zniknął. Co więcej, zniknęło zubożenie, a w to miejsce pojawiła się namiętność do Jessie. Tylko do niej. Ta myśl wywołała w jego sercu taką falę szczęścia, że przestał ją całować. Przytulił ją do siebie, rozkoszując się jej ciepłem i zapachem. Kilka razy w życiu miał poczucie, że zmierza we właściwym kierunku. Teraz też czuł w sobie taką pewność.

– Co się stało? – spytała. – Tak nagle się nad czymś zamyśliłeś.

– Przypomniało mi się, jak kiedyś byłem zmuszony do awaryjnego lądowania.

– Widzę, że bardzo cię podniecam – powiedziała z udawanym wyrzutem.

– Podczas lotu zaskoczył mnie niezapowiadany wiatr ze śniegiem. Próbowałem dotrzeć do domu przed zmrokiem. Na początku widoczność była kiepska, ale potem spadła praktycznie do zera. Na dodatek wysiadły mi światła w kabinie. Byłem tylko ja i ciemność. Wszystkie reguły dotyczące podchodzenia do lądowania mogłem sobie schować do kieszeni. Leciałem na ślepo.

Przytuliła się do niego mocniej.

– Ale udało ci się wylądować.

– Czasem myślę, że nie było w tym mojej zasługi. To było niesamowite. Po prostu nie miałem innego wyjścia. Musiałem spróbować.

– Moc była z tobą, Luke – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Szansa, że wyląduję bezpiecznie, była jak jeden do miliona.

Pamiętam, że widziałem tamtej nocy zorzę polarną. I jakoś udało mi się znaleźć to jedyne bezpieczne miejsce. – Uścisnął lekko jej palce. – To ty nim jesteś, Jessie.

– Jestem twoim lądowiskiem? To dość perwersyjne.

– Rzeczywiście. – Bawił się jej koronkowym stanikiem, zsuwając go coraz bardziej. – Byłaś kiedyś zakochana?

– Nie. – Jej odpowiedź była szybka i stanowcza. – Nie nadaję się do takich rzeczy.

– Na pewno się nadajesz. – Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. – Czekalaś jedynie na mnie.

Wyciągnął rękę i zgasił światło. Przycisnął Jessie do materaca i długim pocałunkiem stłumił słowa protestu. Rozkoszował się milczeniem, które między nimi zapadło, dotykiem jej dłoni na swojej twarzy, szyi i ramionach. Pieszczoty wypełniały te miejsca, dla których nie starczało słów.

Jessie nagle doceniła ciemność. Dusty otwierał przed nią świat doznań i uczuć, których nie zauważała w świetle dnia. Dopiero w aksamitnej czerni poczuła wilgoć jego ust na swoich wargach, umięśnione ramię przesuwane się jej pod palcami, smak Dusty'ego, dotyk. W rytmicznym biciu jej serca znikwały troski, ból, a nawet dojmujący lęk przed nieznanym.

W ciemnościach seks osiągał zupełnie nowy wymiar. Siła doznań zmysłowych oszołomiła ją. Poczuła rozkosz tak wielką, że prawie bolesną, a jednocześnie czułość kochanka dawała jej schronienie i nadzieję. Wkraczała na nieznaną obszar intymności, wręcz duchowości, który miał w sobie szczególne piękno. W ramionach Dusty'ego odnalazła nocny ogród, którego urody nie dało się zobaczyć, trzeba ją było odkryć znacznie głębiej. Poczuła, że w chwili takiej jak ta,

nie brakuje jej niczego.

A więc o to chodziło, pomyślała. Przez całe życie robiła wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Odpychała ludzi od siebie, porzucała ich i nie wiedziała, że przez cały czas biegnie w ramiona tego właśnie mężczyzny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Poranny lot pozwolił jej zachwycić się widokiem zagubionych klonów nad jeziorem. Samolot przesuwał się z południa na północ, skrzydła i kadłub odbijały się w gładkim lustrze wody. Drzewa przybrały kolor rdzy i zachodzącego słońca, tworząc ognistą plamę na tle skalistego krajobrazu.

Przycisnęła dłoń do szyby, zastanawiając się, jak długo będzie pamiętać ten widok. Przeważenie i dziwne uczucie nierealności nie pozwalały jej mówić, ale w głowie miała gonitwę myśli. Uda mi się to zachować na zawsze? A może obrazy blakną w umyśle tak samo jak stare fotografie? Starła się nie myśleć o tym, co straci. Za parę dni będzie miała dużo czasu na uzalanie się nad sobą.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Głos Dusty’ego wzniósł się ponad warkot silnika.

Zebrała się w sobie i spojrzała na niego. W tym wszystkim, co się teraz z nią działo, był dla niej źródłem siły i radości. Ale wkrótce stanie się tak samo nierealny jak roztaczające się wokół widoki. Zostanie po nim jedynie wspomnienie.

– Po takiej randce niewiele można powiedzieć.

Z chłopięcym zarozumiałym uśmiechem przesunął kilka wyłączników, przygotowując się do lądowania.

– Rzeczywiście było nieźle.

Jej całe ciało odpowiedziało falą tęsknoty za bliskością. Zrozumiała, że Dusty ją przejrzał: była gotowa go pokochać. To mógłby być zupełnie inny związek niż poszarpana relacja z Simonem czy krótkie romanse w dalekich krajach. Gdyby okoliczności były inne. Ale

on już przeżył stratę żony. Nawet Jessie nie była aż taką egoistką, żeby obarczać go jeszcze swoją tragedią. Jedyne, co mogła zrobić, to wycofać się, zanim będzie za późno.

Ale już było za późno. Może to szaleństwo, ale już go kochała.

Nie powiedział tego, ale wyczuwała ponad wszelką wątpliwość, że chciałby z nią pozostać na długo, może nawet na zawsze. Widział w niej matkę dla Amber. Ona też chciała stać się częścią ich życia, ale musiała stłumić to pragnienie.

Nie po raz pierwszy znalazła się na rozstajach. I nie po raz pierwszy wiedziała, że musi odejść. Różnica polegała jednak na tym, że tym razem to jej serce pękało. Miała zostawić to, co dla niej najcenniejsze, nie tylko Dusty'ego i Amber, ale także Lilę, Luz i chłopców. W świecie, który na nią czekał, nie było miejsca dla Dusty'ego. Zresztą on też nie chciałby się tam znaleźć. Miał własne życie i córkę, którą musiał wychować. Niewidoma kobieta byłaby mu jedynie kulą u nogi.

Gdy odwiózł ją z powrotem do Broken Rock, zebrała się na odwagę.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego, moja piękna?

– Nie możemy się więcej spotykać. – Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

Dusty przytulił ją do siebie.

– To nie jest śmieszne.

– Bo ja wcale nie żartuję.

– Na szczęście.

Wolałaby, żeby jej teraz nie obejmował. Wyswobodziła się z jego ramion i zrobiła krok do tyłu.

– Wkrótce wyjeżdżam.

– Jessie, zaczynasz mnie wkurzać.

– Ja tak działałam na ludzi. Spytaj moją siostrę. – Kręciło jej się w głowie, jakby miała rzeczywiście stąd odlecieć. Każde wypowiedane słowo raniło jej serce. – Nigdy nie zatrzymuję się na dłużej w jednym miejscu. Zawsze taka byłam.

– A co takiego jest gdzieś indziej, co każe ci stąd wyjeżdżać?

– Moje życie. – Już nieraz raniła ludzi. Zawodziła ich zaufanie. Ale zawsze radziła sobie z poczuciem winy, tłumacząc sobie, że ich ból i rozczarowanie z czasem przeminą. Ale teraz czuła się zupełnie inaczej. Ją i Dusty'ego połączyło już zbyt wiele. Rozstanie zrani ich oboje. Ale pozostanie tu ich zniszczy. – Mam swoje plany. Muszę wyjechać.

– Popelniasz błąd.

– To moja sprawa.

Wziął ją za rękę.

– Nie pozwolę ci odejść.

– Nie możesz mnie zatrzymać. – Odsunęła się od niego.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę. W jakiś dziwny sposób wyraźnie odbierała emocje, które się w nim kłębiły: konsternację,

czułość, złość, rozczarowanie. Miłość.

Idź stąd natychmiast, poganiała go w myślach. Uciekaj, zanim świat rozpadnie się na kawałki.

– Posłuchaj – zaczęła. – Powinieneś już wracać do domu, do swojej ślicznej córeczki.

– Pojedźmy do niej razem.

Wiedziała, do czego Dusty zmierza. Chciał, żeby przytuliła się do Amber. Wiedział doskonale, jak chętnie oddałaby temu dziecku serce.

– Nie mogę – szepnęła z bólem.

– Musisz. Wczoraj nie powiedziałem ci o sobie całej prawdy.

– Co jeszcze masz mi do powiedzenia?

– Kiedy Amber się urodziła, spodziewałem się, że między nami natychmiast pojawi się silna więź. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Nie pokochałem jej od razu.

– Chyba żartujesz! – Mimo tych słów doskonale go zrozumiała. – Przecież ją uwielbiasz, ona ciebie zresztą też.

– To przyszło z czasem. Ale na początku moja miłość nie była wystarczająca. Byłem... Nawet nie wiem, jak to opisać. Nie umiałem się nią zajmować, byłem zagubiony i przestraszony. I ona to wyczuwała. A teraz, kiedy coś złego się z nią dzieje, biegnie do Arnufa, a nie do mnie.

Objął ją ramieniem.

– Kiedy cię poznałem, wiedziałem, że to się zmieni. Nie umiem

jeszcze tego nazwać, ale jestem o nią spokojniejszy. Chciałbym się z nią bawić, a nie tylko się o nią martwić. Ta zmiana jest bardzo subtelna, ale kiedy jestem z tobą, świat staje się lepszy.

Uwolniła się z jego uścisku.

– Nie wymagaj tego ode mnie. Daleko mi do Mary Poppins.

– To prawda. Ona odeszła, a ty zostaniesz. – Roześmiał się, widząc jej minę. Nie wiedział, że miała to być maska kryjąca ból. – Chcę, żebyś wiedziała, że przy tobie jestem lepszym człowiekiem. I lepszym ojcem.

– Wyjašnjmy coś sobie. – Starła się mówić chłodno i pewnie. – Mam z tobą zostać, żebyś mógł się lepiej zajmować swoim dzieckiem?

– Wiesz przecież, że nie o to chodzi.

– Musisz już jechać do córki – przypomniała.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mocno i zachłannie. Gdy szedł do samochodu, suchy żwir chrząścił mu pod butami.

– Średnio mnie to bawi, Jess – rzucił jej przez ramię. – Porozmawiamy o tym wieczorem.

Wieczorem mnie tu nie będzie, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Żeby go zobaczyć, musiała odwrócić głowę. Pozostał jej już jedynie niewielki skrawek pola widzenia w prawym oku. I teraz też starała się utrwalić ten obraz w umyśle, tak by mogła go potem oglądać jak starą fotografię. Nie wiedziała, czy Dusty macha do niej na pożegnanie, więc uniosła rękę, a potem dotknęła palcami do ust i do serca.

Gdy Dusty odjechał, weszła do domu i zadzwoniła po samochód.

Jak każdego ranka w kuchni Luz panowało spore zamieszanie. Stanąwszy na progu, Jessie poczuła przerażenie i nagłą potrzebę wyjazdu. Pośród smug światła i ciemności, cieni i szczegółów, zobaczyła Luz stojącą jak zwykle w swoim punkcie dowodzenia przy blacie kuchennego aneksu. Chłopcy jedli przy stole płatki, młodszy w skupieniu słuchali Wyatta, który czytał im kolejny odcinek przygód Harry'ego Pottera.

– Co tam słyhać u dowództwa? – spytała Jessie, wchodząc do kuchni.

– Próbuję opanować ten chaos. To moja specjalność.

Jessie usiłowała odgadnąć, w jakim nastroju jest siostra, ale wyczuwała jedynie energię porannego zmęczenia przy wyprawianiu dzieci do szkoły.

Przesuwając dłonią wzdłuż blatu, Jessie dotarła do stołu. Zapach kawy był bardzo kuszący, więc postanowiła nalać sobie trochę. Najpierw kubek. Czwarta szafka od okna. Potem podeszła do blatu, tam gdzie stał ekspres z dzbankiem. Zaczepiła czubkiem palca za krawędź kubka, ale przegapiła właściwy moment.

– Ciociu, uważaj! – zawołał któryś z chłopców, gdy gorąca kawa rozlała się po podłodze.

Odskoczyła, klnąc pod nosem. Zaczęła szukać po omacku ręczników papierowych, które zwykle leżały po prawej stronie zlewu.

– Zawsze była ze mnie niezdara – oznajmiła, wycierając na ślepo podłogę. Gdy Luz ukucnęła przy niej, żeby pomóc, poczuła ulgę, ale też i złość. – I znów musisz po mnie sprzątać. Chyba powinnam dostać jakąś karę. – Podeszła do stołu i usiadła obok Scottiego. – Czy to miejsce jest wolne?

– Aha.

Zmierzwiała mu włosy.

– Założę się, że ty nigdy niczego nie rozlewasz.

– No.

– Wcale nie. – Wyatt nałożył sobie kolejną porcję Cheerios, a potem wyjął miseczkę dla Jessie, choć nikt go o to nie prosił.

Luz postawiła przed nią kubek z kawą.

– No i jak tam wczorajsza randka?

– To opowieść dla widzów dorosłych – powiedziała Jessie ze znaczącym uśmiechem.

– Mama nie pozwala nam oglądać filmów dla dorosłych – oznajmił Owen.

– I słusznie. – Jessie pochyliła się i pocałowała go w głowę.

Wyatt pił sok przez słomkę, wydając przy tym tak głośny odgłos siorbania, że Luz zabrała mu szklanekę.

– Jesteś najstarszy. Powinieneś dawać przykład.

– Mam wybekać wszystkie litery alfabetu? – spytał Wyatt.

– Tak! – Scottie niemal podskoczył z radości i zaczął walić łyżką w stół.

Luz skończyła pakować torebki z drugim śniadaniem.

– Wyatt, spójrz na zegarek. Za dwie minuty macie autobus. – Nawet Luz nie umiała ukryć ulgi w głosie.

Starsi chłopcy zaczęli w pośpiechu pakować plecaki, wpychali koszulki do spodni i w ostatniej chwili podsuwali mamie do podpisu szkolne zawiadomienia. Z tupotem ruszyli do drzwi, krzycząc „Do widzenia!” do ojca, który był jeszcze na górze. Luz całowała ich na progu na pożegnanie i wrzucała do plecaków torebki z drugim śniadaniem.

Po wyjściu chłopców zapadła cisza. Luz usiadła obok Jessie i westchnęła z ulgą.

– Oto moje życie wśród dzikusów.

– Ja też jestem dzikusem? – spytał Scottie.

– Nie, chyba że nauczysz się bekać alfabet – powiedziała Jessie.

– Świetnie! – roześmiała się Luz. – Teraz już na pewno będzie ćwiczył codziennie.

Jednak Jessie zauważyła w jej głosie nutę rozdrażnienia. Wstrzymała oddech, czekając na drugą część „Wielkiej dyskusji o tatuażach”, ale Luz sprawiała wrażenie roztargnionej. Zawsze się tak kłóciły, nawet w dzieciństwie – unikały trudnych kwestii i pozwalały, by nierozwiązane problemy buzowały pod powierzchnią. W ten sposób nigdy niczego nie rozwiązały, ale przynajmniej zachowały pokojowe stosunki.

Luz pogłaskała Scottiego po włosach.

– Ubieraj się, dzisiaj Arnufu się tobą zajmie.

– Hura! – Chwytał tenisówki leżące przy drzwiach. Widząc, że

siostra schodzi na dół, podbiegł do niej i osunął się przed nią na podłogę.

– Lila, pomóż mi zawiązać buty! – zawołał, wyciągając przed siebie nogę.

Z przesadnym westchnieniem odłożyła plecak.

– Znowu.

Jessie zauważyła, że nawet gdy Lila była w podłym nastroju, Scottie potrafił zmusić ją do uśmiechu. Przypominał jej też, że nie jest najważniejszą osobą na świecie.

Luz pochyliła się do Jessie przez stół.

– No i jak było?

– Zabrał mnie na meksykańską kolację.

– To akurat wiem.

– Do Meksyku.

Luz teatralnym gestem chwyciła się za serce, udając, że mdleje.

– Jezu, jakie to romantyczne!

– Żebyś wiedziała – powiedziała Jessie z nutą zadumy. – Zabrał mnie do ślicznego miasteczka Candela, jakieś półtorej godziny lotu stąd. Zjedliśmy kolację i spędziliśmy noc w kolonialnej gospodzie. Nasz pokój był... Właściwie ledwo go pamiętam. Miał na ścianie kąpielnicę. – Przypomniała sobie, co przeżyła tej nocy. Otworzył się przed nią świat nieznanych do tej pory emocji. – On jest niesamowity.

– I też za tobą szaleje. – Luz wiedziała, że coś się dzieje. – A jakie

plany na dziś? – spytała. – Zabierze cię do Nowego Orleanu?

Lila nalęła sobie soku do szklanki i pięła go, opierając się o blat.

– Dusty Matlock?

– Jess powiedziała, że lubi meksykańską kuchnię, więc zabrał ją wczoraj do Meksyku – wyjaśnięła Luz.

– Fantastycznie!

Gdy Lila przygotowywała grzanęę, Luz zaczęła pakować plecak Scottiego. Miała na sobie górę od piżamy, rajstopy i eleganckę spódnicę z gabardyny.

– Mamo, jesteś tylko w połowie ubrana – zauważyła Lila.

– Dokończę po śniadaniu. Przyjadę dziś do twojej szkoły, żeby zrobić jeszcze kilka zdjęć do artykułu. – Zawahała się. – To dla mnie bardzo ważne.

Lila przerzucała gorącą grzanęę z ręki do ręki.

– Jak sobie chcesz.

– Właśnie, jak chcesz – zawtórował jej Scottie.

Może to o to chodzi, pomyślała Jessie z ulgą. Może Luz jest taka roztargniona, bo myśli o robieniu zdjęć. Ale mimo to czuła jakieś napięcie.

– Może pobujam cię na huśtawce, dopóki Arnufu nie przyjedzie? – zaproponowała Scottiemu.

– Super!

Jessie wzięła go za rękę.

– No to mnie zaprowadź.

Dzielnie poprowadził ją na dwór. Z roztargnieniem popychała huśtawkę, sprawdzając stan swojego wzroku. Zmiany barwnikowe, które zauważyła doktor Margutti, postępowały. Kolory stały się bledsze, tak jakby wszystko wokół spowijała piękna mgła, co było oznaką końcowego stadium choroby. Umiała opisać w terminach medycznych to, co się z nią dzieje. Jej umysł nadal zachowywał kontrolę, rzeczowo obserwował zanikanie światła. Taka postawa była dużo bezpieczniejsza niż analizowanie własnych emocji i zastanawianie się, na jakim etapie przystosowania się znajduje. Pewnie gdzieś między paniką a rezygnacją.

Usłyszała na drodze warkot samochodu. Nie, jeszcze nie teraz!

– Arnufu przyjechał! – Scottie wystrzelił z huśtawki jak z procy.

Jessie podniosła siostrzeńca na pożegnanie.

– Do zobaczenia, mały. Uważaj na siebie.

– Dobra.

Pocałowała go w miękki policzek.

– Może pojedziesz z nami? – zapytał Arnufu.

– Tak, pojedź z nami! – zawołał Scottie, mocując się ze swoim pasem.

– Mam dziś dużo roboty – powiedziała z wysiłkiem. – Ucałujcie ode mnie Dusty’ego i Amber.

– Sama to zrób. – Arnufo zajął miejsce za kierownicą. Odjechali, zostawiając za sobą chmurę pyłu.

Dopiero po kilku dobrych minutach Jessie opanowała się na tyle, żeby wejść z powrotem do domu. Luz wycierała stół, a Lila skubała śniadanie.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego to robisz – mówiła. – To już w niczym nie pomoże.

Jessie zorientowała się, że kłóca się o artykuł.

– A w czymś zaszkodzi? – spytała, siadając obok Lili.

– Mama do wszystkiego się wtrąca. Do tego też musi?

– Nie zrobię nic, co sprawiłoby ci przykrość – powiedziała Luz. – Czy to będzie dla ciebie jakiś problem?

Powiedz prawdę, ponagliła ją Jessie w myślach.

– Bo jeśli powiesz, że tak, to natychmiast zrezygnuję.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– Chyba nie – powiedziała w końcu Lila. – Możesz robić te zdjęcia, jak chcesz. I tak wszyscy wpadli w amok na ich punkcie.

– Wydaje mi się, że to oznacza podziw – zwróciła się Jessie do Luz, a potem szybko zmieniła temat. – Nie macie pojęcia, czego dowiedziałam się o mózгах nastolatków. – Opowiedziała im o odkryciach dotyczących kory przedczołowej.

Lila udawała brak zainteresowania.

– No i co z tego?

– Ano to, że nie będziesz niezdolna przez całe życie. – Nie musisz być taka jak ja, dodała w duchu.

Luz przytuliła ją.

– To znaczy, że z tego wyrośniesz, a do tego czasu i tak będziemy cię kochać. Więcej niczego nam nie potrzeba.

– Może. – Lila wzruszyła ramionami.

Luz poszła na górę się ubrać. Gdy zostały same, Lila wstała od stołu i podniosła nieco koszulę, odsłaniając tatuaż, od którego jej mama omal nie dostała apopleksji.

– Trochę mnie swędzi – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – A ciebie?

– Mnie też. Ale to minie. Żałujesz?

– Zwariowałaś! – Lila poprawiła sobie fryzurę. – Jestem teraz nową kobietą.

– To jest właściwa postawa.

– Myślałam, że się załamie, kiedy okazało się, że nie mogę iść na Dzień Absolwenta – wyznała Lila. – Ale poznałam jednego chłopaka. Nazywa się Andy Cruz, jest w maturalnej klasie i jest wolontariuszem z służbie ratowniczej. Jako jeden z pierwszych pojawił się na miejscu wypadku. Chce do mnie przyjechać, żeby mi pokazać jakieś przedmioty, które wtedy znalazł, i zapytać, czy któreś są moje. A po tym, co się stało, chodzenie na Dzień Absolwenta w zasadzie nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma! Jesteś za młoda, żeby tak myśleć!

– Andy i tak nie idzie. I jest jeszcze bardziej przystojny niż Heath Walker, o ile to w ogóle możliwe. Nie chodzimy ze sobą ani nic takiego. Chyba może mnie odwiedzić, gdy tata i mama będą w domu, prawda?

– O tym nie ja decyduję! – Jessie wykonała gest, jakby oganiała się od złego, ale żartowała tylko częściowo. Jej córka była taka piękna, pod każdym względem. Miała w sobie siłę i wrażliwość, młodzieńczą niecierpliwość i cudowną delikatność, była nierozważna i ostrożna jednocześnie. Jessie z żalem pomyślała, że nie była świadkiem jej życia. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo zazdrościła Luz! Ona uczestniczyła w sprawach i wydarzeniach dużo ważniejszych niż wszystkie sukcesy Jessie razem wzięte.

Podeszła do Lili, która stała w kącie pokoju, przeglądając książki i zeszyty.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła Jess.

– Tak? Słucham.

Jessie usiłowała znaleźć odpowiednią równowagę pomiędzy tym, co chciała powiedzieć, i tym, co Lila powinna wiedzieć. Zrozumiała, że są to dwie różne rzeczy. Powiedzenie o przeszłości należało do Luz – ale wcześniej ona też musiała poznać wszystkie fakty.

Jessie wyciągnęła rękę i przyglądała Lili włosy. W tym geście musiało być coś niezwykłego, bo Lila odłożyła książki i spojrzała na ciotkę.

– Masz fantastyczną fryzurę – powiedziała Jessie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A poza tym....

– Co poza tym?

– Zwiedziłam prawie cały świat. Poznałam setki najróżniejszych ludzi. Ale chcę, żebyś wiedziała, że tak cudownej, wspaniałej istoty jak ty nie widziałam w całym swoim życiu i na pewno nigdy nie zobaczę.

Lila nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Nie rozumiała, skąd się wzięła ta nagła czułość.

– Dzięki, ciociu. Ale muszę już lecieć. Zaraz mam autobus. – Wzięła torbę i podeszła na moment do lustra. Jednak przed wyjściem podbiegła jeszcze do Jessie i objęła ją.

Miała mocne ramiona, gładką, pachnącą skórę. Jessie przymknęła oczy, żałując, że nie może czarodziejską mocą wnikać na zawsze do jej serca.

– Kocham cię – szepnęła.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała Lila, robiąc krok do tyłu i odwracając się do drzwi. – Do zobaczenia po południu. Cześć, mamó!
– krzyknęła – Cześć, tato!

– Cześć, moja najdroższa – szepnęła Jessie, choć wiedziała, że Lila jej nie usłyszy.

Chwilę później pojawił się Ian ubrany w strój skazańca, jak go nazywał, tylko częściowo żartując. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę, granatowy krawat i skórzane buty, zresztą jedyną parę, jaką posiadał.

– Dzień dobry, Jess – powiedział, nalewając sobie kawę.

– Cześć.

– Zobaczymy się później, nie?

– Tak. – Słyszała, jak Ian wychodzi, słyszała trzaśnięcie drzwi. A potem przypomniało jej się, co mówił Dusty o miłości i zaufaniu i o tym, że najboleśniej nawet prawda jest lepsza niż milczenie. Jedyną rzeczą gorszą od powiedzenia prawdy jest życie w kłamstwie. Najwyższy czas to zrobić.

Postanowiła wyjechać dyskretnie, po cichu. Zawsze tak robiła, tylko że tym razem nie wynikało to z egoizmu. Chciała oszczędzić Luz zmartwień. Poza tym wiedziała, że siostra będzie jej wszystko ułatwiać, a ta ingerencja, nawet jeśli wynikająca z dobrych intencji, zniweczy wszelkie plany niezależności Jessie i zerwie wąłłą nić ich relacji. Ale o jednej rzeczy Jessie musiała im powiedzieć. Zachowanie milczenia byłoby łatwiejszym wyjściem, lecz wewnętrzny głos uparcie jej powtarzał, że prawda ma znaczenie. I to duże.

Wyszła za szwagrem na zewnątrz.

– Ian! – zawołała.

Chrzęst żwiru na ścieżce ustał.

– Zapomniałem czegoś?

– Nie. Ale muszę z tobą porozmawiać.

– Dobra. – Spojrzał na zegarek. – Tylko że mam dziś sprawę w sądzie.

– Chyba będziesz musiał to zostawić swoim współpracownikom.

– Coś się stało?

Jessie przycisnęła dłonie do maski samochodu, czując na sobie ciepłe promienie porannego słońca. Dnie stawały się już coraz chłodniejsze i coraz krótsze.

– Wiem, że ostatnio dużo się wydarzyło, ale musimy porozmawiać o Lili.

– Uzgodniliśmy z Luz, że jej o wszystkim powiemy. Chcemy znaleźć odpowiedni moment.

– Rozumiem. To musi zależeć od was. – Uśmiechnęła się nieznacznie, bo jego zaskoczenie sprawiło jej pewną przyjemność. – Przyznaję, zachowałam się trochę jak egoistka, za mocno was naciskałam. – Wyduś to wreszcie, ponagliła siebie, przestępując z nogi na nogę. Nie wolno ci wyjechać, nie mówiąc tego, co powinnaś była powiedzieć już dawno temu. – Nie byłam wobec was do końca szczera. Gdy powiecie Lili o wszystkim, z pewnością zapyta, kto jest jej biologicznym ojcem.

Zanim jeszcze skończyła mówić, cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Ja jestem jej ojcem – powiedział ze złością.

– To prawda, zawsze byłeś jej ojcem. Ale jesteś także ojcem biologicznym.

Spojrzał na nią ze łzami w oczach.

– Boże, Jess! Przecież cię o to pytałem....

– A ja zaprzeczyłam. Ale już dłużej nie mogę tego ukrywać. Jestem zmęczona. Mam dość udawania. Po wypadku pomyślałam sobie, że powinieneś o tym wiedzieć. I to nie tylko ze względów medycznych, ale dlatego, że taka jest prawda. Lila jest prawie dorosła i ma prawo wiedzieć, kim jest jej biologiczny ojciec. Przepraszam, że skłamałam,

ale zrobiłabym to raz jeszcze.

– Ale po co? Nie mówiłaś o tym przez tyle lat, po co mamy teraz to wywlekać?

– Bo wtedy byłam przerażona. Bałam się, że prawda zniszczy nasz związek. Ty czułyś się za mnie odpowiedzialny, a Luz czułaby się zdradzona przez nas oboje. Albo moglibyśmy zrobić jakieś głupstwo, na przykład wziąć ślub. A teraz wszystko jest inaczej. Ty i Luz tworzycie mocny związek.

– Tak myślisz? – Jego twarz z popielatej stała się czerwona.

– To nieprawda?

– A skąd ja to mogę wiedzieć, do cholery! Ciągłe pracuję, a ona jest ciągle zajęta albo swoimi sprawami, albo dziećmi. Mówimy tylko: „podaj mi sól” albo „włóż pranie do suszarki”. – Przeczesał palcami włosy. – Coś takiego może nas...

– Przecież ty ją kochasz. Każdy to wie. A ona poza tobą świata nie widzi.

Oparł się ciężko o samochód.

– Szlag by to trafił! Jak mogłaś to przede mną ukryć? – W jego głosie dzwięczała ostra nuta.

– Nie wiedziałam, co robić. I teraz też nie wiem. Ale taka jest prawda i ty masz prawo ją znać. Od ciebie zależy, czy powiesz o wszystkim Luz. A oboje zdecydujecie, czy powiedzieć Lili.

– Jasne – powiedział z rezygnacją. Potarł dłonią policzek, jakby nagle zaczęła mu rosnać broda. – Dobra, Luz powinna o wszystkim wiedzieć.

– O czym mam wiedzieć? – Luz weszła na podjazd. Podała Ianowi brązową torbę z drugim śniadaniem i wspięła się na palce, żeby go pocałować w policzek. Ale zauważywszy jego minę, zrobiła krok w tył.

Na krótki moment w powietrzu zawisło milczenie. Jessie patrzyła na siostrę, wiedząc, że za chwilę jej świat wywróci się do góry nogami. Wiedziała, że zapamięta ją właśnie taką – lekko zaniedbaną, z otwartym spojrzeniem, z twarzą wyrażającą siłę i troskę o innych. Miała małe oczko w rajstopach i złamany paznokieć.

Ian zerknął na zegarek i westchnął nerwowo.

– Muszę zadzwonić, żeby mnie ktoś zastąpił.

– Najpierw mi powiedz, o co chodzi.

– Właśnie rozmawialiśmy z Jessie o tym, że znaliśmy się podczas studiów.

– Naprawdę? W ogóle o tym nie wiedziałam!

– Zanim się poznaliśmy, spotkałem się z twoją siostrą kilka razy.

Luz otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Żartujesz!

– Nie pasowaliśmy do siebie – powiedziała Jessie pośpiesznie. – I szybko o tym zapomnieliśmy. A potem wy zaczęliście ze sobą chodzić. To było tak idiotyczne, że nic nie powiedzieliśmy.

– Ale mówicie o tym teraz.

– Poszliśmy ze sobą do łóżka. – Te słowa zabrzmiały dziwnie

nawet dla niego samego. – Popełniliśmy głupstwo, a potem się rozstaliśmy. Nawet o tym nie pamiętałem, dopóki Jess....

Cisza była nieznośna. Z zarośli dobiegały głosy przedrzeźniaczy.

– Mój Boże. Lila. – Luz znieruchomiała.

Jessie skinęła głową.

– Nie wiedziałem o tym, przysięgam. Jess powiedziała mi dopiero teraz. – Ian ujął dłoń Luz, a kiedy nie zaprotestowała, podniósł ją do ust i pocałował. – Luz, kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Wyszarpnęła rękę i szybkim krokiem przeszła na drugą stronę samochodu.

– Ian, wsiadaj. – Nie czekając na jego reakcję, usiadła na miejscu pasażera. Patrząc wprost przed siebie, zapięła pas. – Jedziemy.

Ian zacisnął usta, wsiadł do auta i uruchomił silnik.

Zanim zdążyli odjechać, Jessie dała znak, żeby Luz opuściła szybę. Pochyliła się do siostry, starając się zapisać w sercu jej obraz.

– Luz, przepraszam.

– Zawsze wybierasz najgorszy moment.

Jessie chciała wyjaśnić, że nie mogła już dłużej czekać, ale wiedziała, że to jedynie wywoła kolejne pytania.

– Wiem – powiedziała cicho.

Luz wiedziała, że obok niej siedzi Ian, słyszała, że w radio nadają audycję dla farmerów, widziała pustą drogę wijącą się wśród

piaszczystych, zalanych słońcem wzgórz. A jednocześnie miała wrażenie, że stoi gdzieś z boku, wrzucona wyznaniem Jessie na nieznane terytorium. Otrzymała bolesny cios i cały czas była w szoku, jak ofiara fizycznej napaści. Ian mówił coś do niej, ale nie umiała rozróżnić słów.

Minęli zakręt i poranne słońce zaświeciło jej prosto w oczy. Po chwili do kokonu odrętwienia przedostała się złość. Grunt usuwał się jej spod nóg, a ona nic z tym nie mogła zrobić. Złość gotowała się w niej niczym trucizna na wolnym ogniu, przypominając w każdej sekundzie, że wszystko, co było dla niej ważne, znalazło się w niebezpieczeństwie.

Przyszło jej do głowy, że Jessie miała w życiu wszystko, i to pierwsza. Nawet Iana. Ta świadomość wzbudziła w niej ślepa wściekłość. Zamknawszy oczy, widziała ich wyraźnie: młodych, radosnych, oddających się pożądaniu bez zwracania uwagi na konsekwencje.

– ...i o wszystkim zapomniałem – mówił Ian. – A kiedy poznałem ciebie, w ogóle o tym nie pomyślałem.

Luz zrozumiała, że mówi o dawnym romansie z Jessie. Romans. Do tej pory to słowo nigdy nie kojarzyło jej się z Ianem.

– A kiedy dowiedziałeś się, że jesteśmy siostrami? – spytała. Luz kręciło się w głowie, jakby brakowało jej tlenu. – Czy wtedy nie przyszło ci do głowy, żeby mi powiedzieć?

– Nam nie przyszło do głowy – poprawił ją. – Przystaliśmy się spotykać kilka tygodni wcześniej. W ogóle o niej zapomniałem. – Wjechał na przydrożny parking. – Posłuchaj, Luz. Zanim cię poznałem, robiłem różne głupie rzeczy. Kiedyś tak się upiłem, że zламаłem jednemu gościowi nos, przez co omal nie wyrzucili mnie ze studiów.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Bo nie jestem z tego dumny i nie chcę się nad tym rozwodzić. Złowiłem też największego okonia na zawodach wędkarskich i wyrwałem sobie wszystkie zęby mądrości. Jak byłem w szóstej klasie, specjalnie zrobiłem błędy w eliminacjach do konkursu ortograficznego, żeby zdążyć na wybór drużyn do turnieju szkolnej ligi bejsbolowej. O tym też ci nie powiedziałem. Rzeczywiście, spotykałem się z twoją siostrą, ale w ogóle przestałem o tym myśleć. Bo zakochałem się w tobie.

Patrzyła przed siebie. Jego litania wydarzeń, które miały miejsce, zanim się poznali, brzmiała fałszywie, bo nic na tej liście nie dotyczyło jej siostry. Mimo to wierzyła, że ten romans nie miał dla niego znaczenia. I wierzyła, że był tak samo zaskoczony jak ona, gdy dowiedział się, kto jest ojcem Lili. A jednocześnie czuła się zdradzona i oszukana przez nich oboje. Nie umiała się pogodzić z faktem, że jej małżeństwo było oparte na półprawdzie. Gdyby знаła prawdę, w ogóle by do niego nie doszło. Ale czy to znaczyło, że jej małżeństwo też było nieprawdziwe? A jej miłość do Iana?

– Musimy się zastanowić, co powiemy Lili.

– A czy musimy mówić jej cokolwiek?

Odwróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Uważasz, że nie powinniśmy jej mówić?

Rozluźnił krawat.

– To ogromny ciężar dla nastolatki. Co sobie pomyśli, kiedy dowie się, że sypiałem kiedyś z twoją siostrą? Nie będzie się zastanawiać nad kolejnością zdarzeń. Zostanie jej w głowie tylko tyle, że ja i Jessie chodziliśmy ze sobą do łóżka.

Luz skrzywiła się. Wypełniło ją dojmujące przerażenie. Uda im się przez to przejść? A może wyznanie Jessie uwidocznilo jedynie rysy od dawna obecne w ich związku?

- Nie chcę już więcej kłamać.
- Czy niepowiedzenie prawdy jest kłamstwem?
- Tak mi się zawsze wydawało.

Po ich odjeździe Jessie wróciła do pustego domu. Słyszała przyjazne trzeszczenie podłogi, szum wiatru w konarach drzew na zewnątrz, plusk fal uderzających o brzeg. Po raz ostatni przeszła po domu swojego dzieciństwa, myśląc z podziwem, że Luz udało się wypełnić to miejsce ciepłem. Gdy były małe, ten dom był dla nich jedynie pozbawionym uczuć schronieniem. Luz, jako żona i matka, wprowadziła tu miłość i dała swoim dzieciom bezpieczną przystań.

Jessie wypuściła z siebie całą zazdrość wobec siostry. To była część bagażu, którego nie chciała zabierać w dalszą drogę. Już wcześniej zaczęła się go pozbywać: zrezygnowała z kariery zawodowej i związku z Simonem. Wiedziała, że już nigdy nie nadrobi braków w relacji z Lilą. Ale najtrudniej było poradzić sobie z tęsknotą za Dustym. W końcu zakochała się w mężczyźnie, ale nie mogła zostać, by przeżyć tę miłość. Nie z własnej woli wkraczała w tajemniczy, nowy świat, i chciała tam wejść bez zbędnych obciążeń.

Chciała się jednak z tym wszystkim pożegnać.

Zdjęła z półki słoik marzeń i wydarła kartkę z notesu Luz. Napisała na niej coś, czego zapewne jeszcze długo nikt nie przeczyta.

Przyjechała tu, bo chciała zobaczyć swoją córkę. I chciała, żeby ona ją też zobaczyła. Dopiero teraz potrafiła przyznać sama przed sobą, że wróciła do domu po rozgrzeszenie.

Chrzęst opon na żwirze przypomniał jej, co miała zrobić. Owinęła monetę zapisaną kartką papieru, przycisnęła ją lekko do ust i włożyła do słoika. Odstawiła słoik na półkę i po raz ostatni przyjrzała się fotografiom wiszącym na ścianie. Z przymrużonymi powiekami patrzyła na dumne pozy, szerokie uśmiechy, zwariowane kostiumy. Zdjęcia przypominały wielką patchworkową narzutę.

W rogu na dole zauważyła zdjęcie swoje i Luz. Były do siebie tak podobne, że większość ludzi z pewnością nie umiałaby ich odróżnić. W tej fotografii nie było nic niezwykłego. Luz musiała ją zrobić z użyciem samowyzwalacza. Wcisnęła spust migawki i popędziła, by zająć miejsce, zanim aparat robi zdjęcie. Wypełniały cały kadr – roześmiane patrzyły w obiektyw, unosząc splecione ręce w geście zwycięstwa. A może po prostu ze zwykłej radości.

Rozległ się klakson oznaczający, że samochód przyjechał. Obraz rozmazał się, zostawiając po sobie wyblakłą smugę. Szybkim gestem przycisnęła palce do fotografii, którą od dawna miała utrwaloną w sercu.

– Do zobaczenia, Luz.

CZEŚĆ 2

Potem

Śmiercią rozumu nie jest ciemność, ale inny rodzaj światła.

Kathy Acker „Kicia, król piratów”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Był chłodny, lutowy dzień. Legendarne upały na wzgórzach wydawały się odległym wytworem wyobraźni. Zadzwoił telefon. Luz niosła przed sobą wielki kosz wypełniony brudną bielizną, więc postanowiła nie odbierać. Najwyżej odsłucha później wiadomość na sekretarce. Ian podarował jej na Gwiazdkę drugą linię telefoniczną do spraw służbowych. Mało romantyczny prezent, ale potrzebny. Luz sama mu to podpowiedziała, a Ian po wyznaniu Jessie bardzo się starał spełniać wszystkie jej pragnienia. Tyle że próby ratowania ich związku przypominały trochę pakowanie ośmiornicy do pudełka.

Po publikacji artykułu w „Texas Life” życie Luz zmieniło się także pod innym względem. Autorką wzruszającego tekstu była Jessie, która przed swoim wyjazdem przesłała Blair gotowy materiał, ale największe wrażenie robiły fotografie. Fotoedytorzy w całym kraju musieli docenić ich wartość, bo zaczęli dzwonić niemal natychmiast.

Odrzucała większość zleceń. Żeby zostać teksańską Annie Leibovitz, musiałyby rozwiązać mały problem pod nazwą brak czasu. Ale niektóre zamówienia były tak interesujące, że nie umiała odmówić, jak chociażby reportaż z dorocznego festiwalu arbuźów w Luling czy opowieść o obozie dla dzieci będących w żałobie po stracie któregoś z rodziców.

Wszystko to było dziwne i ekscytujące jednocześnie. Jedynym cieniem była nieobecność Jessie i zniszczenia, które po sobie pozostawiła.

Jessie nie po raz pierwszy w życiu wyjechała w ten sposób: bez uprzedzenia, bez wyjaśnienia i bez podania nowego adresu. Powoli stawało się to jej specjalnością. Luz wysłała do niej kilka e-maili, ale wszystkie wracały z powodu przepełnienia skrzynki. Była zła na Jessie i uważała, że ma rację. W końcu siostra przez wiele lat ukrywała przed

nią straszną tajemnicę. A do tego wtargnęła w ich życie, zabrała Lilę do miasta, pozwoliła jej zrobić tatuaż i zafundowała wymyślną fryzurę.

Ale czasem ogarniał ją żal. Wiedziała, że dopóki Jessie znów się nie pojawi albo przynajmniej nie zadzwoni, nie będzie mogła pogodzić się ani z nią, ani z tym, co się stało.

Początkowy szok po ujawnieniu przez Jessie tajemnicy o tym, kto jest ojcem Lili, zamienił się w złość, a złość w ból. I ten ból nie mijał, mimo że Luz starała się używać rozsądnych argumentów. Przecież nie mogła mieć wpływu na to, co Ian robił, zanim się poznali. Przecież wcześniej on też miał swoje życie. Sypiał z innymi kobietami. Ale cały czas nie mogła zrozumieć, dlaczego nie powiedział jej, że jedną z tych kobiet była jej siostra. Coś złego stało się z ich małżeństwem i żadne z nich nie wiedziało, jak to naprawić.

– To była przygoda bez znaczenia – powtarzał Ian dziesiątki razy.
– Nie chciałem popsuć tego, co rodziło się między nami.

Luz nie zastanawiała się nad tym, czy ich ledwie zrodzone uczucie mogłoby wówczas ucierpieć. W ogóle unikała tego tematu.

Zanim dotarła do pralni przylegającej do garażu, usłyszała warkot podjeżdżającego samochodu. Trzymając przed sobą kosz z bielizną, wyszła na ganek. Chłodne powietrze szczypało w nos i policzki, na szczęście miała na sobie gruby, ciepły dres. Jasne zimowe słońce odbijało się w przedniej szybie samochodu.

Przez krótką chwilę miała nadzieję, że to może Jessie, ale zauważyła swoją pomyłkę, zanim jeszcze samochód się zatrzymał.

– Kobieto, odłóż ten koszmarny kosz! – zawołała Blair LaBorde, ledwo wysiadłszy z auta.

Luz posłusznie postawiła kosz na ziemi, ale Blair bynajmniej nie

była zadowolona. Patrzyła z dezaprobatą na Luz – na jej włosy niedbale związane z koński ogon i rozciągniętą bluzę.

– Jednak z koszem wyglądałaś lepiej. – Blair chwyciła Luz za rękę i energicznie pociągnęła za sobą do środka. – Dzwonił już ktoś?

– Nie. Ale o co chodzi?

– To dobrze. Chciałam ci to powiedzieć osobiście. Skarbie, wiesz jak cię kocham, ale naprawdę musisz sobie kupić jakieś porządne ubranie.

– A wydawało mi się, że to jest bardzo modne – zażartowała Luz.

– Jesteś niemożliwa. Ale nawet ty nie pojawiłabyś się w tym na rozdaniu nagród Endicott Prize.

Umysł Luz nie do końca zarejestrował tę informację. Wiadomość dotarła do niej, dopiero gdy naląła do dwóch kubków kawę i jeden podała Blair.

– Co takiego?

– Endicott Prize, skarbie. Najważniejsza nagroda dla fotografów. – Blair patrzyła na nią z uśmiechem. – Przyznają ją za... – Spojrzała na pognieciony faks. – Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie reportażu fotograficznego. Zwycięzców ogłoszono z samego rana. Szkoda, że nie słyszałaś tych okrzyków radości w redakcji.

Luz oniemiała. Wybitne osiągnięcia.

– Laureat dostaje też stypendium na dalsze studia. No i co ty na to?
– Blair zabębniła długimi paznokciami po stole. – Powiesz coś wreszcie czy nie?

Luz uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Chyba jestem w niebie.

– I wcale ci się nie dziwię. – Blair podniosła kubek w geście toastu.

Wiadomość była tak wspaniała, że Luz czuła się niemal zażenowana i nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

– Boże, szkoda, że Jessie tu nie ma! – Mówiąc te słowa, zrozumiała z pełną jasnością, jak bardzo tęskni za siostrą.

– Nadal nie masz od niej żadnych wiadomości?

Luz pokręciła głową.

– Tak bym chciała jej o tym powiedzieć. – Uświadomiła sobie, że jest to dla niej ważniejsze niż powiedzenie Ianowi, dzieciom czy mamie. Tak jakby nagroda się nie liczyła, dopóki Jessie się o niej nie dowie.

– W dzisiejszych czasach bez problemu można ustalić miejsce pobytu każdej osoby – zauważyła Blair.

– Jessie odezwie się, gdy sama będzie chciała. Tak zawsze było.

– A to, czego ty chcesz, nie ma znaczenia? Przyszło ci kiedyś do głowy, że ty też jej możesz potrzebować, a nie tylko ona ciebie?

To pytanie zaskoczyło ją. I kazało się zastanowić, czy przypadkiem powodem, dla którego nie zrobiła nic, żeby odnaleźć Jessie, był fakt, że do tej pory nie powiedzieli Lili prawdy. Tak naprawdę nie miała ochoty szukać swojej siostry. Jessie odsłoniła przed nimi tajemnicę, a potem wyjechała, zostawiając kwestię powiedzenia o wszystkim Lili w zawieszeniu. A Luz nieustannie odkładała rozmowę

z córką. Bez przerwy zastanawiała się, kiedy i jak jej to wyjaśnić. Czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, na temat adopcji i rodzin adopcyjnych, pocieszając się myślą, że nie tylko ona ma taki dylemat. Najczęściej o tej kwestii się nie mówiło, zwłaszcza w takich rodzinach jak jej. Cały świat uważał, że Lila jest jej biologiczną córką, co stanowiło mocną pokusę, by nadal zachować milczenie, zamiast ryzykować, że poczuje się niechciana czy niekochana.

– Spróbuję się skontaktować z Jessie. – Luz spojrzała przez okno na gładką, błyszczącą taflę jeziora. – Szkoda, że wyjechała akurat tamtego dnia. Pokłóciłyśmy się. Naturalnie nie po raz pierwszy w życiu, ale nie skończyłyśmy naszej rozmowy. Ja w każdym razie chciałabym ją dokończyć. Ale widocznie Jess ma inne zdanie.

– Nie powinno się tak rozstawać z kimś, kogo się kocha.

– Wiem.

Widziała, jak po drugiej stronie jeziora Dusty Matlock wsiada do samolotu i uruchamia silnik. Po kilku chwilach wystartował i uniósł się w powietrze, zostawiając za sobą smugę wodnego pyłu.

– On był dla niej idealny. Po prostu idealny. – Często myślała o ich romansie. Nie umiała jedynie zrozumieć, jak Jessie mogła zostawić faceta, który ją po prostu uwielbiał.

– Często go widujecie? – spytała Blair.

– Na tyle często, by wiedzieć, że moja siostra złamała mu serce.

– Co może stanowić pewne pocieszenie dla rzeszy jego zawiedzionych fanek – stwierdziła Blair. – Do redakcji wciąż przychodzą stosy listów dla niego. Chciałam mu je oddawać, ale odmówił. Poza tym pozwolił mi je czytać. Przyznam, że doznałam lekkiego szoku. Najbardziej spodobała mi się propozycja małżeństwa

dołączona do seksownej bielizny.

Wróciły do tematu nagrody. Blair udzieliła Luz wielu przydatnych informacji i rad na temat pracy w zawodzie dziennikarskim. Luz cały czas miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że jej umiejętności fotograficzne mogą się przydać do czegoś więcej niż robienie zdjęć do rodzinnych albumów czy upamiętnianie uroczystości szkolnych. Blair natychmiast podsunęła jej wiele propozycji dotyczących zarówno wyboru agencji, jak i nowej fryzury i ubrań.

– Nie mogę w to uwierzyć. Chyba nie jestem na to gotowa – powtarzała Luz.

– Błagam, żebyś mi tylko teraz nie stchórzyła. Nie ma nic gorszego niż utalentowana artystka uciekająca od swojego sukcesu.

– Ale ja nawet nie mam porządnego CV – protestowała Luz. – Nie mam wyższego wykształcenia ani żadnych zawodowych doświadczeń.

– Skarbie, uwierz mi, masz wszystko, co potrzeba. – Blair wskazała zdjęcia na ścianie. – Wszystko.

Jeszcze tego wieczoru Luz zaprosiła na kolację Dusty'ego, Arnufa i Amber i nakryła stół dla dziewięciu osób. W zasadzie z takiej okazji powinni byli pójść na kolację do eleganckiej restauracji, ale przy licznych zajęciach całej rodziny zebranie wszystkich w domu o tej samej porze już było sukcesem. A więc Lucinda Ryder Benning, laureatka nagrody Endicott Prize, świętowała swój sukces w nagrzanym kuchni, pilnując, by dzieci odrobiły lekcje i przygotowując wołowinę na hamburgery. A wszystko to robiła z szerokim uśmiechem na twarzy.

Odrabianie lekcji w wykonaniu Wyatta i Owena zamieniło się w szermierzy pojedynki na ołówki, a zaraz potem pojawił się Scottie, domagając się czegoś do jedzenia. W tej samej chwili zadzwonił telefon

i Lila, która oglądała MTV, poderwała się, żeby go odebrać. Odzyskała prawo do kontaktów telefonicznych po tym, jak się okazało, że znacznie poprawiła stopnie. Jej zachowanie wciąż pozostawiało wiele do życzenia, ale Luz nie miała najmniejszego pojęcia, jak to zmienić. Zwykle umiała sobie ze wszystkim poradzić, ale w tym wypadku nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Najchętniej dałaby córce jakąś tabletkę, a nawet skierowała na operację. Niestety, takie środki nie były dostępne. Często łapała się na tym, że obserwuje Lilę w milczeniu, poruszona do głębi świadomością, że to jest dziecko Iana i Jessie. Kochała ją tak bardzo, że najchętniej nie przyjęłaby tego w ogóle wiadomości. Dziś jednak postanowiła, że nic nie popsuje jej dobrego nastroju.

Gdy goście się pojawili, Amber popędziła wprost do Scottiego, na którego patrzyła z bezgranicznym uwielbieniem. Arnufu wręczył Luz bukiet kwiatów.

– Jakie piękne! Nie rezygnuj z tego zwyczaju, a będziesz jadał tu codziennie.

– Z największą przyjemnością.

Skinęła na Dusty'ego, by wyjął z lodówki zimne piwo. Zdążyła go bardzo polubić. Kochał jej siostrę i szczerze przyznawał, że tęskni za nią każdego dnia. On też, podobnie jak Blair, uważał, że odnalezienie Jessie nie byłoby takie trudne. Powstrzymały go jedynie słowa Luz:

– Znajdziesz ją i co potem?

Nie rozmawiali więcej na ten temat. Stali się przyjaciółmi, których połączyła miłość do Jessie i smutne przekonanie, że to ona zdecyduje, kiedy zechce wrócić.

Jessie zostawiła cały swój sprzęt fotograficzny wart chyba fortunę. Do torby przyczepiła liścik napisany charakterystycznym pismem,

jeszcze bardziej niewyraźnym niż zwykle. „Luz, dziękuję ci za wszystko. Pozdrów ode mnie całą rodzinę. Dusty’ego i Amber też. Odezwę się. Jessie”. To była cała ona: impulsywna, ekstrawagancka, pełna sprzeczności.

Gdy Ian wrócił z pracy, hamburgery były już gotowe, sałatka leżała na talerzach, do szklanek ktoś ponalewał mleko i sok. Amber i Scottie bawili się z głośnymi okrzykami w berka, Wyatt i Owen kłócili się o piłkę, a Lila nastawiła radio na cały regulator.

Ian podszedł do Luz. Rozbawił ją, udając, że w tym rozgardiaszu musi się do niej przedzierać jak żołnierz przez pole minowe. Pocałował ją w policzek, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zwrócił się do Dusty’ego:

– Podrzucisz mnie w środę do Huntsville? Mam randkę w ze swoim ulubionym psychopata.

Luz udało się opanować gwar i zaprosić wszystkich do stołu. Czekwała na odpowiedni moment, na chwilę ciszy, podczas której będzie mogła uśmiechnąć się do wszystkich po kolei i obwieścić radosną wiadomość. Niestety, nie mogła się doczekać. W końcu gdy wszyscy zaspokoili pierwszy głód, powiedziała po prostu:

– Moje zdjęcia dostały nagrodę Endicott Prize.

– Tato, możesz mi podać sól?

– Nie kop mnie. Mamo, powiedz mu, żeby przestał mnie kopać.

– Próbowalesz łowić na te małe srebrne błyski?

– Mamo, w przyszły piątek jest w szkole dyskoteka. Będę mogła wrócić do domu o godzinę później?

– A Amber je sałatkę palcami!

Ian pochylił się i poklepał ją po dłoni.

– Pyszna kolacja, kochanie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się do Lili, żeby przedyskutować kwestię powrotu do domu.

– Fantastyczna – dorzucił Arnufu. – Ale nie tak fantastyczna jak zdobycie nagrody. Moje gratulacje.

Luz uśmiechnęła się do niego.

– Miło, że zauważyłeś.

– Co zauważył? – Wyatt podniósł głowę znad talerza.

Luz machnęła ręką.

– Nieważne.

Wymienili z Arnufem porozumiewawcze uśmiechy. W ciągu ostatnich miesięcy miała okazję lepiej go poznać. Doskonale wiedział, ile wysiłku wymaga prowadzenie domu z liczną rodziną i ile radości to daje. Umiał też docenić wagę cierpliwości i wyrozumiałości. Postanowiła, że powie Ianowi o nagrodzie wieczorem, a dzieciom przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Tylko że taka okazja jeszcze długo miała się nie pojawić.

Telefon zadzwonił w środku kolacji. I nie była to linia służbowa. Wszyscy znajomi i koledzy dzieci wiedzieli, że do ich domu nie dzwoni się w porze kolacji. Na ogół respektowano tę zasadę. Luz podniosła słuchawkę, gotowa przypomnieć o niej jeszcze raz.

– Halo? – Nastąpiła chwila ciszy charakterystyczna dla połączeń międzynarodowych. Serce Luz zabiło mocniej. Nareszcie Jessie postanowiła się odezwać.

– Jessie, tu Simon. Jak dobrze słyszeć twój głos.

Przy stole panował gwar, więc Luz wyszła ze słuchawką na ganek.

– Mówi Luz, siostra Jessie. Skąd dzwonisz?

– Z Auckland. Masz taki sam głos jak ona. – Mówił z tym swoim cudownym akcentem, który robił piorunujące wrażenie na studentkach.
– Możesz mi ją dać do telefonu?

Luz poczuła na plecach znany dreszcz. Jessie mówiła, że rozstała się z Simonem. Czego mógł od niej chcieć?

– Teraz jej nie ma – odpowiedziała wymijająco. – Czy to coś pilnego?

Znów chwila milczenia.

– Nie. Zastanawiałem się tylko... jak ona się czuje. Kiedy wyjeżdżała, nie była w najlepszym stanie, sama rozumiesz.

Luz zacisnęła usta. Rozumiała, ale nie do końca. Wiedziała, że ich związek trwał z przerwami od wielu lat i że to właśnie Simon był jedną z przyczyn, dla których Jessie oddała Lilę do adopcji i wyjechała za granicę. Ale tak naprawdę nie wiedziała nic ponad to. Kochali się? Kto podjął decyzję o zerwaniu? Jessie czy Simon?

Poczuła lekką złość. Że też Jessie musiała być taka skryta.

– Niewiele mi mówiła. Wspomniała tylko, że się rozstaliście.

Bardzo mi przykro.

– Mnie też. Tęsknię za nią jak wariat.

W takim razie trzeba było ją zatrzymać, pomyślała. A potem zdała sobie sprawę, że ona też pozwoliła Jessie odejść. I to nieraz.

– To ona dała mi kopa – ciągnął Simon. – Tak właśnie było, choć być może słyszałaś inną wersję zdarzeń.

Nateżenie emocji w jego głosie sprawiło, że mu uwierzyła. Tak naprawdę od samego początku wiedziała, kto podjął decyzję o rozstaniu.

– Rozumiem.

– Nie wiesz może, czy była już u doktor Margutti? – spytał Simon.
– Zapisła się na kurs?

Teraz Luz była zdezorientowana. Uznała, że nie będzie dłużej udawać.

– Chwileczkę, Simon, zacznij od początku. O jaką lekarkę chodzi?

– Więc ona... – zaczął po chwili. – Boże, nie wiesz, że... – Głos mu się załamał. Odchrząknął i ciągnął dalej. – Nic ci nie powiedziała?

– Najlepiej będzie, jak sam mi powiesz.

– Pojechała do Stanów, żeby zasięgnąć porady specjalistów i sprawdzić, czy będzie mogła się przyłączyć do specjalnego programu. Odchodziłem od zmysłów, miałem nadzieję, że zdarzył się jakiś cud. A dziś szukałem czegoś w internecie i trafiłem na stronę „Texas Life”. Zobaczyłem jej zdjęcia, więc pomyślałem, że jej stan się poprawił.

Luz przysiadła na schodkach ganku. Mimo że wieczór był

chłodny, cała była zlana potem.

– Musisz mi wszystko wyjaśnić. – Przez umysł przebiegały jej najgorsze scenariusze. Nowotwór. Stwardnienie rozsiane. HIV. Choroba Parkinsona. – Jessie mieszkała u nas przez jakiś czas i wydawało mi się, że wszystko z nią w porządku. – A mimo to zostawiła torbę z aparatami, choć fotografia była całym jej życiem. Z wysiłkiem zadała pytanie: – Chcesz powiedzieć, że ona jest chora?

– Mój Boże, ty o niczym nie wiesz! Twoja siostra ma naprawdę serce z kamienia.

– Co przede mną ukryła?

– Zapewne miała swoje powody, ale uważam, że powinnaś wiedzieć.

Miała wrażenie, że czuje narastające drgania, jakby jej świat rozpadał się na kawałki.

– Wyduś to wreszcie z siebie.

– Luz, twoja siostra traci wzrok.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jessie zgubiła się po drodze na zajęcia terapii grupowej.

– Flambeau, założę się, że pod tymi rudymi kudłami jesteś blondynką. Nikogo nie oszukasz. – Rozpoczęła żmudny proces odtwarzania drogi w myślach i doszła do wniosku, że musiała minąć jeden zakręt. Za pomocą technik, których uczyła się w ciągu niekończących się tygodni, zebrała w sobie wszystkie siły i zaczęła od początku.

Pojawiły się na spotkaniu z kilkuminutowym spóźnieniem. Wymamrotała po cichu usprawiedliwienie i kazała Flambeau znaleźć wolne miejsce. Pies odsunął jedno krzesło, ale Jessie wpadła na drugie. Zaklęła pod nosem.

Prowadzący zajęcia odchrząknął.

– Spokojnie poczekamy, aż Jessie znajdzie sobie krzesło.

Poczuła się jak w szkole podstawowej.

– Spokojnie poczekamy... – mruknęła. – Bardzo zabawne, panie Sullivan. To wszystko przez Flambeau, przysięgam. – Zwróciła się do całej sali. – Zrobili mi okrutny dowcip. Dali mi irlandzką seterkę zamiast golden retrievera, tak jak obiecali.

W stłumionych śmiechach rozpoznała głosy kilku przyjaciół. Chociaż nie była do końca pewna, czy mogła ich nazywać przyjaciółmi. Gdyby nie byli niewidomi, na pewno nic by ich ze sobą nie połączyło.

Sully przywitał wszystkich i przedstawił dwie nowe osoby, Bonnie i Duvalla.

– Czy ktoś może wie, dlaczego się tu znaleźliśmy? – spytał.

– To kara za masturbację – odpowiedział Remy, który też niedawno skończył kurs. – Trzeba było słuchać mamy.

Sully odczekał chwilę, aż umilknie śmiech.

– Jessie, przeczytałaś lekturę zadaną na dziś?

– Chodzi ci o te bzdury o szczęściu płynącym z wewnętrznego ja? Tak, przeczytałam. A właściwie Hal mi przeczytał. – Hal to było przezwisko, jakie nadała komputerowemu programowi do czytania tekstów.

Siedząca obok niej kobieta była zdenerwowana. Jessie poznała to po przyspieszonym oddechu i nieśmiałym milczeniu. Pochyliła się w jej kierunku i szepnęła:

– Jessie Ryder i Flambeau, cudowny pies. A ty jesteś pewnie Bonnie Long.

– Tak, to ja.

A więc to z nią miała się spotkać. Nowym osobom przydzielano na początku pobytu kogoś, kto miał już kurs za sobą i kto mógł się podzielić swoim doświadczeniem. Jessie aż trudno było uwierzyć, że ma być czyimś mentorem i przewodnikiem. Nie umiałaby się zająć nawet owadem, a co dopiero mówić o osobie niewidomej. Ale w Beacon wymagali od wszystkich rzeczy niemożliwych.

– Witaj na obozie dla niewidomych rekrutów.

– Jessie niedawno ukończyła kurs – wyjaśnił Sully. – Sam nie wiem, dlaczego pozwoliliśmy jej tu zostać. Powinniśmy byli dać jej porządnego kopa w tyłek.

– Uwielbiam, jak mówisz mi takie nieprzyzwoite rzeczy. – Jej ton był żartobliwy, ale czuła znajomy przypływ przerażenia. Opuściła rękę i pogłaskała Flambeau po jedwabistej sierści. Po ukończeniu kursu stacjonarnego przeniosła się do własnego mieszkania. Większość uczestników wołała jak najszybciej wrócić do domu.

Jessie nie umiała sobie wyobrazić, że wraca do Luz po tym wszystkim, co im zgotowała. Postanowiła, że sama zacznie nowe życie. W realizację tego celu wkładała wszystkie siły i coraz częściej dochodziła do wniosku, że może jej się udać. Mając przy sobie Flambeau, nie bała się wychodzić z domu. Umiała posługiwać się programami komputerowymi przeznaczonymi dla niewidomych i była pewna, że da radę się utrzymać. Mogła być sztandarowym przykładem sukcesu programu Beacon. Oto osoba samodzielna i niezależna pomimo znacznej niepełnosprawności.

Ale czuła się rozpaczliwie samotna. Z każdym dniem jej tęsknota za Dustym i Amber, za Luz i Lilą stawała się coraz bardziej dojmująca.

– Świetnie – powiedział Sully. – Może wyjaśniłabyś wszystkim, dlaczego nazwałaś to obozem dla rekrutów?

– No cóż, głównie z powodu milionów testów psychologicznych i sprawnościowych, które każą nam robić przed zapisem.

– A czy po skończeniu kursu wiesz, z czego to wynika?

Odwróciła się do Bonnie, zupełnie jakby mówiła tylko do niej.

– Może trudno w to uwierzyć, ale ma to swoje uzasadnienie. Wstajesz o świcie, żeby wyprowadzić psa. Potem go karmisz, bierzesz prysznic i o siódmej idziesz na śniadanie. Po śniadaniu chodzisz kilometrami po ulicach Austin, załatwiając różne sprawy. Musisz uważać, żeby się przy tym nie przewrócić, nie wpaść na coś albo nie

sturlać się ze schodów. Masz przerwę na obiad i na kolację, ale wracasz do pokoju dopiero o ósmej wieczorem. Wtedy po raz ostatni wprowadzasz psa. Och, zapomniałam, do tego uczysz się różnych umiejętności życiowych, takich jak gotowanie, dyktowanie tekstów, posługiwanie się pismem Braille'a, pranie i mnóstwo innych. Sama widzisz, że wymaga to dobrej kondycji.

– Rozumiem. Nie jestem już młoda, ale pracowałam całe życie, więc sądzę, że dam sobie radę.

– Znakomicie – wtrącił się Sully. – A czemu służą testy psychologiczne?

– Nie dają psa każdemu, kto się potyka na ulicy – powiedziała Jessie. – Bo prawda jest taka, że jeśli ktoś był dupkiem, zanim oślepl, to potem będzie co najwyżej ślepym dupkiem.

– Mówiąc delikatnie – zauważył Sully. – Osoby niewidome mogą być bardzo różne. Jeśli ktoś nie lubi zwierząt albo jest okrutny, to nie nawiąże dobrej relacji z psem przewodnikiem. Przyjmowanie takiej osoby na kurs byłoby jedynie stratą czasu i wystawiałoby naszemu ośrodkowi złą opinię.

Jessie poklepała Bonnie po ramieniu. Nie zaskoczyło jej, gdy wyczuła ręcznie dziergany sweter.

– Dasz sobie radę. Czasem podejrzewam, że sukces tego programu wynika z faktu, że odrzucają każdego, kto mógłby im zepsuć opinię.

– To ciekawe! – roześmiał się Sully. – W takim razie dlaczego przyjęliśmy ciebie?

– Bo wyglądam jak Gwyneth Paltrow. Jestem tylko młodsza, szczuplejsza i mam jaśniejsze włosy.

– Dla ślepego wszystkie kobiety wyglądają jak Gwyneth Paltrow – odezwał się Patrick, długoletni rezydent.

– Mieliśmy wyjaśnić, skąd się wzięło określenie obóz dla rekrutów – przypomniał Sully. – Patrick, co jeszcze czeka naszych gości?

– Wykłady, które bardziej przypominają wojskową musztrę. Zrozumiano?

– A smarowanie chleba masłem i krojenie mięsa? – spytał Duvall.

– Oczywiście, to też. Ale jeśli będziecie się skarżyć, że nigdy czegoś takiego nie robiliście, to usłyszycie, że najwyższy czas zacząć. A potem zostawią was samych, żebyście mogli gubić drogę na tych korytarzach, zakładać ubrania tyłem na przód i spóźniać się na posiłki.

– Dość okrutne.

– Okrutna jest utrata wzroku. A jeszcze bardziej uzalanie się nad sobą. Personel ośrodka uważa, że damy sobie radę. I to jest prawda, damy sobie radę.

Po spotkaniu Jessie podała Bonnie ramię, a w drugą rękę wzięła smycz.

– Słyszałaś kiedyś, żeby ślepy prowadził ślepego?

– Do ciebie mam zaufanie.

Wyszły ze świetlicy na mroźne, zimowe powietrze. Jessie od razu zauważyła u Bonnie wahanie i niepewność kroków. Ona też tak się poruszała na początku kursu. Kiedy musiała zrobić pierwsze kroki z zasłoniętymi oczami, czuła jedynie złość i frustrację. Wkrótce specjalna opaska przestała być konieczna. Zgodnie z przewidywaniami doktor Margutti wzrok pogarszał się gwałtownie i gdy pewnego dnia po

obudzeniu nie zobaczyła nic, poczuła przerażenie. Pierwsze przejście z łóżka do łazienki było niezwykłym aktem woli, początkiem drogi, której tak bardzo się bała.

– Całe szczęście, że moim opiekunem jest kobieta – powiedziała Bonnie konfidencjonalnym tonem. – Zapomniałam zabrać ze sobą coś ważnego.

– Chodzi ci o tampony?

– Właśnie.

– Żaden problem. Mamy tu dobre zaopatrzenie. – Jessie ruszyła w kierunku damskiej łazienki. – A na jednej z pierwszych lekcji nauczysz się robić takie zakupy. – Sama miała już podobną wyprawę za sobą, ale okres ciągle się nie pojawiał. Po odstawieniu pigułki nieregularne menstruacje były czymś normalnym, ale uznała, że jeśli w ciągu najbliższych dni nic się nie zmieni, będzie musiała pójść do lekarza.

– Dziękuję – powiedziała Bonnie, potykając się o próg.

Jessie podtrzymała ją i zauważyła, że Bonnie drży.

– Nie przejmuj się. W ciągu pierwszego tygodnia chodziłam jak łamaga – powiedziała pocieszająco. – Kilka razy znaleźli mnie skuloną na podłodze, zalaną łzami, z kilkoma siniakami, które stanowiły dowód mojej nieudolności. Nie okazali mi żadnego współczucia. A za pierwszym razem Sully powiedział tylko, że chyba musi zawiadomić prasę, skoro nastąpił koniec świata.

– Przecież jest w tobie tyle pewności siebie! – zauważyła Bonnie.

– Naprawdę? – Jessie była zaskoczona.

– Naprawdę.

Zajrzały kolejno do wszystkich pokoi i sal szkoleniowych, do kuchni i do ogrodu. Jessie doskonale знаła uczucia, które towarzyszyły Bonnie, strach, nadzieję i determinację.

– Też muszę się nauczyć takiej pewności – mówiła Bonnie. – Ze względu na siebie i rodzinę. Po wypadku praktycznie zrezygnowałam z życia. Ukryłam się w domu przed całym światem. Pomogły mi leki, ale chciałabym się pozbyć lęku, chciałabym znów poczuć się samodzielna. Dla samej siebie, dla moich dzieci i wnuków, a zwłaszcza dla mojego męża.

– Przepraszam, chyba czegoś nie rozumiem. Wydawało mi się, że twój mąż zginął w wypadku. – Jessie wręcz była tego pewna, bo wcześniej zapoznała się z informacjami dotyczącymi Bonnie.

– To był mój pierwszy mąż. Za Roya wyszłam pół roku temu.

– Znakomita wiadomość!

– Zaciekało cię to, prawda?

Jessie jakoś trudno było wyobrazić sobie, że normalny mężczyzna może się zakochać w niewidomej kobiecie.

– Czy on też...

– Nie, on widzi. Na początku myślałam, że ze mnie kpi. – Bonnie musiała zauważyć zaskoczenie Jessie. – Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wybrał właśnie mnie, skoro jestem niewidoma.

– Spytałaś go o to?

– Oczywiście. A on nie mógł z kolei zrozumieć, o co mi chodzi.

I powiedział, że nie jest mu ciężko ze mną, tylko beze mnie.

– Musi być wspaniałym człowiekiem.

– A ty z kimś się spotykasz?

Jessie zawahała się.

– Prawdę mówiąc, umówiłam się na dziś wieczór. Randka w ciemno. Okropne, nie?

– Bardziej okropny jest brak randki.

Jessie pomyślała, że wieczorne spotkanie nie ma sensu. Z drugiej jednak strony taka praktyka bardzo by jej się przydała. Poza tym miała ochotę gdzieś wyjść. Uznała, że jakoś przez to przebrnie, chociaż nie miała ochoty na żadne kontakty z mężczyznami. Tęskniła za Dustym. I coraz trudniej było jej tę tęsknotę tłumić.

– Spiknęła nas Grace z przychodni weterynaryjnej – dodała wyjaśniająco. – On pracuje w dziale obsługi komputerów.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić. Poznałam Roya tylko dlatego, że zepsuła się zmywarka i musiałam wezwać kogoś do naprawy. A po sześciu tygodniach wzięliśmy ślub. – W jej głosie dźwięczały dumą i czułością. – Roy jest wspaniały, ale uważa, że mogę sobie radzić lepiej. Więc uznaliśmy, że powinnam mieć psa.

– Pies zmieni twoje życie, zobaczysz.

– Tego się właśnie spodziewam.

Jessie poklepała Bonnie po ramieniu i pokazała jej, gdzie się odbywa kolejna sesja.

– Jestem pewna, że świetnie ci pójdzie. Powodzenia.

– Tobie też – odpowiedziała Bonnie. – Miłego wieczoru.

Miły wieczór zaczął się beznadziejnie, a potem było już tylko gorzej. Wcześniej Jessie i Tim Hurley wymienili ze sobą kilka e-mejli i raz rozmawiali przez telefon. Gdy Tim zaproponował koncert w filharmonii, była na tyle zaintrygowana, że się zgodziła. A teraz nie mogła się już wycofać.

Chrząknął, stając w drzwiach holu.

– Jessie?

– Tim? – Podniosła się z kanapy. Była zdenerwowana jak nastolatka na pierwszej randce.

– Wyglądasz zjawiskowo! – Mimo wszystko zachwyty w jego głosie sprawił jej przyjemność. – Grace mnie uprzedzała, ale myślałem, że przesadza.

Wyciągnęła rękę, a on wziął ją tak, jakby miał gdzieś zaprowadzić Jessie. Roześmiała się i cofnęła dłoń.

– Mocny uścisk. To mi się w mężczyznach podoba.

Wiedziała, że przygląda się jej z uwagą. Niemal czuła jego ulgę, że nie wygląda jak jakiś dziwoląg. Przypominając sobie dzisiejszy komentarz Patricka, stworzyła mentalny wizerunek Tima Hurleya. Był uderzająco podobny do Josepha Fiennesa.

– Masz miły uśmiech – powiedział.

Może nie będzie tak źle, pomyślała. Dała znak Flambeau, która wstała i zaczęła obwąchiwać Tima.

Rozległo się potężne kichnięcie.

– Na zdrowie! – zawołała ze śmiechem.

– Mam alergię na psy – wyjaśnił. – Grace nie wspominała, że masz psa. W zasadzie powinienem był się domyślić, ale... – Zawiesił głos i znowu kichnął.

Jessie zaczęła się zastanawiać. Oto nadarzała się doskonała wymówka, mogła z niej skorzystać. Ale nie, najwyższy czas wyjść gdzieś w świat, posłuchać muzyki, zjeść koktajl z krewetek i porozmawiać o czymś innym niż układanie rzeczy w szafie, unikanie wiszących przeszkód czy uczenie psa, by podczas spacerów nie grzebał w śmietniku. Najwyższy czas pokazać, że tracąc wzrok, nie przestała być kobietą.

– Flambeau nie musi z nami iść – powiedziała. Po drodze do pokoju powtarzała w myślach, że ona i pies nie muszą być ze sobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a takie rozstania są częścią normalnego treningu.

Wróciła do holu, pomagając sobie laską. Zapach wody kolońskiej Tima lekko ją zaskoczył.

– Wciąż tu jesteś? Dałam ci możliwość ucieczki.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. – Zauważyła, że nadal ma zatkany nos. – O ile rzeczywiście możesz wyjść bez psa.

– Mogę. O ile nie masz uczulenia na laski.

Tim musiał uznać, że nie, bo podał Jessie ramię i ruszył wolnym krokiem. Cały czas pytał, czy wszystko w porządku, czy niczego jej nie potrzeba. Mówił to niepewnie, z wahaniem, jakby bał się, że ją urazi.

Wiedziała, że nie powinna, ale porównywała go z Dustym pod każdym względem. Od wzrostu przez zapach skóry po sposób, w jaki się do niej odnosił. Tim pytał ją o wszystko, Dusty sam brał to, czego chciał. Wpadł do jej życia jak burza i tak samo bezceremonialnie wprowadził ją do swojego życia, co okazało się bardzo seksowne. Jego absolutna pewność, że jej pragnie, że ją zdobędzie i że to się jej spodoba, działała na nią wręcz hipnotyzująco. Jednak Dusty nie wiedział o niej wszystkiego. I na tym polegała zasadnicza różnica.

Odsunęła od siebie te myśli. Dotarli do filharmonii i zajęli miejsca w sali koncertowej. Potężna dawka muzyki sprawiła Jessie wielką przyjemność. Niestety, na uroczystym przyjęciu dla posiadaczy karnetów Tim zaczął rozmawiać ze znajomym programistą o czymś pod nazwą PERL. Po paru chwilach Jessie uznała, że dużo bardziej zajmujące jest wsłuchiwanie się w odgłos farby schnącej na ścianie. Wreszcie Tim przeprosił ją uprzejmie i zapytał, czy może zostawić ją na chwilę samą, bo chciałby poznać współpracownika swojego znajomego.

Łaskawie wyraziła zgodę. Stała przy stole z jedzeniem, skąd dochodził zapach skrzydełek kurczaka z czosnkiem i mocno dojrzałego sera. Przez kilka minut słuchała strzępków rozmów dochodzących z różnych stron, zastanawiając się, jak znaleźć drogę do toalety. Jakaś para próbowała dodzwonić się z komórki do opiekunki dziecka, ale linia była ciągle zajęta. Kobieta pachnąca perfumami Joy i whisky Jack Daniel's przeszła obok niej na wysokich szpilkach. Jakiś chłopiec oznajmił, że jedzenie jest obrzydliwe, a koncert nudny jak flaki z olejem. Jego matka bąknęła coś przepaszajaco do Jessie, która odpowiedziała pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Przepraszam bardzo, ale czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do toalety? – spytała.

Cisza. Kobieta odeszła, więc Jessie musiała mówić w pustą przestrzeń. Chciała stąd wyjść, i to natychmiast. Miała już dość koncertu, dość swojego życia, dość wszystkiego.

Czuła się kompletnie bezradna. Nie było przy niej psa ani osoby towarzyszącej. I na dodatek jak ostatnia idiotka zostawiła laskę w samochodzie Tima.

– Dobrze się pani czuje? – spytał jakiś męski głos.

Miał niemal taki sam akcent jak Dusty i na ułamek sekundy odezwała się w niej szalona nadzieja. Jednak niemal od razu zorientowała się, że projektuje niespełnione marzenia na nieznanego mężczyznę.

– Znakomicie.

– Zdaje się, że to powinno pani dobrze zrobić.

Poczuła w dłoni kieliszek z szampanem. Uśmiechnęła się mało zachęcająco. Nieznajomy mówił przeciągle przez nos pewnym siebie tonem.

Pęcherz jej pękał, naprawdę powinna go poprosić, żeby ją zaprowadził do damskiej toalety. Ale duma wzięła górę. Bardzo często rozmawiający z nią ludzie nie zauważali nawet, że mają przed sobą osobę niewidomą.

– Dziękuję.

– Co taka piękna kobieta jak pani robi tutaj sama?

Znów uśmiechnęła się mało zachęcająco.

– Pilnuje, żeby nikt nie zakłócił jej tej samotności.

Gwałtowne westchnienie. Pan Pewny Siebie zapewne zawsze dostawał to, co chciał.

– No to nie będzie pani miała z tym problemu. – Odszedł, zostawiając za sobą woń drogiej wody po goleniu.

Czuła się fatalnie, mdliło ją od zapachu perfum, jedzenia i od szampana. Cała ciężka praca i tygodnie treningu na nic. W Beacon wydawało się jej, że zaczęła życie od nowa, zmieniła nastawienie i zaczęła kroczyć drogą ku pełnej samodzielności. Ale widocznie to było złudzenie.

Ta idiotyczna randka pokazała jej jedynie cały bezmiar własnej bezradności. To prawda, umiała uchronić się przed przejechaniem przez ciężarówkę. Ale drobne, codzienne problemy, takie jak samotność w nieznanym miejscu czy chamstwo zwykłego dupka rozkładały ją na łopatki. Nie zagrażało jej żadne fizyczne niebezpieczeństwo, ale to, co się wydarzyło, było jeszcze gorsze. Ogarniało ją przerażenie, któremu nie mogła zaradzić. W takiej sytuacji jak ta nie pomagało liczenie kroków czy przyklejenie etykiety z napisem Braille’a.

– Widzę, że wzięłaś szampana – powiedział Tim, stając przy niej.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Wszystkie osiągnięcia, wszystkie umiejętności tak podziwiane przez osoby widzące, okazały się jedną wielką fikcją. Próbowała wszystkich oszukać, a najbardziej siebie, że w ciemności poradzi sobie sama.

Chciała się odsunąć od Tima, ale jej plecy napotkały chłodną marmurową ścianę.

– Jessie, dobrze się czujesz?

– Nie – bąknęła i zwymiotowała mu na buty.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Luz wyniosła na dwór tacę z zimnymi napojami. Ian i chłopcy zajęci byli budowaniem nowej rampy prowadzącej od podwórka do pomostu. Nawet Scottie im pomagał, oczyszczając drogę z kamyków, a jego bracia z przejęciem przybijali deski gwoździami.

Przystanąła na moment. Ranek był mglisty, w powietrzu unosił się już zapach wiosny. Ian miał na sobie pas z narzędziami, który dostał od dzieci z okazji Dnia Ojca i czapkę z napisem Carpe Diem.

– Jaki piękny widok, prawda? – usłyszała zza pleców głos Glenny Ryder. – Już niedługo Wyatt będzie miał całe tabuny wielbicielek.

Wzięła matkę za rękę. Glenny i Stu przyjechali poprzedniego dnia z Phoenix. Do późna w nocy rozmawiali o Jessie. Każdy był w szoku, co w zasadzie wiele tłumaczyło. Po tym wszystkim, czego dowiedziała się od Simona, Luz chciała jak najszybciej pojechać do Austin, odszukać siostrę i przytulić ją z całej siły do siebie. Dopiero Ian ją powstrzymał.

– Dusty powinien to zrobić.

On zaś nie wahał się ani przez moment.

– Przywiozę ją do domu. I przekonam, żeby została.

– Jessie nie zostanie, jeśli sama nie będzie chciała – ostrzegła go Luz.

– Ja ją kocham. I zobaczysz, że ją przy sobie zatrzymam.

Luz nie miała odwagi powiedzieć mu, że nikomu się to jeszcze nie udało. Nawet jej dziecku.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedziała do matki. I mówiła to szczerze. Pomimo wielu problemów, zaszłości i trudnych uczuć przewijających się w ich relacji, kochała Glenny.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to spotkało naszą Jessie. – Glenny powtarzała to wiele razy. – I nie mogę zrozumieć, dlaczego nam o niczym nie powiedziała.

– A ja mogę – powiedziała Luz. – Ona uważa, że w ten sposób nas chroni. Większość ludzi sądzi, że to ja się o wszystkich troszczę. Ale Jessie robi to po swojemu. Znika, bo myśli, że to nas osłoni przed jej problemami. – Od czasu rozmowy z Simonem nieustannie wracały do niej słowa Jessie. Chciałam tylko zobaczyć Lilę... Chcę, żeby wiedziała, kim jestem... Nie chciałabyś się ze mną zamienić. I gdzieś na dnie, w najgłębszym mroku, Luz skrywała coś, za co sama sobą gardziła. Oto Jessie znów zepchnęła ją na drugi plan. Wiadomość o jej problemach pojawiła się w tym samym dniu co informacja o nagrodzie Endicott Prize i przyćmiła tryumf Luz. W tym kontekście nagroda wydawała się czymś nieistotnym.

Ale nie w świecie zawodowych fotografów. Od chwili ogłoszenia nazwisk laureatów oferty i zlecenia płynęły szerokim strumieniem. Luz przypominało to trochę cudowne chwile z dzieciństwa, kiedy mama zdobyła mistrzowski tytuł. W atmosferze oszałamiającego sukcesu ich życie zamieniło się w bankiet, na którym wszystko było możliwe. Jednak w głębi duszy Luz wciąż wyczuwała w tym jakiś fałsz, jakby jedynie udawała, że zajmuje się profesjonalną fotografią. Przecież coś, co tak bardzo kochała, nie mogło stać się jej zawodem.

Wypiła potężny łyk herbaty, która była tak zimna, że aż rozboleła ją głowa.

– Boże, przecież mogłam się wszystkiego domyślić, kiedy oddała mi swoje aparaty!

– Czegoś takiego nie można się domyślić – powiedziała Glenny. – W ciągu ostatnich dwóch dni przeczytałaś w internecie setki stron na temat tej choroby. Można ją przewidzieć?

– Nie – przyznała Luz. – Tak naprawdę nic jej nie zapowiada, może tylko skłonność do krótkowzroczności. Chorują głównie kobiety poniżej czterdziestego roku życia.

– Sama widzisz. I przestań się obwiniać, na miłość boską! – Glenny przerwała na chwilę, po czym spytała cichym głosem: – Naprawdę myślisz, że Dusty sprowadzi ją do domu?

– Nie należy do facetów, którzy się przejmują odmową.

– Ale ona nie należy do kobiet, które słuchają mężczyzn.

– On to co innego. – Luz pokręciła głową. – Na pewno coś ich łączy. Gdy są razem, powietrze aż iskrzy. On za nią po prostu szaleje. A Jessie... Nigdy jej takiej nie widziałam.

– Dziadku! – Scottie biegł z całych sił pod górę. – Chodź wypróbować rampę!

Stu ustawił wózek u szczytu rampy i zaczął zjeżdżać na pomost. Chłopcy krzyczeli podekscytowani, biegnąc obok niego.

Luz zauważyła, że Glenny sztywnieje. Stuart był wysportowanym, przystojnym mężczyzną, który po wypadku w górach dziesięć lat temu został skazany na wózek inwalidzki. Poznali się na balu dobroczynnym i od tamtej pory praktycznie się nie rozstawali. Luz lubiła go najbardziej ze wszystkich mężów mamy. Był dobry, czuły i dowcipny. I zupełnie nie przypominał swoich poprzedników, którzy wydawali pieniądze Glenny, a potem znikali.

Stu bezpiecznie zjechał na pomost i Luz zobaczyła, że mama się

uspokaja. Ian i chłopcy gratulowali udanego przejazdu, a Stu wziął Scottiego na kolana i zaczął kręcić szalonego pirueta.

– On jest wspaniałym dziadkiem – powiedziała Luz.

– A twoi chłopcy to sama radość.

Luz odetchnęła nerwowo.

– Mamo, mam do ciebie prośbę.

Glenny spojrzała na nią ze zdziwieniem. Doskonale wiedziała, że Luz nigdy nie umiała prosić o pomoc.

– O co chodzi?

– Możecie się dziś zająć chłopcami? Na przykład zabrać ich na pole golfowe?

Glenn zawahała się.

– Sama nie wiem. Są tacy ruchliwi...

Luz zagryzła wargi. Tej nocy długo nie mogła zasnąć, bez końca rozważając swoją decyzję. Wiedziała, że to będzie bardzo trudne. Dlatego chciała, żeby ktoś zabrał na ten czas chłopców z domu.

– Ian i ja musimy porozmawiać z Lilą. Mamo, proszę. Raz w życiu nie będę udawać, że nie potrzebuję twojej pomocy.

Glenny musiała zauważyć ton desperacji w głosie Luz. Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Czy Lila ma kłopoty?

– W zasadzie nie. A na pewno nie jest to tak poważne jak tamten wypadek. Chodzi o to, że... – Luz umilkła na moment. – Postanowiliśmy powiedzieć jej o adopcji.

Glenny przypaliła papierosa i wypuściła wąską smugę dymu, patrząc na drugi brzeg jeziora.

– I myślisz, że to rozwiąże wszystkie problemy?

– Mamo, przecież nie jestem dzieckiem. Ale przed wyjazdem Jessie powiedziała, że tego właśnie chce.

– A to znaczy, że kierujesz się niewłaściwymi motywami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To ty jesteś matką Lili. Powiedzenie, że jest inaczej, tylko namiesza jej w głowie.

– To w takim razie powiedz mi, co mam zrobić. – Luz patrzyła na nią zaczepnie, ale tak naprawdę nie spodziewała się żadnej odpowiedzi. Przez całe życie czekała, że matka chociaż raz podejmie za nią jakąś decyzję. I nigdy się nie doczekała.

– Nie szukaj odpowiedzi w przeszłości – powiedziała Glenny, co bardzo zaskoczyło Luz. – Patrz na to, co jest teraz. I nie myśl o Jessie ani o Lili. Myśl o sobie.

– O sobie?

– Nie przyszło ci do głowy, że te wszystkie napięcia między tobą a Lilą wynikają z faktu, że tak bardzo skupiasz się na niej i na tym, co z niej wyrośnie? Może powinnaś wreszcie odpuścić przeszłość i poszukać swoich marzeń?

– Tak jak ty? – Powiedziała to tak ostro, że Glenny musiała na nią spojrzeć.

Wróciło do niej wspomnienie typowego lata z dzieciństwa. Jessie leży na tylnym siedzeniu ramblera zatopiona w swoim świecie, a Luz śledzi trasę na mapie, w małym czarnym notesie zapisuje wszystkie wydatki, próbuje znaleźć hotel, który ich nie zrujnuje. Glenny myśli o kolejnym turnieju, kolejnym mężu, kolejnym posunięciu, natomiast Luz zawsze była grzeczną córeczką, obowiązkową i odpowiedzialną. Troszczyła się o wszystkich i łagodziła konflikty.

– Mamo, może mi powiesz, kiedy ja miałam czas na marzenia?

– Musisz znaleźć czas na to, co jest dla ciebie ważne.

Luz zagryzła wargę. Nie lubiła nikogo o nic prosić, ale potrzebowała trochę spokoju, żeby porozmawiać z Lilą.

– Jessie uświadomiła mi, że tajemnice jedynie przynoszą nieszczęścia. Boże, przecież też nie potrafiła powiedzieć ani mnie, ani nikomu innemu o swojej chorobie. Dość już tajemnic w naszej rodzinie.

Glenny skończyła papierosa, po czym machnęła na Stu i chłopców.

– Kto ma ochotę na partię golfa i lody w cukierni?

– Ja! – zawołali chłopcy jednym głosem.

– W takim razie do samochodu. I to już!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Każdego ranka po przebudzeniu Jessie leżała z zamkniętymi oczami i próbowała myśleć o tym, jak to jest, gdy się coś widzi. Ona widziała już jedynie mgłę. Myślała o kształtach i kolorach. O twarzach ludzi, których kochała – o Dustym i Amber, o Luz i Lili, o Ianie i chłopcach. O pokrytych śniegiem górskich szczytach, o migotliwych jeziorach, kluczach ptaków. Gdzie są te obrazy? Przecież wciąż należą do niej. Nigdzie nie zniknęły. Nadal są jej częścią, żyją w niej.

A potem, nie dało się tego uniknąć, otwierała oczy i widziała przed sobą jedynie szarość. To była jej obecna rzeczywistość. Nienawidziła swoich lęków, upokorzeń, pomyłek wynikających z niezdarności, ograniczeń narzucanych przez chorobę. Nie znosiła tej uporządkowanej, metodycznej osoby, którą się stała. Tęskniła za wolnością, brawurową jazdą na motocyklu, za tym, żeby w dowolnym momencie wskoczyć do samochodu, a nawet za przechodzeniem przez ulicę w niedozwolonych miejscach. Jej życie sunęło naprzód w żółwym tempie.

Sully i Irene przypominali jej, że ma teraz więcej czasu na rozmyślanie. Co w praktyce oznaczało więcej czasu na wyrzuty sumienia. Nie mogąc tak po prostu stąd uciec, musiała przyjrzeć się dokładnie swojemu życiu i podejmowanym do tej pory decyzjom. I zmierzyć się z faktem, że niektórych spraw nie da się już odwrócić.

Skąd jej przyszło do głowy, że to będzie łatwa droga? Albo że będzie miała jakikolwiek wybór?

Flambeau nie dało się oszukać. Doskonale wiedziała, kiedy jej pani otwiera oczy. Jak nieznośne dziecko nie dawała jej czasu na przykre rozmyślanie, tylko cichym skomleniem i machaniem ogona dopominała się porannego spaceru.

– Już dobrze, panienko. – Jessie wstała i poszła do łazienki.

Umycie zębów, uczesanie się i założenie dresu zabrało jej kilka minut. Założyła Flambeau szelki i przypięła smycz. Były gotowe do wyjścia.

Chodząc po skwerze, żałowała, że nie wzięła ze sobą chociażby jabłka. Z głodu robiło jej się trochę niedobrze. Ranek był chłodny i rześki, słońce dopiero wschodziło. Zbliżała się wiosna. Czuła delikatny zapach ligustrowego żywopłotu i cieplejszy podmuch wiatru na twarzy. Lubiła spokój wczesnych poranków i przytłumiony dźwięk ruchu samochodowego na dalekiej autostradzie.

Spacerowała po alejce w tę i z powrotem. W przyszłości, która się przed nią rysowała, brak wzroku nie był najgorszą rzeczą. Okropna randka w filharmonii stanowiła tego koronny dowód.

Flambeau miała przy smyczy mały dzwoneczek. W ten sposób Jessie mogła śledzić jej ruchy podczas spaceru. Właśnie zdała sobie sprawę, że pies odbiega od niej dużymi susami. Flambeau nigdy nie uciekała, ale czasem zdarzało się, że goniła wiewiórki, więc Jessie przywołała ją do siebie.

Usłyszała, że seterka posłusznie wraca, ale nie sama. Towarzyszyła jej jakaś obca osoba. Jessie umiała to odróżnić, bo znajome osoby Flambeau witała cichym skomleniem.

Poczuła coś dziwnego w powietrzu. Według dość powszechnej opinii osoby niewidome mają niezwykle wyczulony zmysł słuchu i węchu, ale to nieprawda. Osoby niewidome jedynie bardziej się koncentrują na doznaniach pochodzących z innych zmysłów.

Jessie miała wrażenie, że wokół niej pojawiło się jakieś napięcie. Gdy ktoś się do niej zbliżał, Flambeau nie broniła jej, ale robiła się bardziej czujna. Tym razem też podbiegła do swojej pani, pozwoliła przypiąć sobie smycz i przysiadła z lewej strony. Jessie położyła dłoń na jej ciepłej głowie, ale twarz miała zwróconą przed siebie.

– Kto tam? – spytała.

Na płytach chodnika dźwięczały czyjeś długie, niespieszne kroki. Najpierw rozpoznała go jej skóra. Boże, czuła go, był tak blisko, tęskniła za tą bliskością każdym włóknom swojego ciała. A potem usłyszała jego oddech.

– Nie, to niemożliwe.

– Naprawdę nie było łatwo cię znaleźć.

– Dusty, proszę, nie rób mi wyrzutów.

– Ktoś wreszcie powinien cię porządnie zwymyślać. Chyba że to ci da powód do kolejnej ucieczki.

– Ja nie uciekałam. Ja... – Zawahała się. – Musiałam się zająć swoimi sprawami.

– Jasne. – Roześmiał się z irytacją. – Podałem ci swoje serce na tacy, a ty zniknęłaś bez słowa. Co ty sobie wyobrażasz?

– Wydawało mi się, że nie powinnam nikogo obciążać tym, co się stało. A już na pewno nie mężczyznę, który stracił żonę.

– A co to ma ze sobą wspólnego? Uważasz, że jak się poniosło w życiu jakąś stratę, to drugą łatwiej znieść?

– Nie chciałam, żebyś cierpiał.

– Zakochałem się w tobie, a ty zniknęłaś. Jak mogłem nie cierpieć?

Podniosła wojowniczo brodę.

– Utrata wzroku to coś okropnego. Nie należy w to mieszać

innych. Dlaczego miałabym skazywać swoich bliskich na moją ślepotę?

– Ty chyba naprawdę zwariowałaś – powiedział z wyraźną złością.
– Kto ci dał prawo, żeby podejmować takie decyzje za innych?

– Bo zmuszanie cię, byś kochał kogoś takiego jak ja, byłoby okrucieństwem.

– Kogoś takiego jak ty? Co przez to rozumiesz?

Miała nadzieję, że nie będzie musiała tego mówić.

– Ja nie widzę. Nie udawaj, że to nie ma żadnego znaczenia. Nie przekonuj mnie, że ludzie to rozumieją. Cały świat będzie na ciebie patrzył ze współczuciem. Oto wspaniały mężczyzna poświęca swoje szczęście, żeby się zająć niewidomą kobietą. Nigdy do tego nie dopuszczę. Dlatego wyjechałam i ty powinieneś zrobić to samo.

Prychnął gniewnie.

– Przyjmujesz dziwne założenia. Tak samo było z Lilą. Ukryłaś, kim jest jej ojciec, bo uznałaś, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Bo było lepiej.

– Bzdura! Tylko spójrz, jak to się na tobie odbiło. Nie umiesz się otworzyć na miłość i nie słuchasz wewnętrznego głosu, który ci mówi, że powinnaś zostać.

Nie umiała się obronić przed jego słowami. Tak jakby trzymał przed nią lustro, w którym odbijała się prawda. A mimo to nie potrafiła zrobić ostatecznego kroku.

– Gdybym powiedziała Luz, próbowałaby wszystkiemu zaradzić. Przez całe życie taka była. Nie chciałam obarczać jej problemem,

którego nie da się rozwiązać.

– Jess, to ty jesteś problemem, a nie twój brak wzroku. A i tak cię kochamy.

Przytulił ją do siebie, a wtedy cały ból i żal wylały się z niej w postaci niepohamowanych łez.

– Nigdy w życiu się tak nie rozsypałam. Nigdy. I nagle przychodzisz tu i...

– I jestem przy tobie. – Całował jej włosy, oczy, czoło, policzki tak długo, aż wszystkie łzy znikły. Chłoneła jego zapach, smak, jego głos i ciepło ciała. – Nigdy więcej tego nie rób, Jess. Nigdy więcej mnie nie zostawiaj.

W jego udreńczonym głosie krył się niewypowiedziany zamysł, wiedziała, że powinna zaprotestować, ale było jej tak dobrze w jego ramionach. Chciała się w nich roztopić i chociaż na chwilę zapomnieć, że to wszystko jest niemożliwe. Odpłynęła w myślach do tamtej nocy w Meksyku – namiętność, ciemny, pachnący ogród, rozkosz bez zobowiązań. W końcu jednak zmusiła się do zadania oczywistego pytania:

– Jak mnie znalazłeś?

– Twój dawny facet zadzwonił do Luz. Chciał z tobą rozmawiać.

– Super, po prostu super. Kolejna sprawa, o którą Luz zacznie się martwić.

– Powiedziałem jej, żeby się nie martwiła. Że wszystko będzie dobrze.

Przygładziła sobie włosy.

– Na pewno wyglądam koszmarnie.

Znów ją przytulił.

– Przecież to nie ma znaczenia.

Ruszyli wolnym krokiem przez skwer. Jessie nie umiała stłumić w sobie radości. Wiedziała, że przyjazd Dusty’ego nie ma sensu, że nie powinna się do niego zbliżać, ale to było ponad jej siły.

– Flambeau cię polubiła – powiedziała.

– Polubi też Amber i Arnufa. Nawet z Pico de Gallo się dogada.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że cię zabieram do Edenville.

– To niemożliwe.

– Na Boga, kobieto! Czy ty słyszysz, co mówisz? Jak możesz tak po prostu porzucić mnie, siostrę i innych, którzy cię kochają? – Jego złość zaskoczyła ją i zaboląła jednocześnie.

– Jestem niewidoma. Jak możesz ze mną być?

– Umówmy się, że tego nie słyszałem.

Siła ogarniających ją emocji przestraszyła Jess. Próbowwała je stłumić, zaprzeczyć im, zrobić wszystko, żeby powstrzymać to, co się działo. Pomyślała o swoim sterylnym mieszkaniu, o swoim małym, zamkniętym świecie.

– A co ty sobie wyobrażasz? Pchasz się tu bez zapowiedzi,

a potem zaczynasz mi wydawać polecenia.

– Nigdy bym nie śmiał wydawać ci poleceń. Pojedziesz ze mną, bo tego chcesz.

– A skąd ci to przyszło...

– Wiesz, że twoja siostra zdobyła Endicott Prize?

– Naprawdę? – Poczwała szaloną radość.

– Jak myślisz, z kim chciała się tą wiadomością podzielić? A ciebie wtedy przy niej nie było. Musisz się z nią pogodzić. Ona cię potrzebuje. Ja też, mimo że czasem trudno z tobą wytrzymać. Kocham cię i wiem, że ty też mnie kochasz.

Przez chwilę nie była w stanie złapać tchu. Zrobiła krok w tył, próbując się opanować na tyle, by dać Flambeau komendę „Do domu”.

– Idziemy – powiedział stanowczo.

– Dokąd?

– Do ciebie.

– Ja idę, ale ciebie nie zapraszałam.

Jego śmiech spłynął po niej jak dawno zapomniana piosenka.

– Skarbie, a czy coś takiego może mnie powstrzymać?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Lila patrzyła, jak zielony samochód z rysunkiem ptaka na bocznych drzwiach rusza spod domu i wyjeżdża na drogę w kierunku miasta. Nawet nie zapytali, czy ma ochotę pojechać na pole golfowe i do cukierni. Wcale by z nimi nie pojechała, ale miło jest mieć możliwość wyboru. Normalka. Rozpieszczanie przez dziadków, nawet tak dziwnych jak Glenny i Stu, było widocznie kolejną rzeczą, z których wyrosła.

Odwróciła się od okna i spojrzała na swój pokój. Rodzice kazali jej zdjąć plakaty, posprzątać i pilnować porządku. Prawdę mówiąc, jasny, czysty pokój dużo bardziej się jej podobał. Jediną ozdobę na ścianach stanowiły fotografie, które sama zrobiła. Mama nauczyła ją posługiwać się jednym z aparatów ciotki Jessie. Okazało się, że Lila ma całkiem dobre oko do zdjęć. Jednak teraz, kiedy już wiadomo było, dlaczego Jessie zostawiła cały sprzęt, czuła się z tym nieco dziwnie.

To był szok dla całej rodziny. Lila nigdy jeszcze nie miała do czynienia z kimś niewidomym. Myszkując po internecie, znalazła artykuł o AZOOR, ostrej strefowej ukrytej retinopatii zewnętrznej. Według jakiegoś profesora z uniwersytetu Vanderbilta początkowym objawem choroby jest pojawianie się migających punktów w polu widzenia i powiększenie plamki ślepej. Wzrok pogarsza się coraz bardziej, czasem aż do całkowitej ślepoty w obu oczach. Zdarzają się też halucynacje. Mama powiedziała, że ta choroba nie jest dziedziczna. Zresztą Lila i tak uważała, że nie można odziedziczyć choroby po ciotce.

Jessie tak dobrze posługiwała się swoją resztką wzroku, że Lila niczego się nie domyśliła. Chociaż nie zauważyłaby też nalotu bombowego, gdyby to nie dotyczyło bezpośrednio jej. Przyrzekła sobie, że od tej pory będzie zwracać większą uwagę na swoich bliskich, że będzie się o nich bardziej troszczyć.

Przyjrzała się swojej ulubionej fotografii. Był na niej Andy Cruz w pełnym rynsztunku na posterunku straży pożarnej. Podobała mu się. Oznajmił to zresztą od razu. Nie bawił się w żadne gierki jak inni chłopcy. Gdy opowiedziała mu o wypadku i usłyszała, że to nie jej wina, uwierzyła mu niemal całkowicie. Niemal. Bo trudno było przywołać tę pewność, gdy budziła się w środku nocy zlaną potem, z umysłem wypełnionym strasznymi obrazami wspomnień.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Tak? – Usiadła przy toalecie z lustrem. Chciała wypróbować nowy tusz do rzes.

– Możemy na chwilę? Chcemy z tobą porozmawiać.

Lila poczuła ukłucie niepokoju. Zwykle takie rozmowy z rodzicami oznaczały coś nieprzyjemnego.

– Jasne. – Odkręciła tusz i wyjęła spiralkę.

Drzwi otworzyły się i rodzice weszli do środka. Wyglądali na zmartwionych.

– Coś nowego w sprawie cioci Jessie? – spytała Lila.

– W pewnym sensie.

– Wraca do domu?

– Dusty pojechał z nią porozmawiać. Mamy nadzieję, że wrócą razem. Ale... Ta straszna sprawa z Jessie pokazała nam, że nie wolno ukrywać niczego przed najbliższymi osobami.

Lila podniosła spiralkę do światła.

– Jeśli chodzi wam o ostatnie stopnie, to właśnie miałam powiedzieć...

– Nie chodzi o stopnie. – Mama spojrzała na tatę. – W zasadzie nie chodzi też o tajemnice, tylko o coś, o czym ci jeszcze nie mówiliśmy. Po prostu czekaliśmy na odpowiedni moment.

Świetnie. Mama znowu jest w ciąży. Gniewnym ruchem Lila wsunęła spiralkę do oprawki. Mama nawet się nie domyśla, co to znaczy dla Lili mieć mamę w ciąży, i to mamę w tym wieku. Już poprzednim razem nie było lekko. Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, odłożyła tusz na blat i usiadła z dłońmi wciśniętymi między kolana.

Mama usiadła naprzeciwko niej na wyplatanym fotelu, tata zatrzymał się przy drzwiach, jakby miał ochotę uciec. I zapewne miał.

– Chodzi o to... – Mama uśmiechnęła się z wahaniem. – Nie bardzo wiem, od czego zacząć. To dlatego nie podejmowaliśmy tej rozmowy.

– Jakiej rozmowy? – Lila straciła cierpliwość. – To wy cały czas mówicie, ja jeszcze niczego nie powiedziałam.

Twarzy taty stężała. Lila była gotowa na zwyczajną reprimendę w stylu „Nie odzywaj się do mamy w ten sposób”, ale ku jej zaskoczeniu tata w ogóle się nie odezwał.

Czekała więc, zdziwiona i zaniepokojona zachowaniem mamy, która nigdy nie traciła pewności siebie. A potem uderzyła ją straszliwa myśl.

– Boże, mammo, ty też jesteś chora tak jak ciocia Jessie?

– Nie, nie o to chodzi. Ale w jakimś sensie to się z Jessie łączy. – Wzięła głęboki wdech, jakby zrzucając z siebie wahanie. – Tata i ja

pokochaliśmy cię w chwili, kiedy przyszedłeś na świat. Całym sercem.

– No i? – W zasadzie nie miała co do tego wątpliwości. Czasem mama wręcz potrafiła przygnieść ją miłością. Miała całe archiwum swoich zdjęć, począwszy od oddziału dla wcześniaków, gdzie leżała w specjalnym łóżeczku, mała niczym palec. Rodzice nie opuszczali jej wtedy nawet na chwilę, przynajmniej tak jej się wydawało.

– Ale prawda jest taka, kochanie, że ja nie urodziłam ciebie. Zostałaś adoptowana.

Nic. Nie czuła kompletnie nic. Słowa brzmiały dziwnie nierealnie. Wisiały w powietrzu jak mgła, którą za chwilę rozwieje pierwszy podmuch wiatru.

Rodzice patrzyli na nią z napięciem dziesięć razy większym niż wtedy, gdy przychodził list z zestawem szkolnych ocen.

– Skarbie – zaczęła mama.

Lila podniosła rękę szybkim ruchem. Tata położył dłoń mamie na ramieniu. W odróżnieniu od mamy doskonale wiedział, jaką wagę ma milczenie. Lila była mu za to wdzięczna. Nie mogła tego słuchać, nie teraz. Potrzebowała ciszy, całkowitej ciszy, żeby przyjąć to, co usłyszała od mamy. Wiedziała, że musi to teraz w siebie wchłonąć, połknąć jak obce ciało. Potem to wyjmie, położy przed sobą jak laboratoryjny okaz, rozetnie i dopiero wtedy zobaczy, co jest w środku. A na razie nie dopuszczała do siebie tych słów.

To po prostu niemożliwe. Niemożliwe. Adopcja jest dla ludzi, którzy nie mogą mieć dzieci, a jej mama miała dzieci bez przerwy. Lila widziała to na własne oczy. Najpierw rósł mamie brzuch, a potem wychodziło z niego dziecko. I przez następne miesiące w całym domu pachniało pieluchami i wymiocinami. W ich rodzinie tak właśnie było.

A może jednak nie?

Próbowała przełknąć ślinę, żeby odzyskać głos.

– Co wy mówicie? Odbiło wam?

– Lila, nie urodziłam ciebie. Zostałaś przez nas adoptowana. Tak naprawdę to nie jest żadna tajemnica ani powód do wstydu, ale wiele lat temu uznaliśmy, że jesteś naszą córką pod każdym względem, więc nigdy o tym nie wspominaliśmy. Nawet nie myśleliśmy o tym. Dla nas nie był to żaden problem.

Adoptowane dziecko. Takie rzeczy mówi się braciom, kiedy chce się ich doprowadzić do łez. Lila próbowała jakoś to sobie uporządkować. Zawsze wiedziała, że urodziła się kilka miesięcy po ślubie rodziców. Ale to nie było przecież nic strasznego. Tylko że w jej rodzinie zawsze robiło się zdjęcia. Mama i ciocia Jessie uwieczniały na fotografiach wszystkie rodzinne wydarzenia od czasu, gdy w wieku dziesięciu lat mama dostała swój pierwszy aparat. A teraz dotarło do niej, że nie widziała ani jednego zdjęcia, na którym mama byłaby z nią w ciąży.

Patrzyła na rodziców. To niemożliwe. Przecież ona nazywa się Benning. Wygląda jak mama. Bracia są do niej podobni. Niektórzy ludzie mówią, że jest podobna do taty. Ma takie same rude włosy i zielone oczy jak babcia Glenny, jak mama, jak...

– Skarbie – odezwała się mama. – Ciebie urodziła ciocia Jessie.

Lila otworzyła gwałtownym ruchem tusz. Odwróciła się do lustra i zaczęła grubo malować rzęsy. W lustrze zobaczyła twarz taty. W zasadzie nic, co powiedzieli – co powiedzieli jej adopcyjni rodzice – nie zdziwiło jej. Mama zawsze powtarzała, że Jessie była młoda, niezamężna, chciała podróżować po świecie. A ona i tata chcieli założyć rodzinę.

– Byłaś naszym szczęściem – mówiła mama lekko urywanym głosem. – Sprawiałaś, że staliśmy się rodziną. Przepraszam, że tak długo ci o tym nie mówiliśmy. Jessie uważała, że tak będzie lepiej, a mnie wydawało się, że to nie ma znaczenia. No bo jak mogło mieć? Od chwili, gdy podjęliśmy tę decyzję, uważałam cię za swoją córkę.

Lila miała wrażenie, że przestaje cokolwiek czuć. Ukrywali przed nią największą w życiu tajemnicę. To, kim naprawdę była.

Odwróciła się do nich. Miała kamienną twarz.

– A kim jest mój ojciec?

– Po twoich narodzinach – odezwał się tata – Jessie wpisała do aktu urodzenia „ojciec nieznany”.

Nieznany.

– Lila, skarbie. – Mama przeszła przez pokój i wzięła ją za rękę. – Powiedziała nam o tym w listopadzie, tuż przed swoim wyjazdem.

Tata ukląkł przed nią i odwrócił jej krzeselko tak, że musiała na niego patrzeć.

– Posłuchaj. Dawno temu, kiedy jeszcze nie znałem twojej mamy, spotkałem się kilka razy z Jessie. Potem się rozstaliśmy. Nigdy nie wiedziałem...

O Boże! Jezu! Lila patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz powiedzieć, że... Że ty i ciocia Jessie... – Nie umiała dokończyć, słowa więzły jej w gardle.

Wyjęła rękę z dłoni mamy. Nie ze złością. O takie rzeczy trudno

się złościć. W ogóle nie wiadomo, jak zareagować.

– Mamy nadzieję, że to dla ciebie nic strasznego – powiedział tata.

Tata? Który? Ten, który ożenił się z jej mamą, czy ten, który sypiał z jej ciotką?

Wiedziała, że nie będzie mogła na nich patrzeć, nie zastanawiając się jednocześnie nad tymi więzami krwi, które łączą ją z ojcem, i nad tymi, które łączą ją z mamą. A ciocia Jessie w ogóle jej nie chciała. Po prostu wyjechała, by wieść cudowne życie. Wróciła tylko dlatego, że groziła jej ślepotą.

– Macie nadzieję, że to dla mnie nic strasznego – powtórzyła powoli, chcąc pokazać w ten sposób cały absurd tych słów. – Jasne, to nic strasznego, że nie ufaliście mi na tyle, by powiedzieć prawdę.

– Tu nie chodziło o zaufanie – zaprotestowała mama. A potem dodała coś, co Lilę kompletnie zaskoczyło: – Ja się bałam, córeczko.

O nie! Przecież wszyscy wiedzą, że mama jest najodważniejszą osobą na świecie i niczego się nie boi.

– Czego się bałaś?

– Że wybierzesz Jessie, że zaimponuje ci jej życie i że poczujesz się z czegoś ograbiona.

– Rzeczywiście. Pewnie uważałaś mnie za bezmyślną idiotkę, która zrezygnuje z prawdziwych rodziców dla kogoś, kto się jej wyrzekł w dniu urodzin. – Mówiła to ze złością, ale widziała, że sens jej słów dociera do rodziców.

Usłyszała warkot samochodu na podjeździe. Andy miał ją zawieźć do remizy strażackiej, gdzie kończyli przygotowania do jutrzejszego

śniadania charytatywnego. Takimi rzeczami zajmowała się zwykle mama, ale Lila ze zdziwieniem zauważyła, że jej też zaczęło sprawiać to przyjemność.

– Nieważne. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli przyszło wam do głowy, że nie będę was tak samo kochać, tak samo szanować i tak samo ufać, to chyba zwariowaliście. – Wstała i schowała tusz do torebki. – Muszę lecieć. – Odruchowo pocałowała tatę w policzek i objęła mamę. – Co takiego? – Zatrzymała się w progu, widząc ich zdziwienie. – Baliście się, że świat mi się rozpadnie na kawałki? Wrócę na kolację.

Zbiegła po schodach i niemal wskoczyła do samochodu Andy’ego.

– Jedziemy. Szybko!

Spoglądał na nią dyskretnie, wyjeżdżając na drogę. Jego obecność dobrze na nią działała. Był zupełnie inny niż Heath Walker, przy którym musiała „odpowiednio” wyglądać i „odpowiednio” się zachowywać. Z Andym niczym się nie przejmowała.

– Dobrze się czujesz? – spytał. – Pokłóciłaś cię z rodzicami?

– Nie, wszystko w porządku. Nic strasznego się nie stało. – Popatrzyła przez okno i zauważyła, że krajobraz zamazuje się coraz bardziej. Miała nadzieję, że kupiła wodoodporny tusz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Wyglądasz na przestraszoną – powiedział Dusty, hamując nieco na ostatnim zakręcie przed Broken Rock.

– Aha – mruknęła, kiwając głową.

– Haha – powtórzyła Amber, która siedziała w swoim foteliku.

– To błąd, naprawdę. – Jessie z trudem tłumiała w sobie drżenie paniki.

– Wcale nie – zaprotestował Arnufio z tylnego siedzenia. – Gdybyś sama nie przyjechała, twoja siostra złapałaby cię na łąso.

Jessie przesunęła dłonią po siedzeniu nowiutkiego samochodu i natrafiła na udo Dusty'ego. Zakup większego auta, w którym swobodnie mieściła się Jessie, Flambeau i Amber w swoim foteliku, stanowił tylko jedną ze zmian poczynionych z okazji jej powrotu.

Boże, pomyślała, jaki inny mężczyzna potrafi kochać z taką niewzruszoną pewnością?

Wiedziała, do czego Dusty próbował ją nakłonić. Nie mogła podjąć żadnych zobowiązań – ani wobec niego, ani wobec innych ludzi czy spraw – dopóki nie uporządkuje relacji z własną rodziną. Co wcale nie było takie proste. Jednak po raz pierwszy w życiu chciała podjąć ten wysiłek.

– Powiedz przynajmniej, co mnie tu czeka – spytała, gdy samochód zjeżdżał powolutku w dół.

– Wszystko jest przygotowane do przyjęcia na pomoście – powiedział Dusty. – Na dębie wisi transparent z napisem „Jessie, witaj

w domu”. Wszędzie są żółte baloniki. Zdaje się, że twoi rodzice zatrzymali się w dużej chatce. Chatka numer dwa jest przygotowana dla ciebie.

Jessie przycisnęła dłonie do deski rozdzielczej.

– Chwileczkę! Wydawało mi się, że mamy spędzić weekend razem.

Dusty pogłaskał ją po policzku.

– Nie chcę spędzać z tobą weekendu. Liczyłem raczej na całe życie.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. W głowie miała gonitwę myśli. Dusty był tak samo uparty jak ona. I jako jedyny na całym świecie nie ulegał jej manipulacjom.

Arnufu wydał z siebie pomruk zadowolenia. Gdy w oddali rozległo się szczekanie Bobra, Flambeau poderwała się czujnie.

– Spokojnie, mała. – Jessie pogłaskała ją po głowie.

– Zamknęli psa na wybiegu – powiedział Dusty. – A teraz wszyscy wychodzą na ganek. Uśmiechają się.

– Luz też?

– Tak, Luz też.

Poprzedniego wieczoru rozmawiały przez telefon. Ian i Luz powiedzieli w końcu Lili, że została adoptowana, a jej biologicznym ojcem jest Ian. Jessie nie umiała się jeszcze w tym odnaleźć. Z jednej strony po to właśnie przyjechała tu jesienią, ale teraz, gdy to się już dokonało, nie potrafiła nazwać swoich uczuć. Spytała Luz, jak Lila

przyjęła tę wiadomość.

– Przyjęła. Wiesz jednak, że ostatnio moje słowa nie robią na niej szczególnego wrażenia. Ale nie wydarzyło się nic strasznego, żaden wybuch czy trzęsienie ziemi. Jessie, wracaj do domu. Musisz ją zobaczyć. A mama wprost nie może się ciebie doczekać.

– Twoja mama wygląda tak samo jak w telewizji – odezwał się Dusty. – A ten facet na krześle to pewnie jej mąż.

– Stuart. Pobrali się w Vegas kilka lat temu. Nigdy go nie widziałam.

Dusty zatrzymał samochód na podjeździe. Amber paplała coś wesoło, gdy Arnufu wyjmował ją z fotelika. Bardzo urosła przez ten czas, gdy Jessie jej nie widziała. Ale musiała ją zapamiętać, bo gdy Dusty podał jej Amber, przytuliła się do niej z całkowitym zaufaniem.

Jessie postanowiła, że podczas tej wizyty zda się na pomoc drugiej osoby, a nie Flambeau, dla której nowe miejsce i duża grupa nieznanych ludzi były wystarczająco dużym wyzwaniem. Otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i dopiero wtedy pozwoliła psu wyskoczyć na zewnątrz. Flambeau przysiadła przy jej nodze, czujna i gotowa na kolejne polecenia.

– Wszystko w porządku, panienko – powiedziała uspokajająco Jessie, odwracając się w stronę domu. Pogoda nagle się zmieniła, w powietrzu czuć było wyraźny powiew wiosny.

– Gotowa? – Dusty podał jej ramię.

Słyszała niecierpliwe szuranie stóp, miała ochotę coś zawołać do najbliższych jej ludzi. Pomyślała o tym, jak pojawiła się tu ostatnim razem po piętnastu latach nieobecności, burząc wszystkie mury, którymi Luz otoczyła się przed światem i wprowadzając w ich życiu wielkie

zamieszanie. Wyobraziła sobie, jak stoją rzędem na ganku i pewnie wstrzymują oddech. Flambeau dyszała głośno, Bóbr wył w swojej zagrodzie.

– Spokój! – zawołała Luz.

Jessie miała dłonie mokre od potu. Chciała przypomnieć sobie jakąś modlitwę, ale do głowy przychodziły jej jedynie słowa dziecięcych próśb. Boże, pomóż mi.

Siatkowe drzwi na ganek otworzyły się ze skrzypnięciem, a potem zamknęły z głośnym trzaskiem.

Świadomość, że oto cała rodzina czeka na nią, sparaliżowaną przez niepewność, sprawiła, że Jessie wybuchnęła śmiechem. Żeby się nie rozplakać.

– Na miłość boską! – zawołała, wyciągając przed siebie rękę. – Jeśli ktoś się w końcu nie odezwie, to rzucę się do was biegiem i dopiero wtedy będzie wam głupio.

Usłyszała kroki. Objęły ją czyjeś silne ramiona. Luz. Boże, to Luz. Jessie przytuliła się do siostry ze ściśniętym gardłem.

– Ty idiotko – powiedziała Luz. – Ty stara wariatko. Jak mogłaś tak po prostu wyjechać, nie mówiąc nikomu ani słowa.

– Jakoś mogłam – szepnęła Jessie. – Wiesz, że to w moim stylu.

– I to się musi zmienić.

– Mamusiu, dlaczego płaczesz? – spytał Scottie.

Jessie wzruszyła się, słysząc głos najmłodszego siostrzeńca. Odsunęła się od Luz i odnalazszy nieco lepka dłoń, przykucnęła przy

nim.

– To przeze mnie, bo byłam niegrzeczna. Ale przeprosiłam, a mama postanowiła mi przebaczyć. Ty też się na mnie gniewasz?

– Mama powiedziała, że mnie nie widzisz.

– To prawda.

– To skąd wiesz, jaki jestem duży?

Uśmiechnęła się.

– To proste. – Wyprostowała się, wzięła go na ręce i podniosła wysoko. Pachniał zupą z puszkii i proszkiem do prania. – Ojej! Jesteś wielkoludem!

– A mogę się pobawić z twoim psem? Mama powiedziała, że muszę cię zapytać.

Postawiła go z powrotem na ziemi.

– Flambeau lubi, jak się ją głaszcze. Możesz się z nią bawić, ale tylko wtedy, gdy ja jej nie potrzebuję do pomocy.

Jessie wyciągnęła rękę do Luz. Weszły razem na ganek, żeby się przywitać z resztą rodziny. Obejmując Lile, Jessie próbowała wyczuć jej stosunek do siebie, ale wokół panował zbyt duży gwar i zamieszanie. Pomyślała, że może później będzie na to czas. Na szczęście miała tu spędzić noc. Dusty, jak zawsze, wykazał się niezwykłą wrażliwością.

– Glenny – szepnęła, przytulając matkę po raz pierwszy od wielu lat.

Czas rozplynał się, rozpoznała zapach perfum Charlie, miętowych

pastylek i lekko ochrypły szept.

– Moja córeczka.

Po latach uprawiania golfa dłonie matki jak zawsze pokryte były odciskami, ale skóra stała się bardziej delikatna i pergaminowa.

– A to mój mąż Stuart. – Glenny wsunęła jej dłoń w dużą męską dłoń.

– Cieszę się, że cię wreszcie widzę. – Rozpoznała znany z telefonu przyjemny głos z akcentem z południowej Kalifornii. Zdziwiła się nieco, że nie wstał, żeby się z nią przywitać. Wszystko wyjaśniło się po chwili, gdy Flambeau zaczęła węszyć jak szalona, a Stuart jakby odpłynął w tył. Mama przytrzymała ją za ramię, pomagając odzyskać równowagę.

Jessie zmarszczyła brwi.

– Jesteś na wózku?

– Tak. Przepraszam, że cię nie...

– Nie ma o czym mówić. Po prostu nie wiedziałam. Miałeś jakiś wypadek?

– Dziesięć lat temu. Ale teraz czuję się świetnie.

Jessie pomyślała, jak można czuć się świetnie, jeśli przez dziesięć lat jest się przykutym do wózka inwalidzkiego.

Dusty podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– No to ja lecę – powiedział. – Zaniósłem ci rzeczy do pokoju.

– Pa! – Amber pochyliła się i pocałowała Jessie w brodę z głośnym

cmoknięciem.

– Pa! – odpowiedziała Jessie. – Jak możesz zabierać ode mnie to cudowne dziecko?

– Wrócę rano. Na pewno będziesz dziś bardzo zajęta.

Doskonale zdawał sobie sprawę, co ją czeka, a mimo to nie zamierzał tkwić przy niej i trzymać za rękę. To właśnie było w nim niezwykle. Nie tłumaczył, dlaczego zmusza ją, by dała sobie radę sama.

Jessie zorientowała się, że cała rodzina próbuje zachowywać się przy niej spokojnie. Wyobraziła sobie, jak Luz zwołuje zebranie, żeby poinformować wszystkich, że Jessie jest niewidoma, a osoby niewidome potrzebują uporządkowanego otoczenia. W Beacon też pracowali nad tym problemem. Przygotowywali uczestników kursu na możliwe reakcje rodziny i znajomych. Ale nikt i nic nie mogło przygotować Jessie na to, z czym musiała się zmierzyć.

Po kolacji Ian, Stu i chłopcy uwolnili Bobra z zamknięcia, a potem poszli na wzgórze pograć w frisbee. Jessie, Glenny, Luz i Lila siedziały na pomoście.

– Luz, kolacja była po prostu genialna. – Jessie wyciągnęła się w fotelu i poklepała po brzuchu. – Twoje nadziewane ziemniaki to absolutne mistrzostwo świata. I jeszcze ten placek czekoladowy. Do tej pory leci mi ślinka.

– Ciasto upiekła Lila – zauważyła Glenny.

– Tak pysznego ciasta nie jadłam nigdy w życiu.

– Wcale nie musisz tego mówić – mruknęła Lila.

– Nie muszę, ale chcę. Bo to prawda. – Jessie wyczuwała z jej

strony podejrzliwość i żal.

– Zeszczuplałaś – powiedziała Luz. – Ale lepiej, żebyś nie chudła za bardzo.

– Nie stosowałam żadnej diety – wyjaśniła Jessie. Uznała, że Luz ma rację, chcąc na razie uniknąć poważnych rozmów. – Na kursie cztery osoby w mojej ośmioosobowej grupie miały cukrzycę, więc dawali nam mało słodczy. A kiedy wyprowadziłam się już do swojego mieszkania, zaczęłam dla siebie gotować. Najczęściej jadam japoński makaron i płatki na zimno. No i mam dużo ruchu. Przy psie nie da się tego uniknąć. – Położyła dłoń na głowie Flambeau, która podniosła pysk i spojrzała na nią z całkowitym uwielbieniem.

– A jak ją sobie wybrałaś? – spytała Lila.

Jessie uśmiechnęła się.

– Osoba niewidoma nie wybiera sobie psa. To zadanie instruktorów. Znają ciebie i znają też psy, bo przez wiele miesięcy zajmują się ich szkoleniem. Muszą dopasować charakter psa do charakteru właściciela.

– No i do koloru włosów – zauważyła Glenny. – Wyglądacie razem rewelacyjnie. Dwa cudne rudzielce.

– Sprawia wrażenie, że jest bardzo do ciebie przywiązana – stwierdziła Lila.

– Mam taką nadzieję. To główny cel całego intensywnego treningu. Ja i Flambeau musimy nawiązać bardzo bliską więź. I chyba to nam się udaje. Ale pies przewodnik nie ma lekkiego życia.

– Dlaczego?

– Flambeau nie ma jeszcze dwóch lat, a już trzy razy przeżyła bolesne rozstanie. Najpierw w wieku ośmiu tygodni odstawiono ją od matki i przekazano jakiejś rodzinie. Po roku przejął ją instruktor z Beacon. A na koniec ja ją dostałam.

– Biedactwo. – W głosie Lili dźwięczał prawdziwy smutek. – Kilku harcerzy z mojej szkoły wychowuje szczeniaki dla instruktorów z Beacon. Nigdy nie umiałam pojąć, jak można kochać psa, wychowywać go, tresować, zajmować się nim przez cały rok, a potem go komuś oddawać.

– Flambeau wychowywał pewien chłopak z Round Rock – powiedziała Jessie. – Przyjechał do nas w odwiedziny tego dnia, gdy mi ją przydzielono. To był... – Przełknęła z trudem ślinę. – Nigdy tego nie zapomnę. Przyprawdzili mi ją, a ona wskoczyła na mnie, żeby się przywitać, i po prostu się do mnie przytuliła. Na ogół psy uczą się, żeby nie skakały na ludzi, ale kiedy Flambeau była szczeniakiem, Brian nauczył ją przytulać się na komendę. I moja panienka to właśnie zrobiła. Nawet nie umiem powiedzieć, co wtedy poczułam. Nadzieję, optymizm, a wreszcie pewność, że wszystko będzie dobrze. I przez cały czas słyszałam, jak Brian i jego mama pochlipują, obserwując mnie i instruktora z Flambeau. Później spytałam Briana, czy czasem mu nie żal, że oddaje psy, ale on powiedział, że nie. Bo Flambeau robi teraz to, do czego ją przygotowywał i że to jest dużo ważniejsze niż trzymanie jej w charakterze domowego zwierzaka.

Jessie umilkła i wzięła głęboki oddech. Zdziwiło ją, że tak trudno jej o tym mówić.

– Dlatego zrobię wszystko, żeby jej nie zawieść. Ma za sobą kilka bolesnych rozstań, ale w końcu znalazła przy mnie swoje miejsce.

Jessie wsłuchiwała się w ciszę, która zapadła po jej słowach. Uczyla się zauważać rzeczy, które kryją się w ciszy. Szum chłodnego wiatru pośród drzew, uderzanie drobnych fal o słupy pomostu. Z bliższej

odległości dobiegło ją skrzypnięcie krzesła, na którym siedziała Lila, i delikatnie westchnienie mamy, pociągnięcie nosem

Luz oraz dźwięk, który świadczył, że siostra głaszcze Flambeau.

Jessie odwróciła się do Lili.

– Chciałabym, żebyś pogodziła się z tym, co kiedyś zrobiłam. Chciałabym mieć pewność, że jesteś w najlepszym dla siebie miejscu.

– Zawsze chodziło ci tylko o to, czego ty chcesz – powiedziała Lila niemiłym tonem. – Ja nie jestem psem. Może się z tym pogodzę, a może nie. Ale na pewno nie ze względu na ciebie.

Jessie czuła zaskoczenie matki i siostry. Czuła, że Luz bierze wdech, by skarcić córkę, ale nie pozwoliła jej nic powiedzieć.

– Co za ulga. Bo już się bałam, że będziecie mi okazywać specjalne względy tylko dlatego, że jestem niewidoma.

Wstała i podeszła do barierki pomostu.

– Utrata wzroku sprawiła, że musiałam zacząć patrzeć inaczej. Kiedy byłam młoda, robiłam głupie rzeczy. Wiele głupich rzeczy. Uważałam, że od siostry wszystko mi się należy. Straciłam kontakt z matką. Zakochiwałam się w mężczyznach, którym wcale na mnie nie zależało. Ale zrobiłam jedną rzecz, która nie była głupia. To była wręcz najmądrzejsza rzecz w całym moim życiu. Oddałam cię twojej mamie. Lila, masz niebywale szczęście, że zrobiłam tę jedną mądrą rzecz.

Usłyszała, że Lila klęka na pomoście i wyobraziła ją sobie tuż obok Flambeau. Rzeczywiście, puszysty ogon uderzył kilka razy o podest. Jessie wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Brian oddał Flambeau mnie, ale to nie znaczy, że przestał ją

kochać.

Lila podniosła się.

– Oczywiście, wszystko rozumiem. – Zrobiła kilka kroków, zatrzymała się, a potem odeszła na dobre.

Słyszając jej oddalające się kroki, Jessie zbladła.

– No cóż – powiedziała znużonym głosem. – Chyba wszystko schrzaśniłam.

Zdziwiło ją, kiedy usłyszała, że Glenny pociąga nosem.

– Chyba teraz rozumiecie, dlaczego nie zajmowałam się wami przez cały czas? Jesteście bardzo uczuciowe.

Jessie wyciągnęła do matki rękę. Wiedziała, że Glenny wychowała je najlepiej, jak umiała. Serce to bardzo kruchy organ, delikatny, łatwo je złamać. Matka należała do tych osób, które zamykają się w pancerzu, żeby chronić się przed bólem zwykłej miłości, która czasem nie liczy się z ludzkim sercem.

Glenny uścisnęła jej dłoń.

– Mam ścianę pełną pucharów i własną stronę internetową. Przejechałam tysiące kilometrów, ale moją najtrudniejszą podróżą była droga tutaj. Jestem z was bardzo dumna.

Jessie była zaskoczona.

– Nigdy nam tego nie mówiłaś.

– Nie było mnie przy was, ale to nie znaczy, że mi na was nie zależało. Ratowała mnie jedynie świadomość, że macie siebie

nawzajem, że jesteście tam, gdzie wasze miejsce. Jeśli się na siebie gniewacie, to dla mnie wszystko przestaje mieć sens.

Jessie odwróciła się do siostry.

– Luz! Luz, proszę cię!

Może to zadziałała delikatna zachęta ze strony Glenny, a może słowo „proszę”. Luz podbiegła do Jessie, a kiedy przytuliła się do niej z całej siły, upadły obie na pomost, trzymając się w objęciach i wreszcie pozwalając łzom płynąć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Luz zawsze uważała Alamo za symbol tragedii i porażki, nawiedzany przez duchy garstki żołnierzy odpierających ataki oddziałów generała Santa Anny. Jednak w słoneczne piątkowe popołudnie pod koniec lutego ten najbardziej chyba znany zabytek Teksasu wielokrotnie znalazł się w jej obiektywie. Przyjechała do San Antonio, żeby na prośbę Arnufa zrobić zdjęcia jego wnuczce Guadelupe, która przystępowała do pierwszej komunii.

Luz z zachwytem patrzyła na uroczystą procesję idącą przez Alamo tradycyjną trasą do starej kaplicy. Małe dziewczynki ubrane w białe sukienki i mantylki przypominały małe laleczki panien młodych. Przeszły wzdłuż Zachodnich Koszar, obok symbolicznego grobowca poległych żołnierzy, następnie przekroczyły legendarną linię na piasku wyrysowaną przez pułkownika Tralisa, którą dziś wyznaczał mosiężny pręt osadzony między płytami chodnikowymi. Za pomocą teleobiektywu Luz udało się uchwycić istotę dziecięcej niewinności Guadelupe – duże ciemne oczy otoczone czarnymi, aksamitnym rzęsami, błyszczący warkocz, cenny rodzinny różaniec w palcach z paznokciami pomalowanymi tanim różowym lakierem. A także wcale nieukradkowy uśmiech, którego spontaniczność podkreślał brakujący ząb.

Za pomocą zdjęć Luz mogła pokazywać świat ze swojej perspektywy. Nigdy nie lubiła Alamo, ale parada sześcioletnich dziewczynek sprawiła, że widmo dawnej tragedii gdzieś się rozplynęło. Zrobiła jeszcze ostatnie zdjęcie, gdy Guadelupe mijała dziadka i dumnych rodziców, kierując się do kościoła. Arnufu zaprosił Luz na przyjęcie po mszy, ale odmówiła. To był już czas na rodzinne zdjęcia i pamiątkowe filmy wideo. Poza tym musiała jak najszybciej wracać do Edenville. Miała swoją pracę, ale życie nadal toczyło się zwykłym rytmem. Nadal trzeba było ugotować kolację, poskładać pranie, przypilnować dzieci przy odrabianiu lekcji. I zająć się mężem. Odsunęła od siebie denerwujące myśli o Ianie i skupiła się na łatwiejszych

problemach.

Glenny i Stuart mieli wkrótce wyjechać. Luz wiedziała, że będzie za nimi tęsknić. To była bardzo przyjemna wizyta mimo straszego powodu, który do niej doprowadził. W ciągu ostatniego tygodnia ona i Jessie przeprowadziły z matką kilka naprawdę szczerych rozmów. Niewątpliwie Glenny starała się, jak mogła. A teraz uczyła chłopców grać w golfa, a Stuart zaskoczył wszystkich umiejętnością gry na gitarze. Dał nawet kilka lekcji Lili.

Lila.

Luz postawiła torbę na masce samochodu, szukając kluczyków. Ze smutkiem pomyślała o dawno minionych czasach, kiedy Lila była mała i wszystko wydawało się takie proste. Nie trzeba było wiele, żeby ją rozśmieszyć, wieczorem tuliła ją i całowała ją na dobranoc, a Lila mówiła do niej „mamusiu”.

Luz powtarzała sobie wielokrotnie, że obecne oddzielenie jest czymś normalnym. Wchodząc w wiek dojrzewania, nastolatki odsuwają się do rodziców i zaczynają własne życie. To naturalny bieg rzeczy. Ale dla Lili to przejście było szczególnie dramatyczne z powodu stresu związanego z wypadkiem i ujawnieniem adopcji.

– Wydaje mi się, że ty się bardziej tym przejmujesz niż ona – powtarzała Glenny.

Luz znalazła kluczyk, wrzuciła do samochodu torbę i wyjęła zza osłony przeciwsłonecznej bilet parkingowy. Przez przednią szybę zauważyła znajomą postać. Mrugnęła kilka razy, myśląc, że to jakieś przywidzenie. Ale nie, po drugiej stronie Alamo Plaza stał jej mąż.

W pierwszym odruchu chciała wysiąść z samochodu, zawołać do niego, zapytać, co robi w San Antonio i dlaczego rozmawia z portierem Menger, najbardziej romantycznego hotelu w całym San Antonio.

Ale nie wysiadła z samochodu. Krew zamarła jej w żyłach. Sięgnęła do torby i założyła na aparat potężny teleobiektyw. Patrząc przez wizjer, ustawiła ostrość. Ian wyglądał rewelacyjnie. Miał na sobie swój najlepszy garnitur, ale zachowywał się trochę nieśmiało, zupełnie nie jak nieustępliwy prawnik, który potrafił zdeprymować pewnych siebie sędziów.

Przypomniął jej mężczyznę, którego poznała szesnaście lat temu w bibliotece Gutmana.

Ale dziś to wspomnienie, tak jak wiele innych, budziło w niej gorycz. Zawsze wierzyła, że Ian zwrócił na nią uwagę, bo mu się spodobała. Ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie podszedł do niej dlatego, że wziął ją za byłą kochankę. Jej siostrę.

Przeniosła ostrość na trzymaną przez Iana paczkę. Była to czarna, błyszcząca torba z luksusowego sklepu odzieżowego Neiman Marcus. Według jej wiedzy Ian nigdy w życiu nie był w takim sklepie!

Żony innych prawników często ją ostrzegwały. Nie dzwoń do niego w środku nocy. Nie śledź go, gdy jedzie do sąsiedniego miasta na przesłuchanie. Nie draż, nie dopytuj, nie próbuj odkryć żadnych tajemnic.

Ale te ostrzeżenia nigdy nie dotyczyły Luz. Jej mąż nigdy nie interesował się innymi kobietami. Wdzięki młodych, chętnych do pracy stażystek nie robiły na nim wrażenia. Jednak gdy patrzyła, jak Ian wsuwa portierowi w rękę suty napiwek, a potem znika za szklanymi obrotowymi drzwiami, wszystkie te rady i wątpliwości odezwały się ze zdwojoną, a nawet potrojoną mocą.

Drżącymi rękami odłożyła aparat. A więc to jest ciemna strona jej kłamstwa, kara za to, że milczała w sprawie Lili, za to, że przymykała oczy na prawdę, która od początku była oczywista. A teraz, jak jakiś

żałosny prywatny detektyw, mogła jedynie obserwować z ukrycia swojego zakłamanego męża.

Drgnęła, gdy zabręczał telefon. Wciąż nie mogła się przyzwyczać do tego przedmiotu. Ian dał jej komórkę z okazji walentynek, kolejny praktyczny prezent po faksie i modemie. I bynajmniej żadna z tych rzeczy nie była zapakowana w błyszczącą czarną torbę.

Wygrzebała z kieszeni mały telefon.

– Luz Ryder Benning, słucham. – W kontaktach zawodowych coraz swobodniej używała pełnego imienia, ale wciąż miała wrażenie, że jest zbyt długie i brzmi sztucznie, jakby należało do innej osoby.

– Pani Benning? – Jego niski, głęboki głos rozpląnął się po jej ciele.

– Słucham.

– Mam dla pani pewną propozycję.

– Jaka propozycję?

– Rusz ten swój śliczny teksaski tyłeczek i przyjdź tu, to się dowiesz.

Cholera. A więc już dawno ją zauważył. Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Zdenerwowana i lekko zbита z tropu przeszła przez plac do hotelu. Portier przywitał ją i wręczył klucz, wskazując pokój na drugim piętrze.

Chociaż słowo pokój nie było w tym wypadku adekwatne. Znalazła się w eleganckim apartamencie z łóżem z baldachimem, marmurową wanną w łazience i balkonem wychodzącym na patio

z fontanną. Na stojaku na bagażu stała czarna błyszcząca torba, a w niej zachwycający gorset, dopasowana do niego spódnica i czarne sandały. Gorset? Musiała spojrzeć jeszcze raz.

Na poduszce leżało ręcznie wypisane zaproszenie. Ze zdziwieniem rozpoznała okrągłe pismo Lili. „Czekam na ciebie. Godzina 18, bar Rough Rider”.

Luz zadzwoniła do domu. Odebrała Jessie.

– Mam nadzieję, że to nie moja siostra.

– Jessie, o co tutaj chodzi?

– Naprawdę, Luz, jesteś głupsza niż kilo gwoździ. I nie dzwoń do mnie więcej. – Odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę Luz patrzyła tępo na telefon. A potem go wyłączyła.

Dwie godziny później weszła do hotelowego baru. Miała na sobie wąską czarną spódnicę i – o dziwo! – gorset. Gdy stanęła w drzwiach, chcąc przyzwyczaić wzrok do panującego wewnątrz półmroku, kilkanaście głów odwróciło się w jej stronę. Z rogu dochodziły dźwięki pianina. Bar, będący kopią londyńskiego pubu House of Lords, miał sufit wykładany panelami z drewna czereśniowego, na ścianach wisiały lustra z rżniętego szkła, w wielu miejscach stały bogato zdobione szklane serwantki i gablotki.

Idąc przez salę, zauważyła swoje odbicie w jednym z wiszących za barem luster. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że ta elegancka nieznajoma z błyszczącymi włosami uczesanymi we francuski kok, w modnych ciuchach i z małą, wyszywaną koralikami torebką, to ona.

Ian czekał na nią w łożu wykładanej miękkim pluszem. Wstał na

jej widok.

– O! To niewiarygodne, co może działać zwykły hotelowy szampon.

– Z pomocą osobistego dostawcy zakupów.

Podniósł jej dłoń do ust.

– Pomogła mi Blair LaBorde. – Położył na stole małe pudełko z granatowego aksamitu. – Ale to wybrałem sam.

Poczuła na plecach dreszcz. Sądząc po rozmiarze pudełka, nie był to żaden elektroniczny gadżet ani narzędzie elektryczne. Ale to przecież Ian, skarciła się w myślach. Ian, który na rocznicę ślubu kupuje fartuch kuchenny i sztucce do grilla.

Usiadła obok niego, wzięła pudełeczko do ręki i otworzyła je. W środku leżał złoty łańcuszek ze szmaragdowym wisiorkiem.

Z trzaskiem zamknęła pudełko.

– Masz romans.

– Co takiego?

– Masz romans i chcesz w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia.

– Bardzo zabawne, pani Benning. – Wyjął łańcuszek z pudełka. – Daj, założę ci.

Gdy jego palce dotknęły jej karku, poczuła, że się czerwieni.

– Ian, przepraszam. To było małostkowe. Ale to wszystko... Po prostu jestem zaskoczona.

– I o to właśnie chodziło. – Ian wziął ją za ramiona i delikatnie odwrócił w swoją stronę. – Bo ja rzeczywiście chcę mieć romans. Z moją wspaniałą żoną. Boże, jaka ty jesteś piękna. – Nie mówił tak jak zwykle. W jego głosie dźwięczała siła, którą ostatnio tak rzadko słyszała, a którą dostrzegła w nim już przy pierwszym spotkaniu.

Tylko że stare nawyki trudno jest wykorzenić. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, oddała mu przelotnie pocałunek i odsunęła się niespokojnie.

– A kto został z dziećmi?

Szczęka mu drgnęła.

– Myślę, że z twoją mamą i Stuartem, no i Lilą, jakoś dadzą sobie radę. A gdyby rzeczywiście zdarzyło się coś poważnego, to zawsze jest jeszcze Dusty Matlock.

– Pewne kwalifikacje do opieki nad dziećmi ma jedynie Arnufó, ale jest akurat u córki w San Antonio.

Uśmiechnął się.

– Ty rzeczywiście wierzysz w to, co mówisz.

– Bo tak naprawdę jest.

Jego uśmiech zniknął.

– Tak jest na twoją prośbę, bo wszystko zawsze musiałaś robić sama. Luz, odpuść sobie. Naprawdę dzieci dostaną jeść i pójdą spać, choć być może nie wszystko będzie tak, jak ty byś zarządziła.

Zamknęła oczy, myśląc o tym, że zawsze stawiała Owenowi przy

łóżku szklanę z wodą, i o tym, że przy zasypianiu Scottie musi mieć trzy konkretne przytulanki, bo inaczej...

– Luz! – Jego głos wyrwał ją z zamyślenia. – Teraz jesteś ze mną.

Patrzyła na jego twarz, na której wyryte były lata śmiechu, miłości i trosk. W końcu zrozumiała, o co mu chodzi.

– Oczywiście.

Romantyczna randka została szczegółowo zaplanowana. Wypili w barze drinki, a potem poszli na kolację do Anaqua Grill, gdzie jedzenie kosztowało więcej niż tygodniowe zakupy, które Luz robiła w lokalnym supermarkecie. Wokół nich, przy stolikach przykrytych białymi obrusami, siedziały pary pogrążone w cichych rozmowach, a pośród bujnie kwitnącej roślinności i małych szumiących fontann przechadzały się bażanty. Gdy rozległy się pierwsze dźwięki niewielkiej orkiestry, Ian wziął żonę za rękę.

– Chodź, zatańczymy.

– Przecież nie umiesz tańczyć.

– Ty też. – Pochylił się i szepnął jej do ucha: – Ale zawsze może być ten pierwszy raz. – Mimo upływu lat wciąż potrafił sprawić, że się czerwieniła. Był beznadziejnym tancerzem, ale w jego ramionach czuła się wspaniale.

– Jest mi cudownie – powiedziała cicho.

– Mnie też.

Ton jego głosu rozśmieszył ją.

– Przecież nie lubisz tańczyć.

– Żaden facet nie lubi. Ale tańczymy, żeby kobieta miała potem ochotę na seks.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– To działa.

Mieli zamiar wziąć wodną taksówkę z powrotem do Menger, ale nie chcieli im się rywalizować z grupkami hałaśliwych turystów przemierzających się od jednego baru do drugiego. Ruszyli piechotą wzdłuż Riverwalk, najpiękniejszej arterii San Antonio, mijając sklepy i restauracje obwieszane migającymi światełkami. Luz zdjęła sandały i szła bosą, opierając policzek o Iana, który obejmował ją jednym ramieniem. Przechodnie uśmiechali się na ich widok i Luz też odpowiadała im uśmiechem.

– Pewnie myślą, że jesteśmy nowożeńcami – powiedziała.

– Umówmy się tak na dziś, dobrze? Pomyślałem, że zatrzymamy się w La Fogada na capuccino, ale co tam! Masz ochotę na capuccino?

Jego niecierpliwość sprawiła, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Wcale.

– Ja też.

Pokój hotelowy był przygotowany na romantyczny wieczór w najdrobniejszych szczegółach: przyćmione światła, ogromne, wygodne łóżko, butelka Cristal Rose rocznik '95 w srebrnym wiaderku i cicha muzyka sącząca się z niewidzialnych głośników. Ale Luz trudno było poddać się nastrojowi chwili. Najpierw musiała wyjaśnić kilka podstawowych kwestii.

– Ianie Benning – zwróciła się do męża. – Przecież jesteś genetycznie niezdolny do zaplanowania takiego wieczoru. Kto ci pomagał, mów.

– Jessie, twoja mama, Lila. No i Blair. Ta kobieta naprawdę umie wydawać pieniądze.

Luz rzuciła wyszywaną koralikami torebkę na obite tkaniną krzesło.

– W takim razie powiedz, po co to zrobiłeś.

Ian rozluźniał sobie właśnie krawat. Luz zauważyła, że była to podróbka Hermesa, którą podarowała mu pod choinkę.

– Jak to dlaczego? – powiedział z lekkim zakłopotaniem. – Bo cię kocham.

Jego rzeczowa pewność uderzyła w nią z niezwykłą siłą. Często zastanawiała się nad tym, jak bardzo sama kocha innych ludzi, ale niemal nigdy nie myślała o tym, jak bardzo inni kochają ją.

– W takim razie z jakiej okazji.

Z krawatem luźno wiszącym na szyi podszedł do szafy i wyjął z niej dużą kopertę.

– To jest jeden powód.

Zdziwiona patrzyła na list dziekana wydziału nauk humanistycznych uniwersytetu stanowego, do którego dołączony był cały plik formularzy.

– Piszą, że na podstawie moich osiągnięć mogą mi przyznać dyplom ukończenia uczelni. – Gdy odkładała kopertę, ręka jej lekko

drżała. – Nigdy nie wolno tracić nadziei na cud. Nareszcie coś udało mi się skończyć.

– Luz, jestem z ciebie dumny. Tak jak cała rodzina. Ale ja zawsze byłem z ciebie dumny, także bez twojej nagrody czy dyplomu wyższej uczelni. – Przeszedł przez pokój i objął ją. – I nie zaaranżowałem tego wieczoru jedynie z powodu listu od dziekana.

– W takim razie dlaczego?

– Bo musimy się na nowo odnaleźć. I chcę, żeby dzisiejszy wieczór był początkiem tej drogi.

Boże, przecież nigdy tak ze sobą nie rozmawiali. Zmroziło ją złe przeczucie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Doskonale wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Nasze małżeństwo zbyt długo toczyło się jedynie siłą bezwładu. Nawet seks... Dobrze wiesz, że robisz to bez zaangażowania. Musimy się znów porozumieć.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jego diagnoza była zaskakująco i przerażająco trafna.

– To także moja wina – przyznał. – A może wręcz tylko moja wina, że oddaliśmy się od siebie.

Przycisnęła dłonie do rozgrzanych policzków. Doskonale rozumiała, że to wszystko nie zaczęło się od wyznania Jessie. Gdy powiedziała im prawdę o pochodzeniu Lili, w ich małżeństwie nie było dobrze. Rysy i pęknięcia pojawiły się już dawniej, ale je zignorowali. Wiedziała, że musi się zdobyć na całkowitą szczerłość, choć było to trudne, bardzo trudne.

– Czuję się... zagrożona – przyznała. – Wiem, że nie mogę mieć kontroli nad tym, kogo znałeś, a kogo nie przed naszym poznaniem. Ale fakt, że to przede mną ukryłeś...

– I to cię najbardziej wkurza, prawda? Że nie masz nade mną całkowitej kontroli. Tak, nie powiedziałem ci o tym. Jess też nie. A potem o wszystkim zapomniałem. Na miłość boską, Luz, byłem w tobie tak szaleńczo zakochany, że nie myślałem o żadnej innej kobiecie. To prawda, przysięgam.

Wzięła głęboki oddech, żeby powiedzieć mu rzecz najgorszą. Zaslugiwał na to, żeby wiedzieć o niej wszystko, a ona zasługiwała na każdą jego reakcję.

– Ian, ja jestem zazdrosna.

– Daj spokój! Ja i Jessie...

– Nie o to chodzi – przerwała mu. – Mam na myśli Lilę. Dopóki nie wiedzieliśmy, kto jest jej ojcem, byliśmy jej rodzicami po równo. Ale gdy Jessie powiedziała, że to ty... Ta równowaga została zaburzona. Wiem, że to okropne, wiem, że to nie ma sensu, ale zaczęłam być na ciebie zła. Za to, że Lila jest twoja, a nie moja. A może bardziej twoja niż moja, co i tak doprowadza mnie do szału.

Ian milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział:

– Cholera jasna. Masz ochotę pójść na to capuccino?

Posłała mu cierpki uśmiech.

– Nie chcę zepsuć nastroju, wszystko, co dziś zrobiłeś, jest cudowne, ale romantyczna randka nie wymaże w magiczny sposób naszych problemów.

– Nie zamierzam ich wymazywać. Chcę o nich szczerze i otwarcie rozmawiać, żebyśmy umieli zrobić następny krok.

– I właśnie dlatego nie lubię prowadzić z tobą takich rozmów. Gdy mówisz coś takiego, od razu przychodzi mi do głowy, że chcesz ode mnie odejść...

– Gdybym rzeczywiście chciał to zrobić, dowiedziałabyś się o tym pierwsza. Luz, problemy są częścią naszego związku, a ten związek ma dla mnie wielką wartość. Nie okłamuję cię. I wiem, że ty też nigdy mnie nie okłamałaś.

– Ale ukrywamy przed sobą różne rzeczy.

– I być może powinniśmy z tym skończyć.

Czy kochałby ją nadal, gdyby znał jej najbardziej skryte lęki? Przypomniała sobie przypływ lodowatej paniki, która ją ogarnęła, gdy zobaczyła go przed hotelem.

– Nigdy nie będę taka ładna ani taka inteligentna jak twoje stażystki. Co roku przychodzą nowe, mają po dwadzieścia parę lat, a ja z każdym rokiem się starzeję. Co dzień gnasz do pracy z takim pośpiechem, jakbyś nie mógł się doczekać spotkania z nimi.

– Luz, może i jestem pracoholikiem, ale to nie ma nic wspólnego ze stażystkami!

– W takim razie z czym? – W jej głosie kryło się pełne bólu błaganie. Wiedziała, że magiczny nastrój wieczoru powoli się rozplywa, ale skoro zaczęli tę rozmowę, to musiała zadać takie pytanie.

Jego słowa wprowadziły ją w osłupienie.

– Nigdy nie byłem tym mężczyzną, którego chciałaś we mnie widzieć. Teraz masz wymarzoną pracę, a ja nigdy nie umiałem zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, nigdy nie dałem ci dość...

Przyłożyła palec do jego ust.

– Ianie Benning, straszny z ciebie głuptas. Skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

Pocałował jej dłoń, nie spuszczać wzroku z żony.

– Widzę to w twoich oczach. Widzę, jak czytasz przewodniki i książki podróżnicze o różnych egzotycznych krajach, jak zbierasz zdjęcia domów, na jakie nigdy nie będzie nas stać. Chryste, Luz, chciałbym ci to wszystko dać, chciałbym cię zabrać do tych wszystkich miejsc i pokazać ci cały świat.

Uwolniła dłoń i osunęła się na brzeg łóżka. Ian miał rację. Nigdy o tym nie wspominała, ale przejrzał ją dokładnie. Przez tyle lat marzyła o rzeczach, które były poza jej zasięgiem, zamiast docenić życie, które miała.

– Ian, jak ty możesz ze mną wytrzymać?

– Luz, nie mogę żyć bez ciebie. Nasze małżeństwo jest dla mnie wszystkim. Tak samo jak i ty. Ale kilka spraw musimy naprawić.

– Zgoda.

– I musimy zacząć już teraz.

– Dobrze.

– Chciałbym ci jednak coś wyjaśnić. – Ukląkł przed nią. Ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. – Chcę ci powiedzieć, co jest dla

mnie piękne. Ty. Jesteś prawdziwym dziełem sztuki. W każdym szczególe. Piękne są twoje zmarszczki wokół oczu, bo często się uśmiechasz. Twój cudownie miękki tyłek i brzuch, który nie jest już taki płaski, bo urodziłaś moje dzieci. Piękny jest zapach twoich włosów i to, jak wyglądasz, gdy wychodzisz spod prysznica. I ten uśmiech na twojej twarzy, gdy wracam do domu po całym dniu pracy. Tęsknię za tym wszystkim, Luz. I chcę, żebyśmy to razem odnaleźli. Powiedz tylko, co mam zrobić. Mam cię zabrać do Indii? Do Paryża? Do...

– Sam najlepiej wiesz, co masz zrobić – powiedziała wzruszona. – Zawsze tak było.

W tym momencie rozumiała, że ten szczegółowo zaplanowany romantyczny wieczór już się skończył. Ale między nimi pojawiło się coś nowego – napiętność podsycana szczerością, oddanie pogłębiane przez miłość tak wielką, że przez moment wydawała się nie do udźwignięcia, pragnienie tak dojmujące, że nie umiałyby go wyrazić słowami. Ale najbardziej podniecająca była – mimo wszystko – szczerość. Luz wstała, a mąż z nią. Czuła się nieco dziwnie w sztywnym gorsecie, ale Ian z wyraźną przyjemnością zajął się jego rozpinaniem.

Luz westchnęła, gdy jej ubranie opadło na podłogę, a potem położyła się na łóżku, pociągając Iana za sobą. Wystarczył brak pośpiechu, by otworzył się przed nimi cały świat dawnych doznań. Niemal zapomniała, jakie przyjemne może być przeczesywanie palcami włosów Iana, gładzenie jego piersi i bioder. Już dawno nie słyszała jego jęku pożądania, gdy przejmowała inicjatywę i wchodziła na niego, otwierając się przed nim do końca.

Wciąż umiał rozpalić w niej ogień, wciąż umiał doprowadzić ją do łez niezwykłą czułością i bezinteresownością. Zawsze tak było. Nie był idealnym mężem ani idealnym ojcem, tak samo jak ona nie była idealną żoną, ale w sypialni zbliżali się do ideału. Gdy kochali się ze sobą, ona wybaczała mu wszystkie winy, a on akceptował ją ze wszystkimi wadami i niedoskonałościami. Gdy kochali się ze sobą, Luz czuła

głęboką wdzięczność za to, że za niego wyszła, bowiem bez niego była tylko w połowie żywa.

W ciągu długich, otulonych ciemnością godzin pachnącej kwiatami nocy, odnaleźli miłość sprzed szesnastu lat. I znów się w sobie zakochali. Luz miała wrażenie, że zanurzyła się w zupełnie innym świecie, tak jakby była zupełnie inną osobą. I wiedziała, że to prawda. Ian sprawił, że zobaczyła w sobie to, czego tak długo nie chciała widzieć. A było to takie proste! Dla niej źródłem szczęścia zawsze byli inni ludzie a nie dalekie kraje i niebezpieczne przygody. Zrozumiała, że najwyższy czas rozstać się ze zużytymi starymi marzeniami i zacząć pielęgnować nowe, bardziej prawdziwe. Zrozumiała, że jej największe marzenie zawsze było przy niej.

Wydała z siebie cichy jęk rozkoszy, a potem przytulona do piersi męża wsłuchiwała się w bicie jego serca. Było bardzo późno, inni goście w hotelu z pewnością już dawno spali.

– Luz, o czym myślisz? – spytał Ian.

– Może nigdy nie byliśmy w Paryżu, ale za to mamy siebie. Czy to nie brzmi banalnie?

– Nie musimy tak od razu rezygnować z Paryża.

Oparła mu podbródek na piersi i spojrzała w oczy.

– Kocham cię – szepnęła.

– Ja też cię kocham.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W sobotni poranek Jessie obudziła się z myślami o swojej siostrze. Spisek polegający na wysłaniu Luz i Iana na jedną noc poza domem był dziełem całej rodziny. Modliła się z całego serca, żeby to im pomogło. Cały czas czuła się fatalnie, wiedząc, jak niszczący skutek dla ich małżeństwa miało jej wyznanie. To prawda, oboje bardzo się kochali, ale mieli też kilka kwestii do przepracowania. Miała nadzieję, że wykradziona noc w San Antonio przyniesie dobry skutek.

Weszła do głównego domu i ze zdziwieniem poczuła zapach świeżych ciasteczek.

– Zaraz, zaraz, czy przypadkiem nie trafiłam pod zły adres? – spytała żartem. – Pachnie tak, jakby Luz nigdy stąd nie wyjeżdżała.

– Upiekłam trochę ciasteczek – powiedziała Lila. – Chcesz jedno?

Jessie zauważyła, że Lila nadal odnosi się do niej nieufnie, ale przynajmniej chce jej słuchać. Odgryzła kawałek czekoladowego ciasteczka i wydała z siebie pełen zachwyty jęk, ignorując szaleńcze węszenie Flambeau.

– Jesteś na prostej drodze, by stać się boginią domowego ogniska. Nie wiedziałam, że potrafisz piec takie znakomite ciastka.

– To żadna sztuka.

Jessie podeszła do lodówki, żeby wyjąć mleko. Zmarszczyła brwi, gdy jej ręka nie natrafiła w odpowiednim miejscu na dzbanek.

– Gdzie jest mleko? – spytała.

– Postawiłam na niższej półce.

Jessie zacisnęła zęby, ale zmusiła się do żartobliwego tonu.

– Dla ciebie to kilkanaście centymetrów, ale dla mnie równie dobrze mogłabyś je wysłać do Chicago.

– Przepraszam.

– Gdzie wszyscy?

– Babcia i dziadek zajęli się chłopcami. Dziadek obiecał im, że będą łowić ryby z pomostu.

Jessie wzięła jeszcze jedno ciastko i usiadła na taborecie przy kuchennej wyspie.

– Mamy dziś jakąś szczególną okazję?

Lila zawahała się przez chwilę.

– Tak, taka mała uroczystość po południu.

– Jaka uroczystość?

– No, nadanie imienia.

– Diga Bridgera? – domyśliła się Jessie. Poczowała leciutki podmuch ciepłego powietrza, gdy Lila otworzyła piekarnik, żeby wyjąć kolejną porcję ciastek.

– Tak.

– Co będzie miało jego imię?

– Udało się zebrać pieniądze na nową piaskownicę w miejskim

parku i ta piaskownica ma nosić imię Diga. Głupie, nie?

– Dlaczego głupie? – Umilkła, wyczuwając u Lili zakłopotanie. – Nie słyszę, kiedy wzruszasz ramionami.

– Przecież to tylko piaskownica. Nie rozumiem, co mi przyszło do głowy, kiedy sama... To trochę głupie nadawać piaskownicy imię ucznia, który... zginął.

Jessie zrozumiała. W kuchni zapadła głęboka cisza.

– Chodź, usiądź przy mnie.

Lila z trzaskiem zamknęła piekarnik. Przeszły razem do salonu i opadły na kanapę.

– Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ale moje pierwsze wspomnienia z Digiem dotyczą właśnie wspólnych zabaw w piaskownicy. – Głos Lili załamał się. – Boże, to mi się śni co noc. Mama Heatha Walkera miała rację. Wszystko przeze mnie.

– Lila, nie...

– Tak. Był taki moment, kiedy mogłam powiedzieć Heathowi, że już dość. Wiedziałam, że on przegina, ale ciągle było mi mało. Chciałam latać, nie myślałam w ogóle o tym, czy wylądujemy, nie myślałam o nikim innym, nawet o mojej najlepszej przyjaciółce, choć bardzo się bała. I powiedziałam, że skaczymy dalej.

W tych zwierzeniach Jessie usłyszała echo własnej brawury i lekkomyślności.

– Przytul się do mnie, mocno – powiedziała przez łzy. Głaszcząc Lilę po włosach, widziała samą siebie, jak z szaleńczą prędkością pędzi przez życie od jednej płytkiej fascynacji do drugiej. – Nie wolno ci tak

myśleć – powiedziała. – Nie możesz nieustannie wyrzucać sobie czegoś, czego nie da się zmienić. Wszyscy, którzy byli w tym samochodzie, przyczynili się do wypadku. Stało się coś strasznego, zapewne będziesz o tym pamiętać do końca życia, ale przestań siebie obwiniać!

– Wszyscy odnaleźli Jezusa, tylko nie ja – poskarżyła się Lila płacząco. – Uzyskali przebaczenie. Ja też próbowałam, naprawdę, ale wydało mi się takie sztuczne...

– Bo może to nie jest droga dla ciebie. A teraz coś ci powiem. Prawdziwą łaskę i odkupienie znajdziesz w pieczeniu ciasteczek i budowaniu piaskownicy, a nie w trzymaniu się za ręce i śpiewaniu świętych pieśni.

Lila pociągnęła nosem i przytuliła się mocniej do Jessie.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem. I wiem, że mam rację. Nie pozwolę ci stąd odejść, dopóki sama nie zaczniesz tak myśleć. – Jessie pogłaskała Lilę po włosach. Powoli wszystko ułożyło się w spójny obraz. – To twoja zasługa, prawda?

– Jaka zasługa? – Lila wysunęła się z jej objęć.

Jessie uśmiechnęła się z dumą.

– Nie bądź taka skromna. Przecież wiesz, o czym mówię. To ty wszystko zorganizowałaś, zbiórkę pieniędzy, budowę piaskownicy i dzisiejszą uroczystość. Dlatego upiekłaś ciasteczka, które, nawiasem mówiąc, są przepyszne. Lila, jesteś taką samą świetną kucharką jak twoja mama.

To słowo zawisło w powietrzu między nimi.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała Lila wprost. – Dlaczego mnie oddałaś?

Jessie westchnęła rozdzierająco.

– Nie znałam i nie znam lepszej, wspanialszej osoby niż Luz. Oddając cię mojej siostrze, dałam ci miejsce, w którym mogłaś zapuścić korzenie, dałam ci rodzinę, która się tobą naprawdę zajęła. Wiem, że czasem cię wkurzają, ale nie zamieniłabyś ich na żadne cuda świata.

– A zastanawiałaś się kiedyś, co by było, gdybyś mnie zatrzymała?

Jessie skinęła głową.

– Myślałam o tym codziennie. Zabierałabym cię ze sobą wszędzie tam, gdzie by mnie rzuciły zawodowe obowiązki. I pewnie ja byłabym z tego zadowolona. Ale mimo młodego wieku wiedziałam, że to nie jest odpowiednie życie dla małego dziecka.

Wskazała gestem pokój, w którym panował nieład typowy dla licznej rodziny – książki, zabawki, puste kubki, buty, listy... Zwyczajna codzienność.

– Tego właśnie chciałam dla ciebie. Wiem, że teraz to się może wydać niezrozumiałe, ale...

– Lila! – Scottie wpadł do domu, trzaskając za sobą drzwiami.

– Co tam, skrzacie?

Jessie wiedziała, że Lila wyciera z twarzy łzy i odwraca się do brata z uśmiechem na twarzy. Tak samo jak Luz.

– Cześć, ciociu! Cześć, Flambeau! – Scottie wskoczył z rozpędem

na kanapę. – Dziadek Stu mówi, że będziemy łowić ryby z pomostu i dlatego muszę założyć kamizelkę, jeśli chcę z nim iść.

– Zaraz ci przyniosę. – Lila poszła do przylegającej do kuchni suszarni.

– Włożysz mi ją? – spytał Scottie. – Tylko ty umiesz ją dobrze zapiąć.

– Pewnie. Proszę, zjedz przez ten czas ciastko.

– Ale pyszne! Zupełnie jak mamy. Ciociu, wiesz co? A wczoraj Lila pozwoliła mi spać ze sobą w swoim fioletowym łóżku.

Jessie uśmiechnęła się, słuchając tej rozmowy. Wiedziała, że Scottie po raz pierwszy spędził noc bez mamy. I wcale się nie zdziwiła, że gdy mu było smutno, poszedł do Lili.

– Ale było fajnie. Jeszcze nigdy nie spałem w fioletowym łóżku.

– Możesz już iść, kamizelka zapięta.

– Dobra. Lila!

– Słucham.

– Ładna jesteś.

– Ty też jesteś ładny.

Scottie wyszedł, a Jessie wciąż się uśmiechała, mimo że w sercu czuła też gorzko-słodki ból. To właśnie było cudowne życie, a ona, na własną prośbę, nie miała okazji go posmakować. Wyobraziła sobie Scottiego i Lilę i postanowiła zachować ten obraz na zawsze. Poczowała, że Lila patrzy na nią.

– I to wszystko, Wysoki Sądzie – powiedziała, nie do końca żartując.

– Nieważne. – Uśmiech Lili złagodził jej ton.

– Lila, chciałabym, żebyś wiedziała, że zawsze cię kochałam. Od pierwszej chwili twojego życia. Czujesz to?

– Sama nie wiem.

Jessie usłyszała w jej głosie lęk i niepewność.

– Nie szkodzi. Ludzie, którzy się kochają, także muszą dojrzeć i zmienić się. A ty już wiesz, że dojrzewanie bywa bolesne, choć ból nie zawsze jest czymś złym. Czasem przypomina nam, jak ważne są niektóre rzeczy.

Usłyszała trzask zamykanych pojemników, do których Lila pakowała ciastka. Z oddali rozległy się śmiechy i skrzypienie kołowrotek.

– Wezmę aparat – powiedziała Lila.

Wyszły razem na ganek. Powietrze było już ciepłe od promieni wiosennego słońca. Jessie poczuła zapach róż. Wiedziała, że to zakwitł stary krzew Luz.

– Ciociu, mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie.

– Co ty widzisz? Pytam dlatego, że poruszasz głową tak, jakbyś widziała ludzi albo przedmioty. Została ci resztką wzroku?

– Nie zostało mi nic, co ty mogłabyś uważać za wzrok. Ale nie żyję w ciemnościach. Mam przed sobą coś w rodzaju białego dymu albo mgły.

– Musi ci być z tym bardzo ciężko.

– Gdybym zaprzeczyła, skłamałabym, ale nie jest też tak, że przez cały czas rozpaczam nad utratą wzroku. Naprawdę. Musisz mi przyrzec, że nie będziesz się nade mną litować i nie pozwolisz, żeby inni ludzie litowali się nade mną.

– Dobrze. – Zapadła chwila niezręcznego milczenia. – Chciałam wypróbować ten teleobiektyw. Pokażesz mi, jak się go zakłada?

– Jasne. Dobry wybór. Długi obiektyw daje większą głębię ostrości. – Jessie niejedną raz zmieniała obiektywy w ciemnościach, więc teraz też zrobiła to szybko i sprawnie.

Lila z wielkim zapałem zrobiła kilka zdjęć chłopców zajętych wędkowaniem.

– Możesz też sfotografować różany krzew mamy – zaproponowała Jessie.

– Skąd wiesz, że zaczął kwitnąć?

Jessie uśmiechnęła się.

– Czary. – A potem znów zmieniła obiektyw, tym razem na stumilimetrowy przeznaczony do portretów. Luz posługiwała się nim najczęściej. Ciekawe, czy Lila o tym wie, pomyślała.

– Ciociu.

– Tak, skarbie?

– Co będziesz teraz robić?

Jessie powinna być przygotowana na takie pytanie wprost, ale nie była.

– No cóż, będę musiała jakoś urządzić sobie życie od nowa. Chcę się zająć pisaniem. Lubię to. Poza tym w ten sposób mam szansę wstąpić do elitarnej grupy z Johnem Miltonem, Jamesem Joyce’em i Jamesem Thurberem.

– A kim oni są?

– Niewidomymi pisarzami. Na miłość boską, czego was w tej szkole uczą? – Jessie zawiesiła głos. – Nie słyszę, jak wzruszasz ramionami, ale wiem, że to robisz.

– A dlaczego nie możesz zostać w Edenville?

– Nie potrafię osiąść w jednym miejscu na dłużej. Nigdy mi się to nie udało.

– Ale ty jesteś niesamowita. Straciłaś wzrok i umiałaś sobie sama wszystko załatwić. Choć to musiało być bardzo trudne. Wiem, że nas kochasz. Wiem, że kochasz Dusty’ego i Amber.

Oto stało przed nią wyzwanie i po raz pierwszy Jessie poczuła, że wszystko jest możliwe. To niewiarygodne, pomyślała, ile rzeczy może się kryć w ludzkim głosie. A w głosie Lili usłyszała wzruszenie, troskę i ... nadzieję.

Ciszę przerwał trzask migawki.

– Zrobiłam ci zdjęcie – powiedziała Lila. – Będzie super.

Jessie przyznała jej rację. Wiedziała, że się uśmiechała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Jessie obudziła się z krótkiej drzemki lekko otumaniona. Nie przypominała sobie, żeby zapraszała na to popołudnie Arnufa, ale może to zrobiła. Rozpoznała warkot furgonetki zatrzymującej się na podjeździe, skrzywienie otwieranych drzwi. Flambeau pisnęła cicho i uderzyła kilka razy ogonem o podłogę. Jessie wyłączyła głosem komputer i wyszła na zewnątrz.

– Cześć, compadre – zawołała. – Przyjechałeś w towarzystwie – dodała, słysząc powolny krok Amber. Dziewczynka zapewne trzymała Arnufa za palec, wchodząc w górę po dwóch schodkach.

– To bardzo dobre towarzystwo – powiedział.

Amber roześmiała się, przytuliła się przelotnie do nogi Jessie, a potem zajęła się Flambeau.

– Jak było u córki w San Antonio? – spytała Jessie.

– Wspaniale. Jestem bardzo dumny, że mam taką piękną wnuczkę. A Luz zrobiła znakomite zdjęcia.

Jessie uśmiechnęła się. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Luz obudziła się tego ranka w pięknym hotelowym pokoju u boku męża. Jeśli wszystko poszło dobrze, wróci po południu do domu w dużo lepszym stanie. Jessie nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że romantyczny wyjazd od razu rozwiąże wszystkie problemy, ale Luz i Ian mogli wykorzystać ten czas na rozmowę o tych wszystkich sprawach, które w nawale codziennych zajęć odsuwali na dalszy plan.

– Napijesz się czegoś? – zaproponowała Jessie.

– Nie, dziękuję. Prawdę mówiąc, właśnie sobie o czymś

przypomniałem. Zajmij się przez chwilę małą.

– Ale ja...

– Zaraz wrócę. – I zanim zdążyła zaprotestować, poszedł do samochodu. Żwir zaskrzypiał pod jego butami.

Jego nagłe zniknięcie sprawiło, że Jessie wpadła w panikę. Pospiesznie ruszyła ku drzwiom, zaczepiając nogą o plastikową matę.

– Arnufu, co się stało? – krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi.

– Pa! – Amber podeszła na czworakach do drzwi i chciała je otworzyć. Jessie wyobraziła sobie schody, las, jezioro i natychmiast przekreśliła zatrask.

– On zaraz wróci – powiedziała, jakby chciała uspokoić nie tylko Amber. – Wtedy go zabijemy.

– Brrrrrr... – Amber wydała z siebie warczący dźwięki, który skojarzył się Jessie z rojem wściekłych pszczół, a potem ruszyła w kierunku stojącego przy oknie stołu.

Jessie zaczęła gorączkowo myśleć. Na stole stał komputer. Zanim zapadła w drzemkę, przeglądała pocztę, posługując się przeznaczonym dla niewidomych programem głosowym. Z krawędzi stołu spływały przewody prowadzące do gniazdka w ścianie.

Co jeszcze? – zastanawiała się nerwowo, idąc pospiesznie przez pokój. Kubek z kawą!

– Amber, nie! – krzyknęła, wyobrażając sobie dziecko oblane gorącym płynem.

– Nie! – powtórzyła za nią Amber piskliwym głosem.

Jessie natrafiła na nią przy stole i gwałtownym ruchem wzięła na rękę. W pierwszej chwili dziewczynka nie zareagowała, ale zaraz potem wygięła się w łuk, z całej siły odpychając się rączkami od Jessie. Nabrała powietrza w płuca i wybuchnęła głośnym płaczem.

– Kochana, proszę cię, tylko nie to – powiedziała błagalnie Jessie.
– Bałam się, że sobie zrobisz krzywdę.

Amber zaczęła się jej wyrywać, z całych sił machając rękami i nogami i nie przestając płakać.

– To po prostu niewiarygodne! – Jessie podeszła z rozhisteryzowanym dzieckiem do drzwi. – Jak on mógł cię ze mną zostawić? Arnufu, gdzie ty jesteś, do cholery! – wrzasnęła przez drzwi.

– Dolely – powtórzyła za nią Amber.

Usłyszała jedynie odległe szczekanie Bobra, które niemal natychmiast utonęło w ogłuszającym pisku Amber.

– Flambeau! – zawołała Jessie. – Smycz!

Pies zameldował się natychmiast, stając przy haczyku, na którym wisiała robocza uprząż. Jessie posadziła Amber na kanapie, ale dziewczynka zaprotestowała gwałtownie, spadła z lekkim hukiem na podłogę i zaczęła się tarzać po całym pokoju. Jessie nie wiedziała, co robić – potrzebowała dwóch rąk, żeby założyć Flambeau uprząż, ale Amber wcale nie zamierzała na to czekać. Po chwili wahania chwyciła dziecko na rękę.

– Już dobrze, nigdzie cię nie zostawię. – Przytuliwszy małą do siebie, poszła do kuchni. – Jesteś głodna? Mam tu banana i coś jeszcze,

zaraz zobaczymy... Patrz, ciasteczka, najlepsze na całym świecie. Lila je upiekła. Nie? No to może mleko? – Oparła sobie Amber na biodrze i otworzyła lodówkę. – Co powiesz na kawałek sera? Albo jogurt? Już wiem, marynowana papryka!

Na kolejne propozycje Amber reagowała coraz głośniejszym płaczem, a Jessie czuła się coraz bardziej bezradna i przerażona. Opieka nad Amber była jak zesłanie na nieznaną planetę, na której mogło ją spotkać wszystko i gdzie nie miała jak się bronić przed emocjami. Co się stało z jej życiem? Co się stało z podróżami, niezależnością, umiejętnością trzymania ludzi na dystans? Jak to się stało, że trzyma w rękach ten bezcenny skarb? I co, na miłość boską, ma z nim teraz zrobić?

– Uspokój się, proszę cię – powtarzała, chodząc po pokoju w tę i z powrotem.

Amber płakała nadal, od krzyku jej głosik zrobił się ochrypły.

– Chodź, pobawimy się z Flambeau. – Jessie uklękła przy zdezorientowanym psie.

– Nie! – wrzasnęła Amber.

Jessie podniosła się i znów zaczęła chodzić w kółko. Miała wrażenie, że za chwilę popękają jej bębenki. Nagle otarła się o plastikową torbę, którą zostawiła na półce.

– A co to takiego? – spytała. Ciekawość w jej głosie uciszyła płacz dziecka. Sięgnęła do środka i wyjęła małą, grubą książeczkę zapakowaną w folię. – To jest prezent dla ciebie. Ale nie miałam jeszcze okazji ci go dać. Choć, przeczytam ci.

Amber nadal płakała, ale nieco ciszej. Rozpaczliwe łkanie, przerywane głębokimi westchnieniami, rozdzierało Jessie serce.

Widocznie jednak dziewczynka musiała już być zmęczona, a może książeczka rzeczywiście ją zainteresowała.

– Kupiłam ją, kiedy byłam w Austin z Lilą. Jej też taką wysłałam, ale to było bardzo dawno temu. – Zastanawiała się, czy Lila też miała podobne ataki złości, czy Luz czuła się równie bezradna jak ona.

Usiadła na kanapie, trzymając Amber na kolanach. Szybko rozpakowała książeczkę z folii.

– A teraz będziemy czytać. – Mój Boże, czytać? Drżącymi rękami otworzyła książeczkę na pierwszej stronie, usiłując sobie przypomnieć, o co w niej chodziło. To nie była jakaś długa historia. Coś o dwóch dzieci. Jak się nazywali? Paul i Mary? Nie, chyba Paul i Julie.

W gardle Amber znów wezbrało pełne złości mruczenie, więc Jessie uznała, że nie może już tracić ani sekundy.

– Spójrz, Paul i Julie głaszczą króliczka – powiedziała, naprowadzając rączkę Amber na kawałek futerka wklejony na pierwszej stronie. – Ty też możesz pogłaskać króliczka.

– Lulicka – powtórzyła Amber, pociągając noskiem.

– Chcesz czytać dalej? – Amber z wprawą przewróciła kartki. Tym razem ukazał się kawałek miękkiej flaneli. Coś o kocyku? Nie, tu była zabawa w „a kuku”. – Paul i Julie bawią się w „a kuku” – powiedziała Jessie.

I w tym momencie wydarzył się prawdziwy cud: Amber roześmiała się radośnie. Przeglądały kolejne strony, odkrywając na każdej nową niespodziankę – a to drapiącą brodę taty, a to pachnące kwiatki, a to błyszczące lustro.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała Jessie i poczuła, że zbiera

jej się na płacz. Och, jakże chciałyby zobaczyć śliczną buzię Amber i jej chabrowe oczy. Tymczasem pozostał jej jedynie obraz złożony z głosu, zapachu, dotknięcia jedwabistych włosów.

– Jesce – zarządziła Amber, gdy dotarły do końca książeczki.

Jessie wróciła do początku i po raz drugi zaczęły przeglądać kolejne strony. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Jessie poczuła, że się rozluźnia, a w jej umyśle pojawia się obraz, na który czekała: nocny ogród, niewyobrażalnie piękny. Czowała na swoich kolanach słodki ciężar Amber, delikatny dotyk skóry, puszystą miękkość włosów. Wdychała jej zapach, słyszała wesołe gaworzenie. A kiedy oglądały książeczkę czwarty czy piąty już raz, zauważyła, że Amber zasypia. Och, przecież ona ją widzi. Naprawdę.

Przytuliła Amber do siebie i oparła policzek na jej główce, tak samo wyczerpana jak ona. Usłyszała, że pod domem zatrzymuje się drugi samochód i uznała, że zabije każdego, kto obudzi jej dziecko.

Rozpoznała kroki Dusty’ego na ganku. Trudno. Jego też zabije.

Wszedł do domu po cichu. Kanapa zaskrzypiała, gdy usiadł przy nich.

Odwróciła twarz w jego kierunku.

– Nie umiem. Nie daję rady.

– Jessie. – Dotknął dłonią jej policzka. – Przecież świetnie sobie poradziłaś.

Jessie powtarzała sobie, że jego obecność nie powinna budzić w niej aż takich emocji, że powinna już do tego przywyknąć, ale za każdym razem wzruszenie było coraz silniejsze. Łzy już zniknęły z jej twarzy, ale nie mogła złapać tchu, uczucia stały się doznaniem

fizycznym. Dusty mówił, że przywiózł ją do domu po to, żeby pogodziła się z siostrą, ale wiedziała, że oczekiwał od niej dużo więcej.

– Cześć – przywitała go.

– Cześć.

– Arnufu zostawił mnie samą z dzieckiem.

– Wiem. Mnie też robił to samo. Zmuszał, żebym sam się nią zajmował.

– I nie masz do niego pretensji? Nie jesteś zły, że zostawił twoją dwuletnią, ledwo mówiącą córkę z niewidomą kobietą?

– No i co się stało? Przecież śpi jak aniołek. Masz na nią zbawienny wpływ. – Delikatnie wyjął Amber z objęć Jessie i wyszedł na zewnątrz. Słyszała, jak mówi coś po cichu do Arnufa, a potem wraca.

Dusty usiadł na kanapie i objął Jessie ramieniem. Czowała ból i szczęście jednocześnie.

– Nie jestem zły. Ale nie będę dłużej czekał. Przez cały tydzień trzymałem się od ciebie z daleka, żebyś mogła dogadać się z Luz. Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o nas.

Ogarnął ją lęk. Nie! Usłyszała w uszach szum krwi i odsunęła się od niego.

– Nie prosiłam cię o to, żebyś mnie odszukał i tu przywoził. Ale dobrze się zastanów nad tym, co mówisz. Musisz wychować swoją córkę. Jeśli potrzebna ci jest do tego kobieta, to znajdź sobie taką, która da ci trochę przyjemności.

– Ja nie potrzebuję kobiety. Ja potrzebuję ciebie. Do diabła, Jessie,

czy myślisz, że chciałem cię pokochać? Myślisz, że pokochałbym cię, gdybym miał wybór? I nie chodzi o to, że mam szukać przyjemności dla siebie. Uwierz mi, ciebie nie jest łatwo kochać. Zarówno teraz, jak i wtedy, zanim straciłaś wzrok. Bo to nie ma nic wspólnego z tym, czy widzisz, czy nie. – Zamilkł na chwilę. – Ale po prostu nie mogę przestać cię kochać. Nie chcę przestać cię kochać i nigdy nie przestanę.

Jak bardzo by chciała zatrzymać sobie te słowa na zawsze. Ale było w niej tyle lęku – że okaże się ciężarem dla Dusty’ego, że po jakimś czasie zacznie żałować swojej decyzji. Lęk nigdy nie był dla niej czymś typowym, ale teraz znalazła się na zupełnie nowym terytorium.

– To nie byłoby sprawiedliwe ani wobec ciebie, ani wobec Amber. Wobec mnie zresztą też.

– A skąd w tobie to przekonanie, że życie jest sprawiedliwe? – spytał z ironią w głosie. – To, co ciebie spotkało, jest straszne. Tak samo jak straszne było siedzenie w szpitalu przy Karen ze świadomością, że utrzymujemy ją przy życiu tylko ze względu na Amber. Dobrze wiem, o co ci chodzi. Chcesz mnie ochronić przed cierpieniem. Uważasz, że przyciągam do siebie kobiety obarczone tragicznym losem i postanowiłaś przerwać ten zaklęty krąg. Ale mylisz się, Jess. Jesteś dla mnie cudem. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Nieprawda, jestem koszmarem. Jeśli tego nie widzisz, to jesteś naiwny. Przekonasz się, będziemy tylko czekać, kto pierwszy doprowadzi drugą stronę do wściekłości. Ja ciebie swoją ślepotą, czy ty mnie swoją troską.

– Nie będę udawał, że doskonale cię rozumiem i wiem, co to znaczy nie widzieć. Ale mogę ci przysiąc, że nie będę cię krępował swoją nadopiekuńczością. Zdążyłem cię poznać, Jessie. Zrobisz to, co sobie zaplanujesz. Mój Boże, traktowałem swoją córkę z taką ostrożnością, jakby była butelką nitrogliceryny, jakby miała w każdej chwili wybuchnąć. Ale powiem ci coś: nic takiego się nie stanie. To

prawda, jest jeszcze mała, ale jest wytrzymała niczym dąb. Moja miłość nie zrobi jej krzywdy. – Objął Jessie i przyłożył sobie jej dłoń do ust. – Ciebie też nie skrzywdzę, przysięgam. Jessie, wyjdź za mnie.

Miała wrażenie, że po tych słowach unosi się i widzi, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby tylko na to pozwoliła. Wokół niej byłiby ludzie, których kocha, każda chwila miałyby sens. Gdyby tylko umiała pozbyć się lęku i poddała się temu, co przynosił jej los.

– Nie rób tego... ze względu na siebie – powiedziała błagalnie, wyrywając dłoń z jego palców. – Pomyśl o Amber. Nie powinieneś kochać kogoś takiego jak ja. Musisz pozwolić mi odejść, dobrze o tym wiesz.

– Dlaczego miałbym pozwolić ci odejść?

– Bo ja nie widzę. Nie mogę ci spojrzeć w oczy, nie mogę zobaczyć w nich miłości, niepokoju, radości. A z czasem moje oczy po prostu zanikną i nie odczytasz z nich moich uczuć. Jak mogę cię kochać, jeśli nie mogę cię zobaczyć? – W jej głosie były lęk i niepewność.

– Jess, to akurat jest oczywiste. Możesz mnie kochać sercem. Po prostu mnie kochaj, na zawsze, bez zastrzeżeń. I uwierz, że wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Nic nie budzi w kobiecie większej paniki niż pierwsza myśl: „jestem w ciąży”. Jessie osłupiała, gdy ta myśl wreszcie do niej dotarła.

Dusty wyszedł, zostawiając ją z koniecznością podjęcia bolesnej decyzji. Ian i Luz wrócili z romantycznej randki w doskonałych nastrojach. Jessie opanowała się na tyle, żeby przywitać ich z uśmiechem. Wymówiła się od wspólnej kolacji i wróciła do siebie, dręczona pytaniem, co ma teraz, do diabła, zrobić? Marzenia, które przychodziły jej do głowy, niemal przyprawiały ją o mdłości. Czy jej miłość do Dusty’ego jest w stanie przezwyciężyć lęk przed przyszłością? Dusty nigdy się nad nią nie roztkliwiał, więc w tej kwestii też zostawił jej wolny wybór. A ona nie umiała znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Dostała bezcenny dar w postaci dziecka innej kobiety, ale sama musiała zdecydować, czy na taki dar zasługuje. A do tego pojawiły się jeszcze ataki nudności.

Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała okres. Dopiero dziś odważyła się o tym pomyśleć.

W ułamku sekundy świat zadrzał jej pod stopami. Boże, a jeśli to prawda?

Zaczęła nerwowo przeszukiwać torbę z kosmetykami, szukając w głowie jakiegoś argumentu, który pozwoliłby jej oddalić przerażające podejrzenie.

– Idiotka! – powtarzała przez zaciśnięte zęby. – Ale ze mnie idiotka!

Przestała brać tabletki antykoncepcyjne, gdy przeniosła się do Beacon, ale nie umiała powiedzieć, ile zapomniała zażyć wcześniej. Oczywiście w czasie kursu mieli obowiązkową wyprawę do drogerii po

wszelkie niezbędne kosmetyki i środki opatrunkowe. Wtedy już zauważyła, że okres jej się spóźnia, ale sprzedawczyni w aptece uspokoiła ją. To normalne, że po wielu latach używania pigułki cykle są przez jakiś czas nieregularne.

Próbowała się pocieszać, że przecież wtedy, gdy kochała się z Dustym, wciąż brała tabletki. Znalazła w kosmetyczce na wpół zużyte opakowanie. Drżącymi palcami wyczuła puste miejsca, ale mimo to wiedziała, że popełniła błąd. Przypomniła sobie, że podczas długiej podróży do domu z powodu różnicy czasu straciła rozeznanie, jaki jest dzień. Musiała wtedy pominąć kilka dawek. Była tuż po rozstaniu z Simonem, więc nie przywiązywała specjalnej wagi do antykoncepcji. Pomyślała o cudownej nocy w Meksyku. Dusty chciał poszukać apteki, żeby kupić prezerwatywy, ale zapewniła go, że to nie jest konieczne. Idiotka.

– Nie, to niemożliwe – szepnęła, osuwając się na podłogę w łazience i przyciągając kolana do brody. Czuła, jak wpada w stary wzorzec lęku i ucieczki. Instykt mówił jej, że powinna uciekać, ale nie, postanowiła, że nie pójdzie najłatwiejszą drogą. Że zaryzykuje i poszuka odpowiedzi na głębszym poziomie. Zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła podjąć żadnej decyzji, dopóki się nie upewni. I natychmiast pomyślała o Luz.

Luz.

Gdy kiedyś znalazła się w podobnych tarapatach, siostra lojalnie wyciągnęła do niej pomocną dłoń.

– Chodź, Flambeau. – Jessie sięgnęła po uprząż. – Musimy porozmawiać z Luz. – Było późne popołudnie, z oddali dochodziły okrzyki chłopców grających w piłkę albo rzucających frisbee. Z pośpiechem wpadła do domu, zatrzymując się jedynie na krótką chwilę, żeby odpiąć smycz Flambeau.

– Luz! – zawołała. – Luz, muszę...

– Jestem na górze, w bibliotece.

– Zaraz przyjdę. Muszę wziąć coś z łazienki. – Była pewna, że Luz ma gdzieś test ciążowy. Pamiętała, że widziała jeden w torebce w szafce pod umywalką. Zaczęła grzebać wśród butelek i wysuszonych gąbek, aż wreszcie znalazła.

Roześmiała się cierpko. Sama tego nie zrobi. Niczego się w życiu nie nauczyła. Znow jest panną w ciąży. I znow może się z tym zwrócić jedynie do Luz.

Wspięła się po schodach i ruszyła do biblioteki. Odnajdywanie właściwej drogi stało się już jej drugą naturą.

– Luz?

– Siedzę na kanapie. Rozkoszuję się chwilą samotności.

– A gdzie reszta?

– Mama i Stu oglądają telewizję, a Ian poszedł grać z dziećmi w piłkę. Lila też. – Ostatnie słowa wymówiła ze szczególną czułością.

– Sama widzisz, że ona bardzo cię kocha. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję. Jess, to był cudowny wyjazd. Ja i Ian nie byliśmy tak ze sobą od... Nawet nie pamiętam, od kiedy.

Jessie zmusiła się, żeby zachować spokój. Przez całe życie przychodziła do siostry ze swoimi problemami. A teraz Luz była taka szczęśliwa i rozluźniona. I co, miałyby to popsuć?

– Chciałam ci podziękować – ciągnęła Luz. – Ian powiedział, że wszyscy braliście udział w tym spisku. – Wzięła Jessie za rękę i posadziła ją koło siebie. – Muszę ci coś pokazać.

Jessie zmarszczyła brwi, czując, jak Luz przesuwa jej palcami po gładkiej skórze, a potem po kilku rzędach małych chropowatych guzków. Rozpoznała to doznanie natychmiast.

– Luz, zrobiłaś sobie tutaż?

Siostra roześmiała się.

– Rano, przed wyjazdem z San Antonio. Niewiarygodne, prawda? To konstelacja Kasjopei.

– Matka Andromedy – powiedziała Jessie domyślnie z lekką nutą goryczy.

– Aha.

– Pokazałaś już Lili?

– Jeszcze nie. Najpierw chciałam pokazać tobie. – Roześmiała się znowu. – Musisz zobaczyć tatuaż Iana!

– Dziękuję, nie skorzystam. Luz...

– Właśnie zajęłam się porządkowaniem rodzinnych albumów. – Luz, zupełnie jak nie ona, była całkowicie pochłonięta sobą. – Mam mnóstwo zaległości.

– Rozumiem – powiedziała Jessie z roztargnieniem. – Luz, ja...

– Coś się stało? – Luz zamknęła z głośnym trzaskiem album, dopiero teraz dostrzegając zdenerwowanie siostry. – Co masz w tej

torbie?

Jessie wyjęła ze środka pudełko.

– Musisz mi z tym pomóc.

Luz wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Przecież to test ciążowy!

– Całe szczęście, że nie maś na hemoroidy.

– Jess! – Głos Luz załamał się z radości.

– Pomożesz mi?

Luz objęła ją z całych sił i po chwili obie leżały na kanapie, śmiejąc się przez łzy.

– Znów narozrabiałam. I znów przychodzę z tym do ciebie.

– A niby do kogo masz przyjść? Nawet nie wiesz, ile ci zawdzięczam.

Jessie odsunęła się z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Po wypadku wszystkim się zajęłaś. Wepchnęłaś mnie z powrotem w ramiona mojego męża, tam gdzie jest moje miejsce. To tylko twoja zasługa. Jesteś mi potrzebna. I dziwię się, że tego nie rozumiesz.

– Och, Luz, naprawdę? A Dusty? Zaszłam w ciążę przez własną lekkomyślność, a teraz mam go prosić o ratunek?

– Przecież on też potrzebował pomocy, nie widziałaś tego? Dopóki ciebie nie poznał, żył jak lunatyk. Obudziłaś go, przywróciłaś do życia.

Przez dłuższą chwilę Jessie siedziała w milczeniu, tylko łzy płynęły jej po policzkach. Jeśli się na to zdecyduje, zostanie matką dziecka, którego nie będzie mogła zobaczyć. Ta myśl przywołała w niej wspomnienie ogrodu w Meksyku i starego ogrodnika, który sadił kwiaty w ciemnościach. Czy ma nie sadić nowych kwiatów tylko dlatego, że nie będzie mogła zobaczyć ich piękna?

– Ty mnie zrozumiesz – powiedziała Jessie, odzyskując głos. – Chcę wychować to dziecko.

– Oczywiście! – Luz przytuliła ją mocno. – Tak po prostu miało być. Ja też nie planowałam swoich ciąży. I mam Owena i Scottiego. – Uśmiechnęła się z czułością. – Czasem myślę, że to, co w życiu najcenniejsze, jest skutkiem naszych błędów.

– Jeśli to prawda, to powinnam być milionerką – zażartowała Jessie.

Luz westchnęła radośnie.

– Bardzo chętnie zostanę ciotką z tatuażem. To jak, chcesz ten test zrobić teraz czy...?

Jessie słyszała szum wieczornego wiatru w gałęziach wielkiego dębu, dochodzący z oddali śmiech dzieci i szczekanie psa.

– Najpierw muszę coś załatwić.

– Oczywiście.

– Możesz mnie podwieźć? – Radość stłumiła lęk i Jessie była już

pewna. Czekala ją najwieksza przygoda życia. Nie potrzebowała do niej paszportu ani walizek, jedynie odwagi. Wstała, odwracając głowę w stronę wpadającego przez okno ciepłego światła. – Chcę porozmawiać z Dustym.

[1] Nawiązanie do biblijnej opowieści o synu marnotrawnym, którego ojciec przywitał po powrocie ucztą z tłustego cielecia. (Przyp. Tłum.).